

Rafał  
**KOSIK**

**Vertical**



powergraph



# **KOSIK RAFAL**

**Vertical**

*dla S.L.*

## 1. Pytania

Tego dnia, kiedy zginął Harsid, padał deszcz. Tęcza miała kształt idealnego okręgu, nim zniknęła w burych chmurach. Woda przeciekała na wylot przez wszystkie pokłady i moczyła moje posłanie, w miejscu gdzie nie starczało brezentu. W szarych strugach wody i podmuchach wiatru sieci falowały jak wielkie ażurowe skrzydła, wprawiając w delikatne bujanie całe miasto. Przesiedziałem kilka godzin w swoim kącie obok magazynu lin. Przez szczeliny krat nade mną widziałem pokład dowodzenia, skąd wydawano polecenia rozwinięcia kolejnych płacht do łapania wody, zamykania i otwierania zaworów przy zbiornikach, bądź zlurowania namokłych sieci. Nie licząc krzątający kilku ludzi, na czas deszczu miasto niemal zamierało.

Harsid wypadł za barierkę, albo sam wyskoczył. Musiało się tak stać, bo wielokrotne przeszukiwanie wszystkich pokładów nie dało rezultatu. Kiedyś w dole były sieci, które by go zatrzymały. Potem przeniesiono je wyżej, by zwiększyć połowy. Harsid był niespełna rozumu – tak mówili, ale ja wiedziałem swoje. Był mądry, może najmądrzejszy z nas wszystkich. Znał odpowiedzi na wiele pytań, a co ważniejsze, znał też wiele pytań, na które nie było odpowiedzi. Stary ogrodnik wprawił w ruch nieznaną trybiki w mojej głowie. Jego zniknięcie było dla mnie końcem prawdziwego dzieciństwa, a początkiem świadomego, dorosłego życia. To był impuls, który przestawił mój umysł na inny rodzaj pracy. Właśnie wtedy zrozumiałem, że nic nie jest niezmiennie. Wkrótce potem dotarło do mnie jeszcze to, że ja też kiedyś będę stary. I że kiedyś umrę.

\* \* \*

Gdy po kilku dniach wiatr rozwiął nieco chmury, wszyscy zgromadzili się przy barierkach, próbując wypatrzeć zmiany. W zasięgu wzroku jak zawsze było kilkadziesiąt niewykorzystanych lin. Niektóre wystarczająco blisko, by próbować ich dosięgnąć, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Sigg zaczął krzyczeć ze swojego małego, okrągłego pokładu, że na południu widzi wiązkę uformowaną na naszej wysokości, więc zapewne było tam inne miasto. Wszyscy z nadzieją wpatrywali się we wskazanym kierunku, a kapitan osobiście wdrapał się do obserwatorium, by sprawdzić tę wiadomość.

Od wielu miesięcy nie zbliżyliśmy się do żadnego miasta dość blisko, by móc rozpocząć Wymianę. Wysoko w górze i daleko pod nami widzieliśmy wiele czarnych kropek, ale były odległe o rok, albo i więcej.

**Kapitan długo siedział w wielkim fotelu i wpatrywał się w okular teleskopu. W końcu wstał i oparł się silnymi dłońmi o barierkę. Był postawnym mężczyzną w sile wieku. Wiatr poruszał jego peleryną i czarnymi, przetykanymi siwizną włosami. Spojrzał z góry na wszystkich mieszkańców.**

**–Zobaczyłem miasto na południu – oznajmił. – Jest odległe o kilka miesięcy. Rozwińcie żagle.**

**Rozległy się wiwaty na cześć kapitana i obserwatora. W ciągu godziny na linach między pokładami i na dodatkowych masztach rozpięto kilka żagli. Północny wiatr popychał nas w stronę spotkania.**

**Wspiąłem się po krótkich schodkach do małego królestwa Sigga i przytknąłem oko do okularu teleskopu. Między chmurami zobaczyłem czarną kropkę i nieostre, szarawe pasmo ich wiązki. Sigg mruczał pod nosem, zapisując coś starannie w swojej wielkiej księdze. Wreszcie zamknął ją, założył okulary i odwrócił się do mnie. Pokażny brzuch utrudniał mu poruszanie się po ciasnym i zagraconym pokładzie obserwacyjnym.**

**–Oczy już nie te – westchnął. – Widzę zaledwie nieostrą plamkę. Założę się, że ty potrafisz rozpoznać nawet jego kształt.**

**–Ma kształt prawie-kuli – przytaknąłem. – Tak jak nasze.**

**Pamiętam, jak Sigg opowiadał, że kiedyś chciano przerobić jego przyrząd na coś bardziej pożytecznego, ale udowodnił, że teleskop się przydaje. Sigg był wyjątkowym człowiekiem, a jego pokład – wyjątkowym miejscem. Mimo to, nikt poza mną nie interesował się jego pracą. Uważano go za nieszkodliwego dziwaka. Gdyby nie to, że potrafił dostrzec inne miasto z odległości kilku lat, dawno zagoniono by go do innej pracy, a jego skarby wymieniono na pożywienie lub ziemię.**

**Wychyliłem się przez barierkę i spojrzałem w dół. Wystające poza obrys miasta mechanizmy były przytwierdzone solidnymi wspornikami pod głównym pokładem. Wolno przesuwaly się w górę po linach, ciągnąc za sobą całą konstrukcję.**

**Cesenu podchodził kolejno do każdej z lin. Uderzał w nie i słuchał wibracji, słyszalnych tylko dla niego. Patrzył w górę, potem w dół. Obserwowałem jego poczynania. Chodził zwykle w specyficzny sposób: powoli, w ostatniej chwili wydłużając krok. Sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy się nie spieszy, ale i tak zawsze zdąża na czas. Cesenu miał czarne, kręcone włosy i lekko się garbił. Starzał się, to fakt, ale wciąż był niezastąpionym mechanikiem. Wiedział wszystko o napędach i mechanizmach miasta. Niewiele mówił. Nie odpowiadał na pytania, jeśli odpowiedź wymagała użycia kilku zdań. Mimo jego wszystkich dziwactw, szacunek okazywał mu nawet kapitan.**

**Wreszcie Cesenu poszedł do kapitana, poinformować go o wynikach swoich oględzin. Każdy inny wykrzyczałby nowiny na całe gardło, żeby podkreślić swoją rolę w społeczności. Ale nie on.**

**Pobiegłem na dół posłuchać. Jedna z lin mogła należeć do miasta znajdującego się o dwa lata drogi nad nami. Pozornie swobodne liny od zachodu przez dłuższy już czas nie zmieniały znacząco swego położenia, co mogło znaczyć, że są resztką ich wiązki. Nasze starania o przemieszczenie mogły kolidować z planami tych na górze. Korzystniej było więc odczepić tę linę i zastąpić za jakiś czas inną.**

**Nasze miasto wisiało na dziewięciu linach, a mieliśmy jeszcze dwa wolne napędy. Pozbycie się tej jednej liny nie powinno zachwiać równowagi. Kapitan ustalił, że wyczepienie nastąpi rano.**

**\* \* \***

**Rzadko bawiłem się z innymi dziećmi, a było ich w moim wieku pięcioro, może sześcioro, jeśli liczyć Nykę, który coraz chętniej przebywał w towarzystwie mężczyzn i traktował mnie z góry. Zawsze trzymałem się trochę z boku. Rówieśnicy dawali mi odczuć, że jestem inny. Sporo czasu przesiadywałem na brzegu pokładu i gapiłem się w Niebo, lub próbowałem zrozumieć, jak działa któryś z mechanizmów miasta. Zdarzało się, że w mojej głowie kłębiło się tyle pytań, że zapominałem o świecie wokół. Tylko na nieliczne z nich potrafiłem znaleźć odpowiedzi, ale i tak nie wiedziałem, czy są prawdziwe. Ktoś inny musiał tu przesiadywać przede mną – w metalu, przy samej krawędzi wyryte były jakieś znaki. Nie wiedziałem, co oznaczają.**

**Drgnięcie pokładu i następujący po nim gong oznajmiły, że coś wpadło w sieci. Często zamyślałem się tak, że nie słyszałem, jak ktoś do mnie mówił. Gong jednak docierał do mnie zawsze. Zaczekałem, aż wyciągną zdobycz i wytaszczą ją na najbliższy pokład. Wtedy ruszyłem do pracy. Było to coś ciężkiego, bo lżejsze przedmioty sam zdejmowałem. Byłem sieciarzem – łątałem sieci. Niemal zawsze po upadku ciężkiego przedmiotu pękało kilka oczek. Zdarzało się, że przedmiot przelatywał na wylot zostawiając po sobie poszarpaną dziurę większą od człowieka. Tym razem wyglądało na to, że nic się nie stało, ale i tak musiałem tam wejść i sprawdzić.**

**Przypiąłem linkę asekuracyjną i doszedłem do połowy długości poziomego masztu. Zeskoczyłem na sieć. Ugięła się pode mną i jak zwykle doznałem uczucia, jakbym spadał. Dziwne mrowienie gdzieś wewnątrz mięśni znów dało o sobie znać. Nie lubiłem mieć Nieba pod stopami, a jednocześnie pociągało mnie. Zawsze była jeszcze linka asekuracyjna... W kilku susach dotarłem do żółtej wstążki, którą oznaczono prawdopodobne miejsce upadku. Zgodnie z przewidywaniami nie było uszkodzeń. Położyłem się nad bezdenną przepaścią i zapatrzyłem w dół. Wolno bujałem się w wielkim hamaku, rozkoszując się uczuciem swobodnego spadania i tego**

podskórnego niepokoju, który nie dopuszczał do pełnego rozluźnienia. Bałem się tego, ale właśnie ten strach sprawiał, że było to przyjemne. Liny naszej wiązki robiły się coraz cieńsze i znikaly w błękitnym Niebie na granicy spojrzenia. Z mojego miejsca widziałem wyraźnie trzy miasta. Odwróciłem się na plecy. To samo – liny znikające w oddali, w bezmiernym błękicie.

–Murk! Śpisz tam?

Murk to byłem ja. Nie spałem i nie miało to żadnego znaczenia, czy naprawię sieć teraz, czy za pięć minut. Nie miało znaczenia nawet to, że sieć nie jest uszkodzona. Chodziło o dyscyplinę. Zerwałem się i wróciłem na pokład.

Łatanie nie było wcale proste. Takie naprawienie sieci, by nie była w tym miejscu słabsza, ani mniej elastyczna, wymagało sprawnych rąk i doświadczenia. Łata powinna być taka sama jak każde inne miejsce. Należało zrobić to tak, by nie dało się potem odnaleźć śladu dziury. Bywało, że spędzałem na sieci pół dnia, niemal nie czując potem rąk.

Dwie z sieci miary większe oczka i grubsze linki. Były mocniejsze od pozostałych i miały inną budowę. Służyły do łapania najcięższych zdobyczy. Gdy coś uderzało w sieć, ta wrywała mocowania i leciała w dół, ciągnąc za sobą elastyczne liny, które amortyzowały upadek. Tak zdobyliśmy jeden zapasowy napęd, który zwykłą sieć zamieniłby w niezdatną do naprawy płataninę frędzli. Oczywiście nie sposób było przewidzieć co, kiedy i gdzie upadnie – część potencjalnych zdobyczy musiała się wymknąć. Łapał je pewnie ktoś kilka lat niżej. Najmocniejsza sieć znajdowała się w górze, ponad miastem i zabezpieczała je, by nic nie spadło nam na głowy.

\* \* \*

Noc. Gwiazdy w górze, gwiazdy w dole. Cisza, nie licząc poświstywania wiatru i cichych trzasków naciągów sieci. Pająk pod sufitem też rozpinał własną sieć, a ja nie zamierzałem mu przeszkadzać. Staruszek obok zaczął cicho pochrapywać. Większa część pokładów i ścian była wykonana z drobnych krat, bądź perforowanych blach. Przez małe otwory w ścianie oddzielającej nasze mieszkania wyraźnie widziałem jego siwe włosy. Przypomniał mi się stary Harsid. Wraz z nim odeszła część starej mądrości. Nie zdążył jej nikomu przekazać. Może nie miał komu.

Już nie mogłem zasnąć. Leżałem i patrzyłem na słabo jarzące się okrągłe lampy, wmontowane w elementy nośne. Same zapalały się o zmierzchu, a gasły rano. Rozpraszały mrok, ale pozwalały też spać. Wszedłem z korytarzyka, w którym miałem swój kąt, potem wspiałem się po schodach na główny pokład. Pusty, bez ludzi, wydawał się być ogromny.

Mężczyzna pełniący nocną straż na pokładzie dowodzenia pomachał do mnie z

**góry. Pozdrowiłem go dłonią i podszedłem do barierki. Mechanizm napędu mozolnie wciągał miasto po linie bez końca. Obserwowałem go przez kilka minut. Potem przeniosłem się pod Drzewo. W wielkiej, wielokrotnie łatanej donicy rosła największa i jedyna całkowicie nieprzydatna roślina. Rodziła tylko żołędzie – niesmaczne orzechy, choć podobno jedzono je w czasach głodu. Drzewo było bardzo stare, miało głęboko spękaną korę. Pewnie mogłoby urosnąć większe, gdyby jego korzeni nie ograniczała donica. I tak było wyższe nawet od dorosłego mężczyzny. Wszyscy lubili Drzewo, więc nie groziło mu przerobienie na opał.**

**Sigg siedział w swoim ogromnym fotelu i wpatrywał się w okular teleskopu. Konstrukcja z prętów i blach częściowo osłaniała jego królestwo i umożliwiała przykrycie go brezentem na wypadek deszczu. Starając się nie hałasować, wspiąłem się na jego pokład. Obserwator i tak od razu mnie usłyszał. Przesunął się, bym mógł usiąść na poręczy fotela. Przyłożyłem oko do teleskopu. Gwiazdy, widziane przez przyrząd, były tylko odrobinę jaśniejsze, ale wcale nie większe.**

**–Czy liny są przyczepione do tamtych gwiazd? – zapytałem.**

**–Nie. – Uśmiechnął się. – Gwiazdy się obracają, wszystkie razem, a my nie.**

**–Jakbyśmy siedzieli we wnętrzu kuli?**

**–Tak to wygląda. A może to my się obracamy, a gwiazdy stoją? Nigdy się nie dowiemy.**

**Gwiazdy migotały delikatnie w nocnym powietrzu. Patrzyłem na nie długo.**

**Nigdy się nie dowiemy.**

**–Kto zrobił nasze miasto? Wszystkie miasta?**

**Sigg zmarszczył brwi, a przynajmniej wydał ciche pufnięcie, które zawsze towarzyszyło zmarszczeniu brwi po kolejnym trudnym pytaniu.**

**–Pytałeś o to wiele razy.**

**–A supły na linach? Czy widziałeś kiedyś supel?**

**–To tylko legenda. Bajka dla niegrzecznych dzieci.**

**–A słońce, które pewnego razu zapłonęło w dole?**

**–Tak... jakby gdzieś komuś coś się pomyliło...**

**Sigg lubił mnie, nawet kiedy zadawałem dziwne pytania. Mówił, że go inspiruję, ale nie wiedziałem, co miał na myśli.**



**–A co się dzieje ze słońcem? Gaśnie co wieczór, a zapala się co rano. Kto to robi?**

**Siwa broda Sigga łaskotała mnie w kark, gdy w zamyśleniu kręcił głową.**

**–Jutro wyczepienie liny.**

**Powiedział to tak, jakby wszystkie inne rzeczy miały zblednąć i stracić wagę przy tym wydarzeniu.**

**Wiedziałem, że nie dowiem się już niczego więcej.**

## 2. Wymiana

Było nas wszystkich razem około setki. Stałem z innymi na wyższych pokładach i obserwowałem napęd zachodniej liny.

Kilka głośnych uderzeń, krótki jęk dźwigarów i drgnięcie podłogi – konstrukcja zawsze reagowała na zmianę układu sił. Miasto przechyliło się ledwo wyczuwalnie. Regulatorowi zajmie chwilę przywrócenie poziomu.

Szczęki napędu rozwierały się powoli, a wszyscy patrzyli na to jak na niezwykle przedstawienie. Po minucie lina, z dziwnie cichym puknięciem, wysunęła się poza szczęki i odpłynęła powoli. Zaczepiła jeszcze o jeden z masztów, od którego na tę okazję odpięto sieć, i sama oddaliła się na zachód. Naprawdę musiała należeć do wiązki tych z góry, skoro zrobiła to tak szybko. Dobrze, że się jej pozbyliśmy.

Odprowadzałem linę wzrokiem, aż ktoś mnie potrącił i nie potrafiłem jej już odnaleźć. W jej miejsce za kilka godzin, może dni, trafi inna lina, współtworząc naszą wiązkę i po tygodniu nikt nie będzie o tym pamiętał.

–Lina to los.

Odwrociłem się, słysząc znajomy głos. Kapitan stał za mną i patrzył gdzieś w dal. Miał na sobie długą pelerynę – niepraktyczny, acz przydający majestatu atrybut. Nie wiem, czy mówił do mnie, ale i tak poczułem się wyróżniony. Znaczenie tego prostego stwierdzenia miałem zrozumieć dużo później.

\* \* \*

Sigg wyliczył, że miasta szybko zbliżają się do siebie. W ciągu jednej doby pokonaliśmy kilka dni. Nie było pewności, czy cały manewr się powiedzie. Jeśli jeszcze któraś z lin naszej wiązki, kilka lat wyżej, poza granicą widoczności, należała do Innego miasta, mogło się zdarzyć tak, że wykonamy tylko spore bujnięcie i wrócimy do poprzedniej pozycji. Nie było na to rady. Nie było nawet sposobu, by przekonać się, która lina nas trzyma na taką odległość. Pozostawało wierzyć, że mamy czystą wiązkę. Bardzo potrzebowaliśmy tej Wymiany. Wszyscy liczyli, że uda się nam dostać trochę ziemi. Wiedziałem już wtedy, że ziarenka ziemi powoli ulatywały z wiatrem. Nie pomagały żadne zasłony, ani przykrywki.

Zapytałem Yeresta, naszego nowego ogrodnika, skąd się bierze ziemia pod uprawy. Właściwie to znałem odpowiedź, nim jeszcze do niego poszedłem. Brzmiała ona w większości wypadków tak samo:

–Spada z Nieba.

Jakby się nie troszczyć o zielone tarasy, wznoszące się ponad górnymi pokładami, i tak ziemi z nich ubywało. Jeszcze gorzej było ze skrzynkami, w których wokół niższych pokładów rosły pnącza. Ogrodnik wbił łopatkę w doniczkę. Nie był tak dobry jak Harsid, to wiedziałem nawet ja, ale i tak był najlepszy z nas wszystkich.

–Inne miasta potrafią ją poławiać – powiedział. – My za to specjalizujemy się w cięższych przedmiotach, które tamtym drą sieci. Wymieniamy się potem.

Nie miało sensu tłumaczyć, że pytałem o to, skąd się wzięła ziemia, zanim spadła z Nieba. Chyba tylko Sigg był w stanie zrozumieć to pytanie, choć i on nie potrafił udzielić odpowiedzi. Zazwyczaj ludzie sądzili, że dokonali niebywałego odkrycia gdy wpadli na to, że wszystko co lądowało w naszych sieciach, musiało kiedyś wylecieć z miasta gdzieś nad nami. To wiedziałem od dawna, ale ja chciałem wiedzieć gdzie była ziemia, zanim trafiła do pierwszego z miast.

\* \* \*

Gdy wiatr zmienił się na północny, Sigg oświadczył, że widzi żagle tamtych. Znaczyć mogło to tylko tyle, że i im zależy na Wymianie. Ciężko było poznać z tej odległości, co chcieli wymienić, ale rada starszych już na zapas denerwowała się o przebieg negocjacji.

Poszedłem do obserwatorium, popatrzeć na zbliżające się miasto. Miało nieco mniejsze ogrody od naszego, ale liczba i wielkość żagli była imponująca. Sigg powiedział, że to dobrze wróży, bo w taki sam materiał, rozciągnięty w poziomie, łapie się ziemię.

Podobnie jak nasze, tamto miasto miało kształt, przypominający nieregularnie wygryzioną od góry kulę. Nad pokład główny wystawało ledwie kilka węższych pokładów i tarasy z uprawami. Niżej zabudowa była zwarta, choć i tam w wielu miejscach na wylot przeświecało Niebo. Tamci zachowali pod spodem sieci, które mogły złapać nieszczęśników podobnych do starego Harsida.

Wiele razy chciałem zapytać naszego kapitana, dlaczego nie założymy takich zabezpieczeń, ale oczywiście nie uczyniłem tego. Myślałem za to wiele o tym, gdzie teraz jest Harsid. Zginął, czy wpadł bezpiecznie w czyjeś sieci? A może wciąż żyje, spadając?

Wolałem myśleć, że pielęgnuje czyjeś uprawy wiele lat niżej.

Podczas kilku ostatnich napraw sieci zauważyłem u siebie niepewność i nerwowość. Postanowiłem z tym walczyć. Nikt nie lubił ludzi, którzy bali się Nieba. Przynosili pecha.

Jak przez mgłę pamiętałem poprzednie Wymiany. Jako dziecko inaczej traktowałem

czas i on inaczej traktował mnie. Miesiąc to była cała wieczność. Podczas ostatniej Wymiany siedziałem w swoim kącie. Raz tylko wdrapałem się na jeden z najwyższych pionowych masztów, by obejrzeć sobie drugie miasto. Chciałem, żeby jak najszybciej się odłączyli.

Pamiętałem cały proces. Trapy, wysunięte poza zasięg sieci, łączyły się ze sobą. Powstała w ten sposób kładka obracała się przegubowo w miejscach zetknięcia z pokładami, by nie dopuścić do uszkodzeń, gdy wiatr poruszał jednym z miast. To, że końce trapów pasowały do siebie było taką oczywistością, że nikt się nad tym nie zastanawiał, a przecież kiedyś istniał ktoś, jakiś... konstruktor, który ustalił choćby ich szerokość i rodzaj zaczepów. Czy tylko mnie męczyły takie myśli?

Minął jeszcze tydzień, nim tamto miasto zbliżyło się na tyle, bym mógł je obserwować bez pomocy teleskopu. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że było otoczone jedną wielką siecią. Maszty naciągały tę sieć, sięgając od dołu. To było dobre rozwiązanie – wszystko lądowało w sieci i nic nie mogło uderzyć w maszt. Poniżej głównych sieci rozpięte były płachty grubego płótna. Poławiały ziemię.

Różnic musiało być więcej i nagle zapragnąłem wejść na ich pokłady i zobaczyć inne konstrukcje. Obawy z czasów poprzednich Wymian na razie nie dawały o sobie znać.

Sigg po raz pierwszy pokazał mi swoją księgę. Całkiem sporo arkuszy papieru spiętych, może sklejonych z jednej strony i umocowanych w sztywnych, oklejonych skórą okładkach. Księga. Miasto złowiło ją jeszcze przed moim urodzeniem. Kilkanaście pierwszych stron było zapisanych już wtedy, ale reszta, czysta, czekała na nowego właściciela. Sigg zapisał i zarysował prawie pięćdziesiąt kolejnych stron. Były tam szkice, schematy konstrukcyjne, jakieś wykresy, których nie rozumiałem. Były tabele, opisujące dzień po dniu odległości i położenie innych miast, stan pogody, fazy księżyca, imiona odchodzących i przychodzących. Kronika miasta.

–Po co to robisz? – zapytałem.

–Szukam prawidłowości.

Wszystkie tabele były oznaczone numerami dni. Sigg napisał kolejny numer.

–Dziś jest dzień 5349 – powiedział. – Numeruję je od momentu, gdy księga dostała się w moje ręce.

Pisał piórem, wykonanym z wydrążonego patyka, z jednej strony zakończonego zakrętką, z drugiej stalówką dociśniętą korkiem. Obie końcówki były obwiązane ściśle grubą nitką.

Potrafiłem czytać cyfry. Gorzej było ze składaniem ich w liczby. Liter nie znałem

wcale.

–Co to znaczy? – wskazałem nagłówek tabelki.

–„Aristo”. To nazwa naszego miasta.

Nasze miasto miało nazwę. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

–Nikt jej nie używa – powiedziałem.

–Taki napis widnieje na podstawie regulatora. Jakoś musiałem oznaczać rysunki i tabele.

Pomysł nazywania naszego miasta wydał mi się odkrywczy, nawet jeśli nie było to do niczego przydatne.

–A inne miasta? Mają nazwy?

–Nie wiem. Ja nadaję im numery.

–Numery trudniej zapamiętać.

–I tak drugi raz nie spotka się tego samego miasta.

–Nigdy się to nie zdarzyło?

–Nigdy, odkąd pamiętam. Każde miasto wspina się z nieco inną prędkością. Z moich wyliczeń wynika, że w ogóle coraz rzadziej spotykamy inne miasta.

\* \* \*

Stali, jak i my, przy relingach. Niektórzy machali do nas, my czasem machaliśmy do nich. Od jakiejś godziny dawało się poznać poszczególne postacie. Byli niżej od nas. Odniosłem dziwne wrażenie, jakby nasze miasto zwolniło, żeby tamci nas dogonili. Ale to przecież niemożliwe. Nie mieliśmy wpływu na prędkość wznoszenia.

Trzech mężczyzn skończyło naciąganie katapulty, mającej przerzucić do tamtych rzutkę z liną. Kapitan uznał, że jesteśmy dostatecznie blisko. Zwolniono katapultę. Jęknęła sprężyna i stalowa kula zawinięta w miękkie szmaty ze świstem pociągnęła cienką linkę wysoko ponad ich pokłady. Patrzyliśmy z napięciem na jej lot, aż znikła w oddali. Tylko ze zwoju ubywało liny.

–Pudło – zakomunikował z góry Sigg. – Bardziej w lewo.

Nie czekając na polecenie kapitana, nadzorujący ludzi Cesenu pociągnął dźwignię. Rozległ się schodzący z wysokich tonów wizg hamowanej liny. Znałem ten dźwięk,

choć wcześniej nie wiedziałem, co go wydaje. Myślę, że w takich momentach, mimo uczucia zawodu, ludzie doceniali to, co robił Sigg. Odwinęła się przecież tylko połowa liny, a przed kolejnym strzałem trzeba ją było wciągnąć ręcznie.

Trzej mężczyźni z plecami błyszczącymi od potu już mozolnie wciągali linę, a czwarty układał ją równo na pokładzie. Trwało to na tyle długo, że część oczekujących ludzi zrezygnowało z oglądania.

Kolejny strzał i znów chybiony. Zniecierpliwieni ludzie wydali z siebie pomruk dezaprobaty. Po czwartym strzale zaczęli głośno komentować niezdarność Cesenu i jego podkomendnych. Zerkali też niechętnie w stronę obserwatora, jakby i on był winien. Ludzie zawsze szybko przyzwyczajają się do dobrych rzeczy i zapominają, jak było wcześniej. Ja wiedziałem, jak było wcześniej. Katapulta wpadła w najmocniejszą z naszych sieci już za mojego świadomego życia. Cesenu wyremontował ją i przystosował do wyrzucania liny. Bez katapulty końcową fazę zbliżania można było przeprowadzić tylko skomplikowanym manewrowaniem żaglami. Tę metodę stosowały wszystkie napotkane dotychczas miasta, posługując się liną dopiero, gdy dawało się ją przerzucić ręcznie.

Katapulta jęknęła po raz piąty. Część ludzi z napięciem, część ze zniechęceniem obserwowała odwijającą się linę.

–Jest! – krzyknął Sigg.

Pobiegłem na górę i zobaczyłem przez teleskop, że nasz pocisk przeleciał nad miastem. Liny ich wiązki nie pozwolą już naszej lince zsunąć się na bok.

–Oby tylko wiedzieli, co z tym zrobić – mruknął obserwator.

Opowiadał mi, że kiedyś przywiązywaliśmy do końca cienkiej liny grubszą, którą tamci mieli wciągnąć, ale tylko raz trafiliśmy na takich, którzy od razu wiedzieli o co chodzi. Teraz wystrzeliliśmy od razu linę, mogącą wytrzymać przeciąganie. Oznaczało to niestety mniejszą precyzję w celowaniu.

Do liny przypadło kilkunastu mężczyzn i zaczęli ciągnąć. Tamci chyba zrozumieli o co chodzi, bo ciągnęli już ze swojej strony. Dopiero teraz widzieliśmy, w jakim tempie się zbliżamy: dziesięć pociągnięć ramion na minutę. Nikt już nie dbał o równe układanie liny; robi się to potem. Ci, dla których nie starczyło miejsca przy linie, dopingowali ciągnących.

Trzy dziewczyny siedziały pod Drzewem. Były pięknie wystrojone, szykowały się do odejścia. Pulchna Chloe już zaczynała chlipać. Przez trzy kolejne Wymiany nikt jej nie chciał. Teraz nawet nasi patrzyli na nią z niechęcią. Zdarzało się, że odchodzili i młodzi mężczyźni. Działo się tak jednak bardzo rzadko – za mężczyznę również trzeba było dużo zapłacić. Dziewczyny były znacznie tańsze, miały więc większą

swobodę wyboru. Ludzi nie traktowano wcale jak towaru. Negocjowana cena była raczej rekompensatą za ich odejście z miasta, odejście zresztą dobrowolne. Najczęściej zdarzało się tak, że wymienialiśmy dziewczynę na inną. Harsid mówił kiedyś, że źle jest, jak rodzi się więcej niż jedno pokolenie bez wymiany kobiet. Teraz dopiero przyszło mi do głowy zapytać dlaczego. Mogłem zapytać Siggę, ale on interesował się innymi sprawami, głównie obserwacjami Nieba. Nie zapytałem więc.

Na pokładzie głównym, pod pokładem dowodzenia układano towary, które przeznaczaliśmy na wymianę. Trzech członków Rady naradzało się co do wartości poszczególnych przedmiotów i tego, na co chcemy je wymienić. Najbardziej zależało nam na ziemi. Sigg też szykował się na Wymianę. Szperał w swoich kufrach i wynajdywał coraz to nowe, najmniej przydatne drobiazgi, których przeznaczenia nawet się nie domyślałem. Liczył chyba na to, że spotka kogoś podobnego sobie.

Mężczyźni przy linie zmienili się. Byłem jeszcze za młody, by im pomagać. Siedziałem na schodach prowadzących do obserwatorium. Kawalek materiału, niesiony podmuchem wiatru, nadlatywał od strony obcego miasta. Przyglądałem się jego dziwnym ruchom z rosnącym niepokojem. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że wiatr wieje z innego kierunku, a szmata porusza się zbyt regularnie. Z przerażeniem zauważyłem, że to nie jest szmata! Brunatne coś, postrzępione z tyłu, z przodu ostro zakończone szpikulcem, poruszało się, jakby było żywe. Z przodu miało czarny, błyszczący guzik. Frędzle z tyłu tego czegoś poruszały się nieco sztywno. Przeszedł mnie dreszcz. Na dole też zapanowało spore poruszenie.

Dziwna rzecz okrążyła nas i podążyła z powrotem do obcego miasta.

–Sigg! Sigg! Co to było? – krzyczały z dołu dzieci.

–Ptak.

–Co to takiego?

–Zobaczycie.

Chciałem obejrzeć go przez teleskop, ale Sigg mi nie pozwolił. Wykonywał pospieszny szkic miasta i mruczał coś pod nosem. Zobaczyłem przez ramię, że narysował ptaki. Gdy kwadrans później miasta były oddalone od siebie o dwie szerokości, dostrzegłem kilka ptaków dostojnie szybujących wokół ich wiązki.

–Czy to jakieś mechanizmy? – zapytałem.

Obserwator zaśmiał się i zamknął swoją księgę.

–To zwierzęta – wyjaśnił, mierzwiąc mi włosy. – Takie jak szczury, albo króliki.

**Latające zwierzęta... Interesujące. Poszedłem na jeden z pokładów ogrodniczych, gdzie nie było ludzi, by przyjrzeć się połączeniu i przemyśleć sprawę latających zwierząt.**

**Może ludzie też mogliby latać, gdyby skonstruować dla nich skrzydła? Ta nagła wizja porwała mnie natłokiem kolejnych pytań i pomysłów których nie nadążałem śledzić. Tak mało wiedziałem...**

**\* \* \***

**Tamci nadal byli nieco niżej, ale różnica wysokości malała. Cesenu powiedział mi, że wewnątrz rury stanowiącej podstawę regulatora, obraca się szybko bardzo ciężki walec. Zmieniając prędkość obrotową, sprawia, że miasto zawsze jest tak samo ustawione do kierunków świata, a zbliżając się do innego miasta, odwraca się do niego stroną, z której znajduje się trap. Działania tego mechanizmu nie potrafiłem pojąć. Męczyło mnie to.**

**–Czy zwolnilimy wznoszenie, żeby się z nimi spotkać?**

**–zapytałem.**

**–Miasta załatwiają to między sobą, bez naszej wiedzy – odparł.**

**Już wysuwano trapy i przerzucano następne liny. Cesenu i jego odpowiednik z tamtej strony kierowali ludźmi przy linach tak, by oba trapy trafiły w siebie. Inni przesuwali i opuszczali same trapy.**

**Patrzyłem na to z góry. Te haki i odpowiadające im otwory na końcach trapów nie mogły powstać przypadkowo.**

**Błysk i suchy trzask pomiędzy końcówkami trapów. Poczułem delikatne, niezależne od woli drgnięcie mięśni. Chwilę później zadrżał cały pokład i zaczepy zaskoczyły z charakterystycznym, podwójnym szczęknięciem. Po obu stronach rozległy się wiwaty. Ja też poczułem radość, choć trochę się bałem.**

**Wymianie podlegać mogło w zasadzie wszystko, decydowali o tym starsi. Istniały nieliczne wyjątki od wspólnej własności. Moje ubranie należało do mnie, ale już linka asekuracyjna z paskiem i karabińczykiem – nie. Gdybym przestał naprawiać sieci, odebrano by mi ją. Sigg miał kilka kufrów z dziwnymi przedmiotami, ale należały do niego tylko dlatego, że nikt nie miał pojęcia, do czego mogłyby się przydać. Jestem jednak pewien, że gdyby rada pomyślała, że mogą mieć jakąś wartość, bez wahania zostałyby wystawione do Wymiany. Był to zapewne jeden z powodów, dla których obserwator nie próbował nikomu wyjaśniać ich przeznaczenia, nawet jeśli przypadkiem sam je znał. Zbieranie indywidualnego majątku nie miało zresztą sensu, bo co to za radość gromadzić dobra i czynić z nich obiekt zawiści?**



Nasza starszyzna weszła na pomost i wymieniła grzeczności z tamtymi. Następnie ich przedstawiciele weszli na nasz pokład, a nasi przedstawiciele na ich, by obejrzeć co mamy sobie nawzajem do zaoferowania. Członkowie rady dyskretnie stali z boku, obserwowali zachowanie gości przy każdym przedmiocie i w myślach podnosili lub opuszczali ceny. Podpowiadali cechy (wyłącznie te pozytywne), bądź tłumaczyli przeznaczenie przedmiotów.

Zaprzagnąłem nagle przejść na drugą stronę i zobaczyć, jak tam jest. Nie byłem pewien, czy wolno mi to zrobić, ale to było silniejsze ode mnie. Zszedłem na główny pokład. Grupki ludzi już zaczynały przechodzić w obie strony, by porozmawiać i napić się alkoholu. Przeszedłem i ja. Pokład pod nogami wyglądał tak samo: drobne kraty osadzone w grubych ramach szkieletu nośnego, wyslizgana stalowa blacha osłaniająca mechanizmy, napoczęte korozją schody, wsporniki wyższych poziomów. I tłum ludzi.

Różnice jednak istniały: u nich nad pokładami ogrodniczymi był jeszcze jeden pokład, na którym coś się poruszało. Wyteżyłem wzrok i dostrzegłem postacie stojące na jakiejś rurze. Patrzyłem pod słońce, więc nie widziałem dokładnie, ale i tak wydały mi się osobliwe i dziwnie obce. Przysadziste, zgarbione karzełki w płaszczach. Wszedłem wolno po schodach prowadzących przy samej krawędzi miasta. Pokład dowodzenia był podobny do naszego. Przeglądając księgę Sigga, widziałem szkice wielu miast, zdecydowanie różniących się od naszego. Naszkicował je dawno temu pierwszy właściciel księgi. Dodał też opisy, ale niestety nie umiałem czytać.

Minąłem pokłady ogrodnicze, mniejsze, ale wyglądające niemal tak samo jak nasze. Wąskim, zadaszonym łukiem, obiegającym pół ćwiartki obwodu miasta, dotarłem do najwyższego poziomu. Zamknięte stalowe pudła, a za nimi... zwierzęta. Siedziały w pewnej odległości od siebie, każde na oddzielnej poręczy umocowanej do podłogi. Poczulem ciarki na plecach, patrząc w ich groźne twarze bez wyrazu. Stałem dłuższą chwilę w bezpiecznej, jak mi się wydawało, odległości i gapilem się bez słowa. Byłem gotowy rzucić się do ucieczki, gdyby któreś z nich się poruszyło. Przypominały nieco ptaka, którego widziałem przed połączeniem.

–To sokoły. – Usłyszałem za plecami. Odwróciłem się. Kościsty mężczyzna w skórzanym płaszczu stał tuż za mną. Kapelusz o szerokim rondzie rzucał cień na jego twarz.

–Ptaki? – zapytałem niepewnie. – Wyglądały inaczej...

–Teraz mają złożone skrzydła. Łapią w locie spadające przedmioty i przynoszą do gniazda. To główny z nich pożytek.

–Muszą mieć doskonały wzrok.

**–Sokoli.**

**Słyszałem wiele razy powiedzenie „sokoli wzrok”, ale nie zastanawiałem się nad tym, skąd się wzięło. Ptasznik wskazał mi krawędź nadbudówki z przeciwnej strony miasta. Było tam gniazdo wykonane z wyschniętych gałęzi. W środku siedziały małe sokoly – następne pokolenie. Dorosłe ptaki stały na krawędzi i od czasu do czasu machały skrzydłami.**

**–Szukam ucznia.**

**Po chwili dotarło do mnie, że właśnie otrzymałem propozycję Wymiany. Nie, nie byłem gotowy na takie decyzje, ani nawet na rozważanie ich. Przebiegłem obok niego i już zeskakiwałem po dwa stopnie.**

**–Zastanów się! – krzyknął za mną. – Masz czas do zgaśnięcia słońca.**

**\* \* \***

**Słońce zniżało się, przybierając bardziej pomarańczowy odcień. Dokonałem kolejnego spostrzeżenia, dotyczącego podstawowego faktu, na który nikt nie zwracał uwagi. Pomost łączący oba miasta pozostawał poziomy, mimo, że nikt nie manipulował regulatorami. Połączone miasta wznosiły się teraz w tym samym tempie.**

**Pozbyliśmy się sporej ilości króliczych skór i prawie połowy innych, wystawionych dóbr. W zamian dostaliśmy dużą beczkę ziemi. Musiało ją toczyć trzech rosłych mężczyzn. Dostaliśmy też jeden błyszczący, mosiężny przedmiot, którego zastosowania nie znałem. Wymiana dobiegła końca. Na tę okazję oba miasta, po równo dzieląc się kosztami, przystąpiły do przygotowywania zabawy. Wyglądało na to, że główna jej część odbędzie się w tamtym mieście, choć większa beczka z winem stała już na naszym pokładzie. Na dole zaczynał grać jakiś instrument. Bęben. Za chwilę dołączyła do niego piszczałka. Kilka kobiet tańczyło w kółku. Mężczyźni na razie pozostawali z boku, klaszcząc jedynie do taktu. Dalej ktoś grał w kości o skórę królika i butelkę podejrzanego napoju.**

**Dzieci bawiły się w berka lub przechwalały się, w czym ich miasto jest lepsze. Przed rozłączeniem trzeba je będzie pozbierać i przeprowadzić na właściwą stronę pomostu. Tchnięty nagłym impulsem spojrzałem w górę. Na jednym z pokładów ogrodniczych zobaczyłem czarnowłosą dziewczynę. Stała oparta o barierkę i wyglądało na to, że przyglądała mi się od dłuższego czasu. Gdy zobaczyła, że na nią patrzę, cofnęła się, znikając w gąszczu winogron.**

**Zapłonęło kilka ognisk w metalowych misach. Na rożen nabito króliki i po pokładach rozeszła się cudowna woń pieczonego mięsa. Już nalewano zupę z wielkiego kotła, a każdy mógł jeść świeżo zerwane, słodkie owoce.**

**Szedłem dalej po obcym pokładzie. Ktoś wetknął mi w dłoń kubek z wodą i poklepał po ramieniu. Wlałem w siebie zawartość kubka i zakrztusiłem się. Słodko-ostry, palący w gardle smak. Alkohol.**

**Złapałem się stołu. Zakręciło mi się w głowie. Pokład zawirował, a ja upadłem, łapiąc się czegoś, by nie wypaść w przepaść. Młode kobiety tańczyły coraz szybciej, migając roześmianymi twarzami w świetle ognisk. Jedna odsłoniła piersi i wirowała z kubkiem w rękę. Coraz to nowe pary znikwały w zakamarkach. Muzyka stawała się głośniejsza, a pokład pode mną wibrował w rytm podskoków.**

**Obok mnie upadła ze śmiechem dziewczyna. Zapach jej gorącego ciała dał mi przedsmak zupełnie nowych pragnień. Spojrzała na mnie i pocałowała mnie w usta. Jakieś ręce pomogły jej wstać i znikła gdzieś wśród innych postaci. Zdawało mi się, że kręcę się wraz z całym miastem, to znów, że wiszę głową w dół. Muzyka docierała jakby z oddali, tańczące postacie zlewały się w kolorowe smugi. Starczyło mi świadomości na tyle, że przesunąłem się w kąt pod schodami, by nikt mnie nie nadepnął.**

**Ptak na wysokim gnieździe krzyknął i zamachał skrzydłami na tle gwiazd. Wstałem i z trudem powlokłem się w kierunku pomostu. Ręce i nogi były tak ode mnie odległe, że nie byłem w stanie ich w pełni kontrolować. Skręcałem, albo wręcz przewracałem się, zauważając to dopiero, gdy łokcie i kolana sygnalizowały ból.**

**Czarna postać zastąpiła mi drogę. Błysnęły wyszczerzone w złym uśmiechu zęby. Ktoś złapał mnie za rękę i zasłonił twarz skórzaną rękawicą. To nie sen! Otrząsnąłem się, gdy ciągnięto mnie w boczny korytarz. Szarpnąłem się, ale dłonie na moich ramionach zacisnęły się mocniej. Gryzłem, kopałem i biłem na oślep. Uścisk zelżał. Wyrwałem się, doprawiając pięścią. Stęknienie z ciemności zostało w tyle. Wybiegłem pod gwiazdy i przewróciłem się na stopniach. Ból eksplodował w lewej ręce, ale od razu o nim zapomniałem. Wstałem, dobiegłem do pomostu i przedostałem się na drugą stronę, o mało nie spadając w sieć zabezpieczającą. Nie pamiętam, jak dotarłem do swojego kąta, rzuciłem się na posłanie i zasnąłem.**

### 3. Czarnowłosa

Obudził mnie ból w lewym przedramieniu. Ręka od nadgarstka do łokcia była spuchnięta, a ból potęgował się przy każdej próbie poruszenia choćby palcem. Ręka... przewróciłem się. Bolała mnie też głowa i chciało mi się pić, ale to, jak przypuszczałem, było wynikiem wypicia zawartości kubka.

Zielarka Phora na pewno będzie wiedziała, co zrobić. Krzywiąc się z bólu, z ręką wiszącą bezwładnie wyszedłem na pokład, w jasne światło dnia. Pierwsze co zrobiłem, to zwymiotowałem do kompostownika. Nieco mi ulżyło. Wytarłem dokładnie twarz i rozejrzałem się. Rozłączenie nastąpi wkrótce, może jeszcze przed południem. Wypiłem zawartość stojącego obok kubka upewniwszy się uprzednio, że zawiera wodę.

Phora siedziała na pokładzie i wystawiała twarz do słońca. Nie była już młoda. Miała pełno drobnych zmarszczek, ale nie wyglądała jak inne stare kobiety. Zapewne dzięki jej ziołom, pod tymi zmarszczkami była wciąż piękna. Na jej długich, czarnych włosach nie było śladu siwizny. Zobaczyła mnie, spojrzała na moją rękę i uśmiechnęła się smutno. Wstała, bez słowa zaprowadziła po schodach do swojej pachnącej odurzająco kabiny, usytuowanej obok najniższego poziomu ogrodniczego. Posadziła mnie na zydelku i ostrożnie położyła chorą rękę na stole. Syknąłem z bólu. Ze współczuciem pogłaskała mnie po głowie.

–To nic groźnego – powiedziała łagodnie. – Za miesiąc nie będzie śladu.

Rozpaliła małe palenisko, postawiła nad nim kociołek z wodą i wsypała do niej kilka rodzajów suszonych ziół. Od samego ich zapachu ból zdawał się słabnąć. Obserwowałem, jak zielarka krząta się po kabynie, zaglądając do szuflad i dosypując do kociołka jakieś proszki. Gdy ogień zaczął przygasać, zwinęła szmatkę, która dotychczas leżała na stole, i wylała na nią miksturę. Zostawiła szmatkę, aż wystygnie. Potem owinęła nią moją opuchniętą rękę.

–Posiedź.

Phora pomagała nowemu ogrodnikowi jak i poprzedniemu. Podejrzewałem, że wiedziała o roślinach więcej od Yeresta, ale nie została następcą Harsida. Starsi bali się, że wszędzie zamiast roślin jadalnych zasieje swoje tajemnicze zioła.

Nie wiem, ile czasu tam siedziałem, rozkoszując się kojącym działaniem wywaru. Zielarka znów zdawała się mnie nie zauważać, aż w końcu podeszła i zdjęła opatrunek. Opuchlizna niemal zniknęła, ale za to widziałem, w którym miejscu pękła kość. Wyraźnie wypychała skórę.

–Wypij. – Podetknęła mi kubek. Wypiłem paskudnie smakujący płyn, starając się nie

zwymiotować. Zakręciło mi się w głowie, ale inaczej niż wczoraj.

–Teraz zaboli.

Przytrzymała mnie za łokieć i szarpnęła za dłoń. Krzyknąłem tak, że słycać mnie było chyba na końcu drugiego miasta. Ból wciąż pulsował, ale gdy spojrzałem na rękę była już prosta. Zielarka przyłożyła do ręki trzy łupki i całość owinęła ściśle kilka razy długim pasmem materiału. Krótsze pasmo zawięła pod ręką i zawiązała mi na karku.

–Może swędzieć, ale nie ruszaj nią przez dziesięć dni. Potem możesz pomachać palcami, żeby nie drętwiały. Po trzydziestu dniach przyjdź, to zdejmę opatrunek.

Pocałowała mnie w czoło i odprowadziła do drzwi. Podziękowałem jakoś niezdecydowanie i zszedłem na dół.

Ludzie Cesenu przymierzali się do rozłączenia trapów. Zawsze był to smutny moment. Po tamtej stronie, wśród wielu innych, zobaczyłem czarnowłosą dziewczynę. Tę samą, która obserwowała mnie wcześniej. Patrzyła na mnie z napięciem. Była w moim wieku, nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat.

Zgrzyt i jakby wystrzał. Szarpnięcie zmusiło mnie do przytrzymania się barierki. Szczelina między trapami poszerzała się powoli i po chwili zauważyłem, że tamten trap zaczyna się unosić. Obce miasto wznosiło się szybciej od nas. Dziewczyna podjęła jakąś decyzję, zobaczyłem to w jej oczach. Zacisnęła usta i zaczęła się przepychać między ludźmi, do trapu. Stała na jego początku i, nim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, zaczęła biec w kierunku poszerzającej się szczeliny. Wszyscy zamarli, a ona pędziła coraz szybciej, ściskając pod pachą szmacianą lalkę. Odbiła się od końca ich trapu i wylądowała na naszym, przyklękając na jedno kolano. Lalka wysunęła się z jej ręki i zaczęła spadać w Niebo. Dziewczyna złapała ją w ostatniej chwili za skrawek materiału. Wstała i zeszła na nasz pokład między rozstępujących się, oniemiałych ludzi. W górze zobaczyłem ponurą postać Ptasznika, bezsilnie wpatrującego się w uciekinierkę.

Było już za późno, by próbować ją oddać. Miasta oddalały się i nikt nie zamierzał marnować sił i czasu, by połączyć je na nowo. Wszystko, co miało być wymienione, zostało wymienione.

–Źle mi tam było – rzuciła z determinacją dziewczyna. – Mogę być ogrodniczką.

Ktoś próbował zadawać jakieś pytania, ale Czarnowłosa zignorowała je i podeszła do mnie. Poczulem, że gapią się na nas chyba wszyscy.

–Zrobiłam to dla ciebie. – Popatrzyła mi w oczy.

**Zatkało mnie. Wszyscy z napięciem czekali, co odpowiem.**

**W tej chwili przestałem być dla nich dzieckiem. Rozejrzałem się i zobaczyłem zachmurzoną twarz Passina, głównego sieciarza, który myślał chyba tylko o tym, że za sprawą złamanej ręki, przez miesiąc nie będzie miał ze mnie pożytku.**

**–Skąd wiesz, że będziemy do siebie pasować za dziesięć lat? – zapytałem.**

**–Matka Fo kiedyś powiedziała mi, że spotkam kogoś takiego jak ty, i że będę od razu wiedziała, że chodzi o ciebie.**

**Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Wybawiła mnie Phora. Stała obok, kładąc rękę na ramieniu nowej.**

**–Potrzebuję uczennicy – powiedziała.**

**Kapitan obserwował całą scenę z góry. U jego boku stała młoda kobieta, która przeszła do nas wczoraj. Szepnęła mu coś do ucha, a on zmarszczył brwi. Nie był jednak zły. Odchowana dziewczyna za darmo, czysty zysk. Skinął głową. Zielarka wzięła ją za rękę i poprowadziła do siebie. Czarnowłosa rzuciła mi jeszcze długie spojrzenie. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Passin, przechodząc obok, klepnął mnie w ramię i rzucił:**

**–Zdrowiej szybko.**

**Ostatnio wszyscy klepali mnie po ramieniu, albo mierzwili mi włosy. Miałem tego dość. Chciałem już być dorosły.**

**Tamto miasto było na tyle daleko, że nie widziałem, co się w nim teraz dzieje. Zauważyłem jednak coś innego: wokół ich wiązki krążyło kilka ptaków. Jeden z nich zmienił tor lotu i poszybował w naszą stronę. Chwilę potem podążyły za nim następne. Cofnąłem się w cień, rzucając przez pokład dowodzenia. Nie wiedziałem, czy powinienem zwrócić czyjąś uwagę na te ptaki. Teraz, po przypieczętowaniu losu Czarnowłosej, znów byłem dzieckiem.**

**Czekałem. Ptaki zbliżały się ze sporą prędkością. Miały ostre dzioby i pazury, mogły więc być niebezpieczne. Nie zaatakowały jednak. Zaczęły krążyć wokół nas i wtedy już zauważyli je wszyscy. Kobiety zabrały dzieci z odsłoniętego pokładu. Mężczyźni rozglądali się za czymś, co mogłoby służyć za broń.**

**Zanim ktokolwiek się spostrzegł, jeden sokół zwinął skrzydła i runął w dół, wprost na kapitana. Ten cofnął się dwa kroki, ale ptak nie mierzył w niego. W ostatniej chwili rozłożył wielkie skrzydła i wyhamował. Chwycił w szpony coś leżącego na blacie obok regulatora i wyleciał poza pokłady. Wydał donośny pisk i zawrócił w stronę domu. Reszta ptaków podążyła za nim.**

**Co zabrał? Ten dziwny, cenny drobiazg, mosiężną tulejkę, której przeznaczenia nie znałem. Spóźniona zapłata za dziewczynę. Wygórowana – widziałem to w oczach kapitana.**

**Czarnowłosa zbiegła ze schodów i, goniona gniewnymi okrzykami ludzi, podbiegła do brzegu pokładu. Odwróciła się tyłem do Nieba.**

**–Wyskoczę, jeśli mnie nie chcecie!**

**Uniosła się na palcach stóp, przy samej krawędzi, tuż nad Niebem. Delikatnymi ruchami rąk łapała równowagę. Wydawało się, że musi runąć do tyłu.**

**–Odpracuję stratę – powiedziałem szybko, wychodząc z cienia. Pusty gest, ale odniósł efekt. Usprawiedliwił bezsilność.**

**Kapitan po raz drugi odezwał się do mnie.**

**–Nawet nie wiesz, co to było, Murk.**

**Czarnowłosa podeszła kilka kroków do przodu. Między mną a nią był pusty pokład. Uniosła lalkę i rozerwała jej plecy na szwie. Spośród wylatującego pierza wyciągnęła identyczną mosiężną tuleję z martwą, czarną soczewką z jednej strony. Teraz mogłem przyjrzeć się tej rzeczy dokładnie, ale nadal nie miałem pojęcia czemu to może służyć.**

**–Będzie wściekły, jak spostrzeże jego brak. – Uśmiechnęła się lekko. – Miał tylko dwa.**

**–Wiedziałaś, że to zrobi – oskarżycielskim tonem stwierdził Finxeb, przewodniczący rady starszych. – Mogłaś nas ostrzec.**

**–Wiedziałam – przyznała, patrząc z dołu na starca. – Dlatego przyniosłam wam drugie oko.**

**Dobra odpowiedź, utracająca dalsze oskarżenia. Finxeb opierał się o reling pokładu dowodzenia. Z jego twarzy nie dawało się nic wyczytać. Po długiej chwili wyciągnął dłoń, a Czarnowłosa wbiegła po schodach, by podać mu „oko”.**

**–Phoro! – rozkazał przewodniczący, ważąc w dłoni tuleję. – Zabierz swoją uczennicę.**

**Przeszły do nas muchy. Takie same jak te, które wytępiiliśmy w zeszłym roku. Te duże, bo małych nigdy nie udało się nam pozbyć. Zawsze po solidniejszym wietrze much ubywało, ale tydzień później znów było ich tyle samo.**

**Pająki się ucieszą, pomyślałem, za to kucharz się wścieknie.**

**Sigg dłubał coś przy niezidentyfikowanym przedmiocie leżącym na stole i palił fajkę. Lubiłem jej zapach.**

**–Dlaczego nie sprzedaliśmy im królików, by sami mogli je hodować? – zapytałem. – Przecież nigdy więcej ich nie spotkamy.**

**–Oni mogą spotkać kogoś, komu przekażą króliki, a tamci następnym i tak dalej. W końcu, za ileś lat, okaże się, że nie możemy sprzedawać naszych skór, bo inni mają własne. – Tylko dlatego trzymamy monopol na króliki. Takie zasady. Wydają się głupie, ale mają uzasadnienie. Nie wszyscy ludzie są dobrzy, jak sam widziałeś.**

**–Jeśli u nas zginą wszystkie króliki, to nigdzie i nigdy już nie będzie królików.**

**–Martw się najpierw o siebie. Rozdawaj tylko zbędny nadmiar. To najbardziej rozpowszechniona strategia Verticalu.**

**Swędziała mnie ręka, jak to zapowiedziała Phora. Na razie udawało mi się opanowywać odruch drapania bandaży. Patrzyłem na obserwatora w milczeniu. Wreszcie odwrócił się do mnie, porzucając dłubaninę.**

**–Ta dziewczyna przeskoczyła nad Niebem dla ciebie. Musisz się jej podobać.**

**–Może jest szpiegiem?**

**–Szpiegiem? Jak?**

**–Może przekazywać informacje w nocy przez ptaki.**

**–Jakie informacje? I po co? Nigdy więcej ich nie spotkamy. Są wyżej i wciąż się oddalają. Przestaliśmy mieć ze sobą cokolwiek wspólnego.**

**Zdawało mi się, że przed Wymianą to my poruszaliśmy się szybciej, ale nie byłem pewien. Spojrzałem na obserwatora i moje myśli poszybowały w innym kierunku.**

**–Może dziewczyna ma trochę nie po kolei w głowie – dodał jeszcze Sigg, wzruszając ramionami.**

**Nie spodobało mi się to, co powiedział, ale nie zareagowałem. Patrzyłem dłuższą chwilę, jak bierze się za swoją robotę. Przypomniałem sobie, co mówili o Harsidzie i jego dziwactwach.**

**–Chciałbym, żebyś nauczył mnie pisać i czytać – powiedziałem.**

**Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, które stopniowo zamieniło się w uśmiech.**





## 4. Sny

I tak budziłem się na dźwięk gongu. Potem następowało szarpnięcie za kark, gdy ręka na temblaku próbowała chwycić się ściany i dźwignąć mnie do pionu. Kilka razy każdej nocy. Przez pierwszy tydzień. Potem tylko się budziłem z nerwowym drgnięciem. Mimo moich skłonności do zamyślenia się, Passin uważał mnie za najlepszego sieciarza. Budziłem się sam, nie musiał przychodzić i szarpać mnie. Zawsze zjawiałem się przy zdobyczy bez przypominania. Dwaj pozostali sieciarze byli regularnie wyzywani od leni i nierobów.

Odkąd Sigg zaczął uczyć mnie pisać patykiem po piasku, śniły mi się stalowe litery latające po Niebie bez pomocy lin. Miały sokole skrzydła i krążyły wokół miasta.

Kilka nocy temu doszła do tego postać Ptasznika. Nie widziałem jego twarzy, skrytej w cieniu szpiczastego kapelusza z szerokim rondem. Czasem odrobina światła padała na jego garbaty nos, nadając mu wygląd sokolego dzioba, ale najczęściej występował tylko jako postać w ponurej, księżycowej scenerii. Wyciągał po mnie ręce, albo przyzywał, kiwając szponiastym palcem. Jego dłonie wyglądały tak, jak zapamiętałem ptasie nogi. Pokryte gładką skórą palce były chude, guzowate i zakończone wielkimi pazurami. Kiedy moje sny zaczęły sprawiać, że budziłem się zlany zimnym potem, nie mogąc do rana zasnąć, postanowiłem wybrać się po pomoc do Phory. Miałem cichą nadzieję spotkać przy okazji Czarnowłosą. Tak będzie lepiej, nie pójdę tam przecież po to, by ją spotkać, ale spotkam i tak.

Układałem sobie w głowie, co jej powiem i od rana zbierałem się, by wejść na górę. Bardzo chciałem z nią porozmawiać, ale jednocześnie obawiałem się tego. Widywałem ją wysoko, na górnych pokładach ogrodniczych, jak zbierała do koszy owoce. Uśmiechała się do mnie, ale nie robiła nic, by zejść, zamienić choć słowo. Kilka razy zauważyłem, jak przyglądała mi się, sądząc że patrzę w innym kierunku. Szczerze mówiąc – zdarzało mi się robić to samo. Nie mogłem się przełamać, by tam pójść.

Moi rówieśnicy, z którymi i tak nie znajdowałem wspólnych słów, zauważyli ten dziwny układ. Zaczęli mnie jeszcze bardziej unikać.

Wychylając się przez barierkę, przyglądałem się pustemu napędowi po wyczepionej przed ostatnią Wymianą linie. Nieużywany mechanizm wjechał do wnętrza miasta i teraz wystawały same końcówki masywnych szczęk.

Przez szczeliny w podłodze zobaczyłem ludzi. Zszedłem na pokład napędowy, znajdujący się pod pokładem głównym. Dwanaście zestawów szyn, mniejszych kratownic i popychaczy odchodziło od idącego z góry walca zawierającego Regulator. Wiedziałem, że mieliśmy jedenaście napędów, z czego obecnie cztery były

nieużywane. Dwunasty zestaw trzymał trap.

–Jak ręka? – zapytał Cesenu, poprawiając coś wewnątrz jakiejś skrzynki. – Passin wciąż narzeka.

–Jeszcze ze dwa tygodnie.

Zgodnie z instrukcjami zielarki poruszałem palcami, by pobudzić obieg krwi. Usztywniona ręka czasem drętwiała.

–Niektóre miejsca trzeba czyścić – powiedział Cesenu, odpowiadając na pytanie, które wcale nie miało paść. Wszedł głębiej do środka mechanizmu.

Nad samym napędem znajdowała się lita osłona z grubej, stalowej blachy, ale dookoła, przez niezliczone perforacje, dostawało się sporo światła. Przysiadłem na cokole regulatora obok napisu „Aristo” i zacząłem przyglądać się wnętrzu pokładu napędowego. Pracowało tu jeszcze trzech mężczyzn, chociaż nie potrafiłem ich rozpoznać przez gąszcz stalowych konstrukcji i nakładające się na nie cętki światła.

Niżej, na obrzeżach miasta, znajdowały się kabiny mieszkalne, otoczone przez uprawy wytrzymalszych odmian roślin pnących. Wewnątrz były instalacje techniczne niezbędne do funkcjonowania miasta: płatanina rur, pomp i zbiorników do oczyszczania ścieków i odzyskiwania wody. Podziwiałem ludzi, którzy wiedzieli co płynie w której rurze i kiedy który zawór przekręcić w którą stronę. Fascynowały mnie te skomplikowane mechanizmy, ale drażniło mnie, że nie rozumiałem zasady ich działania. Nie chciałem schodzić dalej. To było tylko uciekanie od problemu czekającego mnie na górze miasta.

–Czy można założyć drugi trap? – zapytałem.

Cesenu wyprostował się.

–Zobacz. – Wskazał ręką wewnątrz kratownicy, gdzie na kilkudziesięciu rzędach kół trzymał się wspornik napędu. W środku znajdował się jednolity, gruby, prostokątny kształt zakończony blisko krawędzi miasta szczękami. – To jest napęd. Czyścimy i konserwujemy to od zewnątrz, ale co jest w środku, ani jak działa, nie wiemy. Lepiej nie kombinować i robić to co się umie, tak jak się to robiło od zawsze. Nowe pomysły to nowe kłopoty.

–Czy dlatego nie łapiemy nowej liny?

–Każda zmiana osłabia konstrukcję, a wytrzymałość materiału, nawet stali, ma swoje granice. Bez potrzeby nie zmieniamy układu sił.

Wiedziałem, że drut zgięty pięćdziesiąt razy, pęknie.

**–Czyli, że jest określona ilość wyczepień, jaką miasto może wytrzymać?**

**–Tak, choć ja jej nie znam.**

**Zajął się ponownie pracą.**

**Tak jak człowiek – może wytrzymać tylko określoną ilość rozstań. Nie wiem, skąd przyszła mi do głowy ta myśl.**

**–Cesenu?**

**–Tak? – W jego głosie wyczułem delikatne zniecierpliwienie.**

**–Co zabrał ten ptak?**

**–Elektryczne oko.**

**Elektryczne oko. Nie chciałem przeciągać i postanowiłem drążyć temat przy następnej okazji. Milczałem, snując domysły, choć wiedziałem, że do niczego sensownego nie dojdę, nie wiedząc, co znaczy słowo „elektryczne”.**

**–Idź do niej – powiedział niespodziewanie, schowany prawie do połowy wewnątrz mechanizmu. – Może jest nieśmiała.**

**Zerwałem się i zacząłem wchodzić po schodach, próbując wykorzystać ten bodziec, z nadzieją, że starczy mi energii na następne sześć poziomów. Chwilę później, sam nie wierząc, że to zrobiłem, stałem przed wejściem do zielarni. Zapukałem w ścianę.**

**Zza przepierzenia wyszła... Czarnowłosa. Była zaskoczona, ale odezwała się pierwsza:**

**–Cześć, przyszedłeś do mnie?**

**–I tak i nie... Właściwie... tak!**

**Ręce miała umorusane w ziemi. Przekrzywiła lekko głowę i czekała na ciąg dalszy.**

**–Jak ci na imię? – zapytałem.**

**–Wołali mnie Hersis. Dlaczego czekałeś tyle czasu nim tu przyszedłeś?**

**Wzruszyłem ramionami.**

**–Też mogłaś zejść do mnie na dół.**

**–Dlaczego miałabym to robić pierwsza?**

**–Skoczyłaś nad Niebem.**

**–Więc następny krok powinien należeć do ciebie.**

**–Skoczyłaś dla mnie.**

**–Źle mi tam było – wzruszyła ramionami.**

**Oczy miała błyszczące, przejęte rozmową bardziej, niż to wynikało ze słów. Widząc moje badawcze spojrzenie opuściła wzrok.**

**–Porwał mnie pół roku temu. Inni udawali, że nie wiedzą. Robi, co chce, bo wszyscy się go boją.**

**Przypomniałem sobie postać w płaszczu, ale niczego, co stało się tamtego wieczoru, nie byłem pewien. Na pewno był to Ptasznik, ale czy chciał mnie porwać? Szukał ucznia... Nie! Passin i kapitan nigdy by mnie nie zostawili w obcym mieście!**

**–Witaj, Murk! – Phora weszła w garścią świeżo ściętych roślin. – Za wcześnie na zdjęcie opatrunku.**

**Patrzyła na mnie swoimi mądrymi oczyma. Wiedziała przecież, że sprowadza mnie co innego. Czekala aż sam to powiem.**

**–Nie chodzi o rękę...**

**Posadziła mnie przy stole, odsyłając Czarnowłosą do jakiejś pracy. Obejrzała jednak opatrunek i wysłuchiwała krótkiej opowieści o snach.**

**–Na to nie ma lekarstwa – odezwała się z powagą. – Mogę ci dać wywar na mocny sen. Sen będzie się śnił, ale nie będziesz się budził w nocy.**

**–To chyba gorzej.**

**–Rano nie będziesz nic pamiętał.**

**Czyja we śnie to ten sam ja, co w dzień? Nie pamiętam snów, jeśli się nie obudzę w trakcie, a we śnie nie pamiętam siebie spoza snu. Żyjemy więc razem, tu, w tym ciele. Ja dzienny i ja nocny. Dwie osoby. Nie mogę mojemu drugiemu ja zrobić czegoś takiego.**

**–Dziękuję, lepiej nie. Jakoś sobie z tym poradzę... Wrócę na zdjęcie tego. – Wskazałem bandażę. – Dziękuję.**

**Wyszedłem. Hersis stała na zewnątrz. Opierała się o poręcz i patrzyła w dal. Stałem obok. Błękitne Niebo przekreślone pionową kreską, kilka chmur na granicy**

widoczności.

–Obserwator uczy mnie pisać – powiedziałem niespodziewanie dla samego siebie. –  
Mogę go zapytać, czy...

–Byłoby wspaniale.

\* \* \*

Tabliczka z drobnym piaskiem i cienki patyk – tak wyglądał nasz przyrząd do nauki.  
Papier był zbyt cenny. Wiedziałem o tym i nawet nie myślałem, żeby poprosić o  
kartkę i pióro. Mogliśmy pisać tylko w bezwietrzne dni.

Pozostały czas, potrzebny na zrośnięcie się ręki, spędzałem z Hersis po kilka  
godzin dziennie na mozolnym dłubaniu liter i wyrazów w piasku oraz na czytaniu  
zapisków Sigga. Inni, widząc co robimy, zaczęli omijać nas dużym łukiem, jakbyśmy  
byli niebezpieczni.

Chyba trzeciego dnia Hersis urwała pisane zdanie w połowie i spojrzała na mnie.

–Ja wiem, że to jesteś właśnie ty – powiedziała i, jakby nigdy nic, wróciła do pracy.

Patrzyłem na nią wyczekująco, chciałem, żeby dokończyła myśl. Jej słowa  
intrygowały mnie, ale tego dnia nie powiedziała nic więcej.

\* \* \*

Ptasznik śnił mi się nadal. Stał tylko gdzieś nade mną i machał połami płaszczka jak  
skrzydłami. Może to naprawdę były skrzydła? Może tylko wiatr... Nie mogąc zasnąć,  
żałowałem że nie skorzystałem z pomocy zielarki, choć koszmary zdarzały się coraz  
rzadziej.

## 5. Miasto

Od ostatniej wymiany minęło pół roku. Ręka odzyskała dawną sprawność i prawie zapomniałem o złamaniu.

Ja i Hersis byliśmy jedynymi, obok rady starszych, kapitana i Sigga, którzy potrafili czytać i pisać. Sigg powiedział, że jeszcze z miesiąc i będziemy to robić tak sprawnie jak on.

To, że nabywaliśmy nowych umiejętności nie było dobrze widziane, jakbyśmy stawali się zagrożeniem dla reszty. Jeszcze bardziej izolowało mnie to od rówieśników. Na szczęście była Hersis. Możliwość spędzania z nią czasu była czymś wyjątkowym. Jej również moja obecność sprawiała radość, choć wciąż wyczuwałem pewien dziwny dystans, narastający czasem bez wyraźnego powodu.

Pewnego dnia, gdy po ciężkim, wypełnionym pracą dniu, siedzieliśmy na brzegu pierwszego pokładu ogrodniczego, zapytała:

–Sigg mówił, że interesuje cię sens. Co to znaczy?

Sens... Chwilę zastanawiałem się, co właściwie miała na myśli. Nie przypomniałem sobie, żeby obserwator kiedykolwiek mówił o poszukiwaniach jakiegoś sensu...

–Spójrz tutaj. – Wskazałem brzeg pokładu, gdzie perforowana blacha była wyslizgana do połysku. – Gdy siadaliśmy w tym miejscu, przejechaliśmy podeszwami butów po krawędzi. Przed nami siadało tutaj wiele pokoleń ludzi. Od milionów otarć ten fragment stał się odrobinę cieńszy.

–Ledwo co. – Przyjrzała się dokładniej wskazanemu miejscu.

–Ledwo co – przyznałem. – Ale za trzysta lat nawet stal przetrze się całkiem.

–Nas już nie będzie za trzysta lat.

–Chodzi mi teraz o przeszłość. Wszystko wokół nas starzeje się i będzie się starzeć.

–Przeszłość? Mówisz wciąż o przyszłości. Zresztą po co się martwić czymś, co nastąpi za kilkaset lat? Z Nieba spadną nowe rzeczy.

–Ale nie konstrukcja miasta. Te główne belki nośne nie spadają z Nieba. One są tu od... początku. Zużywają się przy każdej zmianie układu sił. To się nie może dziać w nieskończoność. Miasta nie są wieczne.

–Może dotrzemy do Celu, nim się zużyje. – Wzruszyła ramionami.

**–Chodzi mi o to, że... przed miastami musiało być coś innego. Rozumiesz?**

**Nie wiedziałem, czy rozumiała. Siedzieliśmy więc i machaliśmy nogami nad Niebem. Mrużyliśmy oczy i odwracaliśmy twarze do słońca. Było tak spokojnie. Nic nie wskazywało na to, co miało już wkrótce nastąpić.**

**–Pokażę ci coś... – Wstała i pobiegła do kabiny Phory. Wróciła po chwili, niosąc kawałek materiału rozpięty na dwóch skrzyżowanych patykach. Do środka miał przywiązany sznurek.**

**–Latawiec – wyjaśniła. – Patrz!**

**Wyrzuciła go w Niebo, rozwijając sznurek. Latawiec opadł, ale zaraz złapał wiatr i... uniósł się do góry, ponad nas. Hersis pozwalała mu oddalać się coraz bardziej, aż został jej obwiązany wokół nadgarstka koniec napiętego sznurka. Latawiec tańczył w powietrzu, polatując to w prawo, to w lewo. Wznosił się i opadał, ale wciąż napinał sznurek.**

**–To ciekawe. Unosi się dzięki temu, że ciągnę go w dół. Musi czuć opór, musi walczyć. Gdy dam mu swobodę – spadnie.**

**\* \* \***

**Miasto właściwie wypatrzyłem ja, ale nie miałem śmiałości krzyknąć na całe gardło. Zrobił to jak zwykle Sigg, zamieniając na kilka minut naszą sprawnie funkcjonującą społeczność w totalny chaos.**

**Kapitan tradycyjnie osobiście potwierdził nasze obserwacje i zarządził przygotowania. Rozwinęliśmy żagle, gdy tylko wiatr zmienił kierunek.**

**Tydzień później zbliżyliśmy się na tyle, by zobaczyć więcej. Ich wiązka nie była dobrze widoczna, musiało być w niej mniej lin, ale i tak dostrzegałem ten efekt „szarego nieba” między linami wiązki. Nie wiem, czy było to złudzenie, czy niedokładność teleskopu – powietrze wewnątrz wiązki zawsze wydawało się być przyciemnione. Miasto było inne od naszego. Miało cylindryczny kształt, jakby pionowo ustawionej, spłaszczonej beczki. Mechanizmy napędowe znajdowały się niemal na samej górze. Ponad główny pokład wystawała tylko wąska galeryjka, jakieś dźwigi i kilka niewielkich pomostów. Byłem ciekawy, jak to wygląda od środka, ale czułem też niepokój na myśl o przejściu na ich pokłady.**

**Dopiero po trzech dniach zorientowaliśmy się, że coś jest nie tak. Tamci nie zrobili nic, by ułatwić nam zbliżanie. Jakby nas nie widzieli. Sigg całymi godzinami wpatrywał się w teleskop, próbując ustalić, o co im chodzi. Jeśli nie chcieli Wymiany, to tylko traciliśmy czas i energię na manewry.**



Po następnych dwóch dniach zbliżyliśmy się na tyle, że widziałem już puste pokłady. Tam nie było nikogo. Nie próbowałem o tym rozpowiadać – nadzieje na Wymianę były zbyt silne. Sigg już zauważył to co ja i też milczał. Po jakimś czasie poszedł jednak do kapitana i powiedział mu to na osobności. Widziałem ich rozmowę. Zdziwiło mnie, że kapitan nie okazał zawodu.

–Miasto widmo – złowieszczo rzucił Yerest, gdy byliśmy już blisko. Stojące obok kobiety ofuknęły go, że straszy dzieci.

Wszyscy patrzyli w milczeniu na wolno zbliżające się wymarłe pokłady. Kwadrans później przerzucono cumy z hakami, a dwóch ludzi Cesenu przeszło na tamtą stronę i wysunęło trap. Wiatr osłabł wieczorem, więc połączenia udało się dokonać sprawnie i szybko.

Znów poczułem ten dziwny wstrząs całego ciała, gdy oba trapy zetknęły się. Echo szczęknięcia mechanizmów ucichło, ale nikt się nie poruszył. Nie widziałem jeszcze ludzi w takim stanie.

–To może być pułapka – powiedział Secnis, jeden ze starszych. Powiedział to cicho, ale i tak wszyscy usłyszeli. Rozległy się szepty.

Kapitan rozkazał dwóm mężczyznom, którzy byli po tamtej stronie, żeby przeczesali miasto. Nie byli zachwyceni swoim zadaniem, ale wykonali je bez słowa. Wrócili po kilku minutach, nie napotkawszy nikogo.

–Nie będzie Wymiany – powiedział Kapitan. – Wszystko jest nasze. Sprawdźmy, co może się przydać i jutro przeniesiemy do nas.

O to chodziło! Dlatego się nie martwił, że miasto jest puste... Wszystko było nasze. Czysty zysk. Przenieść wszystkiego i tak nie było można – większy ciężar, to wolniejsza wspinaczka. Dłuższa droga do Celu.

Pierwszy przeszedł Cesenu, za nim inni. Niepewnie i bez entuzjazmu zajęli się przetrząsaniem miasta i wyszukiwaniem przydatnych rzeczy, które gromadzili potem na pokładzie. Nyka, który wraz z innymi oceniał stan mechanizmów miasta, wyciągnął z jakiegoś zakamarka księgę, przypominającą tę, którą miał Sigg. Przyniósł ją. Widziałem, jak obserwatorowi zaświeciły się oczy, gdy wziął ją w dłonie. Przekartkował pobieżnie i oznajmił, że sam musi się wybrać na poszukiwania.

Mimo obaw poszedłem razem z nim.

Miasto miało inną budowę, ciężko było się połapać, co gdzie jest. Pokład dowodzenia znajdował się dwa poziomy pod pokładem głównym i nie było z niego widać Nieba. Panel sterujący regulatora był uszkodzony, jakby przewróciło się na niego coś ciężkiego. Na podłodze leżało elektryczne oko z rozbitym szkłem. Wylał się

z niego czarny płyn, teraz już zaschnięty. Martwe ogrody znajdowały się niemal na wszystkich pokładach, wzdłuż ich zewnętrznych krawędzi. W głębi umiejscowione były kabiny mieszkalne, a za nimi pomieszczenia techniczne.

Sigg przeczesywał głównie kabiny mieszkalne. Po przejrzaniu dziesiątej znudziło mnie to, tym bardziej, że musiałem wysłuchiwać nieustannego sapania i ciężkiego do zrozumienia, mrużanego monologu. Wyszedłem z ciemnego wnętrza na wąski, zewnętrzny taras. Konstrukcję oplatały kruche brązowe pnącza. Słońce prawie już zgasło, a w zasięgu wzroku pod i ponad nami pojawiały się płaskie, granatowe chmury.

Trzy poziomy niżej Yerest wraz z dwiema kobietami i Hersis sprawdzał, które z upraw da się uratować. Czarnowłosa zobaczyła mnie i wbiegła po schodach. Uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek.

–Coś przeżyło? – zapytałem.

–Tylko fasolki na samym dole. Tam jest jakiś automatyczny podlewacz.

Sigg siedział w jednej z kabin obok otwartego kuferka i obracał w dłoniach czarny, matowy przedmiot, dziwne, precyzyjnie wykonane pudełko bez żadnego otworu, z kilkoma tylko poprzecznymi bruzdami. Mniejsza ścianka była niemal w całości pokryta mosiężnymi bolcami. Przy okazji zapytam go, co to jest.

Przeszedłem głębiej do wnętrza miasta, widząc że udał się tam kapitan i kilku starszych. Doszedłem za nimi do pokładu technicznego znajdującego się, odwrotnie niż u nas, nad pokładem dowodzenia i przezornie zatrzymałem się za ścianą. Cesenu sprawdzał łożyska prowadnic nieużywanego napędu.

–Co tu się właściwie stało? – zapytał któryś ze starszych.

–Kto to wie? – odpowiedział Cesenu, wycierając ręce w szmatę. – Musieli opuścić miasto ponad miesiąc temu. Większość upraw uschła, w kątach leży kurz.

–Mechanizmy są sprawne?

–Na to wygląda. Wciąż dąży do Celu.

–Wodnik twierdzi, że nie zdołamy przenieść nawet czwartej części wody. Nie mamy jej gdzie zmagazynować.

Rozpoznawałem tylko głos kapitana i Cesenu. Kapitan mówił szybko i zdecydowanie, a Cesenu na pytanie zwykle odpowiadał dopiero po chwili. Nie dlatego, żeby był powolny. Myślę, że musiał najpierw dokładnie przemyśleć odpowiedź.

**–To miasto było liczniejsze od naszego.**

**–Zdobyliśmy sporo ziemi. Jest jej tu znacznie więcej, niż teraz mamy u nas.**

**–Więcej niż potrzebujemy?**

**–Tak...**

**–Yerest znalazł sporą beczkę wina. Spróbował i twierdzi, że jest dobre.**

**–Wino też się przyda – powiedział kapitan. – Przenieśmy wszystko co się da. Resztę zniszczymy.**

**–Ale najpierw dowiedzmy się, co się tu wydarzyło.**

**–Szkoda, szkoda... – mruzczał Cesenu.**

**Wycofałem się po cichu na górę. Pomyślałem, że to zły pomysł, żeby niszczyć pozostałe dobra. Czyste marnotrawstwo. Oczywiście rozumiałem, czemu chcą to uczynić – żebyśmy podczas następnej Wymiany nie trafili na miasto, które obłowiło się tutaj. Wiedziałem i rozumiałem, ale nie podobało mi się to.**

**Passin wraz z pomocnikami wytaszczył na pokład zwinięte sieci i teraz z nadmiaru szczęścia nie miał pojęcia co robić. Byłem za młody, by dźwigać ciężkie pakunki, toteż nie miałem chwilowo zajęcia. Rano zaczną się wielkie przenosiny. Lepiej położyć się spać i zebrać siły. Miałem cichą nadzieję, że dodatkowe sieci rozwiesimy pod miastem, by ratować przyszłych nieostrożnych.**

**Zebrałem całą odwagę i podszedłem do kapitana.**

**–Może... nie będziemy rozłączać miast... – powiedziałem niepewnie.**

**Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.**

**–Dwa miasta to o jedno za dużo – odparł. – Każde miasto starannie dobiera swoją wiązkę, by była jak najbardziej spójna. Dobranie naraz dwóch dokładnie równoległych wiązek jest niemożliwe. Dlatego łączymy się tylko na czas Wymiany. Napięcie lin musi w końcu rozerwać pomost i cumy.**

**Dwa miasta to za dużo! A ja myślałem o dziesięciu miastach połączonych pomostami, razem wspinających się po linach w równym tempie.**

**Spuściłem głowę.**

**–Lubię cię, Murk – zaczął kapitan. – Kiedyś byłem taki jak ty. Zastanawiałem się, dokąd prowadzą te liny, szukałem... ale potem zrozumiałem, że tu nic nie można**

znaleźć poza tym, co samo spada z Nieba. My nie dożyjemy Celu, ale musimy do niego dążyć. Dla następnych pokoleń.

Zmierzył mi włosy (znów!) i odszedł.

Wierzyliśmy w to, że liny nie mają końca. Jednocześnie dążyliśmy w górę, by zobaczyć jakiś Cel. Ta oczywista sprzeczność zdawała się nikomu nie przeszkadzać. Mnie bardziej interesowało to, co było w dole. Miejsce, z którego pochodziły miasta.

Hersis przerwała moje rozmyślenia, przechodząc z koszem pełnym zerwanych strąków fasolki. Odstawiła kosz i usiadła na stopniu schodów.

Obok niej zobaczyłem mały, białoszary zaciek. Ukucnąłem i przyjrzałem mu się z bliska.

–Guano – wyjaśnił Sigg stając nad nami. Dźwigał worek wypakowany nowymi skarbami.

–Co?

–Ptasie gówno.

Wstałem i odruchowo wytarłem ręce o spodnie, chociaż nie dotykałem guana. Hersis zacisnęła usta.

–Może oni też hodowali ptaki – powiedział Sigg uspokajającym tonem. – Widziałem je nie raz.

Dziewczyna wzięła kosz i odeszła szybkim krokiem.

Pokręciłem się jeszcze z Siggim po pokładzie. Potem pomogłem mu zanieść worek i zjadłem kolację – była potrawka z królików, ubitych na futra przed niedoszlą Wymianą. Wreszcie ułożyłem się wygodnie w zwojach lin rozłożonych na pokładzie i zapatrzyłem się w migoczące gwiazdy. Niebo było już niemal całkiem czarne. Ludzie w małych grupkach dyskutowali o wymarłym mieście, a ja starałem się ich nie słuchać. Dzieci, korzystając z ogólnego zamieszania, próbowały bawić się w chowanego, ale było na to za ciemno i w ogóle nie mogły się znaleźć. Znużone, wreszcie same poszły spać.

Poczułem delikatny wstrząs, gdy Czarnowłosa położyła się obok mnie na linach. Pachniała ziołami. Nawijała na palec kosmyk włosów i też zapatrzyła się w gwiazdy. Przysunęła się bliżej i położyła głowę na moim ramieniu.

–Jedziemy do gwiazd – powiedziała. – Gdy miasto dojedzie do nich, my sami też staniemy się gwiazdami. Może to jest ten twój sens?

**Westchnąłem. Gwiazdy były przecież bardzo, bardzo daleko. Dopiero po chwili pomyślałem, że zrozumiałem ją zbyt dosłownie.**

## 6. Trudna decyzja

Obudził mnie głośny tupot i posapywanie. Ktoś biegł na złamanie karku przez pokład. Przed zaspanymi oczyma mignęła mi czarna postać. Kroki zadudniły na pomoście i po tamtej stronie. Wtedy usłyszałem ten krzyk. Dziki wrzask, nieprzerwany aż do wyczerpania powietrza w płucach. Przerwa na wdech i znów krzyk. Uderzenie o metal i jakaś szarpanina, tarzanie się. Kolejne uderzenie o metal. Zerwałem się na równe nogi. Mężczyzna pełniący straż na pokładzie dowodzenia stał jak skamieniały. Krzyk ucichł na chwilę po czym znowu dobiegł gdzieś z dołu. Wdech i krzyk. Dziki, zwierzęcy. Oddalał się szybko. Ktoś wypadł, albo wyskoczył i może teraz żałował. Dopadłem do barierki, ale nic nie było widać. Usłyszałem jeszcze, jak krzyk zmienia się w upiorny chichot i cichnie w dole.

Kilku mężczyzn wybiegło na pokład. Zatrzymali się, nie wiedząc co dalej robić.

–Ktoś wyskoczył... – powiedział strażnik, wciąż stojąc w tym samym miejscu. Wskazywał drżącą ręką wymarłe miasto.

Zaniepokojeni ludzie zaczęli wylęgać na pokład i przekazywać z ust do ust zasłyszana wiadomość. Część z nich chciała natychmiast wciągać trap i ciąć cumy. Kapitan pojawił się w samą porę, żeby zaprowadzić porządek. Ryknął swoim stanowczym głosem i osadził wszystkich w miejscu.

Zera, kobieta ogrodnika wyszła na pokład. Płakała i trzymała się za rękę.

–Obudził się w nocy i nie mógł zasnąć... Gdy próbowałam go uspokoić, ugryzł mnie i wybiegł z kabiny. Miał takie oczy...

Kobieta rozszlochała się na dobre.

To był Yerest. Yerest wyskoczył! Tłum zaszemrał.

–Coś złego przeszło z tamtej strony...

Gdyby nie kapitan, znów ruszyliby ciąć cumy.

–Nie gadajcie, kobiety – powiedział. – Harsid wyskoczył dawno temu. Tak samo.

Potem szepnął coś na ucho Vaunee, dziewczynie z którą sypiał. Ta skinęła głową, poprawiła koc narzucony na nagie ciało i zeszła na dół, w tłum. To była ta sama dziewczyna, która przeszła do nas z miasta Ptasznika. Usłyszałem jeszcze, jak mówi głośno:

–Zjedli jakąś roślinę mącą umysł. Obaj żuli te same korzenie. Harsid i Yerest.

–Tak. One powoli zatruwają krew – odpowiedział ktoś inny.

–Może tak się robi od dotykania ziemi?

–Jedli te korzenie co wieczór...

–Ja też to widziałam.

Wszyscy zaczęli się zastanawiać, kto jeszcze mógł żuć korzenie.

Czy ogrodnicy naprawdę żuli jakieś korzenie? Wątpliwe. Na pewno Vaunee nie mogła znać Harsida.

Dziewczyna weszła na górę. Kapitan pocałował ją w czoło i odesłał. Stał potem długo i patrzył na wymarłe miasto. Ułożyłem się w linach i patrzyłem razem z nim. Wyglądało posępnie w świetle wychylającego się zza chmur księżyca. Ostatnia myśl uchwyciła się krawędzi umysłu i pozwoliła prawie o sobie zapomnieć. Zasnąłem.

\* \* \*

Cały dzień przenosiliśmy co cenniejsze przedmioty. Było sporo sieci i cała masa płótna żaglowego. Mnie przypadły w udziale te nieco lżejsze rzeczy, ale i tak po południu bolały mnie plecy i ramiona. Oprócz tego przeniosłem kubłami chyba całą beczkę ziemi i z dziesięć mozolnie odplątanych z ich tarasów fasolek. Stały teraz z boku, w cieniu, bo nie miałem siły wnieść ich na górę. Wyschnięte liście i łodygi mniej wytrzymałych roślin też się przydadzą na nawóz, lub do spalenia. Właściwie to przydałoby się wszystko.

Sytuacja była niecodzienna, ale Starsi postanowili i tak urządzić” zabawę, Jaka zwykle towarzyszyła Wymianie. Śmierć nie była rzadkością, a okazja do następnej pijatyki mogła się nadarzyć dopiero za kilka miesięcy. Część ludzi była przeciwna, ale większość zadecydowała.

Nasz pokład pełen był zdobycznych dóbr, więc ruszty, kotły i stoły przeniesiono na drugą stronę. Póki było jasno, obawy przed wymarłym miastem wydawały się odległe. Potem stłumi je alkohol. Postanowiłem trzymać się z daleka od zabawy. Na tyle jednak blisko, by widzieć tańczące kobiety. W przyglądaniu się im było coś jednocześnie niepokojącego i ogromnie przyjemnego. Usadoviłem się na wysuniętym krańcu drugiego pokładu ogrodniczego i oparłem się o wystającą podstawkę pod donice.

Zapłonął pierwszy płomień. Stuknęły o siebie kubki. Rozległy się niepewne jeszcze śmiechy. Słońce gasło, zamieniając Niebo w pole pokazu chmurnych, ognistych fal nad i pod nami. Na czas gaśnięcia błękit ustąpił miejsca gorącym pomarańczom i czerwieniom. Gdy stanęło się twarzą ku północy widać było z jednej strony ogień

gaśnięcia, z drugiej pierwsze gwiazdy.

Zera płakała gdzieś w dole. Jakaś dziewczyna pocieszała ją i oburzała się, że reszta się bawi. Przypomniałem sobie, jak się czułem, gdy zniknął Harsid, ale jego wspomnienie było już ledwie mgłą. Co z niego pamiętałem? Siwe włosy. Pytałem go o wiele rzeczy, ale jego odpowiedzi często tylko pogarszały sytuację, sprawiając że miałem w głowie jeszcze większy mętlik. Harsid był bardzo mądry, może więc ja źle zadawałem pytania, albo nie byłem gotów by usłyszeć odpowiedzi? Już ich nie rozumiem, nawet jak zmądrzeję, bo razem ze starym ogrodnikiem odeszły jego słowa.

Phora stała wyżej od nas i patrzyła w dal. Ani się nie bawiła, ani nie smuciła. Zaskoczyło mnie, że również Cesenu postanowił uciec od pijatyk, choć z Yerestem nigdy chyba nie zamienił więcej niż kilka słów. Zszedł pod główny pokład z narzędziami w rękę, próbując widocznie szukać zapomnienia w pracy.

Kobiety nie tańczyły w świetle ognisk – pamięć o ogrodniku miała przynajmniej taką moc. Ludzie siadali wokół ognia i rozmawiali. W miarę opróżniania beczek z winem i piwem brzdąknęło kilka instrumentów, ale cicho i spokojnie. Zobaczyłem Nykę, jak idzie na drugą stronę, trzymając za rękę dziewczynę z jasnymi włosami. Zbliźali się do siebie od kilku tygodni, a teraz była dobra okazja, by wydarzyło się coś więcej.

Zera zawodziła coraz głośniejsze, przyprawiając mnie o dreszcze. Ludzie w drugim mieście nie mogli jej słyszeć. Zaczęły się śpiewy.

Hersis przeszła na tamtą stronę po dwie miski zupy gulaszowej. Przyniosła mi jedną i usiadła obok ze swoją porcją. Jedliśmy w milczeniu, słuchając narastających z dołu jęków. Wydarzenie, jakim było spożywanie mięsa, nie uspokoiło moich obaw. Myśl uczepiona odległego skrawka umysłu dawała o sobie znać, nie zdradzając istoty swojego przesłania.

Słońce już zgasło do końca i teraz to nasze miasto wydawało się być miastem umarłych, a to drugie – żywych.

Zera pojawiła się na pokładzie. Szła w stronę zabawy. Przypuszczałem, że chciała powiedzieć wszystkim, że nie powinni się bawić. Było jednak na to zdecydowanie za późno.

Stanęła na środku pomostu i dziwnie zaskrzeczała. Znów zaczęła płakać. Przerwałem wylizywanie miski. Jej szloch zamieniał się stopniowo w obłąkańczy chichot. Zmroziło mnie, a Hersis ścisnęła moje ramię. Zera wykonała kilka kroków, zatrzymała się, jakby chciała zawrócić, ale poszła dalej. Znów zmieniła zdanie, szarpnęła się, jakby strząsała coś z siebie. Zobaczyłem, że ręce i usta ma umazane w czymś ciemnym. Spojrzała w naszą stronę. Twarz miała wykrzywioną potwornym



**grymasem. Jednocześnie zgarbiliśmy się, ale i tak musiała nas widzieć. Skręciła i...  
zwyczajnie spadła na sieć asekuracyjną. Myślałem, że zrobiła to niechcący, ale ona  
zaczęła niezdarne pełznąć, jak tłusty chrabąszcz, w kierunku krawędzi. Patrzyliśmy  
na to z przerażeniem. Chwyła się brzegu, chwilę chwiała się na grubszej linie, z  
jakiej była zrobiona część nośna sieci, i przeleciała na drugą stronę. Spadła.**

**Chyba nikt poza nami tego nie widział. Siedzieliśmy oniemiały dłuższą chwilę.**

**–Zrobiła to z rozpaczy? – zapytała wreszcie Hersis.**

**Myśl, która dotychczas ocierała się ledwo o moją świadomość, przekroczyła granicę  
i stała się czym innym – lepkiem strachem. Oblał mnie zimny pot. Wstałem.**

**–Już za późno...**

**Odwróciłem się i zbiegłem po schodach kilka poziomów w dół.**

**W drzwiach kabiny Yeresta i Żery leżała dziewczyna. Krew z jej głowy przeciekała  
przez kolejne poziomy, zastygając brunatnymi soplami. Cofnąłem się. Hersis zajrzała  
mi przez ramię. Krzyknęła i zasłoniła usta dłonią.**

**–Już za późno – powtórzyłem.**

**Na szyi trupa widniały wyraźne ślady zębów. Spodziewałem się tego. Nie wierzyłem,  
że to ja zrozumiałem coś, na co nie wpadła rada starszych wespół z kapitanem. Nikt  
na to nie wpadł, choć to było... proste.**

**–Musimy rozłączyć miasta – powiedziałem twardo. Czarnowłosa spojrzała na mnie z  
przerażeniem.**

**–Oszalałeś... – szepnęła.**

**Słysząc było, jak Cesenu stuka w coś kilka poziomów niżej. Jeśli mu powiem, to  
zamelduje kapitanowi i wszystko na nic.**

**–Musimy to zrobić sami – powiedziałem. – Zaufaj mi.**

**–Ale... – spojrzała na płonące ogniska i bawiących się ludzi.**

**–Skoczyłaś dla mnie nad Niebem. – Dotknąłem jej ramienia. – Zaufaj mi. Inaczej  
zginieemy.**

**Dłuższą chwilę patrzyła na mnie czarnymi oczyma. Potem wolno skinęła głową.**

**Zaprowadziłem ją do początku pomostu i podniosłem klapę zasłaniającą zwalnicze.**

**–Trzeba podnieść tę klapę, odblokować dźwignię i mocno pociągnąć w górę. Musimy zrobić to jednocześnie po obu stronach.**

**–Czy to wystarczy? – zapytała niepewnie. – Czy na pewno wystarczy?**

**–Są jeszcze cumy. Cztery... Jeśli rozłączymy trapy, cumy i tak będą nas trzymać.**

**–Przetnijmy je najpierw.**

**–Poczują to... Coś wymyślę.**

**Trzęsły mi się ręce. Musiały się trząść. Oto zdradzałem całą swoją społeczność. Jeśli nas złapią... Wolałem nawet nie myśleć, co się stanie. Sięgnąłem do pierwszej cumy. Była mocna – znałem te liny. Wiedziałem też, że węzła, jakim jest umocowana do haka nie da rady łagodnie poluzować. Wyjąłem mój szydłonóż i naciąłem linę. Teraz nie było już odwrotu. To samo zrobiłem z pozostałymi. Jeśli nie pękną same – trzeba będzie je dociąć. Siatka pod trapem odzepi się sama.**

**Przebiegłem na drugą stronę pomostu. Nikt mnie nie zauważył.**

**Dałem znak Czarnowłosej i otworzyłem klapę. Jednocześnie chwyciliśmy dźwignie i pociągnęliśmy. Moja wyszła do końca z wyczuwalnym pod stopami stuknięciem, ale Hersis miała problemy. Szarpała za uchwyt, ale zwalniacz się nie unosił. Była za słaba...**

**–Murk... Co ty...?**

**Odwróciłem głowę. Kilka kroków za mną stał Passin. Patrzył na mnie mętным wzrokiem, ale otwierał oczy coraz szerzej. Wciąż trzymałem uniesioną dźwignię zwalniacza.**

**Spojrzałem na Hersis i zobaczyłem, że ona też ma kłopoty. To była Phora. Zauważyła nas wcześniej. Więc wszystko stracone! Sięgnęła w dół, by odciągnąć dziewczynę od zwalniacza... ale nie dotknęła jej. Złapała za drążek i pociągnęła. Szczęknął mechanizm... ale nic więcej się nie wydarzyło. W nagłym przebłysku zrozumienia wcisnąłem swoją dźwignię i pociągnąłem ponownie... i trapy zaczęły się rozsuwać.**

**–Do mnie! – zawołał przez ramię Passin. Zatoczył się od wstrząsu, ale ruszył na mnie.**

**Oprzytomniałem i wstałem. Trapy już wsuwały się pod pokłady, zwiększając szybko odległość. Spojrzałem za siebie i zdrętwiałem. Passin trzymał w dłoni moją linkę asekuracyjną i zastanawiał się, co to jest. Zrozumiał po chwili i chwycił ją mocniej. Zanim rozplączę węzeł wokół pasa, trapy odsuną się daleko od siebie. Decyzja:**

**zostają tu, albo skaczą. Jeśli skoczę, zatrzyma mnie linka i spadnę, jeśli zostanie... nigdy już nie zobaczę Hersis. Nigdy!**

**Zacisnąłem zęby i zacząłem biec. Odbiłem się od końca i... nie doskoczyłem. Poczułem szarpnięcie linki. Spadłem w dół, na siatkę asekuracyjną, która w tym momencie się odczepiła. Wytrzymały zaczepy po naszej stronie. Rąbnąłem o metal, zdzierając sobie skórę na kostkach palców. Syknąłem z bólu i spojrzałem za siebie. Passin szarpnął linką z całej siły. Sparciałe włókna... pękły. Passin zwałił się na pokład zaskoczony małym oporem. Sparciała linka! Przez cały ten czas używałem sparciałej linki asekuracyjnej! Spojrzałem w dół i poczułem, że nie jestem w stanie wykonać ani jednego ruchu. Byłem za ciężki, a Niebo ciągnęło mnie w dół.**

**Cumy pękały kolejnymi szarpnięciami. Tamci byli pijani i mieli za mało czasu na szukanie lin z hakami.**

**W sieć obok mnie trafiło kilka ciężkich przedmiotów. Zacisnąłem zęby i przemogłem uczucie ciężkości. Wspiąłem się czym prędzej do góry i, z pomocą Phory, wdrapałem się na pokład. Spotkałem jej wzrok, ale nie było czasu na pytania. Jedna cuma nie pękła. Miasta obracały się powoli zamiast się oddalać.**

**Dobiegłem do cumy i przeciąłem ją do końca moim szydłonożem. W międzyczasie ktoś zeskoczył na naszą sieć i zsunął się na pokład. To był Nyka. Wyglądał na trzeźwego, ale całkowicie pogubionego.**

**Wszyscy po tamtej stronie otrzeźwieli i gapili się bezsilnie na odlatujący dom. Nawet bez pomocy wiatru miasta oddalały się wystarczająco szybko, by zniweczyć jakiegokolwiek próby ponownego połączenia.**

**Cesenu wypadł na pokład i skamieniał. Stęknął tylko i spojrzał na nas. Nie wiedział, nie mógł wiedzieć, ale wyczytał wszystko z naszych spojrzeń.**

**–Co wy zrobiliście? – wykrzyknął, poprawiając w dłoni ciężki klucz.**

**–Uratowaliśmy nasze życie. I twoje też. – Patrzyłem mu prosto w oczy. – Oni są zarażeni.**

**–Nie przeżyją tam dwu tygodni! Zginą! Wszystko przenieśliśmy tu.**

**–Ich czas skończy się następnej nocy. Wytłumaczę ci wszystko. To miasto było pułapką...**

**–Jaką pułapką?**

**–Chłopak ma rację – przyznała Phora. – To było jedyne wyjście.**

**Nyka podszedł do nas niepewnie.**

**–Piłeś wino? – zapytałem.**

**–Co?!**

**–Pytam, czy piłeś wino?**

**–Nie, nie piłem. Wytłumaczysz mi, co się dzieje?**

**–Potem. Złaż na dół!**

**–Murk! Tobie całkiem odwaliło.**

**Zaczął iść w moją stronę, ale zatrzymał się nagle, gdy Phora wysunęła przed siebie dzidę. Tak, to była dzida. Nigdy wcześniej nie musieliśmy używać broni; znałem ją bardziej z opowiadań. Musiała wykonać ją pospiesznie: nóż przywiązany był rzemieniem do cienkiej rury.**

**–Rób, co mówi – powiedziała cicho zielarka. – Idź do magazynu na liny.**

**Nyka zrezygnował z oporu i pozwolił nam się zamknąć.**

**–Czy ktoś jeszcze przeskoczył? – zapytałem.**

**–Chyba nie. W nocy i tak nie sprawdzimy.**

**Usiadłem na pokładzie i schowałem głowę w dłoniach. Zaczęło do mnie powoli docierać to, co zrobiłem.**

**–Wiedziałem, że Yerest wypił wino – powiedziałem.**

**–Próbował je poprzedniego dnia. W winie było coś, co sprawiło, że oszalał. Wiedziałem... Zrozumiałem to w nocy, na linach, tuż przed ponownym zaśnięciem. Dlaczego nie ostrzegłem nikogo? Chyba nie uwierzyłem w to, nawet nie pozwoliłem sobie rozważać takiej możliwości. Widziałem następnego dnia, jak wytaczają beczkę na pokład i ustawiają na stojaku. Wiedziałem, ale... nie wierzyłem sam sobie.**

**Wymarłe miasto było już tylko jaśniejszą plamą na gwieździstym Niebie. Domyślałem się, co tam mogło się dzieć.**

**–Nawet jeżeli to jakiś narkotyk, to w końcu przestanie działać – powiedział po chwili Cesenu, odkładając klucz.**

**–Mogliśmy ich izolować na długiej linie...**

**–To nie narkotyk – powiedziała Phora.**

**–To choroba – dokończyłem. – Yerest ugryzł Zerę i następnej nocy ona też oszalała. Dopiero wtedy uwierzyłem. Idź i zobacz ich kabinę. Zagryzła dziewczynę, nim sama wyskoczyła.**

**–Czy oni zginą? – zapytała cicho Hersis. Usiadła obok i podciągnęła kolana pod bodę.**

**–Zabraliśmy stamtąd wszystko, co nie było przymocowane... – odpowiedział Cesenu. – Jedzenia mają tyle, ile zabrano na ucztę.**

**–Nie umrą z głodu – zaprzeczyłem. – Nie zdążą...**

**Patrzyliśmy w gwieździstą noc. Miasta nie było już widać.**

**Mogłem iść na pokład obserwacyjny i próbować je odszukać za pomocą teleskopu. Nie miałem dość samozaparicia, by to zrobić.**

**–Ich losu i tak nie możemy zmienić – powiedziała Phora.**

**–Pomyślmy o sobie, ale rano. Teraz spróbujemy zasnąć.**

**–My też mamy problem – przyznał Cesenu. – Odwrotny od nich. Nas jest za mało.**

**–Jedzenia nam starczy – zaprotestowała Hersis. – Umiemy uprawiać...**

**–Nie rozumiesz... To bardziej skomplikowane.**

**–Rano wszystko omówimy – powtórzyła Phora. – Teraz chodźmy spać, najlepiej do mnie. Zablokujemy schody na wypadek, gdyby ktoś oprócz Nyki przeszedł.**

**Znałem dokładnie to miasto i wiedziałem, że można je całe przejść od góry do dołu, nie używając schodów. Nawet jeżeli... może w takich chwilach warto zachować pozory.**

**Ustawiliśmy co się dało w poprzek schodów i prawie kładliśmy się spać, gdy nagle o czymś sobie przypomniałem.**

**–Sigg! – krzyknąłem. – O mało co zapomnielibyśmy o Siggu.**

**Pokonałem z łatwością naszą nieudolną barykadę i stanąłem na schodach. Ciemny pokład nie wyglądał zachęcająco, ale musiałem to zrobić. Wdziałem go stąd – spał, nieświadomy niczego, w swoim wielkim obrotowym fotelu.**

**Wziąłem się w garść, najszybciej jak potrafiłem przebiegłem przez pokład i wbiegłem**

do niego. Już miałem szarpać go za ramię, gdy poczułem ten zapach. Sigg był... pijany. Pijany w trupa. Cofnąłem się z przerażeniem kilka kroków.

Odwróciłem się na pięcie i ze łzami w oczach pognałem z powrotem. Znow bez trudu pokonałem barykadę, robiąc przy tym jednak sporo hałasu.

–On... – zacząłem niepewnie, widząc miny wszystkich. – Jutro się okaże...

## 7. Granica równowagi

–Oni tam jeszcze nie wiedzą – powiedziałem. – Zapewne wciąż złorzeczą. Kapitan próbuje zebrać wszystkich do kupy i uruchomić instalacje miasta. Dzień spędzą na ratowaniu wszystkiego, co się da. Późnym popołudniem niektórzy źle się poczują, ale będą mieli ważniejsze sprawy na głowie. Potem... zacznie się piekło.

Wczesnym rankiem wymarłe miasto musiało być ponad rok w poziomie od nas. Nie widzieliśmy go i mieliśmy nadzieję już więcej nie zobaczyć. Nawet gdyby chcieli, nie byłiby w stanie nas znaleźć. Żagle, zdjęte stamtąd, leżały na naszym pokładzie. Każde miasto wznosiło się z inną prędkością i po dłuższym czasie połączenie stawało się fizycznie niemożliwe.

Hersis siedziała obok, zawinięta w koc.

–Tam mogli być niezarażeni – powiedziała.

–Wiem...

–Dzieci...

–Przestań!

–Przepraszam. – Poglaskała mnie po ramieniu. – Nie mogłeś... nie mogliśmy zrobić inaczej. Wiem.

Mówiła chyba szczerze. Ja nie miałem takiej pewności, czy postąpiłem słusznie. Pięcioro dzieci nie piło przecież wina. Znałem te dzieci... Wszystkich ich znałem. Ukryłem twarz w dłoniach i siedziałem tak dłuższą chwilę.

Usłyszeliśmy łomot gdzieś z dołu. Poderwałem się, ściskając w dłoni szydłonóż.

Sigg nie był w stanie pokonać barykady, ale robił dużo hałasu.

–Trzeba rozwinąć żagle! – krzyczał. – W nocy się odczepiliśmy!

No tak. Nic nie wiedział... Od czego zacząć? Co powiedzieć? „Odejdź, i tak wkrótce umrzesz”?

Spuściłem głowę. Hersis stanęła obok.

–Dlaczego się przede mną zagrządzacie? Znaie mnie przecież.

–Znamy, ale nie wiemy czy tego samego – odpowiedziałem.

**–O co wam chodzi?**

**–Jutro. Tak trzeba.**

**–A co ja mam robić?**

**–Obserwuj tamto miasto przez teleskop i mów, co widzisz.**

**–Machają wielką białą flagą. Tyle zobaczyłem.**

**–Nie możesz tu do nas wejść... To zbyt niebezpieczne. Uwierz mi. Jutro wszystko wyjaśnimy. Teraz odejdź i obserwuj ich.**

**Obserwator dał spokój i poszedł do kuchni coś zjeść. Zaczynałem powoli rozumieć, co miał na myśli Cesenu, mówiąc że jest nas za mało. Kucharz, wodnik, śmieciarz, ogrodnik... Dużo funkcji. Ja znałem się tylko na sieciach, a te przez jakiś czas nie będą potrzebne. Phora i Hersis mogą doglądać roślin, jeśli zmniejszymy ich liczebność. Cesenu i Nyka, jeśli będzie zdrowy, mogą pilnować spraw mechanicznych. Sigg... nie wiedziałem, co on potrafi poza obserwowaniem i prowadzeniem statystyk. Ścieki trzeba jakoś oczyszczać, odzyskiwać z nich wodę i nawóz dla roślin. Króliki trzeba karmić. Są ważne, zjadają te części roślin, których my nie jemy. Produkują nawóz i wreszcie same służą nam za pokarm. Do tego każdy królik zostawia po sobie futro.**

**Nie miałem pojęcia, jak przechowuje się żywność, po czym się poznaje, że jest już zepsuta. Ziemia, uprawiana zbyt intensywnie, staje się jałowa. Nie uprawiana też. Ile jest rzeczy, o których nie miałem pojęcia? Jakby na to nie patrzeć, zapowiadało się wielkie marnotrawstwo dóbr i zaraz po nim początek poważnych kłopotów.**

**Nyka próbował wymóc na nas, abyśmy go wypuścili. Sigg nie zrobił tego, chociaż mógł. Zaczął za to prosić, byśmy go wpuścili na górę i powiedzieli, o co w ogóle chodzi.**

**Wbrew oczywistym faktom nie dopuszczałem do siebie myśli, że Sigg zaraz zachoruje. Co wtedy? Sam wyskoczy, czy trzeba go będzie... zabić?**

**\* \* \***

**Siedziałem na brzegu pokładu i patrzyłem bez celu przed siebie. Po południu dołączyła do mnie Hersis. Wcześniej pomagała zielarce zasadzić ostatnie ocalone fasolki. Po Niebie sunęły pojedyncze chmurki. Jedna z nich przeleciała przez miasto, na kilka minut topiąc wszystko w wilgotnej mgle.**

**–Powiedz mi, czy Ptasznik porwał cię od twoich rodziców? – zapytałem, gdy znów wyszło słońce.**



**–Gdy miałam cztery lata moje miasto wymieniło mnie i jeszcze jedną dziewczynę na chłopca.**

**–Myślałem, że Wymiana jest dobrowolna.**

**–Widać nie zawsze. – Wzruszyła ramionami. – Ptasznik porwał mnie pół roku temu.**

**–Mnie też próbował porwać. Najpierw mówił, że szuka ucznia, a potem, podczas nocnej zabawy, próbował mnie wciągnąć w jakieś zakamarki. Jestem prawie pewien, że to był on.**

**–Przepowiedziano mi, że moim przeznaczeniem jest być kobietą tego, który zmieni świat. Dlatego Ptasznik zmusił mnie, żebym była jego. Nie chciałam tego. Ja wiem, że przepowiednia mówiła o tobie. Jest w tobie coś... mówiłam ci już. Może Ptasznik też to zobaczył?**

**–Co we mnie jest? – zapytałem zdziwiony.**

**–Zastanów się. Ilu chłopców w twoim wieku byłoby zdolnych do wymyślenia planu oddzielenia miast i ilu zdołałoby go doprowadzić do końca? Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty.**

**–Każdy ma jakąś historię.**

**Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Her schyliła się i spojrzała na pokład.**

**–„Nie możemy zawrócić z drogi do gwiazd” – przeczytała.**

**Spojrzałem na krawędź pokładu. Wyryty w metalu napis był znajomy, widziałem go wiele razy, zanim nauczyłem się czytać. Teraz suma linii, wyrysowanych dawno temu przez nieznanego, zyskała sens. Tylko... co to właściwie znaczyło?**

**–Sądysz, że to przypadek – Her pytała z przejęciem – że zostaliśmy tu sami z taką ilością dóbr? Nic nie dzieje się przypadkiem.**

**–Wszystko dzieje się przypadkiem. Zastanawiam się na przykład od jak dawna pracowałem z taką linką? Pękła przy słabym szarpnięciu.**

**–Uratowałeś więc nam wszystkim życie, a swoje uratowałeś podwójnie. – Uśmiechnęła się blado. – Czy to twoje pierwsze miasto?**

**–Nie... Znam tę historię z opowiadań, bo byłem jeszcze za mały, by to samemu zapamiętać. Wtedy w dole na kilka sekund zapłonęło drugie słońce. Coś się musiało stać, coś poważnego. Godzinę później z Nieba zaczęły spadać płonące szczątki. Pogieęte blachy i stalowe belki ze świstem przelatowały tuż obok. To były dziwne**

**części, inne od tych, które spadają zwykle. Nagle coś wpadło w sieć. Wyrwało ją niemal z mocowań. To było dwuletnie dziecko. To byłem ja.**

**–Spadłeś z Nieba?... – zapytała z niedowierzaniem. – Nadnaturalny fart! Ktoś taki nie może się mylić...**

**Westchnąłem.**

**–Tego nie ma jak sprawdzić. Nigdy się nie dowiem, czy miałem rację...**

**\* \* \***

**Phora i Cesenu od ponad godziny rozmawiali na osobności, Sigg denerwował się coraz bardziej, a my powoli stawaliśmy się głodni. Oczekiwanie robiło się nieznośne. Choroba w przypadku Yeresta ujawniła się po dwunastu godzinach, Zera zaczęła szaleć po dwudziestu. Przyjmując margines bezpieczeństwa, kwarantanna powinna trwać dobę. Musieliśmy więc zaczekać do wieczora.**

**Zielarka wyszła w końcu ze swojej kabiny. Po wyrazie jej twarzy i sposobie poruszania się poznałem, że wcale nie spędziła tego czasu na rozmowie. Podeszła do nas, oparła się o barierkę i bez słowa, mrużąc oczy, zapatrzyła się w Niebo. Delikatny wiatr poruszał jej suknię. Zdawała się nie zauważać nas i nic sobie nie robić z całej sytuacji.**

**Gdy słońce przekroczyło zenit, musiałem przyznać, że obserwator szaleje w zupełnie naturalny sposób. Przechadzał się po pokładzie, kopał beczkę z ziemią, unosił i rzucał liny. Czasem próbował do nas zagadać, ale już mu nie odpowiadałem.**

**–Sigg nie choruje – powiedziałem w powietrze. – I wcale nie wiem, czy to dobrze, czy źle.**

**Mieliśmy pod sobą trupa tej zagryzionej dziewczyny. Do tej pory nie zastanawiałem się, co się dzieje z ciałami zmarłych. Wiedziałem tylko, że w końcu trafiają na kompost. Nie miałem pojęcia, jak się to odbywa. Szczerze mówiąc nie chciałem mieć pojęcia. Miałem jedynie nadzieję, że ktoś... Cesenu, zrobi coś z tym ciałem.**

**Reszta rzeczy działa się sama. Pożywienie się psuło, rośliny zaczynały schnąć bez podlewania, w sieciach leżało kilka nie wyjętych przedmiotów. Co działo się w trzewiach miasta – nie miałem pojęcia. W którym zbiorniku rosło niebezpiecznie ciśnienie, który właśnie opróżniał się z resztek niezbędnych nam substancji?**

**Dziewczyna w drugim końcu pokładu stała nieruchomo. Stała tam, w prostej, płóciennej sukni. Płakała. Poznałem ją. Przyszła do nas podczas ostatniej Wymiany i zamieszkała z kapitanem. Vaunee. Miała długie, czarne włosy, opadające gładko na opalone ramiona.**

**Zauważyła mnie, ale nie ruszyła się z miejsca. Nie była chora, ale wyglądała na całkowicie zagubioną. Zszedłem i w minutę rozmontowałem naszą barykadę.**

**Podbiegłem do niej i powiedziałem:**

**–Chodź do nas. Tu może być niebezpiecznie.**

**Skinęła głową i pozwoliła się przeprowadzić przez pokład i na górę. Niestarannie ułożyłem barykadę na swoim miejscu.**

**Wtedy zobaczyłem, że Sigg siedzi w swoim fotelu i obserwuje nas z ponurą miną. Obok niego, na skrzyni siedział obrażony Nyka.**

**–Chyba pora już rozebrać barykadę – usłyszałem głos Phory. Zaprowadziła dziewczynę do kabiny i wróciła do nas.**

**–Przerwałeś kwarantannę.**

**–Wyglądała na taką... – nie wiedziałem, co powiedzieć – nieszczęśliwą...**

**–Kobiety używają wielu sztuczek, by dopiąć swego. Jeszcze nie raz się przekonasz.  
– Położyła mi rękę na ramieniu.**

**–Rozmontuj to. Pierwsze objawy powinny się pojawić parę godzin temu.**

**\* \* \***

**–Nyka powiedział mi, co się stało – zaczął Sigg. – Ja piłem moje własne wino... Słuchaj, nie mam pretensji, że mnie przetrzymałeś... ale dlaczego tę lafiryndę wpuściłeś bez pytania?**

**–Kobiety używają wielu sztuczek... Zresztą, nie nazywaj jej tak.**

**–A jak ją nazywać? Omamiła kapitana w jeden dzień. Żadnej z naszych dziewczyn od dawna nie udało się z nim zamieszkać.**

**–Może to była miłość?**

**Machnął ręką.**

**–Musimy sprawdzić pokłady. – Wstałem. – Pójdę z tobą, a ty, Nyka, idź z Cesenu.**

**–Nie będziesz mi rozkazywał – rzucił wściekle Nyka. – Chciałeś mnie tam zostawić z bandą szaleńców!**

**–Gdyby nie Murk sam byłbyś już szalony – powiedziała z góry Phora – albo**

zagryziony.

Nyka spuścił głowę i mruknął coś niewyraźnie. Cesenu przyniósł dwie rury zaostrzone na końcach.

–Więcej nie ma – wyjaśnił.

–Wolę to – Pokazałem szydłonóż, którego używałem do naprawy sieci.

Dzidę dostał Nyka.

–Idźcie – ponagliła Phora. – My spróbujemy przygotować coś do jedzenia.

Mocniej ścisnąłem w rękę broń i zszedłem na dół. We czwórkę przejrzelśmy magazyny, gdzie była między innymi kuchnia, i nie przedzielony ściankami pokład napędowy.

Niżej sytuacja była jeszcze gorsza, bo pokłady mieszkalne stanowiły labirynt korytarzy i różnej wielkości kabin. W centralnej części, dla utrudnienia, znajdowały się skomplikowane instalacje dające wiele możliwości kryjówek.

Ja i Sigg szliśmy z jednej strony, a Cesenu i Nyka z drugiej. Obserwator trzymał w dłoni długi nóż, który nazywał mieczem. Znalazł go poprzedniego dnia w Wymarłym Mieście.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie leżała zagryziona dziewczyna... Nie było jej! Ścisnąłem mocniej narzędzie i rozejrzałem się. Ślady krwi prowadziły wzdłuż korytarza, ale urywały się kawałek dalej. Jeśli miała dość sił, teraz mogła być wszędzie.

–Nie dotykaj jej krwi! – krzyknąłem, widząc że Sigg nachyliła się z wyciągniętym palcem.

Zaczynałem żałować, że nie poszedłem sam. Obserwator łaził za mną i sapał. Jedyne, co mógł zrobić, to przeszkodzić mi w szybkim odwrocie.

Z przeciwka nadszedł Nyka.

–Ona żyje i jest już chora. – Wskazałem na podłogę.

–Mogła pójść na górę.

–Sprawdźmy wszystko do samego dołu. Ty – zwróciłem się do Sigga – idź na pokład i patrz, czy nie minęliśmy jej po drodze.

Obserwator przytaknął i odszedł poprawiając w dłoni miecz.

**–Jeśli jej nie znajdziemy to może znaczyć, że wyskoczyła w nocy – powiedział Nyka.**

**–Ale pewności mieć nie będziemy.**

**Postanowiliśmy zejść na sam dół korytarzami i schodami części mieszkalnej, ale wrócić wewnątrz centralnej części technicznej. Możliwych połączeń między poziomami było wiele i mogliśmy liczyć tylko na szczęście.**

**Sprawdzałem kolejne pomieszczenia i zakamarki. Marzyłem, abyśmy znaleźli ją martwą. Żywa mogła nam zagrozić w każdym momencie i każdym miejscu, a gdybyśmy jej nie znaleźli, pozostałaby niepewność na wiele dni.**

**Doszedłem do najniższego poziomu mieszkalnego i przeszedłem do części wypełnionej instalacjami. Stałem wreszcie na samym dole miasta. To miejsce było w pewien sposób szczególne. Stałem na kracie, pod którą było tylko Niebo. Wszystko wokół było oświetlone od dołu. Rozglądałem się po zakamarkach pełnych nietypowych cieni. Jakieś krople kapwały wewnątrz rur, coś skrzypiało. Słyszałem rytmiczne klikanie trybów i zapadek gdzieś nade mną.**

**Zobaczyłem błyszczące oczy – dwa punkciki w ciemnym kącie między zbiornikami. Wpatrywały się we mnie nieruchomo. Z przerażeniem stwierdziłem, że nie mogę się poruszyć.**

**Wysunęła się powoli z cienia. Gdy światło padło na jej bladą, wykrzywioną nieruchomym grymasem twarz, krzyknąłem. Znałem ją, pomagała kucharzowi, ale teraz wyglądała jak bezmyślne zwierzę. Na szyi miała wielki strup i zaschnięte, głębokie ugryzienie. Fragment mięsa wisiał jak czarna szmata. Włosy i ramiona pokryte były szerniałą skorupą. Przybliżała się, wyciągając przed siebie zakrzywione w szpony palce. Cofałem się, aż poczułem za plecami ścianę.**

**Wyszła na pomost i spojrzała na szydłonóż, który trzymałem w dłoni. Syknęła i obesła mnie bokiem, obserwując zakrzywione ostrze. Poruszała się miękko. Pomagając sobie rękoma, odbiegła aż znikła mi z oczu.**

**–Jest tu... – szepnąłem. Przełknąłem ślinę i krzyknąłem. – Jest tu! Uważajcie!**

**Zmusiłem się by wstać i podążyć za nią.**

**Usłyszałem tupot nad głową i jakieś potworne skomlenie. Cień przemknął w górze. Potem dziki wrzask i łomot. Znów tupot, oddalający się i suchy chichot. Chwilę potem odległy krzyk, dziewczęcy pisk. Hersis! Pobiegnę na górę, przeskakując po kilka stopni.**

**Czarnowłosa siedziała wtulona między szafką i ścianę wielkiego kotła na zupę, obok wywróconego garnka. Ścisnęła krwawiące przedramię. Gdy mnie zobaczyła,**

wyskoczyła stamtąd i objęła mnie ramionami, płacząc. Przytuliłem jej głowę. Phora patrzyła na mnie przerażonym wzrokiem. Wzięła zranioną rękę Czarnowłosej i... nacięła skórę wzdłuż krwawych śladów. Dziewczyna krzyknęła i zaczęła głośniejsz płakać. Chciałem zaprotestować, ale zielarka powstrzymała mnie.

–Zarysowała ją paznokciami – wyjaśniła. – To jedyny sposób, żeby oczyścić ranę z choroby.

Delikatnie odsunąłem Hersis i pobiegłem na główny pokład.

Chora stała oparta plecami o poręcz. Z jakiegoś powodu nie próbowała skakać. Nyka i Cesenu zachodzili ją z obu stron, trzymając przed sobą dzidy. Sigg ze swoim mieczem stał nieco dalej. Patrzyłem w jej oczy – oczy dzikiego zwierzęcia, złego i przerażonego. Nienaturalnie rozszerzone źrenice, górna warga odsłaniająca zaczernione zęby, przygarbiona sylwetka. Szykowała się do skoku między dzidami. Gdy w końcu spróbowała, Cesenu przesunął tylko lekko szpic. Z cichym mlaśnięciem ostrze przebiło jej klatkę piersiową. Wydała z siebie cichy pisk, niemal żałosny i bezwładnie opadła na pokład. Dłonie jeszcze chwilę zaciskały się i rozkurczały.

–Co by to nie była za choroba – powiedział Cesenu – przy takiej utracie krwi nie może dłużej pozostać wśród żywych.

Phora stanęła kilka kroków dalej. Obejmowała ręką Hersis, która ścisnęła ranę na swoim przedramieniu. Spomiędzy palców wypływała jej krew. Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej.

Podszedłem i objąłem ją ramieniem.

–Boję się – wyszeptała.

–Phora oczyściła ranę...

–Zamknij mnie. Jeśli pojawią się pierwsze objawy... wiesz co zrobić. Nie chcę przeżywać tego, co ona.

Co miałem na to odpowiedzieć?

Ciało chorej kończyło życie w nieregularnych drgawkach. Vaunee stała na pokładzie dowodzenia i obserwowała z góry tę i scenę. Nie wyglądała już na wystraszoną, ani zagubioną.

Nie wkładaliśmy ciała do kompostu. Nic nie wiedzieliśmy przecież o tej chorobie i dla pełnego bezpieczeństwa zawiesiliśmy je pod miastem na długim sznurze, by wyschło na słońcu. Potem mieliśmy je odciąć, by spadło, nie stanowiąc już, taką mieliśmy nadzieję, zagrożenia dla innych. Krew z pokładów została wypalona, a

resztki ubrań spalone w jednej z mis ogniskowych.

Wymarłe miasto było zbyt daleko by cokolwiek zobaczyć, nawet przez teleskop, ale nikt już nie kwestionował tego, że miałem rację. Może za wyjątkiem mnie samego.

Hersis po opatrzeniu rany wymogła na mnie, bym zamknął ją w klatce. Klatkę umocowaliśmy na końcu wysuniętego, nieużywanego napędu, częściowo zasłoniętego przez pokłady ogrodnicze. Przygotowałem jej materac i parę podstawowych przedmiotów. Pozostawało czekać.

Phora, Nyka i Sigg, pod komendą Cesenu, próbowali ograniczyć zakres marnotrawstwa, które nieuchronnie musiało nastąpić. Mnie zostawili w całkowitym spokoju. Vaunee nikt nie próbował nawet prosić o cokolwiek – kobieta kapitana nie musiała pracować.

–Marzenia są niewiele warte – powiedziałem, siedząc obok klatki Hersis. – Chciałem połączyć wiele miast, taki miałem pomysł. Tak byłoby łatwiej żyć. Dopiero kapitan powiedział mi, że to niemożliwe. Wiązki rozerwałyby taki układ.

–Może da się dobrać zgodne wiązki? – zapytała Czarnowłosa. – Może to trudne, ale możliwe. Żeby zrobić coś; zupełnie nowego, musisz porzucić niektóre linie losu, ale to jest ryzykowne, bo nie wiadomo, które są ważne. Pamiętasz ten latawiec? Matka Fo, która opiekowała się dziećmi w moim pierwszym mieście, nauczyła mnie, jak się je robi. Trzeba wziąć kawałek materiału, dwa patyki i mocny sznurek. Powtarzała kilka razy, że ta zabawa jest po to, żeby zapamiętać sobie, że marzenia są dobre, o ile mocno trzymamy się rzeczywistości.

–Można to rozumieć i w inny sposób – zauważyłem.

–Warto marzyć, warto wznieść się, nawet jeśli tylko na chwilę, i nawet jeśli to wolność pozorna.

–Ale nie można tracić kontaktu z rzeczywistością, bo spadnie się w dół.

Chciałem sięgnąć po jej dłoń, ale cofnęła się.

–Musimy się umówić, że nie przekroczysz tej linii.

–Wskazała wspornik pode mną. Była tu narysowana, zapewne przez nią samą, czarna kreska. – Jeśli zachoruję... Zabij mnie.

Nic na to nie odpowiedziałem, usiadłem za linią. Słońce zbliżało się do gaśnięcia, więc zostało kilka godzin nim się przekonamy.

Wtedy zobaczyłem coś, co sprawiło, że straciłem wszelką nadzieję. Twarz Hersis

tężała, napinały się mięśnie policzków, nos delikatnie się marszczył, przygotowując się do pociągnięcia w górę wargi i odsłonięcia zębów. Wyostrzały się rysy, a oczy... nie potrafiłem określić co się z nimi działo, ale wyglądały obco. Nie wiedziałem, czy sama już coś czuła.

Zobaczyła wyraz mojej twarzy, nim zdążyłem się odwrócić. Zrozumiała w jednej chwili. Spuściła głowę i usiadła tyłem do mnie.

–Za kilka godzin nie będę już sobą – powiedziała cicho.

–Odejdź. Nie chcę, żebyś widział. Jeśli rano... Jeśli... Zabij mnie.

Wstałem i odszedłem, udając, że nie płaczę. Nie wiedziałem co mam ze sobą zrobić. Skąd w niej było tyle siły? Mówiła jak dorosły mężczyzna.

Cesenu natknął się na mnie na pokładzie napędowym. Położył mi rękę na ramieniu.

–Nie zbliżaj się do niej. Zarazi i ciebie. To będzie silniejsze od niej.

Czekałem, aż zmierzwi mi włosy. Gdyby to zrobił, chyba bym go uderzył.



Zjedliśmy kolację w miejscu skąd nie było widać klatki. Zmuszałem się do gryzienia i przełykania, choć wcale nie odczuwałem głodu. Nikt nic nie mówił. Po posiłku nałatem ciepłej zupy do miski i zaniósłem do klatki. Zatrzymałem się w połowie długości wspornika, przed czarną linią i postawiłem miskę przed sobą. Długim chwytem do lin dopchnąłem ją aż do klatki, uważając żeby nie utopić łyżki.

Hersis leżała plecami do mnie.

–Nie jestem głodna – powiedziała zachrypniętym głosem, i nie odwracając się.

Stałem tam jeszcze z kwadrans. Nic więcej od niej nie usłyszałem.

O dziwo, tego wieczora udało mi się zasnąć.

Ptasznik stał na klatce Hersis i patrzył na mnie spod szpiczastego kapelusza. Nie widziałem jego oczu, ale wiedziałem, że patrzył na mnie. Wiedziałem też, że sen powtórzy się następnej nocy.

–Ta rzecz przestała działać – oświadczył Cesenu, wskazując na duży, gruszkowaty zbiornik otoczony pajęczyną rur. – Może wodnik albo śmieciarz wiedzieliby, co z tym zrobić. Może nic się nie stało, może trzeba po prostu coś przekręcić... Ja nie mam pojęcia co, ani w którą stronę.

Patrzyłem na rury, zawory, złączki, kolanka, wznoszące się wraz z kolejnymi zbiornikami na trzy poziomy wznosy. U góry wpływały do tego ścieki, na dole wypływał gęsty nawóz gotowy do odebrania przez ogrodnika. Gdzieś w połowie wysokości wodnik odbierał swoimi rurami wodę, którą, po przefiltrowaniu w kolejnym skupisku rur i zbiorników, piliśmy.

–Nie mam pojęcia. – Cesenu wzruszył ramionami. – Może jest nas za mało i proces zachodzi zbyt wolno. Musiało się zatkać.

Oprowadził mnie po części technicznej miasta, uświadamiając mi ogrom naszej niewiedzy. Królestwo Cesenu tradycyjniej rozciągało się od pokładu głównego do pokładu napędowego. Niżej rządził wodnik, a na samym dole śmieciarz. Każdy z nich niewiele wiedział o pracy pozostałych.

Byliśmy więc skazani na magazynowanie i picie wody deszczowej.

Kilka godzin poświęciłem na oczyszczenie i przegląd sieci. Poprawiłem naciąg linek alarmowych i załatałem kilka drobnych uszkodzeń. Dzięki pracy udało mi się zapomnieć na chwilę o Hersis. Rano spała, nie próbowałem jej budzić.

Phora musiała bez jej pomocy troszczyć się o rośliny i pierwsze co zrobiła, to wyznaczyła donice, których nie zdoła utrzymać. Każdy z nas powoli zajmował się czymś, co najlepiej potrafił. Nyka podjął się opieki nad królikami. Potem, razem ze mną, miał pomagać Phorze. Vaunee z ogromną niechęcią przejęła rolę kucharki. Nie chciała się brudzić ziemią, o mechanizmach nie miała żadnego pojęcia, a o wprowadzaniu jej na sieć nikt nawet nie myślał. Popisem kulinarnych zdolności Vaunee było śniadanie, które musiałem w siebie wmuszać. Co jakiś czas w kuchczeniu obiecał wyręczać ją Sigg, ale obawiałem się, że wtedy będzie smakowało jeszcze gorzej. Poza tym podejrzewałem, że obserwator okaże się całkowicie nieprzydatny w nowej sytuacji.

Koło południa zobaczyłem, że Czarnowłosa wreszcie się obudziła. Siedziała, patrząc w Niebo i kiwając się rytmicznie. Nie zachowywała się normalnie, ale ja wciąż łudziłem się, że choroba się cofnie.

Miska z nietkniętą zupą stała tam, gdzie ją zostawiłem. Na wierzchu utworzył się kożuch z tłuszczu.

Gdy mnie usłyszała zerwała się, zaczęła wyć i szarpać kraty. Rozorała palce do krwi, próbując rozewrzeć drut, którym zamknięta była furтка. Widziałem wyłamany paznokieć, trzymający się na skrawku skóry. Upadłem, cofając się w przerażeniu. Patrzyłem w twarz wściekłemu zwierzęciu, potworowi pragnącemu tylko wyrwać się z więzienia, rozszarpać mnie, a potem wyskoczyć w Niebo. Wielkie, czarne źrenice, zęby na wierzchu, napięta skóra twarzy. Błada, niemal sina. Palce jak haki. Siedziałem tam może minutę, aż wycie przeszło w szorstki śmiech. Zerwałem się i odszedłem, nie mogąc tego znieść. Rzuciła za mną miską. Schyliłem się, czując krople zimnej zupy na karku. Miska zadźwięczała o stalowy pokład. Wtedy Czarnowłosa ucichła i opadła na materac.

–Jeśli ty nie chcesz, ja mogę to zrobić... – powiedział Cesenu. Związał liny, ale widać było, że nie ma w tym wielkiego doświadczenia.

–Zabiję każdego, kto zbliży się do klatki! – krzyknąłem, cofając się. – Nie dotykajcie jej!

Nyka i Vaunee odwrócili głowy, patrząc na mnie z niewyraźnymi minami. Nikt nie próbował nic więcej powiedzieć, ale doskonale wiedziałem, co myśleli.

\* \* \*

Sen powrócił, wzbogacony o nowe detale. Ptasznik stał na klatce, na tle księżyca w pełni. Teraz na jego twarz padało nieco odbitego światła i mogłem zobaczyć, że zamiast ust i nosa miał zakrzywiony dziób. Płaszcz był podbity piórami, zapewne po to, by jego właściciel mógł latać. Poruszył dziobem, wysuwając cienki, ostry język.

**–Szukam ucznia.**

**Zerwałem się, zlany zimnym potem. Długo siedziałem, oddychając płytko i czekając aż puls zwolni, a koszmar zwierteje. Potem leżałem sam, nadal w tym samym kącie pod głównym pokładem. Inni też pozostali przy swoich przyzwyczajeniach, co było szczególnie proste w przypadku Vaunee, która zajmowała największą sypialnię. Tylko Nyka co noc spał na innym poślaniu, nie mogąc znaleźć tego odpowiedniego.**

**Wiedziałem, że nie usnę. Wstałem i wyszedłem na pokład główny. Klatka wyglądała upiornie w świetle księżyca, ze zwisającymi strzępami szmat. Hersis stała uczepiona prętów, tyłem do pokładów. Nuciała pod nosem monotonną melodię, składającą się z trzech dźwięków.**

**Może rozszerzonymi nienaturalnie źrenicami widziała światła innych miast?**

**Jej widok przyprawiał mnie o niemal fizyczny ból. Wycofałem się cicho, by nie zaczęła wrzeszczeć.**

**\* \* \***

**–Liczę to od rana razem z Cesenu – powiedział Sigg.**

**–Wychodzi mi, że potrzebujemy co najmniej dwudziestu ludzi. Nie mniej.**

**–Moglibyśmy wymienić na nich towary – zaproponowałem. – Mamy ich pod dostatkiem.**

**Obserwator pokręcił głową.**

**–Nikt nie odda specjalisty, a i żaden specjalista nie przejdzie do wymarłego miasta.**

**–Nie nazywaj nas tak – zaprotestowała Phora. – Nic dobrego z tego nie wyniknie.**

**Sigg pufnął i ciągnął dalej:**

**–Jesteśmy poniżej dolnej granicy równowagi. Podczas Wymiany przechodzi kilka osób. Nie więcej niż trzy, cztery i najczęściej ktoś przychodzi w zamian. Nie ma miasta, które ma nadmiar niepotrzebnych dwudziestu osób i to osób o konkretnych umiejętnościach.**

**–Potrzebujemy wodnika i śmieciarza – zauważyłem.**

**–Reszta nie musi nic umieć. Nauczą się.**

**–Potrzebujemy też kowala, ogrodnika, garbarza, prządki, szwaczki...**

**–Możemy ich zbierać po trochu, podczas kolejnych Wymian.**

**–Ludzie nie będą chcieli przejść do... opustoszałego miasta. Istnieje granica równowagi. Żeby ludzie chcieli tu przyjść, muszą tu już być ludzie. Inaczej dostaniemy tylko jakiś wyrzutków, leni i nieudaczników.**

**–Uważasz, że to miasto... wymrze? – odezwała się po raz pierwszy Vaunee.**

**–Każde miasto może opustoszeć. Dopiero co to widzieliśmy i, obawiam się, zobaczymy to samo tutaj. Ciężko mi wyobrazić sobie, w jaki sposób ponownie zasiedlić miasto. Ludzie, którzy mieliby tu przyjść, są teraz członkami społeczności, które ich potrzebują. Nie licząc naszych zdobycznych dóbr, musieliby zaczynać od początku. Nie sądzę, by chcieli.**

**–Dlaczego nie możemy tu żyć sami? – zapytałem. – Po co nam te wszystkie pozatykane zbiorniki? Możemy zbierać deszczówkę i przechowywać ją. Możemy robić to, co robiliśmy wcześniej, ale w prostszy sposób.**

**Zobaczyłem, jak Cesenu kręci głową.**

**–Może jedynym wyjściem będzie porzucenie miasta – powiedział Sigg. – Was przyjmą wszyscy... Ja będę się musiał wkupić.**

**–Twoje zdolności... – nieśmiało zaprotestowała Phora.**

**–Nikom niepotrzebne. Po co komu statystyki, liczby?**

**–Obserwacje... – podsunąłem.**

**–Coraz gorzej widzę...**

**–Sprzedamy się hurtowo – powiedziałem. – Jeśli nie ma innego wyjścia. Wszyscy razem.**

**–Do tego znów jest nas za dużo. Rozwiązanie, o którym mówię – emigracja, zakłada, że będziemy musieli się rozstać.**

**–To nie będzie wcale taka tragedia! – Nyka wstał i ostentacyjnie odszedł.**

**Vaunee z bardzo nieszczęśliwą miną zebrała naczynia i zaniósła je do kuchni. Sigg poszedł jej pomóc, a Cesenu zszedł na dół, do swojej mechanicznej świątyni rozpaczy.**

**Phora została przy stole. Wiedziała, że będę miał do niej pytanie. Wiedziała jakie to będzie pytanie, a ja wiedziałem jaka będzie odpowiedź. Jednak ta rozmowa musiała się odbyć.**

**–Znasz się na chorobach... – zacząłem.**

**–Nie na tej. Na tę chorobę nie znam lekarstwa.**

**I tyle. Rozmowa powinna się teraz zakończyć. Jednak zielarka nie wstawała. Patrzyła w jaskrawobiałe obłoki i pozwalała, by wiatr zawiewał jej włosy na czoło. Chciała bym kontynuował.**

**Nie widziałem stąd klatki, ale słyszałem powtarzane od dobrej godziny monotonne „hy... hy... hy...”. Nie musiałem tam iść, by wiedzieć, że woda i jedzenie są nietknięte.**

**–Katar mija sam – rzuciłem.**

**Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała mi w oczy.**

**–Ta choroba zamienia jej ciało w więzienie dla udręczonego umysłu.**

**Westchnąłem głęboko, aż poczułem ucisk gdzieś koło serca. Mogłem to zrobić. Mogłem. To tak, jak wyczepienie liny, która nie jest równoległa z resztą wiązki. Dwie dzidy wciąż leżały pod pokładem dowodzenia. Czarna linia... Obiecałem jej nie przekraczać. Kiepski argument, ale na razie musi wystarczyć.**

**–Dlaczego oni wyskakują? – zapytałem.**

**–Choroba próbuje się roznieść.**

**–Choroba kieruje ludźmi?...**

**–Sądzę, że próbuje się dostać do innych miast. Rozprzestrzenić się.**

**–Więc, gdyby połączyć wiele miast... – zastanowiłem się – zaraziliby się wszyscy.**

**–Tak. Jak się przeziębisz, to kichasz. Choroba zmusza cię do tego, żeby zarazić innych.**

**–Dlaczego więc tamta dziewczyna nie próbowała wyskoczyć? Czy jest możliwe, że różni ludzie reagują na chorobę inaczej?**

**–Tak bywa.**

## 8. Kuracja

Ciekawe, że wcześniej nie przyjrzałem się dokładnie kartom księgi. Wiedziałem przecież, że zapisał je poprzedni właściciel. Rzuciłem na nie tylko okiem, gdy pierwszy raz wziąłem ją w ręce.

Otworzyłem pierwszą stronę. Zaczynała się od rysunku jakiejś maszyny, której przeznaczenia, ani nawet wielkości nie miałem szansy poznać, nie rozumiejąc systemu opisów. Pożółkły i poplamiony papier wokół rysunku pokryty był słupkami liczb. Były to skomplikowane obliczenia, poprzedzielane kreskami i znakami, których nie znałem. Sigg nauczył mnie liczenia, ale tylko podstaw, tyle ile sam umiał.

Kolejna strona przedstawiała człowieka. Od jego ramion szły w górę kreski zakończone czymś, co skojarzyło mi się z napiętym przez wiatr żaglem, ale ułożonym poziomo. Wyglądało to jak płachta do zbierania wody, wydęta do góry przez nagły podmuch. Obok dorysowane były strzałki, połączone w figurę geometryczną i kolejne słupki liczb.

Ten rysunek nie dawał mi spokoju przez pół nocy. Jakaś część mojego umysłu już zaczynała rozumieć co to jest, ale nie potrafiłem jeszcze ogarnąć całości.

–Wiele razy zastanawiałem się, co to jest – powiedział rano Sigg, gdy pokazałem mu szkic. – Sądzę, że te kreski to linki, a to wyżej to płachta.

–Spadochron – przeczytałem napis obok. – Czemu to może służyć?

–Niczemu dobremu. Przy silnym wietrze coś takiego może tylko wyciągnąć człowieka za pokład.

\* \* \*

Siedziała w cieniu plandeki, którą z trudem, nie przekraczając czarnej linii, narzuciłem na wierzch klatki.

Bąłem się, że się odwodni. Już wyraźnie zapadły się jej policzki, na szyi wyszły żyły. Nie znałem sposobu, by ją napoić, nie wchodząc do klatki.

Patrzyła na mnie nieruchomo czarnymi oczyma, a ja czekałem, kiedy znienacka rzuci się z wyciem w moją stronę.

Dzidy wciąż leżały w tym samym miejscu.

Kątem oka zobaczyłem jakiś ruch. Spojrzałem pod słońce. Wydało mi się, że widzę smukły, ciemny kształt przesuwany się szybko w górę liny, dwa, może trzy dni od

nas. Zmrużyłem oczy, zaczęły już boleć od jasności. Kolorowe poblaski przeszkadzały mi patrzeć, potem w górze widziałem tylko niewyraźną plamkę. Może mi się przywidziało...

\* \* \*

Człowieka zastąpiłem ziemniakiem. Obwiązałem go nitkami i przywiązałem je do czterech rogów chustki. Uniosłem wysoko w rękę. Bałem się trochę tego, co mogło się stać, choć przecież był to tylko ziemniak i chustka. Wiatr wiał za słabo i ledwo poruszał materiałem. Podrzuciłem ziemniaka, by wyżej złapał silniejszy podmuch. I wtedy stało się coś niesamowitego. Chustka rozwinęła się, a ziemniak powoli opadł na pokład. Trwało to chwilę. Materiał zwiotczał obok. Już wiedziałem, że poznałem coś zupełnie nowego. Dokonałem odkrycia! Sigg stał obok z otwartymi z wrażenia ustami.

–Zaczekaj! – krzyknąłem i chwyciłem mój model. Wbiegłem z nim kilka pokładów wyżej. Oparłem się o barierkę i, z szybko bijącym sercem, rzuciłem ziemniaka do góry. Materiał znów rozwinął się w piękną czaszę i zaczął opadać. Wiatr zwał go poza pokład, ale nie martwiłem się tym. Zbiegłem na dół i doskoczyłem do relingu, obok Sigga. Biały kształt powoli leciał w dół. Czułem to charakterystyczne mrowienie, wyobrażając sobie... Patrzyliśmy na niego, aż zniknął nam z oczu.

Latawiec bez sznurka. To dopiero pomysł! Ciężar ziemniaka zastąpił sznurek mocujący do podłoża – własna, przenośna rzeczywistość.

Popatrzyłem na Sigga i wiedziałem, że obaj czuliśmy to samo. Obserwator zamrugał oczami i pobiegł do siebie, ponownie i wertować księgę.

Tylko czemu to może służyć? Po co wyskakiwać ze spadochronem poza miasto?

Gdzieś z tyłu mojej głowy rodził się już kolejny pomysł. Nie ponaglałem go. Wiedziałem, że nie ujawni się, nim nie będzie gotów, ale wiedziałem też, że ten pomysł rozwija się od dawna. I że zmieni wszystko.

\* \* \*

Nie obiecywałem, że ją zabiję. Obiecywałem nie przekraczać czarnej linii.

Na szczęście nie było zbyt gorąco, ale Czarnowłosa po kilku dniach i tak była bardzo słaba. Leżała w końcu klatki, częściowo na materacu, częściowo obok i oddychała chrapliwie. Zaczynała śmierdzieć.

Miska na wodę była pusta. Patykami przyciągnąłem ją do siebie, bacząc by moja dłoń nie przekroczyła umownej linii, i poszedłem po nową wodę. Gdy wracałem z pełną miską zauważyłem Phorę stojącą na pokładzie ogrodniczym.

**–Wypiła – powiedziałem.**

**Uśmiechnęła się do mnie ledwo unosząc kąciki ust. Spuściłem wzrok i poszedłem dalej. Miskę umieściłem przy klatce.**

**Oddech Hersis zwolnił na chwilę, gdy mnie usłyszała. Nie poruszyła się – była za słaba na szarpanie krat i wrzaski.**

**–Nie pomogę ci umrzeć. – Popatrzyłem jej w oczy. – Jeżeli chcesz, żeby to się zakończyło, musisz wyzdrowieć.**

**\* \* \***

**Vaunee skończyła zmywać naczynia i oglądała uważnie swoje dłonie. Wyprostowałem plecy. Nie wiem dlaczego zależało mi na jej uznaniu. Odwróciła się do mnie.**

**–Co za ironia losu! – Chciałem zacząć rozmowę. – Tyle dóbr, których tak potrzebowaliśmy, teraz się marnuje.**

**Nie odpowiedziała, ale usiadła obok. Podobał mi się jej zapach. Przypominał mi kobiety, tańczące przy ogniu...**

**–Znałaś Ptasznika – powiedziałem. – Musiałaś znać.**

**–Znałam go aż za dobrze. – Spojrzała w przestrzeń. Kiedy myślałem, że nie usłyszę nic więcej, odezwała się znów. – Jest złym człowiekiem. Mimo to przyciąga innych. Zapisuje jakieś książki, liczy coś, bada, tresuje sokoły. Robi wiele rzeczy, których nie robią inni.**

**–Byłaś z nim?**

**Kiwnęła lekko głową.**

**–Ale on szuka jakiegoś ideału – dodała. – Kobiety godnej jego pozycji, jego osiągnięć. Wiedziałam, że nie chodzi o mnie, że on czeka. Dlatego chciałam Wymiany.**

**–Co było jego celem?**

**–Jest bardzo tajemniczy – odparła. – Ciężko go przejrzeć.**

**–Więc władza?**

**–Też. Jest trochę podobny do ciebie...**



**–Do mnie? – zdziwiłem się.**

**Zdałem sobie też sprawę, że mówiła o nim w czasie teraźniejszym. Robiła to zapewne nieświadomie – wszyscy mówili o spotkanych miastach i ich mieszkańcach w czasie przeszłym.**

**–Kapitan mówił mi o tobie – powiedziała Vaunee. – Mówił, że „szukasz”.**

**Uniosłem mimowolnie brwi.**

**–Kapitan mówił ci o mnie?**

**–Mhm – przytaknęła. – Myślę, że widział w tobie swojego następcę.**

**Uniosłem brwi jeszcze wyżej. To było bardzo przyjemne, kiedy mówiła o mnie z szacunkiem.**

**–Czego szukasz? – zapytała.**

**–Szukam... sensu. Tak to nazywam.**

**–Sensu czego?**

**–Sensu ogólnego. On wyłania się stopniowo podczas poszukiwań odpowiedzi na wiele prostych pytań. Na przykład: kto wykonał te rury i zbiorniki pod nami? Na pewno nie my, bo nie potrafimy robić takich rzeczy.**

**–To... część miasta. – Spojrzała na mnie podejrzliwie.**

**–Nie zastanawiałaś się nigdy, kto zrobił to miasto? Wszystkie miasta?**

**–Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.**

**–Chodzi mi o to, kto stworzył to miasto.**

**–Przecież to jest... miasto. Droga do Celu.**

**Zamknąłem oczy.**

**–Ja nie wierzę w Cel – powiedziałem. – Już nie. Tam w górze nic nie ma. Każdy z nas ma swój własny cel i to są jedyne cele, jakie istnieją. Wznosimy się, czy tego chcemy czy nie.**

**Położyła mi rękę na ramieniu, blisko szyi. Kciukiem, jakby mimowolnie, gładziła mnie za uchem. Uniosły mi się wszystkie włoski na karku. Myśli stały się mniej spójne. Podobnie czułem się, kiedy wypilem alkohol.**

**– Nawet jeśli nie wierzysz w Cel i tak do niego dążysz. – Cofnęła rękę. – Razem z miastem.**

**Przełknąłem ślinę i zapytałem:**

**– A jak ktoś spada w dół, jaki ma w tym cel?**

**– Spada sam z siebie. Nie, wbrew sobie. W tym nie ma celu.**

**Ołśniło mnie. Myśl, lęgnąca się dotąd w zakamarkach czaszki, teraz w krótkim rozbłysku ujawniła się w całej okazałości. Była bardziej szalona, niż się spodziewałem. Natłok pomysłów tamowała tylko intensywna obecność Vaunee tuż obok. Nie mogłem się skoncentrować. Gdy wstała, moje niemrawe rozważania przerwała mi zupełnie niepoważna myśl o jej ciele poruszającym się pod materiałem.**

**Wszedłem na sam koniec jednego z wysięgników napędowych i zawiązałem na linie poniżej napędu żółtą wstążkę. Przymocowałem do niej koniec długiego sznurka, którego reszta leżała na pokładzie w luźnym zwoju.**

**– Czy można odwrócić napęd tak, by poruszał się w dół?**

**Cesenu odwrócił w moją stronę zmęczoną twarz i westchnął.**

**To, że od czasu odłączenia Wymarłego Miasta nie traktował mnie jak dziecka, zupełnie nie zmieniło jego stosunku do moich pytań.**

**– Nie da się go włożyć odwrotnie – odparł. – Zresztą jest nas za mało, nawet żeby go wyciągnąć.**

**– A nie ma sposobu, żeby go zatrzymać albo zmusić do ruchu w dół?**

**Cesenu wyprostował się. Ręce miał uwalane w czarnym, śmierdzącym smarze. Popatrzył na mnie tak, jakby miał nadzieję, że wymyślę dla niego jakieś zajęcie lepsze od rozszyfrowywania systemu ściekowego.**

**– Nie mamy wpływu na prędkość wznoszenia – odpowiedział po dłuższej chwili.**

**– Jak więc udaje się połączyć dwa miasta do Wymiany?**

**– Regulatory obu miast same zmieniają ich prędkość. To się dzieje bez naszego udziału.**

**– I nigdy się nie zatrzymaliśmy?**

**– Kiedyś... zanim do nas spadłeś, było naprawdę kiepsko. Panował głód. Wtedy miasto prawie się zatrzymało, by szybciej zrównać się z innym i doprowadzić do**

**Wymiany. Tylko raz tak było.**

**Jak ludzie mają nie wierzyć w Cel, kiedy dzieją się takie rzeczy? – pomyślałem. Przecież miasta w jakiś sposób muszą widzieć się nawzajem.**

**\* \* \***

**Oprócz wody postawiłem miskę z przygotowaną przez obserwatora potrawką z królika, cukini i pomidorów. Lubiła to kiedyś. Obszedłem wszystkie sieci, choć nie słyszałem gongu. Sprawdziłem naciągi, przebiegłem po sieciach wokół miasta wykonałem kilkanaście podniebnych skoków, a nawet pozwoliłem sobie na krótką drzemkę w ogromnym hamaku. Teraz nikt nie mógł mi zabronić.**

**Gdy słońce zbliżało się do gaśnięcia, wróciłem do mojego sznurka. Zawiązałem węzeł w miejscu, w którym wychodził za pokład. Zerknąłem w dół. Widziałem wyraźnie żółtą kokardę. Szarpnąłem i sznurek wy dostał się z luźnego wiązania. Wciągnąłem go na pokład i rozciągnąłem wzdłuż całej szerokości miasta. Oznaczona węzłem odległość była minimalnie większa.**

**Przywiązałem do końca sznurka następnego ziemniaka. Chwyciłem sznurek w miejscu, gdzie znajdował się supeł i wszedłem na sam koniec jednego z wysięgników napędowych. Znow zawiązałem na linie wstążkę, ale tym razem w górze. Przytknąłem patyk pionowo do liny, opierając go dołem o obudowę napędu. W chwili gdy wstążka zrównała się z końcem patyka, wyrzuciłem ziemniaka. Szarpnięcie nastąpiło po krótkiej chwili. Przyłożyłem dłoń do liny. Wstążka przesunęła się o mniej niż połowę długości palca wskazującego.**

**Gdy, siedząc na napędzie, robiłem w pamięci obliczenia, wstążka doszła do szczęk. Byłem ciekaw, jak ją przemielą, ale stało się coś, czego się nie spodziewałem. Szczęki rozchyliły się minimalnie, a konstrukcja miasta jęknęła. Nie mogłem w to uwierzyć! Szczęka zamknęła się ponownie po kilku minutach, gdy wstążka wyszła spod spodu. Patrzyłem jeszcze długo na szczęki, próbując zrozumieć, co zobaczyłem.**

**\* \* \***

**Obie miski były opróżnione. Przyniosłem nową wodę i usiadłem przed klatką. Obecność Hersis rozpraszała mnie, ale miałem nadzieję, że przynajmniej jej jest różnie. Zastanawiałem się, czy to zawinięte w brudny materiał uosobienie nieszczęścia nie jest już dla mnie zbyt obce. Czy ja wciąż wierzyłem, że ona z tego wyjdzie? Nawet jeżeli nie, to nie mogę odbierać jej jedynej szansy.**

**Sigg dał mi drugą księgę, tę znaną przez Nykę w Wymarłym Mieście. Powiedział, że do końca życia nie zapisze nawet tej pierwszej.**

Tak więc miałem teraz własną księgę. Pomyślałem, że muszę ją jakoś zabezpieczyć przed deszczem. Sigg miał skrzynie i dach z brezentu, a mój kął przeciekał nawet podczas silniejszej mżawki. Postanowiłem przechowywać księgę u Sigga.

Otworzyłem ją na pierwszej stronie. Nie było żadnych rysunków, tylko litery, wyrazy, zdania. Na razie nie miałem chęci tego czytać, ale potem może to być dobre ćwiczenie. Dwunasta strona była zapisana do połowy, dalej był tylko pożółkły papier.

Wziąłem do ręki pióro i napisałem na górze trzynastej strony: „Dzień 5502”. Przyjąłem bowiem numerację Sigga. Ciężko było przestawić się z wielkich liter, pisanych patykiem po piasku, na pióro i papier. Wychodziło mi nieco krzywo, ale wiedziałem, że muszę oszczędzać powierzchnię papieru, bo następnej księgi mogę już nigdy nie zdobyć.

Pod datą zapisałem: „Miasto w ciągu jednej doby pokonuje w górę odległość niewiele większą niż dwie szerokości głównego pokładu.” Było to pierwsze zdanie napisane przeze mnie na papierze. Przyglądałem mu się chwilę, po czym dodałem następne: „Prędkość spadania ziemniaka ze spadochronem jest co najmniej tysiąc razy większa, niż prędkość wznoszenia miasta.”

Odłożyłem pióro. Nie byłem pewien, co chcę zrobić, ale wiedziałem, że będzie to polegało na spadaniu. W przeciwieństwie do innych, czułem że jeśli jakikolwiek Cel istnieje, to znajduje się w dole. Przecież każda rzecz podrzucona do góry spada w dół.

To nie było jednak takie proste. Obwinięcie ziemniaka sznurkiem i zawiązanie czterech supłów na rogach chustki było niczym, w porównaniu z uszyciem podobnego spadochronu dla człowieka. No i nie mieliśmy żadnej szwaczki.

Matematyka bardziej zaawansowana od tej, którą znałem, pomogłaby mi policzyć to dokładniej. Tak musiałem liczyć wszystko ze sporym przybliżeniem.

Zobaczyłem cień padający na papier. To była Phora.

–Nie dasz jej umrzeć – powiedziała, gdy uniosłem głowę.

–Może ta choroba nie zabija tylko prowadzi do szaleństwa? – Wstałem. – Yerest wyskoczył, wyskoczyła Zera, a ta dziewczyna nie – sami ją zabiliśmy. Może to zależy od wieku? Może młody organizm da się wyleczyć?

–Choroba jej nie zabiła, ale za kilka dni umrze z wycieńczenia.

–Przynoszę jej wodę i jedzenie...

–Jesteś uparty jej kosztem. Zjadła królika, a potem większą część zwymiotowała.

**–Mówiłaś, że nie znasz lekarstwa.**

**Phora spojrzała gdzieś w bok.**

**–To nie jest lekarstwo. To postawienie sprawy na ostrzu noża. Ostateczna mobilizacja organizmu do zwalczenia choroby.**

**–Umrze od razu, albo od razu wyzdrowieje? – zapytałem.**

**–Podać go można właśnie teraz, gdy organizm dobrze zna wroga. Na jutrzejsze południe wywar będzie gotowy. Ty wymyśl, jak ją zmusić, żeby go wypła.**

**\* \* \***

**–Tu nie ma żadnej przyszłości – oświadczyłem. – Tym bardziej teraz.**

**Wieczór był ciepły. Pachniało odległym deszczem.**

**–Sprzedamy się do innego miasta – odparł Sigg, po raz pierwszy od pamiętnej nocy zapalając fajkę. – To nasze dołączy do sporej liczby miast-widm, wspinających się bez celu.**

**–Nie wierzysz przecież w Cel – powiedziałem. – A nawet jeśli Cel istnieje, to za naszego życia miasto do niego nie dotrze. Nie chcę spędzić całego życia na łątaniu sieci. To nie jest mój... cel.**

**–Czasem mnie przerażasz.**

**–Przerażę cię jeszcze bardziej. Zamierzam skonstruować spadochron i sprawdzić, co jest w dole.**

**Sigg ściągnął okulary; zawisły na sznurkach na wysokości jego brzucha. Wyjął fajkę z ust i patrzył na mnie długo, jakby badał, czy mówię poważnie.**

**–Nie wierzę w Cel – przyznał – ale co będzie, jeśli... nie mamy racji i Cel naprawdę istnieje? To, co chcesz zrobić, oznacza cofnięcie się w dążeniu do Celu o wiele pokoleń.**

**–Tracisz coś niematerialnego, w co nawet nie wierzysz.**

**–Masz w ogóle pojęcie – zapytał – że możesz tak spadać do końca życia i wciąż widzieć to samo? Możesz minąć ostatnie miasto i... tam niżej nie będzie już nic.**

**–Przynajmniej w trzy dni pokonam dziesięć razy dłuższą drogę niż z miastem do góry w cały rok. To jest nieprównanie większa szansa, że odkryję coś innego.**

**–Gdyby to był naturalny kierunek, to miasta opadałyby w dół, zamiast się wznosić.**

**–Polecę przecież tam, skąd miasta przyjechały. Tam, gdzie je stworzono! Tam musi coś być!**

**–Jak sobie wyobrażasz to coś?**

**–Antycel... Pokład, taki jak nasz, z okrągłymi otworami z których wystartowały miasta. Nie wiem jak duży ma być ten pokład. Może nawet większy niż dziesięć miast. Sam nie wiem... Kiedyś wyobrażałem sobie połączone trapami miasta. Dziesiątki miast... Może tak duże coś nie ma prawa istnieć i nie rozlecieć się. Kapitan twierdził, że nawet dwa miasta nie mogą pozostawać połączone dłużej niż kilka dni.**

**–Nie potrafię wyobrazić sobie niczego większego niż dwa połączone miasta. Mogę powiedzieć „sześć miast”, ale nie idzie za tym obraz sześciu miast. To za dużo jak dla mnie. Widzę za to rzeczy, których ty nie dostrzegasz. Chcesz na przykład wykonać spadochron, a nie umiesz szyc.**

**–Mogę się nauczyć. – Wzruszyłem ramionami.**

**–Musisz zdać sobie sprawę, że nawet lecąc z zamkniętym spadochronem – zamknął na chwilę oczy i coś liczył – za kilka godzin dotrzesz dopiero do miejsca swojego urodzenia, czy może raczej miejsca, gdzie wpadłeś nam w sieci. To może wydawać się imponującym tempem, ale nie jestem pewien, czy można przeżyć kilka godzin spadania. Ja sobie to spadanie wyobrażam jak zmaganie się z bardzo silnym wiatrem. Tak silnym, jakiego jeszcze nigdy nie czuleś. Pamiętaj, że po drodze będą jeszcze inne miasta, o które możesz się rozbić.**

**–Będę miał spadochron – powiedziałem bez przekonania.**

**–Raz otwarty spadochron chyba nie da się złożyć w locie. Według moich pobieżnych wyliczeń, w miesiąc dotarłbyś do miejsca, gdzie to miasto było trzy pokolenia temu. Wtedy rodzili się najstarsi z żyjących... Co zamierzasz jeść i pić przez ten czas? Osobiście myślę, że spadanie dłuższe niż kilka godzin jest ponad ludzkie siły.**

**Zmarszczyłem brwi. Sigg miał rację. Widocznie dlatego istniały rady starszych, a nie rady młodszych. Na razie mój pomysł wyglądał głupio i naiwnie, ale to nie znaczyło, że jest do niczego. Wymagał tylko solidnego przemyślenia i kilku modyfikacji.**

**Nie potrafiłem jednak pojąć, dlaczego sam brnę w coś, co mnie przeraża.**

**\* \* \***

**Wisiałem uczepiony liny w samym środku Nieba. W zasięgu wzroku nie było**

żadnego miasta. Widziałem tylko kilka innych lin, niezwykle wolno przepływających w bok. A może to ja się obracałem? Zastanawiałem się, co zrobię, kiedy opadnę z sił. Czy puszcze się liny, czy też będę ją trzymał do końca, aż palce same odmówią posłuszeństwa?

W oddali rozpoznałem znajomy kształt. Sokół zbliżał się szybkimi ruchami skrzydeł. Nieważne czy leciał z pomocą, czy raczej chciał mnie zabić – nie mogłem uciec. Gdy był już bardzo blisko wyciągnął przed siebie łapy i wydał donośny pisk. Szpony wbiły się w moje ramiona i obudziłem się z krzykiem.

Phora trzymała mnie za ramię. Chwilę jeszcze trwało nim wróciłem na jawę i dojrzałem w jej drugiej dłoni parujący tygielek z zanurzoną łyżką. Skinąłem głową i wstałem. Słońce dopiero się zapaliło i było jeszcze dość chłodno. Podeszliśmy do wspornika, na którym stała klatka. Zielarka wręczyła mi napełniony miksturą kubek. Powąchałem zawartość i skrzywiłem się. Ledwo umoczyłem usta, poczułem mdląco-słodki, ciężki smak. Ciężko byłoby namówić nawet kogoś zdrowego do wypicia tego paskudztwa.

Postawiłem kubek i popchnąłem go przed samą klatkę. Hersis z głową przykrytą kocem wysunęła tylko rękę, chwyciła kubek i odrzuciła go w moim kierunku. Phora podniosła go, napełniła ponownie i podała mi.

–Wypij. – Przynurzałem kubek do kraty. – To jest lekarstwo.

Machnęła tylko ręką, posyłając naczynie w Niebo. Phora podała mi następny parujący kubek. Nie było sensu stawiać go przed klatką. Zamknąłem oczy i odetchnąłem kilka razy. Starłem dłonią czarną linię. Wyprostowałem się. Kubek w mojej dłoni drżał, w parującej zawartości tworzyły się i nakładały na siebie drobne fale. Zrobiłem krok i postawiłem stopę na zakazanym terenie. Czarnowłosa poruszyła się nieznacznie. Zrobiłem kolejne trzy kroki. Szczypcami rozwarłem drut zamykający klatkę. Zobaczyłem kątem oka, że Phora powoli się cofa. Przełknąłem gęstniejącą ślinę i otworzyłem furtkę. Na ten dźwięk Hersis zerwała się na czworaka i wbiła we mnie spojrzenie czarnych oczu. Zatrzymałem się. Wyglądała okropnie: gładka błyszcząca skóra napinała się na kościach policzkowych i szczęce. Włosy cofnęły się, jakby ustępując miejsca wypukłemu czołu.

Przyklęknałem obok, starając się przewidzieć jej następny ruch.

–Wypij to – powiedziałem łagodnie.

Byłem gotów natychmiast się cofnąć, gdyby tylko próbowała wykonać jakiś gwałtowny ruch, choć szanse na ucieczkę i tak były minimalne. Spojrzała na kubek, potem znienacka rzuciła się na mnie nim zdążyłem drgnąć. Mimo wycieńczenia była bardzo szybka. Zatrzymała się jedną ręką obejmując mnie za kark, drugą trzymając w

**górze w połowie ciosu. Zakrzywione w szpony palce celowały w moją szyję. Serce przestało mi bić, a po chwili mocniejszym uderzeniem wróciło do przyspieszonego rytmu. Czułem jej cuchnący oddech. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy i prawie widziałem w niej coś z dawnej Hersis. Opuściła rękę i rozprężyła się, zwiędła, klękając naprzeciwko z opuszczoną głową.**

**Zdarty paznokieć już odpadł i rana zaczęła ropyć. Pulsowała w rytmie uderzeń serca. Na dłoniach i ramionach widać było kości, żyły i ścięgna. Kręcone włosy były bardziej matowe, rzadsze i splątane.**

**–Skończy się?... – zapytała chrapliwym szeptem. Zdrętwiałem.**

**–Tak.**

**Wzięła kubek i znajomym, ludzkim ruchem przechyliła, wlewając w siebie zawartość. Krótki kaszel przeszedł w charkot. Chciałem ją pocałować, przytulić, zrobić cokolwiek, ale bałem się. Wstałem i wyszedłem, zamykając klatkę na drut.**

**Nyka stał na pokładzie i celował we mnie dzidą.**

**–Właź do klatki – powiedział.**

**–Co ty... – zaprotestowałem zaskoczony. Spojrzałem na Phorę, ale Nyka przesunął ostrze w jej kierunku i cofnęła się dwa kroki.**

**–Czy nie to samo zrobiłeś ze mną? – zapytał.**

**–Dobrze wiesz, że miałem jedyną szansę, żeby odizolować chorych. Nie wiedziałem, czy piłeś wino.**

**–Odizolowałeś dzieci i kilkoro naszych, którzy na pewno nic nie pili.**

**–Jak niby miałem się dowiedzieć kto nie pił wina? Jak miałem ich oddzielić bez wzbudzania podejrzeń?**

**Nyka milczał chwilę, wreszcie powiedział:**

**–Byłeś w klatce. Możesz być zarażony.**

**–Jeśli tam wrócę, na pewno się zarażę.**

**Cesenu przysłuchiwał się naszej rozmowie. Podszedł do Nyki.**

**–Daj spokój. – Wyrwał mu dzidę. – Nie zraniła go. Przez oddech się nie zaraził.**

**Nyka odburknął coś wyjątkowo nieuprzejmie i uciekł pod pokład do którejś ze**



swoich kryjówek.

–Odważne, ale głupie – powiedział do mnie Cesenu i odrzucił dzidę pod pokład dowodzenia.

Położyłem się w najbliższych zwojach lin i ciężko oddychałem, patrząc w Niebo. Kilka minut później Hersis jęknęła po raz pierwszy. Poczułem, że nie mam dość sił by obserwować jej ostateczną walkę z chorobą. Phora usiadła na wprost klatki, więc udałem się na najwyższy pokład ogrodniczy, skąd nie będzie nic widać, a miałem nadzieję, że słyhać też nie. Gdzieś pod pokładem głównym siedział Nyka, zatem postanowiłem na razie tam nie schodzić – nie miałem ochoty go widzieć. Pozostawały mi pokłady ogrodnicze. Ten najwyższy był wąskim pomostem, służącym właściwie tylko zbieraniu owoców roślin pnących.

Jęki i mamrotania chorej dochodziły jednak i tu. Zapewne nie było miejsca, gdzie dałoby się przed nimi ukryć. Można było oczywiście wejść jeszcze wyżej, po masztach, aż na sieć górną. Nie miałem lęku wysokości, ale tam czułem się niepewnie. Wchodziłem tam tylko, jeśli z dołu Passin wypatrzył uszkodzenia – sieć była wykonana tak, by wszelkie przedmioty zsuwały się z niej na sieci boczne, skąd łatwiej było je wyciągnąć.

Z dołu dobiegło mnie kilka głośniejszych krzyków. Zamknąłem oczy. Najgorsza była bezsilność. Teraz nie mogłem jej w żaden sposób pomóc. Zaczynałem mieć wątpliwości, czy nie powinienem od razu, na początku ulżyć jej cierpieniom, tak jak tego chcieli wszyscy i ona sama... Nie! To by oznaczało rezygnację z jedynej szansy.

Zszedłem niżej, licząc na to, że po przeciwnej stronie miasta będzie mniej słyhać. Niebo było jednostajnie błękitne, widziałem tylko kilka innych lin, tnących je pionowo na części. Dobrze, że na razie w zasięgu wzroku nie było innych miast – był czas do namysłu.

Wychyliłem się przez barierkę. Daleko w dole, na długiej linie bujał się trup chorej dziewczyny. Jeszcze tydzień i będzie można go odciąć. „By zwolnić miejsce dla następnej”, podpowiedziało mi coś.

To na nic. Tylko projektując, byłem w stanie zapomnieć na chwilę o Czarnowłosej. Zszedłem więc do siebie i otworzyłem księgę. Przestałem słyszeć krzyki. Nie było nic poza mną, myślami i papierem. Po godzinie miałem obmyślane i narysowane w ogólnych zarysach coś, co nazwałem spadaczem. Wyglądało to jak zmniejszony model miasta. Dwa pokłady trzymające się na stalowej konstrukcji, dół zaostrowany jak dzida i osłonięty przed pędem powietrza naciągniętym płótnem. Nad tym wszystkim znajdował się duży spadochron uwiązany w czterech rogach linkami, z dodatkową linką po środku. Wszystkie linki można było nawinać na kołowrotki. Zwijając boczne, można było skręcać i omijać miasta po drodze, a środkowa

**pozwalala zwinac spadochron i przyspieszyc.**

**Zszedlem do Sigga.**

**-Z czego chcesz wykonać tego... spadacza? – zapytał, gdy obejrzał projekt.**

**-Z niepotrzebnych kawałków miasta. Szkoda, że nie mamy już do dyspozycji elementów wymarłego miasta.**

**-Pomysł z regulowanym spadochronem jest bardzo dobry – przyznał Sigg. – Trójkątne elementy nośne też. Trójkąt to bardzo wytrzymały kształt przy tego typu konstrukcji. Technicznie masz zadatki na geniusza, ale powinieneś bardziej myśleć o realiach. Nie mamy kowala, który mógłby połączyć w całość te stalowe belki. Nie zwiążesz ich przecież sznurkiem.**

**Znów miał rację. Przeoczyłem oczywistość. Może dlatego, że bez reszty pochłonęła mnie sama idea.**

**-Problemów jest więcej – powiedziałem. – Nie wiem na przykład, jak wytrzymały musi być spadochron i jego mocowanie.**

**-Znasz się na sieciach. Wyobraź sobie to w znajomy sposób: sieć musi wytrzymać ciężar ładunku.**

**-Zrobiłem wykres, licząc czas spadania przedmiotów o różnej wadze i wielkość spadochronu. Materiału mamy aż nadto...**

**-Wykres? – zdziwił się. – Nie uczyłem cię o wykresach.**

**-Na początku twojej książki jest ich kilka. Domyśliłem się o co chodzi...**

**-Ach tak... no tak... Czy to tutaj – wskazał na rysunku dolny pokład – to miejsce na... klatkę?**

**Spuściłem wzrok.**

**-Nie mogę jej tu zostawić...**

**Sigg pufnął i położył mi rękę na ramieniu. Po raz pierwszy zrobił to tak, że nie czułem się dzieckiem.**

**-Rozmawiałem z Phorą – powiedział. – To co zrobiłeś, było bardzo odważne. Do wieczora wszystko się wyjaśni. Tak czy inaczej, klatka nie będzie dłużej potrzebna.**

**Śniła mi się otwarta klatka i spadające z Nieba pióra. Gdy się zerwałem, z przerażeniem stwierdziłem, że klatka naprawdę jest otwarta. Rozejrzałem się, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo.**

**Wbiegłem na górę do kabiny zielarki. Czarnowłosa leżała w łóżku i oddychała niespokojnie. Oddychała! Spała. Wyglądała słabo i bezbrannie, ale przynajmniej znikła chorobliwa gładkość skóry. Phora musiała ją wykąpać, tylko włosy wciąż były splątane.**

**Przespałem najważniejszy moment! Wziąłem między swoje dłonie jej kruchą rączkę i zacząłem płakać ze szczęścia.**

**\* \* \***

**Przez kilka następnych dni Hersis leżała u Phory. Powoli odzyskiwała siły.**

**Przesiadywałem u niej godzinami, ale i tak przez większość czasu spała. Nie próbowałem z nią rozmawiać. Była słaba. Zielarka powiedziała, że otarła się o śmierć, a może nawet była kilka minut po tamtej stronie.**

**Nie porzuciłem pomysłów skonstruowania spadacza. Wróciłem do tacki z pyłem i patyka, by nie marnować bezpotrzebnie miejsca w księdze. Na papier nanosiłem tylko najważniejsze spostrzeżenia. Sigg wciąż wytykał mi kolejne błędy, ale w końcu musiał przyznać, że jedyne, co naprawdę może mnie powstrzymać to brak kowala i szwaczki. Cesenu wykazał pewne zainteresowanie moimi projektami. Obiecał, że jeśli będzie miał czas i będzie potrafił, to pomoże mi w budowaniu.**

**Wciąż nie wyszedłem poza etap rysowania.**

**Nyka przychodził tylko na posiłki, potem bez słowa znikał pod pokładem. Obraził się dokładnie na wszystkich, za to że trzymają moją stronę.**

**Kurczył się nam zapas wody, a na deszcz wcale się nie zanosilo. Wspólnie z Cesenu związaliśmy kilkanaście płacht brezentu, by móc szybko je rozciągnąć i zebrać wodę do beczek. Ścieki wypuszczaliśmy ze zbiornika wstępnego wprost w Niebo, tracąc tym samym i wodę, i cenny nawóz. Ktoś kilka albo i więcej lat niżej złapie to może w postaci pyłu i wykorzystają. Połowa roślin, z tych przeznaczonych do zachowania, już uschła, bo nie mogliśmy zużywać wody do ich podlewania. Nigdy nie przypuszczałem, że obrzydnie mi mięso, a teraz moment ten stawał się coraz bliższy. Nie mieliśmy czym karmić takiej ilości królików i codziennie jeden albo dwa trafiały do kotła.**

**Vaunee nie porzuciła kucharzenia, wychodziło jej to zresztą coraz lepiej, ale sama była w coraz gorszym nastroju. Zdarzało się jej całymi godzinami patrzeć w Niebo. Może wypatrywała miasta, na które mogłaby stąd uciec. Nikt nie próbował nawet**

**udawać, że jest tu szczęśliwy.**

**–Masz delikatne ręce – powiedziałem pewnego dnia, gdy stała przy barierce. – Pomogę ci zmywać.**

**Uśmiechnęła się i przytuliła mnie, stając za mną, przyciskając mnie niemal do barierki. Była wyższa. Jej dłonie leżały na moim sercu, a moja głowa oparła się o jej piersi jak o miękką, pachnącą poduszkę. Było mi dobrze.**

**–Przyjdź do mnie dziś po zgaśnięciu – szepnęła, dotykając brodą czubka mojej głowy.**

**\* \* \***

**Cesenu spalił zawartość klatki, ale jej samej nie demontował. Nie pytałem czemu.**

**Zszedłem na dół, mając nadzieję nie natknąć się na Nykę. Obejrzałem sobie potężne belki konstrukcyjne miasta i stwierdziłem, że nie znam sposobu, w jaki można by część z nich wymontować. A nawet, gdybym znał ten sposób to nie wiedziałem, jak ustalić, bez których miasto się nie zarwie pod własnym ciężarem. Wyszło mi w końcu, po kilku godzinach mierzenia i liczenia, że najłatwiej będzie wykorzystać elementy najwyższego, lekkiego pokładu ogrodniczego. To wymagało nieznacznej zmiany mojego projektu.**

**Myślałem już jednak o czymś innym. Pomysł, który pojawił się niespodziewanie, przeraził swoim rozmachem mnie samego. Rozwinąłem i pomierzyłem wszystkie płachty materiału jakie mieliśmy. Nie znałem dokładnej masy miasta, ale w dużym przybliżeniu powinno wystarczyć.**

**\* \* \***

**Czarnowłosa leżała na wznak i spała. Przyglądałem się jej tęsknie.**

**–Musimy dać jej jeszcze trochę czasu – powiedziała Phora. – Myślę, że za kilka dni będzie mogła iść na pierwszy spacer.**

**Wyszła, zostawiając nas samych. Siedziałem tam godzinę, może dłużej, trzymając Hersis za rękę. Przez sen zaciskała palce. Powoli odzyskiwała swoją urodę i siły, ale było jeszcze coś... Może to tylko dlatego, że widziałem ją tyle czasu w złym stanie, a może wszystkie dziewczęta zmieniają się w tym wieku... Miałem wrażenie, że jest starsza o kilka lat. Wyglądała inaczej, jakby choroba coś w niej pozostawiła.**

**Gdy przyłapałem się na tym, że moje myśli wybiegają w stronę wieczoru, pocałowałem Czarnowłosą w czoło i wyszedłem.**

Spróbowałem skupić się jeszcze przez jakiś czas i udało mi się to, gdy wziąłem księgę, i z wysuniętym językiem zacząłem szkicować plan. Skończyłem, gdy słońce zniżało lot. Wziąłem księgę i pobiegłem do Sigga. Pokazałem mu szkic przedstawiający ażurową, kulistą konstrukcję z wielkim i skomplikowanym układem spadochronów na górze. Efekt kilku dni moich rozmyślań i wyliczeń.

–To wygląda, jak... nasze miasto. – Sigg spojrzał na mnie z niepokojem.

–To jest nasze miasto – przytaknąłem. – Gotowa konstrukcja spadacza z gotowymi mocowaniami spadochronów. – Wskazałem poziome i pionowe maszty trzymające sieci. Oddzielny schemat przedstawiał liny wraz z systemem naciągów.

–To miasto ma mieszkańców...

–I tak chcecie je opuścić. Usuniemy wszystkie zbędne elementy i odciążymy całość. Skoro miasto ma stać się miastem-widmem, to lepiej zamienić je w spadacza. Połowę żagli rozwiniemy od razu, a część z nich będzie służyła jako stery do wymijania innych miast. Cała reszta posłuży do spowolnienia spadania, gdy już dolecimy do...

–Do Celu?

–Do czegokolwiek.

Sigg nie pufnął. Przyglądał się rysunkowi z powagą.

–Obmyśliłeś wszystkie szczegóły? Wiesz ile osób będzie koniecznych do sterowania tymi wszystkimi żaglami? Czy naciągi wytrzymają?

Słońce prawie już gasło.

–Zastanowię się jutro...

Zostawiłem mu moją księgę i zszedłem na pokład główny. Daleko na północy coś błysnęło kilka razy pod rząd. Jeśli wiatr się nie zmieni, to wkrótce możemy mieć solidną burzę. I deszcz. Tarcza słoneczna była już ciemnoczerwona. Spojrzałem na pomost, prowadzący do kabiny kapitana. Zrobiłem kilka głębokich wdechów i wykonałem pierwszy krok.

Nie byłem tu nigdy wcześniej. Kabina znajdowała się za pokładem dowodzenia, poniżej pokładów ogrodniczych. Wiedziałem, że były jeszcze dwa dodatkowe wyjścia. Jedno prowadziło w dół, na pokłady techniczne, drugie na tarasy ogrodowe.

Czułem własne, przyspieszone tętno. Zapukałem, otworzyłem metalowe drzwi i

**wszedłem. Fotele, stół, skrzynie, materiały na ścianach... Nie widziałem nigdy tyle bogactwa w jednym miejscu, ale najwspanialsze ze wszystkiego było wielkie południowe okno, otwierające się teraz na Niebo, przechodzące od płomiennego gaśnięcia do gwiazdzistego granatu wczesnej nocy. Na stoliku obok stała mosiężna tulejka elektrycznego oka – dar od Czarnowłosej. Północna krawędź soczewki jarzyła się czerwienią. Wszystko to jednak zauważyłem jedynie kątem oka i w ułamku sekundy. Całą uwagę skupiłem bowiem na dziewczynie. W świetle lamp oliwnych Vaunee na wpół siedziała, na wpół leżała na wielkim łożu zajmującym środek kabiny. Podszedłem bliżej, stając na końcu narzuty z setki chyba skór króliczych. Vaunee miała na sobie półprzezroczystą koszulę. Uśmiechnęła się do mnie, przechylając głowę. Czarne włosy zjechały jej po ramieniu.**

**Przełknąłem ślinę. Wiedziałem, co trzeba robić. Nieraz rozmawialiśmy o tym z innymi chłopcami. Tyle, że nigdy jeszcze tego nie robiłem.**

**Vaunee stanęła obok łóżka i teraz mogłem ją zobaczyć, na ile pozwalał półmrok i koszula. Ale to robiło jeszcze większe wrażenie. Patrzyła na mnie w zupełnie inny sposób. Nie wiedziałem na czym polegała ta różnica. Podała mi kielich z czymś słodkim i gęstym, mocniejszym od wina. Wypiłem łyk, a ona wzięła ode mnie naczynie i dopiła do dna.**

**Zakręciło mi się w głowie. Delikatne palce Vaunee pociągnęły nitkę pod szyją koszuli i materiał powoli opadł, formując u jej stóp pofałdowany krąg. Stała przede mną naga i uśmiechała się zachęcająco. Dotknąłem jedwabnej, matowej skóry, zanurzyłem ręce w pachnące włosy. Przegięła się do tyłu, mrużąc cicho. Opadła na łóżko. To, co nastąpiło potem, było czystym, zwierzęcym instynktem, którego istnienia u siebie nie podejrzewałem. Ciało wiedziało, co robić – umysł tylko obserwował.**

## 9. Spadacz

Wykonałem dziesiątki różnej wielkości modeli i sądziłem, że poznałem zależności między ciężarem, wielkością spadochronu i prędkością spadania. Kształt miasta i układ spadochronów nie zapewniał doskonałej stabilności lotu i wymagał precyzyjnych obliczeń. Miałem nadzieję, że wyliczyłem wszystko. Czy dobrze – miało się okazać już wkrótce.

Cesenu bardzo się przydawał. Wolał to niż, żmudne i już na wstępie skazane na niepowodzenie, próby rozszyfrowania i naprawy kanalizacji. Sprawnie przemontowywał mechanizmy miasta według moich instrukcji, tłumacząc moją teorię na praktykę. Sigg wpadał co jakiś czas i dodawał własne pomysły i uwagi. Martwiło mnie, że sporo z tych uwag dotyczyło sposobów uniknięcia katastrofy. Gdyby nie obserwator, mój spadacz miałby tyle błędów, że cała podróż w dół na dziesiątki sposobów mogłaby zakończyć się źle. Jeszcze bardziej martwiło mnie to, że obserwator mógł któregoś z moich błędów nie zauważyć.

Nie byłem przecież konstruktorem, miałem prawo popełniać błędy. Jeśli jakieś się ujawnią, wszystko przepadnie.

Po trzech dniach byliśmy w połowie pracy. Tak nam się przynajmniej wtedy wydawało. Liny oznaczone numerami leżały na pokładzie w równych zwojach. Teraz trzeba było znaleźć sposób, by połączyć je z płachtami materiału, tak by wszystko nie podarło się na strzępy od razu, na początku lotu. Na wszelki wypadek, zaprojektowałem kilka niezależnych zespołów spadochronów. Martwiły mnie naciągi lin, wymontowane z mocowań sieci. Były to proste mechanizmy – kółko zębate z korbą i zapadką. Wydawały mi się zbyt delikatne, ale nie miałem jak sprawdzić, czy wytrzymają. Nie miałem też niczego, czym można by je zastąpić. Postanowiłem więc, niezależnie od nich, zamocować końcówki lin do belek konstrukcyjnych.

\* \* \*

–Jesteś gotowa? – zapytałem.

Hersis przytaknęła i odsunęła koc. Nie była już tak chuda, ale wciąż nie odzyskała sił. Założyłem jej buty. Wsparła się na mnie i wstała. Mogła sama chodzić, ale zdarzały się jej zawroty głowy, więc na wszelki wypadek trzymała mnie pod ramię.

Odetchnęła głęboko świeżym powietrzem. Czuć w nim było wilgoć i nadchodzącą burzę. Teraz wyraźnie widać było granatowoszary kłęb, zbliżający się z południa na naszej wysokości. Mniejsze chmury, jak szare macki, brudziły Niebo na większym obszarze. Błyskawice przeskakiwały między linami poniżej i powyżej burzy lub cięły niebo pionowymi kreskami ognia.

**–Lepiej się czujesz?**

**Mruknęła potakująco. Nie chciała rozmawiać o chorobie. Nie nalegałem.**

**–Sądziś, że to przypadek – zapytała – że zostaliśmy tu sami z taką ilością dóbr? Przecież nic nie dzieje się przypadkiem.**

**–Wszystko dzieje się przypadkiem.**

**Szybko po sobie następujące błyski rozświetlały burzową chmurę. Zamknąłem jedno oko i spróbowałem sobie wyobrazić, że chmura w rzeczywistości jest bardzo mała i wisi tuż przed moim nosem, na wyciągnięcie ręki.**

**–Phora powiedziała, że planujesz wycześcić wszystkie liny i spaść z miastem w dół – powiedziała Czarnowłosa.**

**–Zauważyłaś, że tutaj nikt nie patrzy w dół, w przeszłość? – zapytałem. – To przecież takie oczywiste. Takie oczywiste... Tajemnica nie leży nad nami, nie zmierzamy wcale do jej rozwiązania. Tajemnicą jest nasze pochodzenie. Tam, w dole.**

**–Jest jedna luka w twoim rozumowaniu – powiedziała Hersis. – Liny nie mają końca.**

**–Wszystko ma początek i koniec.**

**–Zobacz. – Zdjęła z palca pierścień i podetknęła mi go pod nos. – Gdzie on się zaczyna i gdzie kończy?**

**–Nikogo nie będę zmuszał. Zaczekam, aż wszyscy odejdą. Wszyscy, którzy chcą.**

**Uśmiechnęła się do mnie.**

**–Wpisz mnie na listę chętnych – powiedziała i oparła policzek o moje ramię.**

**–Nie mam pojęcia, co jest tam w dole – szepnąłem.**

**–Przekonamy się...**

**Zeszliśmy na pokład główny. Czarnowłosa dotknęła dłonią liści Drzewa. Uśmiechnęła się.**

**Przez kraty pokładu widziałem Nykę, snującego się korytarzami dwa poziomy niżej. Teraz już wyraźnie ustaliła się między nami granica terytoriów, wyznaczona przez pokład główny.**

**Hersis zaczęła drzeć z zimna. Odprowadziłem ją do łóżka. Pod kocem dreszcze minęły po kilku chwilach.**



**–Phora mówi, że to jeszcze kilka dni – powiedziała.**

**–Zastanów się, czy na pewno chcesz... spaść.**

**–Wiem, że masz rację. Ty musisz mieć rację.**

**Spuściłem głowę i pokręciłem nią.**

**–Skąd czerpiesz tę pewność? Ja sam nie wiem, czy robię dobrze.**

**Być może jedynym powodem, dla którego chciałem spaść, była nudna perspektywa konserwacji sieci w kolejnym mieście lub wykonywania podobnych, do niczego nie prowadzących czynności. Nie mogłem nie brać pod uwagę tej motywacji.**

**Hersis już spała, zmęczona krótkim spacerem.**

**\* \* \***

**Brzegi kwadratowych płacht spadochronów należało obszyć gęstym ścięciem. Materiał z każdej strony trzeba było podwinąć raz lekko, a potem drugi raz mocniej, tak by po zszyciu trzech warstw powstał tunel, w który można będzie wprowadzić linkę. Linka ta dopiero była przywiązywana do liny nośnej. W pobliżu wylotów linki trzeba było wzmocnić płachtę drugą warstwą materiału i podwójnym szwem. Wymyśliłem to wszystko, patrząc na śpiącą Hersis.**

**Testowałem kolejne spadochrony, wyrzucając za pokład stalowy obciążnik, fragment jakiejś konstrukcji nie do wykorzystania w naszej sytuacji. Dzięki linie doczepionej do obciążnika, po przeprowadzeniu testu mogłem wszystko wciągnąć na pokład i wprowadzić niezbędne poprawki.**

**Największym problemem był brak chętnych do obszywania spadochronów. Zacząłem to robić sam, ale po całym dniu miałem obolałe palce, a wykonałem ledwie połowę pierwszego spadochronu. Miało być ich dziewięć, plus kilka mniejszych, rozmieszczanych po bokach. Tamtych przynajmniej nie trzeba było obszywać, bo obciążenia przenosiły się bezpośrednio na sieci.**

**Hersis pojawiła się na górze schodów, prowadzących do podupadającego królestwa Phory. Zeszła powoli na dół, trzymając się barierki. To był pierwszy obiad, który zjadła z nami. Nyka patrzył na nią podejrzliwie, jakby się bał, że się na niego rzuci. Pozostali byli bardzo uprzejmi, ale widać było, że wciąż pamiętali, jak wyglądała i zachowywała się kilka dni wcześniej.**

**–Umiem szyc – oświadczyła po posiłku. Usiadła obok mnie, na poduszce, wzięła igłę i kłębek, spojrzała, jak to robię i zaczęła szyc. Szło jej to znacznie sprawniej niż mnie i widać było, że ma wprawę. Do kolacji uszyła połowę następnego spadochronu,**

podczas gdy ja byłem daleki od skończenia swojego. Planowałem wykonać jeszcze jeden, największy, który mieliśmy rozwinąć przed samym Antycelem, żeby w niego nie uderzyć zbyt mocno. Czymkolwiek miałby być Antycel...

Na pokładzie dowodzenia pojawiła się Vaunee w jakimś zwiewnym szlafrocuku. Wychodziła właściwie coraz rzadziej ze swojej sypialni. Tylko po to, by przygotować obiad. Wydawała się być nieobecna. Zauważyłem, że Hersis spojrzała na nią z niechęcią, niemal ze złością. Odprowadziła ją wzrokiem i zaczęła szybciej szyć.

–Jak szybko będziemy spadać? – zapytała.

–Nie wiem dokładnie. Kilka lat na dobę.

Naciągnęła na plecy koc i w milczeniu szła bez przerwy do nocy. Uszyła tego dnia dwa spadochrony. Ja ledwie dokończyłem mój pierwszy. W tym czasie Cesenu skończył montować naciągi przyszłych lin. Przyśrubował je do belek konstrukcyjnych i sprawdził solidność mocowania. Po raz pierwszy mogłem powiedzieć, że robimy zdecydowane postępy.

\* \* \*

Burza kluczyła w pobliżu, nie mogąc zdecydować się na przypuszczenie ataku na miasto. Osłabła nieco, jednak wciąż Niebo rozdzierały groźne błyski. Wolałbym, żeby już była za nami i żebyśmy mieli wodę.

Po śniadaniu Hersis wróciła na poduszkę i przystąpiła do pracy. Jej palce nosiły liczne ślady spotkań ze szpicem igry. Nie przejmowała się tym, niezmordowanie przesuwał materiał, zawijając go i szyjąc. Oderwałem ją na chwilę od szycia i pocałowałem kolejno każdy jej palec. Spojrzała na mnie z wdzięcznością.

Uznałem, że wobec jej tempa moje szycie nie ma sensu. Zająłem się więc przygotowaniem lin, co szło mi znacznie lepiej. Nawijałem krótki odcinek na przygotowany przez Cesenu naciąg, końcówkę na wszelki wypadek dodatkowo wiążąc bezpośrednio do belki konstrukcyjnej, a drugą stronę mocowałem do pętli w rogu spadochronu. Miałem już wizję tego, jak wszystko rozwinie się i pięknie rozprostuje na wietrze. Jeśli nie sknocilem obliczeń, spadochrony powinny utworzyć trzy warstwy czasz ponad miastem.

Cesenu przyglądał się dłuższy czas naszej pracy.

–Martwi mnie jedna rzecz – powiedział w końcu. – Jak chcesz wyczepić naraz wszystkie napędy? Jeśli zrobisz to nierówno, miasto obróci się do góry nogami.

Napęd można było wyczepić, odbezpieczając i ciągnąc za dźwignię z boku. Potrzebny był jeden człowiek przy regulatorze i po jednym przy każdym napędzie.

Potrzebna była również doskonała synchronizacja. Na razie chętni do spadania byliśmy tylko ja i Hersis.

–Pracuję nad tym – odparłem.

\* \* \*

Dwa dni później Hersis skończyła szycie. Odłożyła igłę i spojrzała na swoje dłonie. Przerwałem rozciąganie bocznych spadochronów i podszedłem do niej.

–Dziękuję – powiedziałem.

–Moje ręce muszą trochę odpocząć – odparła, ale jej oczy się śmiały.

Patrzyliśmy na stertę obszytych spadochronów.

–Chcesz tego? – zapytałem.

–Tego właśnie oczekuję od życia.

Tak, czułem to samo. Porzucenie lin, porzucenie przewidzianego losu. Wycieczka w nieznane, bez możliwości powrotu.

–Jest! – krzyknął z góry Sigg. – Jest! Jest!

Wskazywał palcem na północ, poruszając ręką, jakby czymś rzucał. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę ale widać było tylko gęste kłęby znów rosnącej w siłę burzy. Nyka przybiegł z dołu i, zapominając o pretensjach, przypadł do barierki obok mnie.

–Miasto – dodał znacznie już spokojniej obserwator, choć wszyscy wiedzieli o co chodzi.

Dostrzegłem je po chwili. Czarna kropka na środku wiązki nieco ciemniejszej niż chmura. Kolejny piorun w połowie przebiegł zupełnie pionowo po jednej z ich lin rozwiewając wszelkie wątpliwości. Miasto. Nadchodził czas rozstania.

Miałem wciąż nadzieję, że Sigg zdecyduje się... spaść z nami. On jednak już pakował swoje kufry, choć do spotkania z tamtym miastem mogło nas dzielić kilka dni. Myślę, że starzy ludzie nie lubią zmian. Może gdybym miał nieco więcej, osiemnaście czy dwadzieścia lat, też nie zdecydowałbym się na coś takiego. Może z wiekiem przychodzi umiejętność zrobienia kroku w bok i przyjrzenia się całej sytuacji z dystansu. Jak się lepiej zastanowić, to nasza przyszłość nie zapowiadała się kolorowo. Brak Phory oznaczał koniec z lekami i medycyną, brak Cesenu to rozstanie z większą częścią wiedzy technicznej. Czułem, że mimo wszystko najbardziej będzie mi brakować Sigga z jego uniwersalną, choć mało praktyczną

mądrością.

Nie chciałem robić kroku w bok i patrzeć na to z dystansu. Mógłbym się przestraszyć własnych planów.

\* \* \*

Zszedłem na sam dół miasta i odciąłem linę, na której wisiał trup szalonej dziewczyny. Zdało mi się, że rozłożyła ramiona, ale to było niemożliwe – była przecież związana. To szary materiał wypełnił się wiatrem i rozwinął, jakby martwa dziewczyna miała skrzydła.

\* \* \*

Na szczęście wiatr wiał z północy, a to znaczyło, że zbliżanie muszą zacząć tamci. Na szczęście, bo wszystkie żagle przerobiliśmy na spadochrony. Pozostawało nam liczyć na to, że tamtym zależy na Wymianie. Mogli się nieźle wzbogacić, choć jeszcze o tym nie wiedzieli.

Wiązałem ostatnie liny do spadochronów, polegając na skomplikowanym schemacie, który rozrysowałem na dwóch sąsiadujących stronach mojej książki. Odległości odmierzałem, podzieliwszy pokład na dziesięć równych części.

Vaunee stała na pokładzie dowodzenia i uśmiechała się do mnie. Zgodnie z obietnicą zmywałem po każdym posiłku i niewątpliwie była mi za to wdzięczna.

–Ona zawsze będzie się trzymała blisko kapitana – powiedziała Hersis. – Może jeszcze nie zauważyłeś, ale tutaj kapitanem jesteś ty.

Czy to była zazdrość? Przełknąłem ślinę i opuściłem wzrok. Wcześniej nie myślałem, że robię coś nie tak, idąc wtedy wieczorem do Vaunee. Kobiety jednak patrzą na pewne sprawy w zupełnie inny sposób i inaczej niż my, domyślają się wielu rzeczy.

Czarnowłosa ścisnęła moją rękę mocniej niż zwykle.

Iskry zaczęły skakać po linach. Napędy szarpnęły kilka razy, a całe miasto zabujało się nieprzyjemnie. Czasem tak się działo podczas burzy. Dzieliły nas minuty od pierwszego uderzenia pioruna. Nie było to niebezpieczne, o ile ktoś się nie wychylał poza barierki.

Miasto zbliżało się dosyć szybko, a my przygotowywaliśmy się do połączenia. Miało nie być żadnej zabawy, muzyki czy tańców. Tamci mieli zabrać ludzi, zgromadzone przy trapie dobra i w pełni szczęścia się oddalić.

**Taki był plan. Stało się jednak inaczej.**

# 10. Rozstanie

Deszcz wyprzedził tamto miasto i dogonił nas godzinę przed połączeniem. W szarych smugach ledwo widzieliśmy jaśniejszy zarys ich żagli. Miasto było tego samego typu co nasze. Wygryziona kula, jak je nazywałem.

Rozstanie w deszczu. Nigdy z nikim się jeszcze nie rozstawałem i wołałem zrobić to szybko.

Sigg dał mi moją księgę, butlę atramentu i trzy pióra. Wszystko w wodoszczelnym, skórzanym worku. Płakał i ze wzruszenia nie mógł wydobyć z siebie słowa. Poklepał mnie po ramieniu i pokręcił głową.

–Nie dowiemy się, czy się wam udało. – Cesenu uścisnął mnie tak, że zobaczyłem gwiazdy.

–Nie będzie tak źle. – Phora pocałowała mnie w czoło i przycisnęła mocno do siebie.  
– Zdażyłam nauczyć ją paru rzeczy.

Nyka podał mi rękę, patrząc na moje buty.

–Mimo wszystko... powodzenia – mruknął. Nie wybaczył mi, a ja nie miałem o to żalu. Wszyscy tak naprawdę myśleli o nas jak o samobójcach i chcieli jak najszybciej znaleźć nowy dom.

Vaunee po prostu uścisnęła mnie bez słów. Ponad jej ramieniem napotkałem wściekły wzrok Hersis.

Cesenu wysunął trap, przesuając odpowiednią dźwignię na regulatorze. Oba miasta zareagowały zrównaniem prędkości. Wręcz poczułem pod stopami, jak zwalniamy wznoszenie. Przez chwilę zdawało mi się, że byłem lżejszy.

Tym razem nawet nie musieliśmy używać katapulty. Wyglądało na to, że miasta podchodzą do siebie aż za szybko. Musiałem przyznać, że znali się na swojej robocie. Zwolnione żagle opadły, a trapy znajdowały się niemal na wprost siebie. Cesenu, ja i Nyka złapaliśmy rzucone cumy i przywiązaliśmy je do haków. Tamci musieli tylko nieznacznie skorygować kurs, by trapy znalazły się dokładnie w jednej linii.

Oczekiwałem znajomego drgnięcia wszystkich mięśni, ale tym razem wstrząs był znacznie silniejszy. Gdy trapy były jeszcze oddalone od siebie, między ich końcówkami przeskoczyła solidna iskra.

–Ładunek elektryczny. – Cesenu spojrzał na mnie z uśmiechem. – Wystarczy nie

**trzymać barierki.**

**To było prawie jak zmierzwienie włosów, ale tym razem nie poczułem złości. Trapy zatrzasnęły zamki, tworząc pomost i cofnęły się nieco, amortyzując uderzenie. Wtedy poznałem to miasto i poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Miasto sokołów. Postać w płaszczu, która pojawiła się chwilę później, i tak musiałyby rozwiać wątpliwości, gdyby jakiegokolwiek mi pozostały.**

**–To nieprawda, że nie spotyka się dwa razy tego samego miasta. – Ptasznikowi udało się przekrzyczeć huk deszczu. – Tych miast się nie pamięta lub pamięć wraca zbyt późno.**

**Nie wyglądał wcale tak, jak go sobie wykreowałem w snach. Nie miał dzioba zamiast ust i nosa. W mojej pamięci wyobraźnia dopisała do jego wizerunku demoniczne cechy. Jedno, co się zgadzało to płaszcz podbity ptasimi piórami.**

**Piorun, który uderzył po jego słowach, spłynął setką żyłek po zewnętrznych pokładach miasta. Oświetlił stojących ludzi i znów mną zatrzęsł. Puściłem wreszcie barierkę.**

**Byłem przemoczony do ostatniej nitki i czułem się beznadziejnie. Obok mnie w niemym przerażeniu mokła Czarnowłosa.**

**–Nie obawiajcie się. – Ptasznik wodził wzrokiem po naszych twarzach. – Nie jesteśmy piratami i przestrzegamy zasad Wymiany. Kto u was dowodzi?**

**Przez chwilę nikt się nie ruszał. Wyglądali na wystraszonych, chociaż znali Ptasznika głównie z moich opowiadań. Po długiej chwili milczenia Sigg spojrział na mnie. Chwilę później zrobiła to Phora i pozostali.**

**–Ja – powiedziałem niezbyt zdecydowanie. I niezbyt chętnie.**

**Ptasznik pokiwał głową. Miał w sobie jednak coś ptasiego: duży zakrzywiony nos, ostre rysy twarzy, lekko przygarbioną, chudą sylwetkę.**

**–Dlaczego jest was tak mało? – zapytał.**

**Już otwierałem usta, by powiedzieć prawdę, ale w porę je zamknąłem. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że jeśli powiemy komuś o chorobie, to mogą bać się wziąć kogokolwiek do siebie.**

**–To był wypadek – improwizowałem. – Trapy zostały rozdzielone, gdy tamci byli w innym mieście.**

**Przez tłum po tamtej stronie przeszedł cichy pomruk. Ptasznik odczekał chwilę, po**

**czym powiedział:**

**–Przejdźmy zatem do ustalenia warunków Wymiany.**

**–Oddajemy wam czwórkę ludzi w kilku ważnych specjalnościach – powiedziałem szybko – oraz zgromadzone przy trapie dobra. W zamian nie chcemy niczego.**

**Przez tłum znowu przeszedł szmer.**

**Ptasznik przechylił głowę, aż woda, gromadząca się dotychczas w rondzie jego szpiczastego kapelusza, wylała się cienką strużką.**

**–Ona też przechodzi. – Wskazał chudą dłonią Hersis.**

**Poczułem, jak Czarnowłosa zacisnęła palce na moim ramieniu.**

**–Zasady Wymiany stanowią o dobrowolności wyboru – powiedziałem lekko drżącym głosem.**

**–Podczas poprzedniej wymiany odeszła od nas bez zapłaty. Jest nasza. Poza tym ta mała jest mi coś winna. – Powiedział to głośno, żeby wszyscy usłyszeli.**

**Uznałem, że nie ma sensu wspominać o ptaku, który ukradł elektryczne oko. Nikt by mi nie uwierzył, albo, co bardziej prawdopodobne, nie chciałby uwierzyć. Ptasznik miał ponadto przewagę i trzeba było grać według jego zasad. Powiedziałem więc:**

**–Oddajemy wam te, zgromadzone tu dobra. Z nawiązką wynagrodzą poniesioną stratę. Nie chcemy nic w zamian.**

**Wbił we mnie spojrzenie szarych oczu.**

**–A ty? – zapytał. – Co TY zamierzasz dalej robić?**

**–Chcemy tu zostać – powiedziałem, obejmując Hersis ramieniem.**

**Zmrużył oczy i powiódł wzrokiem po naszym pokładzie. Zwoje materiału i liny zapewne nic mu jeszcze nie mówiły, ale dowie się, jak tylko zajrzy do mojej księgi. Skinął ręką na czekających za jego plecami kilkunastu mężczyzn. Przeszli po trapie i zaczęli przenosić to, co przygotowaliśmy.**

**Zaczynało mi się robić zimno. Hersis też drżała. Powinienem ją okryć, ale coś mi kazało nie robić niczego bez pozwolenia Ptasznika.**

**Phora bezgłośnie płakała.**

**Mężczyźni nie zainteresowali się materiałem, leżącym na pokładzie w zwojach**



opieczonych linami. Mieli widać aż nadto materiału. Przeznaczenia tych zwojów na razie się nie domyślali, ale poczułem, że mój plan stopniowo traci realność.

W dziesięć minut przenieśli wszystko do siebie. Skuteczne posunięcie. Nie miałem już żadnego atutu.

Ptasznik przeszedł na naszą stronę i stanął nade mną.

–Widzę, że nie myliłem się, co do ciebie – powiedział. – Z prawie setki osób zostaje siedem, a w tej siódemce jesteś ty. Nie przemyślisz jeszcze raz mojej propozycji?

–Chcesz mieć ucznia, który cię zabije przy pierwszej okazji?! – wypaliłem.

Nie zareagował. Wskazał głową w kierunku Sigga i reszty, by przeszli na drugą stronę. Uczynili to posłusznie, już byli pod jego wpływem. Hersis ani drgnęła.

Spojrzał na nią złym wzrokiem.

–Dlaczego jej nie zostawisz w spokoju? – zapytałem cicho.

–Właśnie dlatego. – Uśmiechnął się paskudnie i przeniósł spojrzenie na mnie. Złe oczy błyszczały w mroku pod kapeluszem. Podeszedł do małego blatu roboczego pod pokładem dowodzenia. Wyjął spod płaszcza dwa kubki i z płaskiej butelki nalał do nich alkoholu. Spojrzał na mnie. Wolno podeszedłem.

–Co ty knujesz? – zapytał. – Pozostanie we dwójkę w wymarłym mieście to pewna śmierć.

–Więc jestem szalony – odpowiedziałem, z niepokojem wciągając nosem aromat trunku. – Po co ci szalony uczeń?

–Nie jesteś szalony. Ty masz jakiś plan. Może tylko plan jest szalony?

–Puść nas – poprosiłem, zmieniając taktykę. – Zostawiam ci zielarkę, mechanika wraz z pomocnikiem, obserwatora-naukowca i doskonałą kochankę. Będą ci oddani, jeśli mnie i Czarnowłosą potraktujesz dobrze.

–Mam mechaników i kochanki. Ta, którą mi proponujesz spała w moim łóżku przez trzy lata. Naukowcem jestem sam.

Zauważyłem, że nie wspomniał o zielarce...

–Zielarka wyleczyła Czarnowłosą – powiedziałem, ścisząc głos.

Patrzył na mnie przenikliwym wzrokiem zmaconym ledwo zawartością kubka, który wychylił chwilę przedtem.

**–Jesteś lojalny – powiedział wolno. – To mi się podoba.**

**–Wobec ciebie nie będę. Ani ona nie będzie.**

**–Masz piętnaście lat, a rozmawiam z tobą jak z równym. Czarnowłosa wybrała ciebie. Wiedziałem, że potrafi dobrze wybrać...**

**Milczał, obserwując Hersis. Nie spuściła wzroku.**

**–Oddaję ci doskonałą zielarkę – kontynuowałem. – Wyleczyła Czarnowłosą z poważnej choroby. Oddaję ci tyle rzeczy. W zamian chcę tylko, byś nas zostawił w spokoju.**

**–To, co mi dajesz, mogłem sobie wziąć sam.**

**–Zasady Wymiany – Są dobre na pokaz! – Podniósł głos. – Ludziom można wmówić wszystko, a wiedz, że ci ludzie są mi wdzięczni. To najlepiej prosperujące miasto, jakie kiedykolwiek widzieli. Silna władza jest podstawą. Uwierzą we wszystko, co im powiem. Nie sprzeciwią mi się, bo właśnie ja jestem gwarantem ich dalszego bezpiecznego i dostatniego życia.**

**Nieświadomie cofnąłem się o pół kroku, przestraszony tym nagłym wybuchem.**

**–Zasady Wymiany to kurtuazja – ciągnął dalej. – Do Wymiany stają dwa miasta, z których każde ma co najmniej dwudziestu silnych mężczyzn. Nie opłaca się więc łamać zasad, bo skończy się to konfliktem. W twojej sytuacji nie czułbym się tak pewnie. Nie stoi za tobą żadna siła.**

**Opanowałem się i stanąłem równo. Ptasznik odwrócił głowę i przyjrzał się dokładnie Czarnowłosej. Wyszczrzył zęby i z sykiem wciągnął powietrze. Chwycił mój kubek i szybkim ruchem wlał sobie do gardła zawartość.**

**–Musisz wiedzieć, że jednodniowe szaleństwo jest nieuleczalne – powiedział ciszej. – Ta choroba towarzyszy nam od zawsze. Wyniszcza całe miasta. Tak, dobrze się domyślasz, wiem dlaczego została was siódemka. Trafiliście na jedno z takich miast i zaraziliście się. Wiem też, w jaki sposób wy przetrwaliście.**

**–Wiesz o tej chorobie? – zapytałem zdziwiony.**

**–Jestem naukowcem! – odpowiedział porywczo. – Wiem o niej dostatecznie dużo. Jest zaraźliwa i zabójcza, a zdrowieje jeden na tysiąc. Nie chcę już Hersis. Ona wciąż nosi w sobie tę chorobę. Jest na nią odporna, ale ty nie. Weź ją sobie, ale musisz wiedzieć, że pierwszy kontakt z jej krwią i będzie po tobie. Zagryziesz dziewczynę i wyskoczysz w Niebo. Za tydzień, może za miesiąc.**

Opadły mi ramiona. Czułem, że teraz mogłem wyjść, uciec, odłączyć miasto i nikt by mi nie przeszkodziła. Odszedłem w kierunku moknącej Hersis. Zatrzymałem się jednak po chwili i odwróciłem.

–Ty wiesz co było przedtem? – zapytałem. – Co było przed miastami?

Uniósł wzrok. Kolejny błysk oświetlił połowę jego twarzy na niebiesko.

–Powiem ci, co wiem, ale chcę wiedzieć, co planujesz.

Zawahałem się chwilę, ale opanowałem własną ciekawość i powiedziałem:

–Daj mi godzinę, a zobaczysz.

Zmrużył oczy i przyglądał mi się dłuższą chwilę. Skinął głową.

–Godzina – powiedziałem cicho, by nie słyszeli tego jego ludzie. – Czarnowłosa będzie mi potrzebna... i tylko ona. Na naszym pokładzie nie może być nikogo więcej.

Ptasznik był teraz zbyt ciekawy, by stawiać dodatkowe warunki. Rozkazał połączyć miasta kilkoma dodatkowymi, mocnymi linami i wystawił strażę na trapie. Uznał widocznie, że niczym nie ryzykuje. Nie mieliśmy przecież dokąd uciekać.

Żadnych wrogich akcji, pomyślałem. Tam zostają nasi przyjaciele. To ma być ich nowy dom. Ważne było również, by Ptasznik nie próbował ich przesłuchiwać. Wówczas musieliby albo mnie zdradzić, albo milczeć i zapracować na gniew swojego nowego władcy. Z jakiegoś powodu Nyka nie wyjawiał mu tajemnicy. Tak, czy inaczej szanse na przeprowadzenie mojego planu zależały od tego o czym pomyśli Ptasznik. Musiałem się pilnować, by się czymś nie zdradzić, a przede wszystkim sprawić, by nie stracił pewności, że to on kontroluje sytuację.

Przez tyle czasu nie udało mi się obmyśleć sposobu na wyczepienie miasta. Teraz miałem godzinę na myślenie i realizację.

–Wejdz pod pokład i schowaj się dobrze – powiedziałem, a Hersis wykonała polecenie bez słowa. – I nie wychodź, choćbym sam cię wołał – dodałem. Może trzeba będzie odegrać małe przedstawienie.

Wszedłem na pokład dowodzenia i popatrzyłem na regulator, czując na sobie kilkanaście par oczu.

Okrągły, czarny ekran regulatora otoczony był dwunastoma dźwigienkami. Te skierowane do środka oznaczały wciągnięte napędy, pozostałe odpowiadały napędom pracującym. Zgarnąłem dłonią krople wody z ekranu. Przy jego krawędziach żarzyły się na czerwono plamy, potwierdzające poprawną pracę ośmiu

aktywnych napędów. Wysunięty, ale nie pracujący napęd, ten na którym wciąż stała klatka, był przedstawiony na ekranie jako nieco słabiej świecąca plama. Trap był oznaczony mglistą kreską. Na półokrągłym blacie było jeszcze kilka dźwigierek i baniek z czarnego szkła oraz jeden pusty, okrągły otwór. Prawdopodobnie było to miejsce przeznaczone do umieszczenia elektrycznego oka. Nie znałem się na tym wszystkim, a gapiący się na mnie ludzie dodatkowo mnie rozpraszaali. Byli zawiedzeni brakiem zabawy związanej z Wymianą i oczekiwali czegoś, co im to wynagrodzi. Ptasznik siedział w fotelu na swoim pokładzie dowodzenia i obserwował mnie nieruchomo.

Wstążki, to było pierwsze, co przyszło mi na myśl. Szczęki napędu rozwarły się przecież by przepuścić wstążkę! Jeśli uda mi się zawiązać je tak, by w tym samym momencie dotarły do wszystkich ośmiu czynnych napędów miasto opadnie równo, rwąc wszystkie cumy.

Zszedłem na pokład główny. Wziąłem długi patyk i kilka wstążek. Podeszedłem do pierwszej liny i zawiązałem na niej wstążkę. Oznaczyłem wysokość nacięciem na patyku. Przeszedłem szybkim krokiem do następnej liny, policzyłem do trzech, obróciłem się na pięcie i wróciłem do poprzedniej. Wstążka była nieco niżej. Oznaczyłem nacięciem nową wysokość oraz miejsce dokładnie w połowie między kreskami i odwiązałem wstążkę. Potem zrobiłem kolejne nacięcia, coraz niżej, w równych odległościach. Obszedłem miasto dookoła, wiążąc wstążki na wszystkich linach.

Jeśli dobrze wszystko wyliczyłem, napędy powinny wyczepić się w miarę równocześnie. Stałem na schodach i, trzymając się poręczy, czekałem aż wstążki dojadą do napędów.

Szarpnęło lekko i poczułem niemal, że się unoszę. Zacisnąłem kurczowo dłonie na barierce i zamknąłem oczy. Deszcz padał, hałasując o pokład i liście Drzewa. Nic się nie zmieniło. Otworzyłem oczy i spojrzałem na pomost. Nieco uniósł się z drugiej strony i znieruchomiał ze zgrzytem, który usłyszałem i poczułem pod stopami. Ludzie patrzyli po sobie niepewnie. Miasta stały w miejscu! Ptasznik wstał i zaniepokojony oparł się o barierkę. Ludzie zaczęli szeptać i zerkać w jego stronę.

To nie były bezmyślne mechanizmy, wspinające się mozolnie po linach! Nasze miasto prosiło mnie o usunięcie przeszkód z lin. Czerwone plamy na ekranie regulatora pulsowały.

Zacisnąłem zęby. Sprawa była bardziej skomplikowana niż sądziłem. Otworzyć mógł się jeden napęd, ale nie wszystkie. Potarłem twarz dłonią. Ptasznik podeszedł do pomostu.

–To chciałeś mi pokazać? – krzyknął przez deszcz.

**–To początek! – odkrzyknąłem. – Potrzebuję... potrzebujemy jeszcze trochę czasu.**

**Wróciłem na pokład dowodzenia. Nie mając właściwie żadnej nadziei, że to coś da, przesunąłem do środka jedną dźwignię, na wszelki wypadek z przeciwnej strony niż miasto Ptasznika. Gdzieś wewnątrz regulatora rozległo się ciche szczęknięcie, a po sekundzie następne, gdy dźwignia wróciła w poprzednie położenie. Przesunąłem ją ponownie i przytrzymałem. Drugie szczęknięcie znów nastąpiło sekundę po pierwszym, choć dźwignia była przesunięta do środka. Puściłem ją, a ona bezgłośnie wróciła do poprzedniej pozycji. Nie wystarczyło więc czymś przycisnąć dźwignienki i iść na dół, by odbezpieczyć większą dźwignię na napędzie. Trzeba było dwóch ludzi, by wyczepić jeden napęd. Oczywiście! Gdyby nie takie zabezpieczenie, to jedna osoba mogłaby niechcący wyczepić całe miasto. Być może istniały jeszcze następne zabezpieczenia. Jak więc wyczepić w tym samym momencie osiem napędów, mając do dyspozycji tylko dwie pary rąk? Te dźwignienki tutaj mogłem przesunąć na raz, ale tam w dole potrzebowałem ośmiu ludzi...**

**A może nie?...**

**Zbiegłem na pokład napędowy. Jak zwykle podczas deszczu woda ciekła po ścianach i kapłała z sufitu. Podeszedłem do jednego z wysuniętych napędów i sięgnąłem do śliskiej od wilgoci dźwigni zwalnającej szczęki. Ładnie leżała w dłoni. Wziąłem z magazynku zwój cienkiej, ale mocnej linki. Zawiązałem koniec pierwszej linki na dźwigni odbezpieczającej pierwszy napęd. Przeprowadziłem linkę przez znajdujący się naprzeciwko wspornik, by zapewnić dobry kąt do pociągnięcia. To samo powtórzyłem przy kolejnych siedmiu napędach. Mogłem dociągnąć linki aż do regulatora i zrobić wszystko samemu, ale obawiałem się domyślności Ptasznika.**

**Przy trapie nie było dźwigni – znajdowała się pod klapą na górze.**

**Wtedy dotarło do mnie jeszcze coś. Do rozłączenia trapów potrzebne były trzy osoby. Dwie musiały odbezpieczyć oba trapy, trzecia musiała przesunąć dźwignię na regulatorze. Kto więc wtedy, przy wymarłym mieście, przestawił tę dźwignię? No i trudniejsze pytanie: kto teraz z kolei pociągnie obie dźwignie na trapach? Czy może trapy po prostu się wyłamią, gdy zaczniemy spadać?**

**–Her! – krzyknąłem w dół. – Choć tutaj! Jesteś potrzebna.**

**Cisza.**

**–Wiem, że mówiłem, żebyś nie wychodziła, jak będę cię wołał, ale teraz to odwołuję. Naprawdę jesteś mi potrzebna.**

**Wychyliła się ostrożnie z kąta i spojrzała na mnie, oczekując potwierdzenia. W jej oczach widziałem mieszankę strachu i podniecenia.**

**–Chodź – powiedziałem zachęcająco. – Mamy ostatnią szansę.**

**–Nie chcę wracać do Ptasznika.**

**–Wiem. Ja też nie. Nie wiem na jak długo jeszcze starczy mu cierpliwości.**

**Wzięłem ją za rękę i doprowadziłem do schodów na górę.**

**–Wokół regulatora jest dwanaście dźwigienek – powiedziałem. – Dziewięć z nich jest odchylnych na zewnątrz. Kiedy krzyknę Juź” będziesz musiała jednocześnie przesunąć je do środka. Dasz radę?**

**Przytaknęła. Pocałowałem ją i pchnąłem w kierunku schodów. Kontynuowałem rozciąganie linek. Na koniec sprawdziłem każdą z osobna i wszedłem na schody. Zatrzymałem się w miejscu, skąd widziałem Czarnowłosą przy regulatorze, samemu będąc ukrytym przed spojrzzeniami ludzi Ptasznika. Jej część zadania była łatwiejsza, więc teoretycznie mogłem pociągnąć linki i dopiero dać jej sygnał, ale nie chciałem ryzykować natrafienia na kolejne zabezpieczenie.**

**–Juź! – krzyknąłem i zobaczyłem, jak Hersis zagarnia ramionami dźwigienki. Nie czekając na nic, pociągnąłem za sznurki, zapierając się nogami o pokład. Osiem dźwigni stawiało całkiem spory opór. Coś szczęknęło w dole, a ja zacisnąłem zęby i ciągnąłem dalej, aż naliczyłem osiem szczęknięć. Dla pewności ciągnąłem dalej, ale już nic się nie wydarzyło. Mokre sznurki zaraz wysunęły mi się z dłoni i upadłem na schody.**

**Nadal nie spadaliśmy. Wróciłem na pokład główny. Zaczęła mnie ogarniać rozpacz, gdy nagle zaterkotały mechanizmy wewnątrz regulatora. Zabujało nami. Zobaczyłem jeszcze, jak trapy rozłączają się, mimo że nikt ich nie dotykał. Zadziałał jakiś mechanizm bezpieczeństwa, a to znaczyło, że...**

**Nagle doznałem wrażenia, że pokład ucieka mi spod nóg. Ręce same się uniosły. Spojrzałem na nie, a potem zadarłem głowę... W górze, niezwykle szybko oddalało się miasto Ptasznika. Nie widziałem wyrazu jego twarzy, ale potrafiłem go sobie wyobrazić. Musiał być bezgranicznie zdumiony. Być może to zdumienie zaraz przejdzie w atak wściekłości. Zapewne nie dopuszczał do siebie myśli, że coś podobnego może się wydarzyć. Miałem tylko nadzieję, że nie będzie wyładowywał złości na naszych dawnych towarzyszach. Tego oczywiście nie miałem jak się dowiedzieć. To co zrobiłem, oznaczało rozstanie na zawsze.**

**Napędy nie otworzyły się jeszcze do końca i liny z coraz głośniejszym piskiem tarły o brzegi szczęk. Wreszcie kolejno wysunęły się i oddaliły nieco od nas choć wciąż jeszcze lecieliśmy wewnątrz naszej wiązki. Napędy automatycznie zaczęły się chować do wnętrza miasta.**

**Hersis zamknęła oczy i śmiała się na całe gardło. Szum powietrza sprawiał, że prawie tego nie słyszałem. Liście Drzewa szarpały się w podmuchach. Stałem nieruchomo, ogarnięty wzruszeniem, bo przecież oto realizowało się największe dzieło mojego życia. Nic już nie będzie jak przedtem. To początek nowej drogi, prawdziwej dorosłości.**

**Deszcz nagle przestał padać. Krople krążyły wokół nas jak przezroczyste owady. Wspiąłem się po schodach z dziwną lekkością, ale gdy dotarłem do regulatora, ciężar zaczął powracać.**

**\* \* \***

***Stałem, zaciskając palce na relingu. Pochylałem głowę, nie czując wody płynącej po karku i wzdłuż pleców. Puste miasto jak wielki, stalowy pajak leciało w dół. Powoli niknęło w strugach szarego deszczu.***

***Ty mały sukinsynu! Imponujące... Też zdałeś sobie sprawę z tego drobnego błędu, jaki popełnili dawni Konstruktorzy. Napędy mogą się poruszać po linach tylko w jedną stronę. Muszę ci przyznać, że znalazłeś rozwiązanie...***

***Nie czułem nawet złości. Raczej... szacunek? Dziwne. Warto będzie się nad tym zastanowić.***

***Cóż, mały odkrywco, tak czy inaczej umrzesz młodo.***

# 11. Nikt nie może mieć wiecznie

## racji

Tak, udało nam się. Udało się zrealizować przynajmniej pierwszy punkt planu – zaczęliśmy spadać.

Trzymaliśmy się poręczy pokładu dowodzenia. Miasto wolno przechyliło się w jedną stronę, chwilę później w drugą. Spadochrony rozpięte na bocznych sieciach wybrzuszyły się do góry, wyginając lekko maszty. Sprawiały, że całość zachowywała się jak spadający liść. Wiedziałem wcześniej, że tak będzie. Główne spadochrony, które miały temu zaradzić, ciężkie od wody, leżały na pokładzie furkocząc ledwo krawędziami.

Oderwałem się od barierki i chwiejnym krokiem, zataczając się przy każdej zmianie położenia pokładu, podszedłem do najbliższego spadochronu. Podniosłem pierwszą płachtę i popchnąłem ją bosakiem do góry, by złapała wiatr. Materiał nadął się nieśmiało i pociągnął za sobą liny. Siła powietrza wzrastała i spadochron, falując, unosił się w górę. Nagle złapał mocniejszy podmuch i uniósł się, pociągając następną płachtę. Naciąg jęknął, a my dla odmiany poczuliśmy się ciężsi. Pomogłem unieść się następnym płachtom i z przerażeniem ujrzałem, jak blokada najbliższej korby zaczyna się wyginać wraz z obudową. Sekundę później z przykrym dźwiękiem rwanego metalu naciąg rozpadł się, sypiąc dookoła częściami. Lina napięta się i szarpnęła miastem. Szwy wytrzymały. Drugi naciąg strzelił posyłając podkręconą ze świstem korbę razem z trybem w stronę północnych ogrodów. Pocisk zderzył się tam z jakąś doniczką, zamieniając ją w tuman kurzu. Trzeci naciąg zaczął trzeszczeć.

–Pod pokład! – krzyknąłem.

Czarnowłosa błyskawicznie wykonała polecenie. Ja zbiegłem tuż za nią. Startowały kolejne spadochrony, rwąc zbyt słabe mechanizmy naciągów, strzelając nitami i trybami we wszystkie strony. Spod pokładu słyszeliśmy tylko metaliczne uderzenia, gdy wyrzucone z dużą siłą kawałki metalu uderzały o belki i kraty pokładu. Kolejne wstrząsy oznajmiały rozwinięcie czasz. Po minucie, może dwóch, uderzenia ustały. Wyrzałem ostrożnie na pokład. Nie pozostał żaden cały naciąg, liny były teraz przywiązane wprost do belek pokładu. W górze unosiły się białe czasze spadochronów, tak jak to sobie wyobrażałem. Jediną różnicą było to, że teraz nie mieliśmy nad nimi żadnej kontroli.

Wyszliśmy na pokład. Wokół leżało sporo pogiętych i skręconych obudów naciągów. Szum wiatru zdecydowanie osłabł.

–Wszystko i tak działa – zauważyła Hersis, obejmując mnie.



**–Ale nie możemy sterować – powiedziałem. – Jeśli na naszej drodze będzie inne miasto, uderzymy w nie.**

**Z boku cała konstrukcja musiało wyglądać pięknie. Staliśmy na środku pokładu, a nad nami napinały się od pędu powietrza trzy poziomy białych spadochronów. W okolicy nie było nikogo, kto mógłby ten widok podziwiać.**

**Kątem oka zauważyłem jakiś ruch. Odwróciłem się i zobaczyłem zbliżający się z dużą prędkością brunatny kształt i wycelowane w nas szpony. Pchnąłem Czarnowłosą na pokład. Usłyszałem, jak uderza głową o metal. Przycisnąłem ją do pokładu. Krzyknęła w tej samej chwili, w której coś szarpnęło moją koszulę. Uniosłem głowę. Sokół zataczał krąg, by powrócić, ale znacznie bliżej był następny. Już wysuwał do przodu łapy. Pociągnąłem dziewczynę do bocznego zejścia pod pokład. Ptak wycofał się, sam bojąc się zapewne zaczepić skrzydłem o poręcz schodów. Dopiero teraz Hersis zdołała wstać. Odeszliśmy dalej w głąb korytarza.**

**–Nie zejda tu? – zapytałem, licząc na jej wiedzę o ptakach.**

**–Nie. Tu byłyby bezbronne.**

**Dotknąłem dłonią jej głowy. Syknęła z bólu. Cofnąłem rękę – była cała we krwi. W jej krwi.**

**–Boisz się krwi? – zapytała, widząc moją minę. – To nic... To tylko skaleczenie.**

**Pobiegłem do najbliższego kranu, umyłem rękę i namoczyłem kawałek materiału.**

**–Przyłóż to – powiedziałem, dając Hersis mokrą szmatkę. W drugą, suchą, starannie, bardzo starannie, wytarłem dłoń. Nie było na niej żadnego skaleczenia, ani zadrażnienia... Może tym razem się udało. A nawet jeśli nie – miałem teraz pilniejszą sprawę.**

**Wyjąłem z pochwy przy pasku szydłonóż. Zastanawiałem się chwilę nad długością ostrza i stwierdziłem, że ptaki będą jednak miały przewagę. Dzidy były dłuższe, ale wciąż leżały na pokładzie, na otwartej przestrzeni.**

**Dwa ptaki chodziły po pokładzie. Widać zawirowania powietrza uniemożliwiały im krążenie. Mogłem je zabić stąd, przez szczeliny w kratkach. Wystarczyło wyjąć jeden z paneli podłogowych przy pokładzie dowodzenia i od spodu sięgnąć po dzidę.**

**Poczułem wtedy nagle, że nie jestem w stanie tego zrobić.**

**–Nie chcę ich zabijać – powiedziałem.**

**–Zabijasz króliki.**

**–To co innego. Króliki to pożywienie.**

**–Sokoły same zginą, jak pobędą tu jeszcze trochę – powiedziała. – Nie będą miały siły wrócić.**

**Zastanowiłem się chwilę.**

**–Już teraz czeka je wiele godzin... wspinaczki – przyznałem.**

**–Dlaczego chcesz je uratować?**

**–Są piękne.**

**–Nie chcesz sprawdzić, jak smakują?**

**Spojrzałem na nią tak, że nie kontynuowała tematu.**

**–Nie odlecą same z siebie – powiedziałem. – Rzućmy im króliki. Instynkt będzie silniejszy niż polecenia Ptasznika.**

**–Ptasznik je zabije, jeśli zamiast nas przyniosą króliki.**

**–Nie... Za bardzo je kocha.**

**–Może masz rację... Kocha je bardziej niż ludzi.**

**Króliki mieszkały poziom niżej. Wyciągając dwie sztuki z klatki pomyślałem, że nie ma nic ostatecznego. Dopiero co rozstałem się bezpowrotnie z przyjaciółmi i byłem pewien, że jakikolwiek kontakt między nami jest fizycznie niemożliwy, a teraz musiałem się zgodzić, że wystarczyłoby do jednego z królików przywiązać kartkę z listem, by tamci na górze go przeczytali.**

**Nie było czasu na rozmyślanie. Wybiegłem na pokład główny. Najbliższy sokół zerwał się i zaczął się rozpędzać w moim kierunku. Rzuciłem pierwszego królika w Niebo. Wierzgał łapkami, próbując biec, ale nie było mi go szkoda. Obiady się nie żałuje. Sokół stracił zainteresowanie moją osobą i wystartował za ruchomym białym kształtem. Rzuciłem następnego królika i drugi sokół również poleciał za łatwą zdobyczą. Odprowadzałem je wzrokiem, gdy zostawały w górze. Każdy niósł w szponach białe futerka.**

**–Naraziłeś własne życie, żeby ratować ptaki, które chciały cię zabić – powiedziała Her, gdy niebezpieczeństwo minęło i mogliśmy stać na pokładzie. – Teraz musimy myśleć o sobie.**

**Spojrzałem na nią i nawet zrozumiałem, co miała na myśli.**

**–Opatrzę ci ranę – powiedziała.**

**–Nie!**

**Cofnęła się zaskoczona.**

**–To tylko draśnięcie – wyjaśniłem. Dopiero teraz poczułem szczypanie na plecach. – Zajmij się swoją głową.**

**\* \* \***

**Nasze linki asekuracyjne były dość długie by, nie odpinając ich, dotrzeć w każde miejsce pokładu. Szybko okazało się, że nie są konieczne. Po ustabilizowaniu opadania, po mieście można się było poruszać tak samo jak kiedyś.**

**Burza została wysoko nad nami. Wyglądała stąd jak kłębek brudnej waty, a potem znikła za krawędzią białego spadochronu.**

**Wszedłem do kabiny kapitana. To było najbardziej luksusowe pomieszczenie w mieście, ale nie chciałem tam mieszkać. Miejsce to w jakiś sposób odpychało mnie. Gdy miałem już wychodzić, mój wzrok padł na elektryczne oko, stojące na stoliku. Vaunee musiała o nim zapomnieć, a może celowo mi je zostawiła. Wziąłem w palce zimny walec i spojrzałem w wypukłe, czarne szkiełko na jego zakończeniu. Zastanowiłem się chwilę i wróciłem na pokład dowodzenia. Po prawej stronie ekranu regulatora znajdował się mały, okrągły otwór w metalowym blacie. Włożyłem do niego mosiężny cylinder. Wszedł do połowy wysokości, a szkiełko na chwilę zapłonęło czerwienią. Wewnątrz regulatora przeskoczyły jakieś przekładnie i zaterkotały tryby, po czym wszystko się uspokoiło. Wzruszyłem ramionami. Dobre miejsce na elektryczne oko, przynajmniej się nie zgubi.**

**Mieliśmy całe miasto dla siebie. Doszedłem do wniosku, że najlepszym miejscem do spania będzie pokład główny. Obok pokładu dowodzenia rozpiąłem spory fragment drobnej sieci. To miał być nasz hamak. Nawrzucailiśmy do środka poduszek i koców. Postanowiliśmy tam spać, o ile nie będzie wilgotno i zimno. Ponad hamakiem rozwiesiłem większy kawałek brezentu. Gdyby nie ochronił nas od deszczu, mogliśmy przenieść się w dowolne miejsce.**

**Hamak okazał się być bardzo wygodny. Pierwszej nocy leżeliśmy obok siebie, stykając się tylko ramionami. Długo nie mogłem zasnąć, wciąż myśląc o tym, że możemy w coś uderzyć. Potem po raz setny zacząłem się zastanawiać, jak będzie wyglądał nasz Antycel. Czarnowłosa zasnęła szybko i przez sen przytuliła się do mnie, obejmując mnie ramieniem i nogą. Położyła głowę na mojej piersi. Poprawiłem koc i wsłuchany w jej spokojny oddech, patrzyłem na gwiazdy widoczne pod falującym na wietrze brezentem. Cichy szum wiatru w pokładach miasta doskonale usypiał.**

Trzeciego dnia minęliśmy jakieś miasto. Całkiem blisko. Ci, którzy akurat byli na pokładzie, patrzyli na nas z otwartymi ustami. Pomachaliśmy im, nie myśląc o wrażeniu, jakie na nich robiliśmy. Jeśli był u nich ktoś, kto prowadził kronikę, to z pewnością ten dzień oznaczył kilkoma wykrzyknikami, a może i znakami zapytania. Z pewnością było to wydarzenie, które będą pamiętać długo. Ta krótka chwila zdeteminowała też w pewnym stopniu przyszłe życie dzieci, które nas zobaczyły. Widzieliśmy potem ich zdumione twarze wychylające się zza relingów, dopóki nie zasłoniły ich nasze spadochrony.

Prawdopodobieństwo, że uderzymy w jakieś miasto, wydawało mi się wtedy niewielkie, ale nie można było tego wykluczyć. Być może powinienem co jakiś czas sprawdzać, co jest pod nami. Jednak co by to dało? Ominąć niczego i tak nie byliśmy w stanie. Jak się lepiej zastanowić to i tak mieliśmy sporo szczęścia, bo cała reszta działała zgodnie z planem.

Skoro najstarsi ludzie nie pamiętali niczego innego niż powolna wspinaczka po linach, to znaczyło, że przynajmniej sześćdziesiąt lat w dół nie czekało nas nic, czego byśmy się nie spodziewali. Podejrzewałem, że tak naprawdę nic nowego nie czekało nas co najmniej jakieś dwieście lat w dół. Jak szybko spadaliśmy? Nie miałem pojęcia. Sigg wyliczał, że spadacz będzie pokonywać jakieś cztery lata w jeden dzień. Jak szybko my spadaliśmy? Można było to sprawdzić, ale zdecydowałem, że nie będę się zastanawiał, jak to zrobić. Nie miało to żadnego praktycznego znaczenia. Nie wiedzieliśmy nawet w przybliżeniu, ile drogi mieliśmy pokonać. Założyłem więc, że za dwa miesiące zacznę sprawdzać, czy nie zbliżamy się do Antycelu. To dawało przyzwoity margines bezpieczeństwa.

Przez kilka pierwszych dni w każdej chwili spodziewałem się uderzenia. Potem niepokój stopniowo mijał. Widzieliśmy jeszcze kilka miast, ale w sporej odległości. Po raz pierwszy w życiu czułem się naprawdę wolny. Czekały nas dwa miesiące w miarę spokojnego życia, jeśli w nic nie uderzymy, a potem... potem napięcie zacznie rosnać.

–Muszę zrobić coś, żebyśmy mogli sterować naszym spadaniem – powiedziałem, otwierając księgę. – Zobacz. Tak wyobrażam sobie Antycel. – Pokazałem jej mój szkic platformy z dziesięcioma otworami, w których wykonano i wysłano w drogę miasta. – Jeśli mamy trafić w taki otwór, to musimy umieć skręcać.

–Przecież to może wyglądać zupełnie inaczej – zauważyła.

–Jakkolwiek będzie wyglądać, będą tam miejsca, skąd wystartowały miasta. Tak jak odcisk palca w ziemi.

Pomyślałem wtedy, że w moich rozważaniach opuściłem dość podstawowy problem źródła materiałów. Budowniczości miast musieli skądś czerpać surowce, bo wtedy jeszcze nic nie spadało z Nieba. Kolejna pułapka utartych ścieżek umysłu. Zajmę się tym w spokojnej chwili.

Zdjąłem klatkę i zaciągnąłem ją do królikarni, by napęd mógł się schować pod pokład. Uczynił to samoczynnie.

Dochodziłem powoli do wniosku, że jesteśmy w stanie przetrwać tu spokojnie przez wiele miesięcy. Wtedy zerknąłem w bok i zamarłem. Tuż obok nas znajdowała się doskonale uformowana wiązka. Zerwałem się, podbiegłem do barierki i spojrzałem w dół. Mniej niż rok pod nami było miasto. Ich wiązka wolno zbliżała się do naszej burty. Wszystko wskazywało na to, że za jakieś dwie godziny czekało nas zderzenie!

Nie zdążyłem pomyśleć o tym, co powinienem zrobić, bo pod moimi stopami zaczął się wysuwać napęd. Odwróciłem się, chcąc krzyknąć na Czarnowłosa, żeby nie bawiła się regulatorem i ujrzałem, że dziewczyna śpi w hamaku. W osłupieniu wpatrywałem się w sześć wysuwających się napędów. Pobiegnąłem na drugą stronę miasta, ale tam wszystko było w porządku. Wbiegłem z kolei na pokład dowodzenia. Wszystkie dźwignie skierowane były do środka, ale czerwone plamy na ekranie potwierdzały wysunięte mechanizmy. Przemknęło mi przez głowę, że miasto próbuje złapać liny, ale przecież złapanie ich dwoma, trzema czy nawet sześcioma sąsiadującymi ze sobą napędami musiało równać się katastrofie! Wtedy poczułem, że pokład jest nieco pochyły. Uniosłem głowę. Spadochrony wyglądały normalnie, ale wiązka obcego miasta oddalała się. Boczny wiatr?

Po pięciu minutach miasto na powrót wypoziomowało się, a napędy same się wsunęły. Stałem długo, gapiąc się w regulator i próbując zrozumieć to, co przed chwilą zaszło. Przesunąłem cztery dźwignie napędów od strony wiązki. Posłusznie wysunęły się, a pokład znów się przechylił. Klepnąłem się otwartą dłonią w czoło. Nie pozostawało mi nic innego, jak przyznać, że miasto samo wysunęło napędy, by wykorzystać dodatkowy opór powietrza i ominąć przeszkodę. Proste. Napęd nie miał dużej powierzchni, ale sześć napędów to było prawie tyle samo, co jeden boczny spadochron. Doszedłem do wniosku, że miasto, gdyby tylko chciało, to byłoby w stanie tak manewrować, by złapać się luźno trzech lin i powoli wyhamować, dokonując czegoś w rodzaju samowczepienia. Zakładałem wtedy, będąc nadal pod wrażeniem tajemniczych manewrów, że miasto może czegoś „chcieć”. Ale jak? Przecież miasto było mechanizmem, skomplikowanym, ale wciąż tylko mechanizmem. Przysunąłem twarz do ekranu regulatora, zasłaniając rękoma dopływ światła z boku. Czerwone światełka falowały mgliście jak plamki fluorescencyjnej mgły. Z początku nie widziałem nic poza nimi. Potem zauważyłem jakiś ruch. Wsunąłem napędy i mgliste placki zaczęły gasnąć. Za nimi, głębiej coś się obracało. Wzrok przyzwyczajał się do ciemności dłuższą chwilę, powoli ukazując złożony ruch. Dziesiątki, setki kół zębatych i przekładni wciąż pracowało. Zwalniały bądź przyspieszały, niektóre kręciły

się ze stałą prędkością. Gapilem się w to tajemnicze widowisko, aż poczułem ból w plecach.

Wyprostowałem się i pogłaskałem ekran regulatora. Miasto musiało być znacznie bardziej złożonym mechanizmem, niż wcześniej przypuszczaliśmy. W czasie naszej ucieczki trapy same się rozłączyły, na ułamek sekundy przed napędami, by uniknąć uszkodzenia, a wszystkie napędy wyczepiły się w tym samym momencie, chociaż byłem pewien, że nie udało mi się ich jednocześnie odblokować. Słyszałem wyraźnie osiem kolejnych szczęknięć. Poza tym, ostatni incydent jasno dowodził, że miasta „wiedzą” nawzajem o swojej pozycji.

Bardzo żałowałem, że nie zobaczę już nigdy Sigga, by mu o tym wszystkim powiedzieć. I by usłyszeć, co o tym myśli.

Potem jeszcze kilka razy zauważyłem wysuwające się samoczynnie napędy, nawet gdy pod nami nie było żadnej przeszkody. Nie potrafiłem tego wyjaśnić.

\* \* \*

Obce miasto przesunęło się w bezpiecznej odległości. Odprowadzały nas, jak wcześniej, zdziwione spojrzenia.

W ciągu następnego tygodnia minęliśmy w podobnej odległości kilka kolejnych miast. W zasięgu wzroku naliczyłem ponad czterdzieści, a musiało ich być znacznie więcej, bo nie spędzałem wiele czasu na wypatrywaniu. Tak więc prawdopodobieństwo zderzenia było znacznie większe, niż kiedyś sądziłem.

Próbowaliśmy rozsądnie wykorzystywać wodę. Zanim wyczepiliśmy miasto, napełniły się dwie beczki. Potrzebowaliśmy jej głównie do picia. Część wody, tę starszą, jeszcze sprzed ostatniej Wymiany, przeznaczaliśmy do mycia, do podlewania niezbędnych roślin i do pojenia królików. Hersis trzykrotnie zmniejszyła liczbę upraw w ogrodach i tak już okrojonych przez Phorę. Nawet nie rozważaliśmy poświęcenia Drzewa.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że nasz sposób na łapanie wody w nowych warunkach stał się całkowicie nieskuteczny. Potrzebne byłoby coś, co by zgarniało powietrze i zmuszało je do zawirowania, tak by pozbyło się wody. Narysowałem nawet kilka szkiców takiego urządzenia, liczyłem jednak na to, że wody starczy nam na całą podróż. Normalnie byłby to zapas na jeden dzień, ale nas była tylko dwójka.

–Co zrobisz, jak już dotrzemy do Antycelu? – zapytała Czarnowłosa, gdy leżeliśmy w hamaku pewnego popołudnia. Był to jedenasty dzień opadania.

Miałem dokonać rzeczy, do których nie byłem przygotowany, bo do tego nikt nie mógł być przygotowany. A jednak udało mi się zająć tak daleko... Może to nic nie

**znaczy? Jest przecież wiele rzeczy, które są trudne, ale które można zrobić. Nawet jeśli niczemu nie służą.**

**–Czasem myślę, że poświęcam ciebie i siebie dla zaspokojenia ciekawości – wyznałem.**

**–Zgłosiłam się na ochotnika, pamiętasz?**

**Rozsunęła mi koszulę i zaczęła całować mój tors. Napiąłem mięśnie, ale ona tylko pogładziła moje włosy i położyła głowę tak, by słyszeć bicie mojego serca. Biło dosyć szybko.**

**–Nie było mnie tam... – powiedziała nagle. W pierwszej chwili nie zrozumiałem o czym mówi. – Byłam na początku i potem, jak lekarstwo zaczęło działać. Okropne uczucie, ale wszystko pomiędzy... nie było mnie. Nie istniałam.**

**–To tak, jak z koszmarnym snem. Prześniłaś to, a potem zapomniałaś. Byłaś tam cały czas...**

**–Pamiętam tylko, jak dawałeś mi kubek. Walczyłam ze sobą, by cię nie ugryźć. To było tak silne... Tak jak potrzeba oddechu.**

**Zamknęła oczy, próbując sobie to przypomnieć, albo przeciwnie – chcąc to na zawsze wyrzucić ze wspomnień. Wstała i podeszła do barierki zewnętrznej. Podeszedłem do niej i objąłem ją ramieniem. Pęd powietrza był tak mocny, że nie dawało się tam niemal oddychać. Po chwili musieliśmy odwrócić się plecami do wiatru. Powietrze przemykające za naszymi plecami szarpało ubraniami, a czarne, kręcone włosy Hersis tańczyły w powietrzu jak żywe. Pamiętałem rozmowę z Ptasznikiem i wiedziałem, że właśnie jej choroba była tym, co pozwoliło mi ją zatrzymać. Gdyby nie jednodniowe szaleństwo, spadałbym tu pewnie sam, a Her podlewałaby rośliny w mieście sokołów.**

**Nadal masz to we krwi, pomyślałem, wkładając palce między jej włosy.**

**–Czy znasz recepturę tego wywaru, który przygotowała dla ciebie Phora? – zapytałem.**

**–Pamiętam w ogólnym zarysie.**

**–Może powinnaś zapisać, póki pamiętasz?**

**–Jeśli użyczysz mi kilku stronic.**

**–Obiecuj mi, że przygotujesz mi ten wywar, gdybym zachorował...**

**–Dlaczego miałbyś zachorować? – zapytała z uśmiechem. – Pokład został dokładnie oczyszczony. Po chorych nic nie pozostało. Nawet po mnie. Żadna szmatka.**

**–Mówię na wszelki wypadek. – Spuściłem wzrok. – Nigdy nie wiadomo, co może się stać. Zamknij mnie wtedy w klatce i nie słuchaj, gdybym błagał o śmierć.**

**Nic nie odpowiedziała. Poglaskała mnie po policzku i poszła szykować obiad. Palniki gazowe nie działały, odkąd zapchał się system kanalizacyjny produkujący palny gaz. Przynajmniej suchych patyków do palenia pod kuchnią mieliśmy teraz nieograniczone ilości, a wiatr, przenikający na wskroś przez wszystkie pokłady, doskonale podsycał ogień.**

**Wysunąłem dłoń za pokład. Pęd powietrza był naprawdę silny. Zresztą zawirowania czuło się już, zbliżając się do burty. Sigg miał rację, że samodzielne spadanie z osobistym spadochronem byłoby śmiercią o tyleż straszną, co bezcelową.**

**Wiele zależało od przypadku. Może nawet wszystko? Gdyby nie Sigg, to być może już byśmy nie żyli. Nie żylibyśmy również, gdyby miasto nie wykazało swych nieznanych wcześniej zdolności. Gdybym z kolei wybrał rozwiązanie pośrednie, czyli budowę spadacza, to Ptasznik zastałby mnie przed półmetkiem przygotowań. Rozwiązanie, które przyjęliśmy, z perspektywy czasu było jedynym, dającym szansę powodzenia. Każda decyzja, nawet błaha, podjęta dla rozwiązania drobnej niejasności, była decyzją właściwą.**

**Użycie całego miasta w charakterze spadacza było nawet w miarę komfortowe. Trzeba się było przyzwyczaić tylko do tego, że wiatr ciągle próbował wypełniać nasze ubrania powietrzem, zamieniając je w furkoczące balony. Jeszcze pierwszego dnia zawiązałem doły nogawek, ale dopiero po dwu tygodniach wpadłem na to, że jest to problem, któremu można zaradzić. Cały dzień zajęło mi uszczelnianie płótnem żaglowym i brezentem sufitów części pomieszczeń pod pokładem głównym. W ten sposób uwolniłem od tego przykrego zjawiska chociaż najbliższą hamakowi część pokładu. Ucichł też uciążliwy szelest liści Drzewa. Rozwiązanie problemu nie było trudne, choć utykanie szmat okazało się dość pracochłonne. Zastanawiałem się nad tym nieco później, leżąc wieczorem obok śpiącej Hersis, i ze zdumieniem zauważyłem, że najtrudniej było zatrzymać się na chwilę i powiedzieć sobie „nieustannie wieje wiatr, a to nie jest przyjemne”, po czym zadać proste pytanie „co zrobić, żeby nie wiało?”. Uświadomienie sobie istnienia problemu było więc trudniejsze od jego rozwiązania, choć wiatr solidnie dawał nam się we znaki od samego początku.**

**Czarnowłosa przekręciła się przez sen i włożyła mi rękę pod koszulę. Nie wiedziała chyba, jak elektryzujące było to dla mnie doznanie. A może wiedziała? Czy naprawdę spała, czy czekała co zrobię? Nadinterpretacja, tak by to nazwał Sigg. Ona spała, a ręka sama wsunęła się pod moją koszulę. Tak zapewne było, ale jeśli chodziło o Her,**



to nie udawało mi się tak łatwo zamknąć tematu. Zawsze przychodziła następna myśl. Teraz brzmiała: czy bezwiedne wsunięcie ręki przez sen coś znaczyło?

Próbowałem się powstrzymać, ale wciąż mimowolnie porównywałem ją do Vaunee. Wiedziałem, że to co innego, ale... porównywałem i tak. Żeby myśleć o czymkolwiek innym, zacząłem się wtedy zastanawiać, ile problemów istnieje i dręczy nas co dzień, a my nie potrafimy ich nawet zauważyć i nazwać.

\* \* \*

Her pisała znacznie gorzej ode mnie. Nie ćwiczyła od czasu, gdy Sigg nas uczył i nigdy nie używała do tego pióra i papieru. Stawiała za duże litery, myliła wyrazy, a linijki uciekały jej do góry, tak że kończyła zapisywać stronę, trzymając księgę niemal bokiem. Nie odezwałem się ani słowem, widząc jak jej kulfony zajmują ze trzy razy za dużo miejsca. Nie chciałem jej sprawić przykrości. Zresztą, wraz z każdą kolejną recepturą pismo stawało się coraz sprawniejsze.

Ze znaną mi już zaciętością ślęczała nad księgą przez dwa dni. Napisała wszystko, co pamiętała. Potem, przez resztę podróży dodawała tylko uwagi i robiła małe poprawki. To było naprawdę coś. Zielnik, zapewne jedyny wśród miast w promieniu pięćdziesięciu, albo i stu lat. Tak mi się zdawało. Księga, którą miałem przed sobą, była jedyną księgą, o jakiej wiedział Sigg. Oprócz jego własnej, rzecz jasna. Obserwator lubił mówić, że dzięki jego księdze jesteśmy najbardziej zaawansowanym kulturowo miastem w zasięgu myśli.

**W zasięgu myśli.**

Kultura to robienie czegoś, bez czego można żyć, tak mówił. Wspomniał też kiedyś, że rozwój kulturowy przewyższający zdecydowanie średnią otoczenia, nieuchronnie prowadzi do dekadencji, do upadku, że ludzie zaczynają się koncentrować na rzeczach nieistotnych dla przetrwania, że trudno z tworzenia poezji przerzucić się na obieranie ziemniaków. Dlatego nauczył pisać tylko mnie i Hersis. Nie powiedział nigdy, co to jest poezja. Ale ja nie zauważyłem, żeby umiejętność pisania przeszkadzała mi w obieraniu ziemniaków.

Ustawiłem teleskop pionowo w dół. Wymagało to rozkręcenia śrub w statywie i zmontowania go w zupełnie nowy sposób oraz wyjęcia jednego panelu podłogowego. W ten sposób teleskop wystawał poza krawędź pokładu głównego na szerokość dłoni. Myślę, że Sigg byłby ze mnie dumny, gdyby to zobaczył. Zapewne łatwiej byłoby mu znieść rozstanie z teleskopem. Przypomniałem sobie, że ostatnią noc spędził na polerowaniu mosiężnych cylindrów, pokręteł i szklanych soczewek. Jak się lepiej zastanowić, to sam fakt, że teleskop kompletny i nieuszkodzony wpadł bezpiecznie w nasze sieci zasługiwał na miano (jak on to nazywał?... ) zjawiska nadnaturalnego. Cudu.

Starzy ludzie trudno zmieniają przyzwyczajenia. Nie przesadza się starych drzew – to było kolejne, zupełnie niezrozumiałe zdanie, rzucone kiedyś przez Sigga. Poświęciłem trochę czasu, by przypomnieć sobie i zapisać wszystkie te powiedzenia. To dobre, by zabić czas, jaki dzielił nas od naszego Antycelu. Pisałem to maczkiem. Pomyślałem, że dobrze byłoby spisać też legendy Verticalu, jak choćby tę o drugim słońcu, które zapłonęło kiedyś w dole, albo o suple na linie. Niestety, nie było już nikogo, kto mógłby opowiedzieć coś na ten temat. Nasza mądrość rozproszyła się. To też powiedzenie Sigga...

\* \* \*

Antycel może być miejscem, w którym nie da się żyć. Ta myśl pojawiała się czasem, ale starałem się ją bagatelizować. Po tym wszystkim co przeszliśmy, nie mogliśmy tak po prostu umrzeć. Wierzyłem w to podświadomie, choć przecież wiedziałem, że mogło być i tak, że zwyczajnie roztrzaskamy się o coś większego niż dziesięć miast i niczego nie przyjdzie nam już dokonać. Świat mógł być pełen ludzi, którzy umarli w przekonaniu, że są dziećmi szczęścia.

–To tak, jakbyśmy cofali czas – powiedziałem. – Nikt już nie pamięta ludzi, którzy rodzili się w tym miejscu.

Leżeliśmy w hamaku, w ciepłą, bezchmurną noc. Hersis włożyła dłoń pod moją koszulę. Nie spała, patrzyła mi w oczy.

Wtedy zdałem sobie sprawę z czegoś, co podświadomie wiedziałem od dawna. Kochałem ją. Kochałem Czarnowłosą. Bałem się tego uczucia, ale w końcu mnie dopadło bez reszty. Byłem gotów oddać za nią życie, gdyby zaszła tak potrzeba. Wiedziałem to i bałem się tego. Przypominałem sobie jeszcze, że już ryzykowałem dla niej życie.

Nie miała krągłości Vaunee, nie miała jej doświadczenia, jednak to przeżycie było nieporównane z tamtym. Miłość z Hersis czułem każdym fragmentem ciała, każdym nerwem. Jej niewprawne ruchy były piękne, jej starania – ujmujące w swej szczerzej pełni oddania. Tuliłem do siebie jej czarne włosy, jej małe ramiona, szyję. Obejmowałem pośladki, plecy na których wciąż mogłem dokładnie wyczuć poszczególne żebra. Pieściłem jej małe piersi i kark pod kręconymi włosami. Słuchałem jej westchnień. Była doskonała, choć nie była. A może była właśnie dlatego.

\* \* \*

Byliśmy teraz najbardziej zaawansowanym kulturowo i najbardziej dekadencckim miastem w zasięgu myśli. Nie byłem pewien, czy Sigg zawsze znał właściwe znaczenia słów, których używał.

Trzy razy dziennie sprawdzałem teleskopem naszą przyszłość: przed śniadaniem, po obiedzie i przed zmierzchem. Najczęściej nie widziałem nic, czasem tylko małą kropkę miasta. Wiedzieliśmy o nich znacznie wcześniej, gdy liny, widoczne gołym okiem, zaczynały formować wiązkę. Nasze miasto w niewyjaśniony sposób samo omijało zagrożenia.

Gdy minęły trzy miesiące, miasta pojawiały się coraz rzadziej. W końcu nie mogliśmy wypatrzyć już żadnego. Minęło jeszcze pięć długich tygodni, gdy zagrożenie przybrało całkiem nową formę. Najpierw liny zaczęły układać się w równe rzędy. Z każdą godziną zbliżały się do jakiegoś uporządkowanego układu. Było to niezwykle, ale tak naprawdę zaniepokoiło mnie coś innego. Zobaczyłem to w okularze teleskopu wieczorem, sto dwudziestego ósmego dnia spadania. Położyłem się spać z dziwną nadzieją, że rano nic tam nie zobaczę i to nasze spadanie będzie trwać dalej. W nieskończoność. Rano jednak nie mogłem zaprzeczyć: Niebo pod nami wyglądało inaczej niż zawsze. Było szaroblade, i nie była to chmura burzowa.

Od wieczora obszar bladości rozszerzył się prawie dwukrotnie. Zbliżaliśmy się do Antycelu. Czymkolwiek on był, miałem mu za złe, że zburzył naszą spokojną egzystencję. Jednocześnie czułem, że to bez sensu, bo na tę chwilę czekałem od wielu lat, może nawet od pierwszej świadomej myśli.

Zacisnąłem palce na poręczy pokładu obserwacyjnego. Nie potrzebowałem już teleskopu, by widzieć to, co oczywiste. Ta oczywistość rosła z każdą godziną. Nie było sensu zaprzeczać.

W szarym ogromie dawało się zobaczyć rzadkie, białe błyski, które nic mi nie mówiły.

Czego się bałem? Końca naszego małego szczęścia?

Kobiety mają zły wpływ na mężczyzn, jeśli traktować je poważnie. To kolejne powiedzenie Sigga, które zapamiętałem i zapisałem. Nie miałem pojęcia, czy on kiedykolwiek kochał jakąś kobietę.

Zrobiłem kilka głębokich wdechów i poczułem się nieco lepiej. Trzeba było przygotować główny spadochron i wierzyć, że wyliczyłem wszystko jak należy. Cała nadzieja w tym, że dziwnym zbiegiem okoliczności wyprzedziłem współczesnych i zobaczyłem w dole przyszłość. Przyszłość, czy przeszłość? Jedno i drugie – inaczej nic z tego wyjść nie mogło. Nie wiedziałem, co tam zastaniemy, więc i nie mogłem się przygotować. Pewne było tylko to, że nie wyglądało to jak platforma startowa na dziesięć miast. Było większe. Prawdę mówiąc było tak duże, że zaczynało mnie przerażać.

Oderwałem ręce od barierki. Poczułem ból i dopiero teraz zdałem sobie sprawę z

**tego, że wcześniej z całej siły zaciskałem palce na metalu.**

**Hersis siedziała na środku pokładu i patrzyła w górę. Wiatr głaskał jej włosy. Uniosłem głowę i spojrzałem tam gdzie ona. Między spadochronami widać było kawałek błękitnego Nieba.**

**\* \* \***

**Wielki spadochron otworzył się prawidłowo, ale nie wyhamował nas tak bardzo, jakbym tego chciał. Musiał znajdować się w strefie zawirowań, powodowanych przez niższe spadochrony.**

**Od spotkania z Antycelem dzieliły nas godziny. Spadaliśmy już sto dwudziesty dziewiąty dzień, co z ogromnym przybliżeniem równało się czterystu latom wspinaczki. Nic dziwnego, że nikt nie pamiętał skąd przybyliśmy.**

**–Co tam jest? – zapytała Her. – Tam, w dole. Wygląda jak wielka szarozielona chmura.**

**–To wszystko co wypadło z miast i nie zostało przez nikogo złowione. Wielka sterta śmieci. Albo skarbów.**

**–Skąd wiesz? Może tu nic nie dolatuje.**

**–Najniższe miasto też musi coś łowić. Inaczej nikt nie mógłby tam żyć. A skoro jest najniższe i łowi, to wokół jest tyle przestrzeni, że milion razy więcej musi przelatywać bokiem.**

**Antycel musi być pod spodem, pod tym wszystkim. Powinienem wcześniej o tym pomyśleć...**

**W jej oczach po raz pierwszy dostrzegłem obawę, że mogę nie mieć racji. Choć może tylko mi się wydawało.**

**–Spadochron może nie wystarczyć – powiedziałem. – Przygotujmy się na duży wstrząs.**

**Zawiesiłem nasz hamak nieco wyżej i dodałem cztery liny, zamieniając go w coś w rodzaju kokonu. Spód wypchałem dodatkowymi kocami i poduszkami. Umościliśmy sobie wewnątrz wygodne legowisko.**

**Do gongu, służącego kiedyś do alarmowania o zdobyczy w sieci, doczepiłem długą na dziesięć szerokości miasta linę obciążoną na końcu żelastwem. To miało nam dać minutę na ostateczne przygotowanie.**

Potem wszedłem na pokład obserwacyjny i spojrzałem w dół.

–To woda! – Zrozumiałem nagle, czym były te drobne błyski. – Pod nami jest pełno wody!

Rzuciłem się do mojego kąta, gdzie trzymałem księgę. Włożyłem ją do skórzanej, workowatej torby wraz z piórami, atramentem i paroma drobiazgami. Zawiązałem dokładnie, po czym wklinowałem między elementy konstrukcyjne.

Wskoczyliśmy do hamaka, by zamortyzować uderzenie o powierzchnię. Niewyłapanie przez miasta deszcze musiały dolecieć tutaj, ale na czym trzyma się taka masa wody? – to jeszcze zdążyłem pomyśleć. Czarnowłosa zaciskała oczy i trzymała moje dłonie. Nie mogłem wyrzeć, żeby zobaczyć ile jeszcze czasu.

Gong oznajmił, że została nam jeszcze minuta. Her pisnęła cicho i próbowała się przytulić, ale kazałem jej położyć się w bezpiecznej pozycji obok. Czułem, jak na przemian zaciska i odpuszcza moją dłoń. Usłyszałem jeszcze, jak miasto wsuwa napędy i zaczęło się.

Wstrząs nie był najgorszy. Najgorszy był huk. I ten widok, gdy ze wszystkich stron otoczyły nas spienione góry wody. Her krzyczała, ale jej głos nie mógł wygrać z hukiem wody. Widziałem to wszystko bardzo wolno, dokładnie. Białe ściany unosiły się, błyskając w słońcu milionami kropeł. Strzępiły się, sięgając Nieba, i wreszcie załamywały.

Panele podłogowe dolnych pokładów musiały wylecieć, wybite siłą uderzenia, i dopełniały teraz łoskotu, obijając się o ściany.

Najpierw spadały pojedyncze krople, zaraz po nich deszcz, ulewa, wreszcie ciężkie i ostre strugi wody. Spadochrony, pozbawione ciężaru, sflaczały i opadały luźno. Hersis, wczepiona we mnie, nie mogła wiedzieć, co zaraz się stanie, ale ja wiedziałem. Miasto było za ciężkie by utrzymać się na powierzchni. Gdybym wcześniej wiedział, gdyby tylko przemknęło mi to przez myśl... Miałbym czas, żeby coś wymyśleć. Mimo to byłem spokojny, bo już nic nie mogłem zrobić. Poszarpane pióropusze wody opadły, a po nich przyszła fala, która zakryła pokład, nas i wszystko. Spieniony chaos wypełnił cały świat i ustąpił miejsca zimnym wirom. Nie wiem, jak znalazłem się ponad głównym pokładem z ustami pełnymi słonej wody. Spojrzałem w górę. Za zasłoną tysiąca bąbelków powietrza pod powierzchnię wchodziły kolejne pokłady ogrodnicze, barwiąc wodę smugami brunatnej ziemi. Przerażony królik przebierał łapkami, kierując się ku powierzchni. Migoczące refleksami światło oddalało się i słabło.

Co ja zrobiłem?... Gdzie teraz były te wszystkie wizje, dojrzewające wolno pod czaszką?

**Rozglądałem się, aż zobaczyłem Hersis. Próbowła się wyswobodzić z sieci hamaka, a ja nie mogłem jej pomóc. Unosiłem się w wodzie obok i patrzyłem, jak porusza się coraz wolniej. Miasto opadało w mrok, ciągnąc za sobą splątane spadochrony, wirujące wolno szczątki i tę sieć z bezwładną już ręką, wyciągniętą w górę, do błękitu.**

**Pod wodą nie można oddychać. Więc jednak nikt nie może wiecznie mieć racji. Ani szczęścia.**

**Zamknąłem oczy, a największy spadochron objął mnie i pociągnął w dół.**

## 12. Tam poznasz swoją przyszłość

Wrzecionowaty, obło zakończony kształt hamował z wizgiem wysoko nad ziemią. Łoskot niósł się po linie aż do powierzchni, gdzie odbijał się od betonowej niecki i interferował z wibrującym już pod kopułą powietrzem. Brzmiało to, jakby pocierać stearyną długi, elastyczny pręt, tyle że sto razy głośniej.

Ludzie zasłaniali sobie uszy i oddalali się pospiesznie.

Gdy czarne cygaro było pięćset stóp nad ziemią, doszedł do tego dźwięk metalicznego pisku. Pojazd zwalniał szybko. Kiedy wjechał w otwór w szczycie betonowej kopuły, pisk stał się niemal nie do zniesienia. Ostatnie kilka metrów pokonał bardzo powoli. Wreszcie szczęki hamulcowe odpuściły, osadzając cygaro krótkim szarpnięciem na obejmującym linę teleskopowym amortyzatorze i sprężynie. Śwąd palonych okładzin ciernych rozszedł się po otoczeniu wraz z białym dymem, wylatującym z kilkunastu podłużnych otworów w blachach poszycia. Klapy hamulców aerodynamicznych wolno się zamykały, nadając pojazdowi wygląd stojącej na czubku gigantycznej szyszki świerkowej. Mechanizmy stygły, pykając regularnie.

Kilkanaście osób, stojących w bezpiecznej odległości, zaczęło bić brawo. Fragment dolnej części poszycia otworzył się wolno i oparł krawędzią o betonową rampę. W ciemnym otworze włązu pojawiła się ubrana na białą postać. Mężczyzna był wysoki i szczupły. Blond włosy opadały mu niemal na oczy. Ręką odgonił od siebie smużkę dymu i zszedł po karbowanym trapie na beton. Przez ramię miał przerzucony biały worek z bagażem. Zatrzymał się i rozejrzał. Wschodzące słońce rzucało ostre cienie na szare, zakończone obło budynki i dalej, na porośnięte lasem podnóża gór. Na kilkudziesięciu betonowych słupach, rozmieszczonych koncentrycznie wokół liny z cygarem, wznosiła się kopuła. Pod jej dolną krawędzią było dość miejsca, by podziwiać okolicę.

–Brakowało mi tego widoku – mruknął sam do siebie.

Widzowie podeszli i gratulowali udanego lądowania. Mężczyzna pozdrowił ich dłonią i wychwycił siwowłosą postać, która pojawiła się w wylocie głównego chodnika, na skraju kopuły. Dormer machał niezdarnie, schodząc ciężko po schodach. Nie dołączył już, staruszek. Prawe ramię opuściło się jeszcze niżej.

–Jonathan! – Rozłożył ramiona, by uścisnąć mężczyznę. – Znów męczyłeś silnik, aż skończyło się paliwo?

Jonathan objął starca, potem cofnął się o krok i przyjrzał mu się uważnie. Dormer był zdecydowanie niższy, a do tego garbił się; musiał zadzierać głowę, żeby patrzeć rozmówcy w oczy.

**–Co tak patrzysz? Nie odmłodziłem przecież przez ten miesiąc!**

**–Tylko miesiąc – odparł Jonathan. – Nie chcesz mnie słuchać. Jestem pewien, że dałoby się wykorzystać wiatr do wznoszenia. Mógłbym wyprawić się na pół roku. Coś się działo tu, na dole?**

**Dormer pokręcił smutno głową.**

**–Spad przebił osłonę w topni kwarcu Krammera. Zginęło paru ludzi, a firma nie będzie pracować przez dwa tygodnie. Lepiej się stąd wynośmy. Opłotkami, bo tłuszcza szuka winnych.**

**–Zawsze był ktoś, komu nie podobało się to, co robimy.**

**–Teraz nie podoba się prawie wszystkim... A co na górze?**

**–Widziałem coś nowego – powiedział Jonathan. – Nie wiem, co to było, ale wyglądało dziwnie... Odpocznę, wywołam zdjęcia, potem pójdę do baru upić się na sen...**

**–Nie mogę się doczekać zdjęć, ale... – starzec zawiesił głos – musisz na siebie uważać. Nastroje są bardzo złe.**

**Od strony odległego półkolistego hangaru zbliżał się targacz. Wysoko sklepionym korytarzem o ażurowych ścianach niosło się dudnienie silnika spalinowego. Za pojazdem szło trzech mężczyzn, niosąc długi stalowy pręt.**

**–Zaczekaj – poprosił Jonathan. – Lubię to oglądać.**

**Czarna, masywna maszyna na sześciu kołach wjechała po szynach pod kopułę i wolno zbliżyła się do trzykrotnie wyższego cygara. Z przedniej części targacza wysunęły się dwie solidne łapy, poruszane kołami zębatymi. Trzech pomocników włożyło pręt w otwór u podstawy cygara i z wyraźnym trudem, bardzo wolno obróciło je o kilkanaście stopni. Łapy zazgrzytały o zgrubienia po obu stronach cygara, aż stalowe bolce trafiły w odpowiadające im wgłębienia. Obróciły się kolejne tryby, poruszyły popychacze i rozległo się głuche uderzenie. Kadłub rozpękał się jak muszla małża. Dwie części wolno rozchyliły się na niewidocznych zawiasach niemal do kąta prostego, ukazując strukturę wewnętrzną. Na górze silnik i układy chłodzenia, pod nim połączone drabinką trzy pokłady dla załogi, niżej ładownia, a na samym dole zbiorniki paliwa. Przez sam środek całości szedł kanał przewodniczy, w którym znajdowały się rolki obejmujące linę oraz wciąż dymiące szczęki hamulcowe. Z prędkością spacerującego człowieka targacz zaczął się wycofywać, niosąc w masywnych łapach rozpęknięte cygaro.**

**–Widziałeś to tyle razy – pokręcił głową Dormer.**



Wyszli spod osłony kopuły i ruszyli na ukos przez wielki Plac Zaufania, zalany promieniami wschodzącego słońca. Znakomita większość ludzi wybierała dłuższą drogę, pod arkadami, dźwigającymi odwróconą pancerną rynnę. Jednak Jonathan wychodził z założenia, że jego życie jest na tyle ryzykowne, że szkoda czasu na tę chwilę poczucia bezpieczeństwa. Całe centrum Mar Harras było poprzecinane arkadami, łączącymi poszczególne budynki, a społeczeństwo dzieliło się na tych, którzy chodzili prostą drogą i tych kluczących pod osłoną betonu. Nawet okrążające plac spalinowe tramwaje miały opancerzone dachy.

Trotuar nosił liczne ślady trafień mniejszymi bądź większymi spadami. Najbardziej zniszczone płyty wymieniono. W zasięgu wzroku mieli kilka jaśniejszych sześciokątów. Jak często ginęli tu ludzie? Prawdopodobieństwo trafienia było niewielkie, ale istniało. Podczas corocznego Święta Zaufania, kiedy tłum szczelnie wypełniał ten plac, zdarzały się dwie, trzy ofiary. Co kilka lat. Pojedynczy człowiek mógł się więc czuć chroniony przez zwykłą statystykę.

Przy zachodnim krańcu placu rósł wielki, czterystuletni dąb. W jego cieniu przesiadywały grupki młodzieży, również nie obawiającej się spadów. Na wschodnim krańcu placu dominował zupełnie inny klimat. Znajdował się tam więziennik – kilkanaście żeliwnych półluków. Tego dnia zajęte były trzy. Szare worki wisiały na długich linach, może stopę nad ziemią. W jednym z nich wciąż szarpał się skazaniec i krzyczał coś, ilekroć słyszał zbliżające się kroki. Dwaj pozostali zrezygnowali, bądź opadli z sił. Drobne złodziejaski, chuligani. Każdy z worków był zawiązany prostym węzłem, który można było rozwiązać lekkim pociągnięciem za zwisającą końcówkę. Oczywiście nie można było tego zrobić z wnętrza worka. Ułaskawienia musiał dokonać przechodzień. Śmierć była rzadkością – w ostateczności, po kilku dniach, uwolnienia dokonywali sami gwardziści.

Pałac gubernatora przypominał wielką, spłaszczoną pieczarkę. Masywny, żelbetowy kapelusz przekrywał całą budowlę, za wyjątkiem kilku wież obserwacyjnych i dymiących kominów. On też nosił ślady trafień.

Szli niespiesznym krokiem wzdłuż szyn, wpuszczonych w trotuar. Wyprzedzali ich zbieracze, wiozący małymi drezynami swoje całodzienne zbiory. Ci również nie bali się spadów. Całe dnie spędzali pod otwartym niebem, zbierając to, co z niego zleciało.

\* \* \*

Pół godziny później Jonathan leżał już w długiej wannie, zanurzony po szyję w pachnącej, spienionej wodzie. Pierwsza kąpiel od miesiąca. Organizm domagał się snu, ale umysł krążył myślami wokół niewywołanych zdjęć. Nie zaśnie.

Wszedł z wanny i zawinął się w ręcznik. Nalał do szklanki sotche i przerzucił

**przykurzone arkusze papieru ze szkicami podniebnego żaglowca. Projekt miał niewielkie szanse na realizację, ale gdyby się udało... Można by wspiąć się wiele wyżej. Może nawet nie byłoby żadnych ograniczeń, poza zapasami pożywienia.**

**Podszedł do okna i spojrzał w dół. Z trzydziestego piątego piętra miał niezły widok, ale to i tak nic w porównaniu z widokami z ostatniego miesiąca. Upił łyk palącego trunku i chwilę delectował się miłym gorącym przepływającym przez gardło. Dopiero teraz czuł, że wrócił do domu. Podczas podróży nie pił. Od lat stosował sprawdzony podstęp: startował pijany, bo wtedy nie myślał o tym co będzie, jak wytrzeźwieje i potrafił zostawić butelki w domu. Potem nieodmiennie zaczynał żałować, ale wrócić już nie mógł.**

**Kolejny łyk i przedsmak błogostanu, który następował po trzeciej, czwartej szklance. Oparł czoło o szybę. Dobra dzielnica, zaledwie kwadrans spaceru od pałacu. Strzeliste wieże, zakończone obłymi pancierzami na dachach. Trzydzieści, czterdzieści pięter, na każdym piętrze mieszkanie, a wszystko razem zabezpieczone jednym żelbetowym kołpakiem. Przy ich budowie wykorzystywano wiedzę na temat spadów – one zawsze uderzały dokładnie pionowo, a to znacznie upraszczało konstrukcję wzmocnień i wyliczanie kąta rykoszetów.**

**Przeniósł wzrok na pałac gubernatora. Przed nim, na Placu Zaufania gromadził się tłum.**

**\* \* \***

**W słabym, czerwonym świetle, na dnie kuwet z wywoływaczem pojawiały się kolejne, nieostre odbitki. Początek kliszy – kiedy naciskał spust migawki, jeszcze nie wiedział, co widzi. Ledwie biała plama na niebie. Odliczony mechanicznie czas, kliknięcie i następna odbitka: szara kula z białymi płatkami na górze, jakby kwiat. Kliknięcie. Stalowa konstrukcja. Klik. Windowiec. Spadający windowiec. Klik. System lin, podtrzymujących płachty. Więc nie przypadek. Klik.**

**Mruknął, przysuwając kolejny arkusz niemal do twarzy. Dwie drobne sylwetki, oparte o reling spadającej, stalowej prawie-kuli. Klik. Spadochrony zasłoniły wszystko.**

**Złął odczynniki do butelek i zapalił światło. Dwie sylwetki...**

**Wtedy rozległo się walenie do drzwi.**

**\* \* \***

**Spora, okrągła sala miała idealnie gładką podłogę. Wśród otaczających ją kolumn stały wysokie regały z książkami, częściowo przysłonięte ciężkimi kotarami, kryjącymi być może przejścia bądź dalszy ciąg pomieszczenia. Ukryci w półmroku**

gwardziści, w granatowych płaszczach i płaskich kapeluszach, stali nieruchomo, czekając na odegranie swojej roli. Jonathan nie chciał sprawdzać, jak im pójdzie. Wciąż bolały go nadgarstki, otarte więzami.

Wielkie jak stół w szkolnej jadalni biurko w części było zajęte przez zdjęcia, które badacz rozpoznał bez trudu – w większości sam je wykonał. Rozejrzał się niepewnie. Pomarańczowe światło zachodzącego słońca wpadało przez panoramiczne okno i wypełniało wnętrze grą półcieni. Gabinet, za sprawą licznych zakamarków, sprawiał niepokojące wrażenie czegoś, co może nagle stać się zupełnie czymś innym, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Pod oknem stał osobliwy przedmiot, przypominający wielki, spłaszczony fotel lub okrągłe łóżko, obudowane burtami i wąskim blatem. Oparcie, zasłaniające siedzącego w nim człowieka, połączone było ze środkiem sklepienia sali wiązką elastycznych przewodów i rur. Gdzieś w środku cicho szemrał silnik spalinowy.

Jonathan stał na środku gabinetu, wciąż oszołomiony tempem wydarzeń z ostatnich kilku godzin. Dormer opuścił go przed drzwiami, a szkoda, bo z pewnością był tu nie raz i wiedziałby, jak się zachować. Rola starca sprowadziła się do wyciągnięcia go z celi. To i tak dużo.

Szum silnika wzmógł się i łożo wolno obróciło się przodem w stronę gościa. W miękkich, purpurowych pluszach zapadał się monstrualnie gruby człowiek. Trzymał pulchną dłoń na dźwigniach wystających z burty. Z pewnością osiągnął już wagę, uniemożliwiającą mu samodzielne poruszanie się. Jonathan gapił się na niego, kompletnie zaskoczony. Spodziewał się jakiegoś śledczego... Dopiero po chwili skłonił głowę i powiedział:

–Witaj, gubernatorze Thomedos.

Cielesna kula, zawinięta w płachty ciemnych materiałów, wpatrywała się w niego parą przenikliwych oczu. Czarne, błyszczące kropki wylaniały się z nalanej twarzy, z której nadwaga zmasała wszelki wyraz. Gubernator pół siedział, pół leżał, wypełniając sobą większą część łoża.

–Badacz niebieski... Czy nowy raport będzie zawierał to samo, co poprzednie? – zapytał szeleszczącym głosem.

Jonathan odchrząknął i spojrzał na leżącą na blacie teczkę. Wystawały z niej zdjęcia, które wywołał tego popołudnia.

–Jest coś nowego – odparł.

Gubernator pchnął dźwignie. Na niewidocznych pod fałdami materiału kołach łożo objechało biurko i wolno wsunęło się w półokrągłe wycięcie blatu.

**–Za każdym razem jest coś nowego – powiedział gubernator. – Ale to coś w żaden sposób nie przybliży nas do zrozumienia świata, w którym żyjemy. Ten tłum na dole nie próbuje niczego rozumieć. Zamiast tego rozszarpałby cię w kilka sekund, gdyby mógł.**

**–Czy oni... tam?... – Jonathan wskazał głową okno.**

**–Tak. Chodzi o ciebie, ale nie zajmuj się tym teraz. Opowiadaj, co nowego.**

**–Planujemy wykorzystać wiatr do wznoszenia. – Jonathan czuł, że traci resztki pewności siebie. – Odpowiednio duże żagle, rozpięte na masztach pod zmiennym kątem, wytwarzałyby siłę nośną. Przystanie nas ograniczać ciężar paliwa. Braily w swoim pojeździe planuje wykorzystać balony wypełnione lekkim gazem, ale osobiście uważam, że żagle będą sprawniejsze, bo nie trzeba ze sobą zabierać ciężkich butli...**

**Thomedos zdawał się nie słuchać. Patrzył na badacza zza fałdów skóry i pokładów tłuszczu, które więziły jego osobę. Długą, teleskopową tyczką, zakończoną łapką, przysunął do siebie kilka zdjęć i przejrzał je pobieżnie, gnąc niezdarnie papier.**

**–Niczego tam nie znajdziecie – powiedział wreszcie.**

**–Czy to, co jest na wysokości stu jednostek, różni się od tego, co jest trzy razy wyżej? Albo na wysokości tysiąca jednostek?**

**Jonathan nie wiedział co odpowiedzieć.**

**–To już nie są badania naukowe – ciągnął gubernator.**

**–To turystyka, wycieczki. Może dotrzecie na tysiąc pięćset jednostek, może na dwa tysiące. W końcu jedna wycieczka będzie trwała rok. Skatalogujecie więcej rodzajów windowców, zrobicie dokładniejsze pomiary elektryczności. Wszystko to niczemu służyć nie będzie, nie odpowie na nasze podstawowe pytania.**

**Jonathan zamknął oczy. Więc jednak, koniec. Przez prawie minutę ciszę zakłócał tylko świszczący oddech Thomedosa i szemranie silnika. Jeden z gwardzistów podszedł do biurka i postawił przy nim krzesło. Badacz wolno usiadł.**

**–Jako dzieci mieliśmy pewną zabawę. – Gubernator mówił ciszej, z trudem. Robił przerwy między zdaniem. – Wspinaliśmy się na liny. Zasady były proste. Kto wspiął się najwyżej, wygrywał. Byłem w tym dobry; najlepszy, myślałem nawet. Potrafiłem wspiąć się ponad dach tego pałacu. Aż pojawił się pewien chłopak, nie pamiętam już jego imienia, myślę, że nikt nie pamięta. Wspinał się lepiej ode mnie, znacznie lepiej. Zrozumiałem wtedy, że wcale nie byłem mistrzem – po prostu większość dzieci nigdy nie próbowała wchodzić na liny. Tym bardziej zezłoszczony tym odkryciem, postanowiłem dać z siebie wszystko. Wspiąłem się wyżej niż kiedykolwiek, ale on**

dotarł wyżej. Ręce mi mdlały, a wciąż widziałem go nad sobą na sąsiedniej linie. Piąłem się, aż poczułem, że nie dam rady wykonać ani jednego ruchu. Spojrzałem wtedy w dół i zrozumiałem naraz kilka rzeczy. Najważniejszą z nich było to, że nie dam rady zejść, zużyłem przecież całą siłę na wspinaczkę. Czekanie osłabiłoby mnie tylko, bo przecież pomoc nie mogła nadejść. Zacząłem się zsuwać. Najpierw powoli, po kawałku, potem coraz szybciej, a im szybciej się zsuwałem, tym bardziej paliły mnie dłonie. Po chwili krew z przeciętej skóry chlapała mi już na twarz. Instykt kazał mi się puścić, próbował rozewrzeć palce, ale silna wola nie pozwoliła. Nie pamiętam, jak znalazłem się na dole. Pamiętam, że siedziałem na ziemi i patrzyłem na poszarpane mięso własnych dłoni. Potem usłyszałem tamtego chłopaka. Nie wytrzymał i puścił linę. Krzyk urwał się potężnym łupnięciem, oznaczając kres jego życia w chmurze pyłu.

–Gubernator spojrzał na dłonie. – Moje rany zagoiły się po dwu miesiącach. Zagoiły się niemal bez śladu. Ja żyję, on nie. Od tego czasu prześladuje mnie sen, w którym wiszę uczepiony liny w bezkresnym błękitnie. Niebo jest nade mną, niebo jest pode mną, otacza mnie ze wszystkich stron. I nie ma nic więcej.

Badacz wpatrywał się w niego z napięciem – czasem miewał taki sam sen. Przypomnił to sobie teraz.

Gubernator łapał powietrze jak wyciągnięta na brzeg ryba. Monolog wyczerpał go.

–Czekasz na morał? – zapytał. – Jest ich wiele, a każdy równie dobry.

Zapadła cisza.

–Bez tego doświadczenia nie zostałaby pan gubernatorem – wypalił nagle Jonathan.

Thomedos patrzył na niego dłuższą chwilę. Brodę miał wilgotną od śliny, ale nie zamierzał jej wycierać.

–Co nowego badacz niebieski zobaczył tym razem? – zapytał wreszcie. Serdelkowatymi palcami wziął w dłonie plik najnowszych odbitek fotograficznych i przyjrzał się im dokładnie.

–Widziałem windowca, który został odczepiony i spadał – zaczął Jonathan. – To nie mógł być wypadek, bo wyposażono go w rodzaj prymitywnych hamulców aerodynamicznych. Nie widziałem nikogo na pokładzie, odległość była zbyt duża, ale potem na zdjęciach ujrzałem dwoje ludzi.

–Jak zamierzali wrócić? – Thomedos odszukał właściwie zdjęcia i przyjrzał się im.

–Nie zamierzali... Nie mogą wrócić. Windowce wspinają się bardzo wolno. Zresztą nie mam pojęcia, jak mieliby złapać się lin. Według moich obliczeń, powinni się rozbić

**daleko za skrajnią. Nie ma szansy, żeby ich znaleźć.**

**Gubernator chwilę oddychał ciężko. Sięgnął ustami do wystającej z burty rurki i wysał z niej kilka ryków wody. Parę kropel spadło na materiał jego szaty. Wreszcie przemówił:**

**–Wszędzie wygląda to tak samo: lina, za sto stóp następna, identyczna. Uporządkowane w rzędy co 120 stopni, tworzą na planie siatkę sześciokątów plastra miodu. Czemu służą? Każdy, średnio rozgarnięty człowiek zadaje sobie to pytanie, ale nie wypowiada go głośno. Liny nie są tworam natury jak góry, jeziora, czy rośliny. Byli już tacy, co próbowali je ciąć, topić, palić kwasami. Okazały się być niezniszczalne. Niepowodzeniem skończyły się również próby pomiaru ich ciężaru i sprężystości. Próbowano wreszcie kopać, żeby sprawdzić, jak głęboko sięgają pod ziemię. Teraz już wiemy, że sięgają bardzo głęboko. W najgłębszych kopalniach też można na nie natrafić. Czemu więc służą?**

**–Łączą ziemię i niebo, żebyśmy pamiętali o obecności Najwyższego – odparł mechanicznie Jonathan.**

**Thomedos zmierzył go wzrokiem.**

**–Ta banda idiotów z dołu cię nie słyszy – powiedział. – Tutaj nie obowiązuje cenzura. Nie powtarzaj bajek dla dorosłych.**

**Jonathan zastanowił się chwilę i powiedział:**

**–Myślę, że liny służą windowcom do wspinania się w Niebo. Ciężko wyobrazić sobie inne przeznaczenie. Tu, na ziemi tylko przeszkadzają. To część jakiejś... maszyny.**

**–Kto ją wykonał?**

**Obok łoża Thomedosa pojawiła się kobieta w czerwonej sukni. Jonathan przegapił moment, w którym wyłoniła się zza jednej z kotar. Miękkim ręcznikiem delikatnie przetarła twarz i głowę gubernatora, potem dłonie. Ten nie zareagował w żaden sposób. Żona, pielęgniarka, sekretarka? Kochanka raczej nie. Posłała miękkie spojrzenie Jonathanowi i bezszelestnie wycofała się w mrok.**

**Thomedos wyjechał swoim łożem z za biurka i podjechał do najbliższego regału. Badacz odruchowo poderwał się z miejsca, a gwardziści odruchowo unieśli broń.**

**–Nie ma ksiąg starszych niż czterysta lat – powiedział gubernator, biegnąc wzrokiem po grzbietach. – Sprawdzałem osobiście, w czasach gdy jeszcze mogłem się poruszać o własnych siłach. Potem sprawdzali moi słudzy. Czterysta lat to absolutna granica. Nigdzie nie ma żadnego starszego słowa pisanego. Wiesz, jak się określa wiek drzewa? Przecina się pień i liczy słoje. Kazałem zebrać dane ze**

wszystkich stron Herlanu. Najstarsze ścięte drzewa miary mniej niż czterysta słołów. Nasza historia rozmywa się niepokojąco na pierwszym z gubernatorów, o którym w księgach jest zaledwie kilka zdań. Nie wiadomo przez kogo został wybrany, wiadomo jedynie, że oszalał za sprawą dziwnej choroby.

Słońce zaszło już całkiem. Lampy gazowe świeciły żółtawo. Jonathan nie zauważył, kiedy się zapaliły. Cienie po kątach stały się jeszcze ciemniejsze.

–Przeczytałem wszystkie te księgi – odezwał się po krótkim odpoczynku Thomedos, wciąż odwrócony do regału. – Wiem wiele o moich poprzednikach, o ich decyzjach, o sukcesach i klęskach. Jest tu też sporo o badaniach niebieskich. Pierwszy pojazd badawczy został wysłany w niebo sto pięćdziesiąt lat temu. Odkrył windowce, ale jeszcze nie to, czym są. Badania kontynuowano przez następne osiem lat, kiedy to na zdjęciach zobaczyliśmy ludzi – Niebian, jak ich wówczas nazwano. Wyników badań nie udało się utrzymać w tajemnicy. Zapanował niepokój, bo zaburzony został porządek, leżący u podstaw naszej egzystencji. Oficjalny dogmat głosił przecieź, że nasz płaskowyż został wypiętrzony przez Najwyższego, byśmy mogli być bliżej Jasności. Gdy okazało się, że wysoko nad nami żyją ludzie, obraz ten stracił na wyrazistości. Wtedy właśnie sami zaczęliśmy się nazywać Ziemianami. Czy Niebianie byli lepsi i bardziej ulubieni? Nie! Moi poprzednicy potrafili to wykorzystać, zamienić społeczny niepokój w spoiwo, cementujące nasz naród. Baarsan oznajmił, że Niebianie są uzurpatorami Łaski Jasności, niegodnymi miejsca, jakie zajmują. Są naszymi wrogami, bombardują nas spadami, próbując nas zabić w zazdrości o jedyną prawdziwą i zasłużoną Łaskę. Zdarzało się raz na jakiś czas znaleźć ciało Niebianina, wbite w ziemię, bądź rozsmarowane po betonie. Trupy zrzuconych przez gniew Najwyższego bezczeszczono i palono publicznie. Wróg musi istnieć – to absolutna podstawa: móc kogoś nienawidzić, pragnąc go zabić przy pierwszej okazji. To podpora całego naszego systemu wartości, który utrzymuje porządek i sprawia, że nie zaczynamy się zabijać nawzajem. – Skończył i łapał teraz oddech.

–Czy dlatego?... – zapytał Jonathan.

–Tak. Pociesz się, że gdyby nie aresztowała cię moja gwardia, już byś pewnie nie żył. Nic nie rozumiesz? – Thomedos odwrócił łóżę od regału. – Teraz wrogiem jesteś ty. Wiesz, za co zostałeś aresztowany?

–Nic mi nie przychodzi do głowy...

–W topni kwarcu zginęło paru robotników. Tydzień wcześniej śruba zabiła zwykłego przechodnia. Ekspłodował nagle, a pocisk wbił się jeszcze w ziemię.

–Przecieź nawet mnie tu nie było. – Jonathan wzruszył ramionami. – Byłem w Niebie.

**–W tym właśnie problem. Ludzie nienawidzą Niebian za ten złom, który leci nam na głowy. Nie mogą ich dosięgnąć, więc chcą dosięgnąć ciebie. Kojarzysz im się z niebem.**

**–To jakaś bzdura!**

**–Lubimy się okłamywać...**

**–Okłamywać?...**

**–Ludzie potrzebują kłamstw jak wody. Tylko nieliczni mogą poprawnie funkcjonować bez świadomości, że ktoś wszechwiedzący obserwuje ich czyny i kiedyś ich z nich rozliczy. Cała reszta maluczkich musi mieć strażnika, umieszczonego we własnej głowie przez kogoś mądrzejszego. Niestety, ten strażnik może działać tylko w określonym środowisku. Jeśli warunki się zmieniają, strażnik umrze. Ludzie, którym ufam, przetrwaliby śmierć swojego strażnika i dalej robili to, co robią. Ale tysiące, dziesiątki tysięcy, tam w dole, przestałoby się czymkolwiek przejmować. Zaczęliby kraść, zabijać. Oni muszą wierzyć święcie, niezachwianie, że całe życie pracują na ocenę, wystawianą w chwili śmierci.**

**–A jednak kolejni gubernatorzy kontynuowali badania – zauważył Jonathan. – A gdyby okazało się, że Niebianie nie są wrogami...**

**–W każdym z nas, gdzieś głęboko żyje nadzieja. – Gubernator skinął głową. – Nadzieja, że to wszystko wokół, to tylko stan przejściowy. Nawet, jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy, czekamy na jakieś wydarzenie, które wskaże nam nowy kierunek. Boimy się go, ale i pragniemy. Bo czyż to jest idealny świat?**

**–Wykonał ociężały gest w stronę okna, za którym zaszło już słońce. – Musimy kryć się pod żelbetowymi ekranami, żeby nie zabiły nas spady, ale jednocześnie potrzebujemy spadów, bo nasz świat nie jest samowystarczalny. Potrzebujemy spadów do budowy naszych maszyn. Potrzebujemy też ropy i gazu, które wykradamy ziemi za pomocą świrdrów i rur. Niestety ropa musi się skończyć, skończyć się musi wszystko, co wydobywamy. I dlatego, prócz nadziei dla zwykłych obywateli, potrzebujemy prawdziwej, namacalnej, naukowej nadziei, czyli wiedzy, co robić dalej. Co robić, by móc istnieć za sto lat. Dlatego kontynuujemy badania. My tutaj wiemy przecież, że Niebianie nie bombardują nas z nienawiści. Spady są tym, co oni gubią. Dochodzimy też do niebezpiecznego wniosku, którego poza tym gabinetem lepiej nie wypowiadać na głos, że windowce wystartowały stąd i że żyją na nich nasi bracia. To niebezpieczne rozważania, wymagające... dyskrecji. Dogmaty są konieczne, żeby utrzymać tłum w ryzach. Nie, nie boję się o własne życie. Niewiele mi go zresztą pozostało. Chcę zapewnić lepszą przyszłość tym masom ograniczonych ćwierćinteligentów, którymi rządę. Niech więc zwykli obywatele darzą Niebian nienawiścią i pogardą, bo to jedyna gwarancja, że nasz świat nie pograży się w**



chaosie. My musimy myśleć za nich wszystkich tam w dole. – Gubernator obiema rękami wskazał w dół, przed siebie, wprawiając całe ciało w drgania. – Niebezpieczeństwo rozpadu systemu wierzeń nie istniało przez czterysta lat. Aż do teraz.

–Chodzi o spadającego windowca?

–To nieistotne. – Thomedos odsunął od siebie zdjęcia i nacisnął jeden z guzików na poręczy łoża. Za drzwiami rozległ się krótki dzwonek i drzwi otworzyły się. Z półcieni wyłonił się potężnie zbudowany mężczyzna, o ponurym wyrazie twarzy. Miał na grzbiecie kurtę z grubej skóry. Skłonił głowę przed gubernatorem i znieruchomiał.

–Głęboko pod ziemią – oznajmił Thomedos – w najczarniejszych czeluściach kopalni Nimohren natrafiliśmy na coś, co zmienia całkowicie sens naszego pojmowania świata.

–Co znalezione? – zapytał ostrożnie Jonathan.

–To coś trzeba zobaczyć samemu, żeby w to uwierzyć – odparł ponury mężczyzna.

–To zagraża istnieniu strażników w głowach tysięcy ludzi – dodał gubernator. – Jutro pojedziesz z Doradem, on cię poprowadzi. Udasz się na dno kopalni Nimohren i tam poznasz swoją przyszłość.

## 13. Nimohren

Jonathan obudził się o wschodzie słońca, zlany zimnym potem. Wciąż zdawało mu się, że słyszy szeleszczący oddech Thomedosa. Czy tak powinien wyglądać badacz niebieski? Trzęsący się, nękany sennymi koszmarami neurotyk?

Usiadł na łóżku i ciężko westchnął. Nie był już w więziennej celi. Mały pokój miał skromne wyposażenie, okno wychodzące na jakieś magazyny, łazienkę i blat, służący za kuchnię. Wstał i podszedł do drzwi. Nie było w nich klamki. Może więc była to cela, tyle że o wyższym standardzie? Wszystko lepsze niż więziennik. Albo stos.

Słońce świeciło z dołu, oświetlając sufit różowawym światłem. Jonathan wrzucił dwanaście ziaren kawy do niklowanego młynkozaparzacza i pokręcił korbką. Ziarna chrupały, aż mechanizm przestał stawiać opór. Wtedy wlał do środka wodę, włączył palnik i zaczekał, aż mieszanka zacznie wrzeć. Jeszcze pół minuty i kawa była gotowa – zapas energii na kilka godzin. To wystarczy, potem pałeczkę przejmie adrenalina. Pokroił w plastry placek drożdżowy, posmarował go masłem i położył na wierzchu ser. Brakowało mu takiego jedzenia w niebie, ale teraz nawet ono nie mogło mu sprawić przyjemności.

Drzwi otworzyły się dokładnie w momencie, gdy przelykał ostatni kęs.

–Założ to – polecił Dorad, rzucając na podłogę strój górnika.

Jonathan spojrzał nieufnie na grubą kurtkę, obszerne spodnie i ciężkie, gumowane buciory.

–Dzięki temu nikt cię nie rozpozna. Wczoraj w nocy spalono cię na stosie. Zmartwychwstanie mogłoby się wydać podejrzan.

\* \* \*

Dorad również nie przejmował się spadami. Przeszli przez opustoszały Plac Zaufania. Ludzie dokonali zemsty i wrócili do normalnego życia. Napięcie zostało rozładowane. Nie sposób było nie zauważyć wciąż dymiącego stosu popiołu w pobliżu pustych łuków więziennika. Jonathan przełknął ślinę i starał się nie patrzeć w tamtą stronę. Nie mógł jednak nie zadać tego pytania:

–Kogo tu spalono naprawdę?

Górnik tylko spojrzał na niego ponuro.

Minęli miejsce leżące dokładnie na samym środku placu, gdzie według legendy, trzysta lat temu spadł wielki, stalowy cylinder, który wbił się w ziemię tak głęboko, że

nie opłacało się go wydobywać. Gwoli ścisłości, należałoby dodać, że przez następne trzysta lat nic, absolutnie nic, nie trafiło w to miejsce.

Dorad stukał w trotuar potężnym kilofem, którego używał w charakterze laski. Nie był jednak kulawy. Po co, u licha, wziął ze sobą ten kilof? Chodziło o wrażenie? Dyskretną groźbę? Jonathan i tak nie miał najmniejszej ochoty uciekać.

Plac okrężało kilka torów dla pojazdów szynowych. Przepuścili krótki tramwaj z grubym, stalowym dachem, podeszli do stojącej na bocznym torze dreźny i usiedli na twardym siedzisku. Dreźna nie miała dachu. Dorad zwolnił sprężynę rozrusznika, która uruchomiła silnik, skryty pod deskami ładowni. Ruszyli, chybocząc się na wpuszczonych w trotuar, wyrobionych szynach.

Gdy mijali zachodnią granicę placu, coś łupnęło Jonathana w głowę. Odruchowo spojrzął w górę, na liście wielkiego dębu. Gdyby to był spad, już bym nie żył, pomyślał. Schylił się i podniósł leżący na podłodze żołędź. Uśmiechnął się, wytarł go o koszulę i schował do kieszeni.

Kopalnia Nimohren znajdowała się daleko na północny zachód od miasta, wewnątrz Gór Smolnych. Czekala ich więc kilkugodzinna podróż. Ponury górnik ustawił prędkość i położył potężną dłoń na kierownicy. Minęli dzielnicę betonowych wysokościowców i wjechali na przedmieścia. Tu budynki były zdecydowanie niższe i słabiej zabezpieczone przed spadami. Jonathan próbował zagadywać swojego przewodnika (strażnika?), ale tamten zbywał go półsłówkami.

Po pół godzinie dotarli do biednych dzielnic, zamieszkanych głównie przez pracowników fabryk. Domy były krzywe, czasem nawet drewniane. Jedynym zabezpieczeniem mieszkających tam ludzi było szczęście. Tylko sześć torów prowadziło środkiem gliniastego traktu, więc o wyprzedzaniu nie było mowy. Zresztą Jonathan przestał odczuwać palącą ciekawość. Ponury nastrój bijący od towarzysza, zaczynał udzielać się i jemu. Przyglądał się mijanym podwórkom, brudnym dzieciakom, ganiającym się wzdłuż torów.

Przedmieścia zdawały się nie mieć końca. Z tej perspektywy bogate dzielnice bliżej centrum jawiły się jako luksus dla garstki wybranych, enklawa pozornej normalności. Wreszcie domy ustąpiły miejsca farmom zepchniętym w tym rejonie płaskowyżu niemal do podnórza gór. Tutaj ruch był mniejszy, więc mogli przyspieszyć. Badacz spojrzął na swojego towarzysza: milczący, gburowaty typ. Najgorszy rodzaj kompana na taką monotonną podróż. Przez całą drogę nie próbował nawet o nic zapytać, wpatrzony w perspektywę szlaku przed sobą.

–Po co ci ten kilof? – zapytał wreszcie Jonathan.

–Dobry kilof zawsze się przyda.

**Osiedle górnicze podupadało. Większość domów była zapewne pusta. W kopalni pracowało coraz mniej ludzi, bo kończył się węgiel. Planowano zamknąć ją za dwa, trzy lata.**

**Dorad zwolnił przed rozjazdem, chwycił kierownicę i szarpnął, by drezyna skręciła w lewo. Koła zaskrzypiały na wytartych szynach, a pojazd posłusznie podążył zadaną drogą. Przed kolejnym skrętem musieli przepuścić długi pociąg z węglem, więc Jonathan miał okazję dokładniej przyjrzeć się budynkom. Nigdy nie był w tej okolicy i nie podobało mu się tutaj. Miasteczko przypominało dziecięce budowle z klocków. Domy były wielokrotnie rozbudowywane i podwyższane w okresie szybkiego rozwoju kopalni. Oczywiście nie miały wzmocnionych dachów. Było tu ciasno, krzywe uliczki prowadziły do niepokojących zaułków. Nie dawało się dostrzec żadnego porządku, żadnej reguły, według której to wszystko powstawało.**

**Ruszyli dalej i wjechali na bardziej zniszczone szyny, po których przez dziesięciolecia przetoczyło się wiele ciężkich wagonów. Nie opłacało się już ich remontować. Górnik kręcił kierownicą, wprowadzając drezynę na odpowiednie tory. Nie było żadnych oznaczeń. Musiał dobrze znać drogę. Wreszcie drezyna zatrzymała się na krótkiej, zarośniętej trawą bocznicy. Dorad zazębił sprężynę rozrusznika. Gdy naciągnęła się do końca, silnik zgasł.**

**–Pojazdem spalinowym nie możemy wjechać pod ziemię – oznajmił, zsiadając.**

**Pierwsze zdanie, które nie składa się z mruknięć i monosylab, pomyślał Jonathan. Z ulgą rozprostował plecy i uniósł wzrok na czarne, nagie skały, pnące się w niebo na wysokość kilku jednostek. Z góry nie wyglądały tak potężnie. Narzucił plecak i ruszył za górnikiem, który już szedł przed siebie, postukując kilofem. Po chwili wpadli po kostki w błoto. Więc jednak takie buty mogły się na coś przydać.**

**Pod ziemię wchodziło się potężnym tunelem, wybitym w ścianie góry. Po lekkiej pochyłości prowadziło tam kilka torów. Co parę kroków między szynami umocowano rolki trzymające linę, którą wyciągano wagony z urobkiem. Jonathan nie miał bladego pojęcia o metodach wydobywania węgla, nie znał też przeznaczenia połowy maszyn, które miał w zasięgu wzroku. Nie miał ochoty pytać o nic swojego przewodnika. Rozglądał się, starając się nie potknąć o wystające z ziemi pozostałości starszych konstrukcji. Wielkie ładownice przesypywały węgiel z hałd do wagonów. Inne wagony, które wyjechały spod ziemi, tylko odczepiano od wyciągarek bębnowych i doczepiano do lokomotyw, by mogły ruszyć do miejsca przeznaczenia. Wokół panował spory hałas. Gdy znaleźli się wewnątrz tunelu, hałas jeszcze przybrał na sile – wzmacniało go echo. Tutaj wszystko wyglądało, jakby kopalnia pracowała pełną parą. Dopiero na papierze ksiąg rachunkowych widać było schodzącą w dół linię życia.**

**Trzeba było kilku chwil, by wzrok przyzwyczaił się do słabego światła lamp**

gazowych. Po błotnistym, nierównym podłożu, w obie strony przemieszczało się sporo osób. Tuż obok nich, z łoskotem zjeżdżały w dół puste wagony. Wzdłuż ścian szła chaotyczna plątanina przewodów i rur.

Tunel rozszerzył się wreszcie w potężną grootę, której centralną część wypełniały konstrukcje wież wind. Złożone z tysięcy rur kratownice sięgały stropu. Tam w górze, rycząc na wysokich obrotach, pracowało kilka silników. Obracały kołami ciągnącymi liny. Co minutę na powierzchnię podłogi groty wyjeżdżała winda z kilkunastoma wagonami pełnymi węgla. Lokomotywy, połączone elastycznymi przewodami z odsysaczami spalin, wyciągały wagony na plątaninę rozjazdów i sprawnie formowały je w pociągi. W bladym oświetleniu uwijała się dobra setka mężczyzn.

Następnych parę minut Jonathan spędził, stłoczony wśród kilkunastu górników, w chybotzącej się i objijającej o nierówne prowadnice windzie. Zjeżdżała chyba do samego serca ziemi. Kiedy wreszcie znalazł się na dole, marzył o powrocie na powierzchnię. Powietrze było tu wilgotne i ciężkie, jakby po wielokroć przepuściły je przez siebie tysiące płuc. Dorad pociągnął go za sobą w korytarze, znów bezbłędnie odnajdując drogę.

Szli tak chyba z kwadrans tunelem, w którym nawet nie ułożono torów. Skręcali wiele razy. Teraz już badacz musiał się trzymać górnika, by w ogóle trafić z powrotem. Kolejny boczny korytarz był przegrodzony śluzą powietrzną i pilnowany przez dwóch gwardzistów. Wyglądali dość osobliwie w takim miejscu. Dorad pokazał jakiś dokument. Jeden z gwardzistów otworzył drzwi i bez słowa wpuścił ich dalej.

–Gdzie my właściwie idziemy? – przerwał milczenie Jonathan, gdy wyszli z drugiej strony śluzy.

–Szukając nowej żyły, natrafiliśmy na wymytą wodą jaskinię – odparł Dorad. – W niej znaleźliśmy... to coś.

Po kilku zakrętach korytarz rozszerzył się do pustej przestrzeni o rozmiarach domu. Na środku stał namiot, kryjący coś, co słabo świeciło. Prócz niego, umieszczono tu kilka lamp, spory stół i krzesła. Nad stołem pochylało się dwóch mężczyzn w górniczych kurtkach i przyciszonym głosem dyskutowało o planach, rozłożonych na blacie. Na widok gości unieśli głowy.

–Pan jest Jonathan, badacz niebieski – stwierdził niższy, otyły, wyglądający na urzędnika. Podszedł, wyciągnął przed siebie rękę, którą Jonathan uścisnął. – Nazywam się Duff. Tymczasowo jestem przedstawicielem gubernatora w tej... sprawie.

Drugi, drobny mężczyzna nie przedstawił się, tylko obserwował nowoprzybyłych zza

stołu. W półmroku nie było go dobrze widać, ale badaczowi wydało się, że widział go poprzedniego dnia w pałacu.

Jonathan spojrzął na namiot. Krawędź materiału ledwie zauważalnie falowała, jakby wewnątrz coś oddychało.

–Ile panu... powiedziano? – zapytał urzędnik.

–Nic. Prawie nic.

–To nawet dobrze. Sprawa jest poważna i niezwykle delikatna.

–Uprzedzono mnie.

–Jaki jest pana stosunek do Niebian? Jonathan zastanowił się chwilę.

–Badam ich świat, tam w górze.

–Pytanie dotyczyło pana stosunku do nich – odezwał się ten z tyłu, wynurzając się częściowo z półmroku. Był raczej drobnej budowy, ale ostre rysy twarzy zdradzały mocny charakter. Głos miał przyzwyczajony do wydawania poleceń.

–Współczuję im – odparł Jonathan. – My mamy pod stopami twardą ziemię, oni tylko kilka pokładów i przepaść. Nie czuję wobec nich... niechęci.

Urzędnik zapisał coś w notatniku i włożył go do wewnętrznej kieszeni.

–Tym bardziej może to być przykre doświadczenie... – Potarł zaawansowaną łysinę.  
– Tak czy inaczej... Niech pan tam zajrzy. Po to pan tu przybył.

Jonathan spojrzął na namiot i przełknął ślinę. Co tam jest? Jakiś świecący kryształ szczególnej wartości? Po co wzywali tu akurat jego? Jest badaczem nieba, a nie podziemi. Podszedł do namiotu, odchylił ręką materiał i zajrzał. Ze szczeliny w podłożu skalnym biło słabe, niebieskawe światło. Obejrzał się na stojących za nim mężczyzn, jakby oczekując wsparcia, bądź wyjaśnienia. Nie poruszyli się, więc schylił się i wszedł do wnętrza namiotu.

Barwa światła wydała mu się znajoma, jakby już gdzieś ją widział. Niepokojąco znajoma. Położył się na wilgotnej podłodze, nie dbając o ubranie pod kurtką. Niepokój narastał. Przysunął się do otworu i wolno spojrzął w dół. Dłuższą chwilę nie mógł zrozumieć tego, co widzi. Nie był w stanie ogarnąć tego umysłem. Wreszcie usłyszał swój przerażony krzyk, który ginął wśród skał, unoszących się na linach ponad bezkresnym błękitem nieba, wypełniającego wszystko poniżej.

## 14. Narada

–To dwunaste takie miejsce w ciągu ostatnich miesięcy – powiedział Dormer, wstając z krzywego krzesła i podchodząc do okna. – Kopia coraz głębiej, szukając surowców. Dotarli do niespodziewanego kresu możliwości. Nafciarze już dwa razy donieśli o nagłym wyczerpaniu się złóż. Zapewne więc przebili dno zbiornika.

–Dlaczego nie powiedziałaś o tym wszystkim wcześniej?

–Jonathan patrzył na niego ponuro. Miał chęć wypić coś mocniejszego, ale odcięli go tutaj od wszelkich trunków.

–Nie wiedziałem wcześniej. – Starzec wzruszył ramionami. – Wszystko tajne. Nie dowiedziałbym się, gdyby ten mądrała Thomedos nie wykombinował, tego co wykombinował. Potrzebuje nas. To jedyny powód, dla którego jeszcze żyjesz.

Jonathan musiał przyznać mu rację. Oprócz niego było jeszcze dwóch badaczy niebieskich, ale nie byli w stanie podjąć się zadania. Braily od roku nie oderwał się od ziemi. Rozebrał swój pojazd na części i teraz przerabiał wszystko, próbując zmniejszyć ciężar i wykorzystał do wznoszenia balony wypełnione lekkim gazem. Buss kilka miesięcy temu uszkodził swój pojazd podczas lądowania i nie skończył jeszcze remontu. Była jeszcze Townsend, ale na nią nikt już nie liczył. Odkąd jej mąż nie powrócił z wyprawy, zdziwaczała. Strach przed otwartą przestrzenią tak się nasilił, że przestała nawet wychodzić z domu. Tak wyglądały nieudane wyprawy do Nieba – po prostu się z nich nie wracało. Trudno w to uwierzyć, ale nigdy jeszcze nie odnaleziono szczątków pojazdu, który uległ katastrofie w Niebie, ani jego załogi.

Jonathan też kogoś stracił, kogoś bardzo bliskiego. Trzynaście lat temu Hotti, jego żona, szalona kobieta, zabrała na wyprawę ich dwuletniego syna. Jonathan został, by konstruować następny pojazd – cygaro właśnie. Więcej nie zobaczył ani żony, ani syna. Silniki odrzutowe miały ich wynieść bezpiecznie, szybciej i wielokrotnie wyżej niż zwykły napęd... Po tygodniu niebo rozbłysło na parę chwil w niewyjaśniony sposób, ale blask ten nie dochodził z góry, tylko z dołu, zza skrajni. Część urządzeń na powierzchni przestała nagle pracować. Może awaria dosięgła również napędu odrzutowego pojazdu wysoko na Niebie? Więcej nikt nie próbował tego rozwiązania.

Wyrzucić tego wspomnienia z pamięci nie potrafił, ale wypłukał je rzeką alkoholu, aż stało się spłóviałym cieniem. Uwierało go, ale musiał z tym żyć i iść naprzód. Przez kilka lat przeklinał Hotti za pomysł zabrania dziecka na taką wyprawę, przez kilka następnych przeproszał.

Przeszedł go dreszcz, w gardle dziwnie zaschło, ale nie było tu zaopatrzonego barku. Do swojego domu nie mógł wrócić z oczywistych przyczyn. Wskreszenie wzbudziłby sensację, szybko przechodzącą w aktywną nienawiść. Sprzęt

fotograficzny i cała reszta została przeniesiona do jego nowej kwatery. Brakowało kilku cennych przedmiotów, ale wobec zachowania życia badacz postanowił nie drażnić tego tematu. Zniknęły jego wszystkie ubrania – w bieli i tak zbyt rzucałby się tu w oczy. Dostał za to mechaniczny kalkulator, który miał przyspieszyć jego pracę nad projektami.

Betonowy dom, o okrągłej podstawie, miał dwie kondygnacje i solidną, zbrojoną kopułę. Kiedyś mieszkał tu zarządca kopalni. Potem jednak stwierdził, że nie chce codziennie ryzykować dziesięciminutowego marszu pod gołym niebem do biura, więc przeniósł się do budynku zarządu i teraz do pracy schodzi po schodach.

Jonathan podszedł do okna i oparł się o parapet obok Dormera. Można się było przyzwyczaić do braku miejskich atrakcji, ale nie do wiecznego smrodu spalin. Późny wieczór zasnuwał mglistym smogiem górnicze miasteczko i dymiące kilkunastoma kominami wejście do kopalni. Szczyty Gór Smolnych ledwo majaczyły ciemniejszą kreską na tle granatowego nieba.

Niżej zapalały się ostatnie latarnie, a trzecia zmiana szykowała się do zejścia pod ziemię – tam nigdy nie ustawała praca.

–Przyznam się szczerze, że odczuwam spory niepokój na myśl o nowej misji – odezwał się Jonathan. – Dotychczas każda awaria napędu po prostu skracala wyprawę. W każdym momencie mogłem wrócić grawitacyjnie.

–Raptem dwa razy musiałeś.

–W nowej sytuacji, to byłoby o dwa razy za dużo.

–Umowa jest prosta: żyjesz, narażając życie, lub go nie narażasz, bo nie żyjesz.

–Umowa może i jest prosta, ale na pewno nie uczciwa. Niczego złego przecież nie zrobiłem.

–Nie narzekaj na Thomedosa. Nie ma uczciwych władców. Żeby zdobyć władzę, trzeba się najpierw upodlić, zniżyć do poziomu rynsztoka, bo cała polityka odbywa się na poziomie rynsztoka właśnie. Konkurencja wymusza takie metody, bo przecież wygrany zawsze ma rację. Nie podłożysz komuś padliny, to najpierw podłożą tobie. I wygrają, bo motłoch ufa pozorom. Uczciwi przegrywają w konfrontacji ze starannie spreparowanym zestawem kłamstw. Nie ma więc uczciwych władców, mówię ci, a ten przynajmniej nie jest okrutny.

Jonathan zastanowił się chwilę.

–Poziom rynsztoka, mówisz. Co to jest rynsztok?



**–Nie mam pojęcia. To takie stare powiedzenie. Chodzi mi o to, że nie masz wyboru.**

**–Łatwo ci mówić, bo ryzykujesz tylko karierą. Nasza spółka też nie jest do końca uczciwa. To ja nadstawiam karku.**

**Starzec odwrócił się od okna i spojrzał na przyjaciela.**

**–Nie masz wyjścia – powiedział. – Spróbuj więc przynajmniej znaleźć w tym pozytywy. Jesteś badaczem niebieskim. Z własnej woli, może z powołania. Masz okazję jako pierwszy opuścić się w dół, poniżej naszego świata, odkryć, być może, nowe światy. Pomyśl, jeszcze nigdy nikt się tam nie udał.**

**–O, udało się wielu! Tyle, że żaden nie wrócił. To dyskretna, ale istotna różnica! Nie dalej jak wczoraj wyprawilo się tam dwóch robotników, spawających uchwyty parkingowe dla cygara.**

**–Odłamał się kawałek skały, na której stali – przyznał Dormer. – Nie przestrzegali zaleceń dotyczących asekuracji linami, więc sami są sobie winni. Wielu podróżników schodziło po zboczach skrajni w czasach, gdy wciąż myśleliśmy, że przyszło nam żyć na wielkim płaskowyżu, wyniesionym ponad inne krainy potężnym trzęsieniem ziemi. Albo wracali z niczym, albo nie wracali wcale. O ile wiem, niczego ciekawego dodać do naszego stanu wiedzy nie potrafili. Z tobą będzie inaczej.**

**–O ile wrócę. Dormer machnął ręką.**

**–Co nowego w mieście? – zapytał Jonathan.**

**–Na sam środek Placu Zaufania spadła Niebianka. Wielki, głośny huk i plask w środku dnia.**

**–O! Co tym razem zrobili? Rozwlekli trupa po okolicy, śpiewając pijackie pieśni?**

**–Niewiele z niej zostało. – Dormer skrzywił się na samo wspomnienie. – Rozmaśliła się na betonie. Zawinięta była w jakiś materiał i obwiązana sznurkiem, który utrzymał resztki ciała w jednym miejscu. To chyba była kobieta, ponoć miała długie włosy. Kiedyś ciała Niebian palono. Teraz nastąpiła jakaś histeria i wszyscy rzucili się, żeby niszczyć. Skądś pojawiły się kije. Wyładowali się, ograniczone prymitywy. Krew, zaschnięta już mocno i zgęstniała, fruwała w powietrzu. Obrzydlistwo. Nigdy tego nie zrozumie.**

**–Ludzie zachowują się inaczej niż kiedyś – przyznał Jonathan.**

**–Szykują się zmiany – ciągnął ściszym głosem starzec. – Mówi się o spisku w pałacu. Mówi się, że buntownicy są w najbliższym otoczeniu gubernatora. Thomedos jest jednak zbyt silny i póki żyje, nic się nie wydarzy.**

**Mężczyźni milczeli chwilę, patrząc w ściany. Wreszcie starzec klepnął dłońmi w kolana i wstał.**

**–Idę. Dreżynę z kierowcą muszę zdać przed północą, bo mi za drugą dobę policzą.**

**Pożegnał się i wyszedł. Błotne ciamkanie jego butów znikło po chwili w nieustannym brumie machin kopalnianych.**

**Jonathan westchnął. Był tu od kilku dni, a już mu brakowało miejskich wygod i atrakcji. Żeby to chociaż była wieś, z wiejskimi zaletami! Tutaj zamiast ogródka miał, zależnie od pogody, klepisko lub błotne bajoro. Podczas deszczu woda spływająca z gór rozmaczała ziemię. Dziwne, że sam dom w niej nie utonął.**

**Odszedł od okna, usiadł za stołem i od niechcienia stuknął w przypadkowe klawisze mechanicznego kalkulatora. Mechanizm posłusznie zazgrzytał i obrócił trybami. Tarcze numeryczne ustawiły się w przypadkowy wynik. Stalowa skrzynka zajmowała sporo miejsca, ale znacznie przyspieszała obliczenia. Wbił wzrok w szkice konstrukcyjne nowego pojazdu. Wiedział już, że nie zdąży go wykonać, bo pałac wywiera silną presję na szybki start. Konstruowanie statku od zera musiałyby zająć najmarniej dwa lata, a on miał dwa tygodnie, może kilka dni więcej – na tyle przewidziano budowę podziemnej stacji. Zaczął się więc zastanawiać, jak zmodyfikować istniejące cygaro, by w razie awarii napędu spalinowego, móc wrócić na górę z pomocą siły wiatru.**

**Nie bardzo jednak wierzył, że to możliwe.**

**\* \* \***

**Wzdłuż wielkiego stołu ustawiono kilka krzeseł dla gości. Jonathan zauważył z pewną przykrością, że jego krzesło, nie dość, że niższe od pozostałych, to jeszcze znajdowało się przy samym krańcu stołu.**

**Kolejno pojawiających się gości nikt nie zamierzał anonsować, ani przedstawiać. Widać wszyscy, z wyjątkiem Jonathana, znali się doskonale. Dormer brylował dowcipem, zupełnie zapominając o swoim, nie obeznanym w towarzystwie, przyjacielu. Dopiero, trącony przez niego łokciem, zreflektował się i zaczął półgłosem przedstawiać gości.**

**–Poczynając od mojej strony – szeptał. – Ten grubas to Sanran, doradca polityczny. Upije się, nim dyskusja się skończy. Czasem tylko ma, niewytłumaczalne jak dla mnie, przebłycki geniuszu i potrafi skomplikowany problem sprowadzić do prostego, a bywa, że i całkiem rozwiązać. Ostatnio coraz rzadziej mu się to udaje, chyba za sprawą wzrastającego tempa picia. Za nim siedzi Lomar, rzecznik prasowy. Ten tylko gadać potrafi i koncytować, co większą popularność rządowi Thomedosa i jemu samemu przyniesie. Dla gubernatora cenny człowiek, bo ślepo w swego pracodawcę**

wpatrzone. Bez drgnięcia powieki potrafi powiedzieć ci prosto w oczy, że czarne jest białe. A ty mu uwierzysz. Dalej, ten mikrej postury, co ledwo zza stołu wystaje, to Drayny. Widziałeś go, zdaje się, w kopalni. Tajne służby. Lepiej na niego uważać. Za nim, w tym wymyślnym stroju, siedzi Elefteriades, kapłan Świątyni Zaufania. Ten to ma dopiero problem...

–A ten barczysty łysol?

–Zarządca kopalni, w którego starym domu mieszkasz. Nazywa się Merging. Wbrew temu, co sugeruje jego postura, myśli tylko o finansach. Już pewnie kombinuje, jak podupadającą stale kopalnię zamienić w dochodową atrakcję. Ostatni to Semiutys, astrofizyk. Z jego obecnej miny wnoszę, że jest w kropce, bo niczego mądrego naprędce nie wymyślił i nie wie, co powiedzieć. Sądzę, że będzie raczej krytykował pomysły innych, a własnych nie przedstawi. Co do ciebie, Jonathanie, to lepiej nie odzywaj się nie pytany.

Dopiero po kilku minutach ponura postać, by nie rzec – bryła, gubernatora, spoczywająca niezmiennie w wielkim, samojezdnym łożu, pojawiła się w drzwiach. Momentalnie ucichły wszelkie rozmowy. Błada, woskowa skóra niemal świeciła w ciemności.

–Mamy poważny kryzys, panowie – zaczął bez wstępów Thomedos. – I po raz pierwszy jest to kryzys, który łatwo się nie rozwiąże. Celem naszego spotkania jest opracowanie strategii dalszego działania.

Łoże wjechało łagodnie w wycięcie stołu.

–Ostatnie wydarzenia zachwiały mocno naszą wiarą – odezwał się rzecznik prasowy. – I nie mam tutaj na myśli wiary maluczkich, szczęście w nieszczęściu, ale naszą, szlachetną i poważną wiarę w to, że stoimy na twardym gruncie, a nie na kamyku wiszącym nad bezmiarem. Rodzi to uzasadnione podejrzenia, że nie tylko cała religia, uczyniona przez mądrych i zapomnianych przodków dla utrzymania spokoju społecznego, ale i nasze naukowe poglądy mocno się w ostatnich dniach zdezaktualizowały.

Kapłan patrzył na niego spode łba, ale milczał, gładząc tylko siwą brodę.

–Pieprzysz trzy po trzy, Lomar – powiedział Siemiutys.

–To przecież wszyscy wiemy, bez twoich popisów oratorskich. Rozwiązanie mamy znaleźć.

–Fakty, leżące u podstaw tego oczywistego dysonansu między wiarą a wiedzą, są oczywiste – ciągnął tamten, niezrażony.

–Prosty człowiek najlepiej funkcjonuje, gdy czuje nad sobą karzące ostrze absolutu. Inaczej lęgną się w ograniczonym umyśle rozliczne pokusy. Tak więc proponuję sprawę nam znaną utrzymać w tajemnicy. Elefteriades może dalej układać ludziom w głowach. – Zerknął na kapłana. – Niech nic się nie zmienia, dopóki nie poznamy wyników badań, przeprowadzonych przez kolegę Dormera.

–Gwoli ścisłości – wtrącił sam Dormer – badania przeprowadzi badacz niebieski, Jonathan, siedzący przy końcu stołu, obecnie tajnożyjący z przyczyn społecznych. Ja tylko przedstawię raport końcowy.

Nikt nie zaszczycił Jonathana spojrzeniem, co nawet go niespecjalnie ubodło. Widać tutaj nie uznawali niskich krzeseł. Sięgnął po karafkę z sotche i nalał sobie do szklanki całkiem sporo, przewidując że dyskusja może się przedłużyć do nocy, jak i to, że jego samego nikt nie zapyta o zdanie.

–Może tylko nieco wznieśliśmy się ponad poziom ziemi – odezwał się Merging, pocierając dłonią rysą czaszkę. – Wtedy wystarczyłoby zbudować schody, lub lepiej windę, by zapewnić komunikację z dołem.

–Raczej trzeba by obmyślić sposób na powolny powrót na dół – zauważył Sanran. – Taki sposób, żeby nikt nie zauważył kilkusetletniej rozłąki.

Jonathan, ze swojego miejsca widział, że płynu w szklance tamtego, i w jego własnej, ubywa w podobnym tempie.

–Może ja się nie znam, ale... – zaczął Semiutys, wzorem kapłana pocierając siwą brodę.

–Też tak sędzę – wszedł mu w słowo Sanran. – Nie znasz się, to nie zabieraj głosu. Liny trzeba odkopać i jednocześnie podlać jakimś olejem, żebyśmy się ześlizgnęli łagodnie na dół.

–Może ja się nie znam na polityce, ale na fizyce to i owszem – ciągnął astrofizyk. Był chudy, nosił jakąś szarogranatową pelerynę, która upodabniała go do bajkowego czarodzieja.

–Energia tarcia, wyzwolona poprzez opuszczenia głazu, na którym żyjemy, choćby o dwa łokcie, byłaby zdolna do zagotowania dowolnej ilości oleju. Albo więc wisimy, albo możemy runąć w dół, jak gładz właśnie, ale wtedy nic nas już nie zdoła zatrzymać. Cokolwiek jest więc pod nami – roztrzaskamy się.

–Pomijacie w swoich rozważaniach opór powietrza. Musi on być ogromny przy takiej powierzchni, jaką ma nasz płaskowyż.

–Ale i ciężar mamy niezgorszy. Poradzi sobie z oporem. Ścisnie powietrze pod

spodem do innej postaci i poczyni znaczne szkody, przedzierając się korytarzami kopalni i wszelkimi szczelinami skalnymi. Już samo to może rozsadzić skałę.

–Zapominacie wszyscy o tym, że nie można odkopać wszystkich lin – zauważył Merging. – Jest ich za dużo i sięgają za głęboko. Nie starczy miejsca na powierzchni, by odkładać urobek. Powinniśmy się pogodzić z naszą wygórowaną pozycją i spróbować czerpać z niej zyski.

Badacz niebieski, opróżniwszy szklankę, czym prędzej ponownie ją nappełnił. Z satysfakcją stwierdził, że jeśli chodzi o picie, to jest o pół kroku przed doradcą.

–Podlewanie olejem nic nie da – powiedział spokojnie Semiutys. – Liny wertykalne mają pewną specyficzną cechę, o której wszyscy tu obecni, poza tobą, Thomedosie, rzecz jasna, zapominają. Otóż mają bardzo wysoki współczynnik tarcia stycznego. Żaden inny przedmiot, posmarowany smarem, lub innym tłuszczem, nie będzie w stanie zapewnić podparcia dłoniom wspinacza. Prowadzono takie badania. Powierzchnia liny wertykalnej wydaje się dosyć gładka, ale gdy ją ścisnąć, klei się do rąk. W niewytłumaczalny sposób najlepsze smary nie są w stanie osłabić tego efektu w widoczny sposób. Same smary zresztą po jakimś czasie odpadają od lin. Liny same się oczyszczają.

–Przesady – parsknął Sanran, wlewając w siebie kolejną porcję trunku, tym samym wyprzedzając Jonathana o pół kolejki.

–Najmocniejsza z lin, jakie potrafimy wyprodukować – odparł spokojnie astrofizyk – musiałyby się zerwać pod własnym ciężarem już na wysokości dziesięciu jednostek. Te jednak mają na pewno ponad sto jednostek i jeszcze dźwigają ciężar tego wielkiego kamyka, który do tej pory uznawaliśmy za ład stały. Jasnym jest, że to nie są zwykłe liny. To STRUKTURA naszego świata.

–Może, lecąc w dół, poznamy lepiej tę strukturę – odezwał się Dormer. – Ustalmy, co badacz ma badać podczas swojej wyprawy.

–Racja, panowie! – wykrzyknął Lomar. – O czym ta gadka jałowa? Trzeba polecieć na dół, sprawdzić, co się tam znajduje i dopiero wymyślać, co czynić. Może być i tak przecież, że reszta ziemi... spadła i uległa w dole zniszczeniu, a tylko my przetrwalimy, twardo uczeni rzeczywistości na odpowiednim poziomie.

–Mówisz teraz, jakbyś przemawiał do wieśniaków – zauważył Semiutys.

–Bo tak się po trosze zachowujecie. Z wyłączeniem szanownego Thomedosa oczywiście!

–Przecież wiemy, że trzeba wysłać w dół ekspedycję – zaczynał się wzburzać astrofizyk. – Po to się tu zebraliśmy. Zamilcz łaskawie, bo nie jesteś na wiecu

poparcia.

Rzecznik, nie chcąc brnąć w przegraną dyskusję, mruknął coś pod nosem. Zerknął dyskretnie w stronę Thomedosa, ale ten na razie tylko słuchał.

–Stacja w kopalni Nimohren będzie gotowa za dwa tygodnie – odezwał się Dormer. – Pojazd przewieziemy za kilka dni i zaczniemy się zastanawiać, jak go przetransportować na dół. Nie można go rozebrać na mniejsze kawałki, więc trzeba będzie poszerzyć korytarze.

–Już to robimy – wtrącił Merging. – Chociaż i tak dopiero w trakcie transportu okaże się gdzie jest za wąsko. Będzie trzeba kuć na bieżąco.

–Oby to nie opóźniło całej operacji – wtrącił Lomar.

–Nawet jeżeli, nie będzie to moja wina – zastrzegł szybko Merging. – Korytarze służą do transportu węgla. To cygaro jest za duże.

–Cygaro miało podróżować do Nieba, a nie być przepychane tunelami – wtrącił nerwowo Dormer. – Więc mnie za opóźnienie nie wińcie.

–Nie lepiej zrobić lekki model i z nim próbować prześwit? – odezwał się Sanran, lejąc sobie trzecią szklaneczkę.

Wszyscy zamilkli na chwilę. Jonathan, zaskoczony trafnością uwagi, czym prędzej opróżnił swoją i nalał znów, by nie zostawać w tyle.

–Może to faktycznie ułatwi... – odparł po namyśle Merging.

–Panowie! Nie tykamy niemal najważniejszej sprawy – niecierpliwił się Semiutys. – Nie mówimy, czego badania mają dotyczyć.

–A czegoż by miały dotyczyć? – Sanran stracił już chyba przelotną jasność umysłu. – Niech pasażer cygara obfotografuje i opisz co widzi. Nasz kamyk od spodu i ziemię, niewątpliwie leżącą poniżej.

–Nasz kamyk szczególnie – podchwycił Merging. – Żebyśmy wiedzieli, gdzie można jeszcze kopać, a gdzie już lepiej nie.

–Powinniśmy nawiązać kontakt z... Podziemianami – odezwał się znów rzecznik.

–Kulturotwórczo podszedłeś do tematu, nadając nazwę nieistniejącej nacji – zaśmiał się Sanran i nalał sobie czwartą szklaneczkę. Jonathan wiedział już, że nie utrzyma narzuconego tempa.

–Kontakty mogą być ryzykowne – skrzywił się Elefteriades.

–Nie zrobią nam od dołu zajazdu – zauważył Lomar.

–W głowach naszych obywateli może powstać mętlik.

–Mogą podesłać jakąś zarazę... – dorzucił Semiutys.

–Jaką tam zarazę! – Dormer machnął ręką. – Jeśli będą nieprzyjaźnie nastawieni, to informacje zdobyte w ekspedycji przepadną. To się nazywa strata! A po te informacje przecież wysyłamy badacza. Niech więc się nie kontaktuje, tylko zbiera informacje i wraca.

–Ale jakie informacje? – zapytał, pijany już poważnie, doradca polityczny Sanran.

–Wszelakie. Co zdoła zebrać, przyniesie do nas. Wtedy znów spotkamy się w tym składzie i będziemy analizować. Za wyjątkiem tych, co się za wcześnie upiją.

Jonathan zamarł ze szklanką w pół drogi do ust, ale po chwili uznał, że ta uwaga nie była skierowana do niego. Dokończył więc ruch.

–Oprócz tego, w związku z nową sytuacją coś powinniśmy przedsięwziąć – oświadczył Lomar.

–Trzeba zmniejszyć populację, by na dłużej starczyło zasobów naturalnych – odparł astrofizyk. – Są przecież nieodnawialne i bardziej ograniczone niż sądziliśmy, skoro żyjemy na kamyku.

–Musimy myśleć o szczęściu ogółu – przyznał Merging.

–Nienarodzony obywatel jest mniej szczęśliwy od narodzonego – rzucił nagle kapłan, wyczuwając odpowiedni moment. – Skąd się wzięła nafta i węgiel w ziemi? Czyż nie umieścił ich tam Najwyższy, by nam ułatwić życie? Musi ich więc starczyć dla wszystkich, aż po kres naszych dni.

–Czwarty wiek mamy! – Sanran czknął potężnie. – Wiarę w Najwyższego zachowaj dla spójności.

–Błędnie.

–Błądzisz.

–Rolą Elefteriadesa będzie wymyślenie jak najlepszego wytłumaczenia nowej sytuacji – powiedział spokojnie gubernator. – W końcu i tak się wyda. Lepiej odpowiednio przygotować proste umysły, to nawet może jakąś korzyść zdołamy wyciągnąć. A wychodząc z tego pokoju każdy z was, prócz zachowania milczenia, jeszcze jaśniejszym niż zwykle przykładem wiary w Najwyższego będzie świecić.

**Nieoficjalnie zaś wszyscy winni jesteście niezbędnej pomocy Dormerowi dostarczać. On będzie kierował badaniami. Pierwsza wyprawa ma być tylko obserwacyjna. Oczekuję zdjęć i szczegółowych raportów. Wtedy zastanowimy się, co dalej czynić.**

**Jonathan powoli tracił ostrość umysłu. Zdawało mu się nawet, że na moment przysnął. Przegapił moment, w którym gubernator, nie wypowiedziawszy więcej choćby słowa, wycofał się z sali. Ostatnią iskrą przytomności badacz zrozumiał, że niezależnie od wszystkich tych przemądrzałych gadek, i tak Thomedos będzie sam o wszystkim decydował.**

**Dobrze przynajmniej, że miał wracać krytą i resorowaną rządową drezyną, w której miękkich fotelach można się było przespać.**

**\* \* \***

**Widok był więcej niż niepokojący. Wnętrze jaskini pozbawiono sporej części podłogi, przez co powstała z grubsza okrągła studnia, urywająca się jednak po dziesięciu stopach. Jonathan był pełen podziwu dla tempa pracy, ale nie wyglądał na zadowolonego.**

**–Moje przybycie zaanonsuje grad kamieni – mruknął.**

**–Ucieszą się, jak wreszcie pojawi się ktoś, komu można będzie za to podziękować.**

**–Od wieków spadają tam większe głazy – odezwał się Dorad, stojący z boku i przepisowo przypięty linką do poręczy obiegającej studnię. – Nasze spady to przy tym jak mżawka przy gradobiciu. Albo się dostosowali, albo ich już nie ma.**

**Jonathan położył się na ziemi i spojrzał w dół. Zakręciło mu się w głowie. Widział kilka niewyobrażalnie wielkich stalaktytów i potężną, ostro zakończoną u dołu skalną ścianę. Przez chwilę miał wrażenie, że leży na dnie głębokiego wąwozu i patrzy w górę, na błękitne niebo, po którym przesuwiają się małe obłoczki. Czuł niemal, jak nogi odrywają się od skały, ciągnięte wyimaginowaną, odwrotną grawitacją. Cofnął się i przełknął ślinę. Wrażenie znikło.**

**–Cały ten kawałek, którego pod nami brakuje, popękał i najpewniej oderwał się za jednym razem – dodał Dormer.**

**–Nie ma schronu, który może zabezpieczyć Podziemian przed czymś takim. Nie obrażą się więc za te parę kamyków.**

**Jonathan przyjrzał się stalowym konstrukcjom, spawanym obok nich. Nie chcąc obciążać dodatkowo podłogi, główną kratownicę wpuszczono w sufit, a siły sprowadzono dodatkowo pod kątem grubymi belkami na ściany. Specjaliści twierdzili, że skała wokół nie jest spękana i wytrzyma ciężar. Cała trudność polegała**



na tym, że najbliższa lina znajdowała się nieco z boku wydrążonej studni. Na kucie nowej groty nie było dość czasu, czy też politycznej cierpliwości, a i specjaliści nie chcieli nowych korytarzy bić tuż nad czeluścią. Konstruowano więc podwieszany pomost poniżej. Powstawał również skomplikowany system opuszczania cygara, przesuwania i zaczepiania na linie. Badacz wyrysował i obliczył wszystko w ciągu dwóch dni i dwóch nieprzespanych nocy, mając Dorada za konsultanta od mocowań w skale. Teraz, stojąc tutaj i obserwując postęp prac, nie był już tak pewny swoich obliczeń.

–Cygaro nie potrafi precyzyjnie hamować w drodze do góry – powiedział. – Trzeba będzie zrobić jakiś system wciągający.

Miejsce to przyprawiało go o jakiś podskórny niepokój, chociaż przywykł przecież do przebywania na wysokościach. Może więc problemem nie było niebo, tylko skała nad głową? Ze zdziwieniem obserwował górników, którzy w miarę swobodnie poruszali się nad przepaścią.

–To specjaliści od jaskiń – wyjaśnił Dormer, domyślając się, co dziwi przyjaciela. – Czasem tunel trafia w sufit pustej przestrzeni wielkości pałacu gubernatora. Są przyzwyczajeni do takich prac. Cieszą się bo tu mają jaśniej.

Jonathan westchnął i wyszedł. Mimo śluzu i tak był tu przeciąg – powietrze przeciskało się skalnymi szczelinami. Śluz znajdował się teraz w poszerzonym korytarzu. Była na tyle obszerna, by zmieścić w niej całe cygaro. Model cygara, pomysłu doradcy politycznego Sanrana, już powstał. Wykonano go w postaci ażurowej konstrukcji z listewek, na tyle lekkiej, by nieść ją mogło czterech ludzi. Jak na razie model nie mieścił się nawet do szybu windy.

–Nie podoba mi się to – mruknął Jonathan, gdy minęli śluzę i szli pod górę w kierunku wind. – Mam złe przeczucia.

–Daj spokój! Pomyśl o tej wyprawie, jak o szansie.

–Ja wiem, że ty pragniesz, żeby twoje imię zostało z szacunkiem odczytane za dwieście lat z jakiejś zakurzonej księgi, tracącej kolejne strony w czyimś wychodku. Ja natomiast chcę tylko przeżyć. Nie obchodzi mnie, czy ktoś mnie wspomni za dwieście lat.

–Nie mów! – Dormer machnął ręką. – Gdybyś tylko o tym myślał, zostałbyś urzędnikiem. Oddawałbyś metan w służbowe krzesło.

–Wiesz, o co mi chodzi. Jako jedyny lecę w nieznanne. Lecę ja, właśnie ja i nikt więcej, a żaden z tych ważniaków u Thomedosa nawet na mnie nie spojrzal! Jestem dla nich częścią tej maszyny, którą wysyłają w dół.

**–Sam ją zaprojektowałeś.**

**–Ooo! Z perspektywy czasu to może i wolałbym zbierać ryż w stalowym kapeluszu, gdzieś na polach na północy Herlanu, albo nawet oddawać metan w krzesło.**

**–Nie chcesz zostać bohaterem? – Dormer uniósł brwi.**

**–Martwi mnie to, że wszyscy bohaterowie, których znam z opowiadań i lektur, nie przeżyli tego całego swojego bohaterstwa. Cóż z tego, że coś powiem, że zrobię to czy tamto? I tak w księgach zapisana zostanie fikcja. Taka jest nasza historia – literacka. Nic ze mnie nie zostanie, będę tylko foremką... nawet nie to! Będę jedynie pierwowzorem jakiegoś bohatera, który tylko moje imię nosić będzie, jeśli ono chociaż się uchowa. Jakaż to pociecha?**

**–Detalizujesz – machnął znów ręką Dormer.**

**–Detalizuję?! – Jonathan podniósł głos, aż echo poszło korytarzem. – Zależy z czyjego punktu widzenia jest to detalizowanie. Wiem, że to przyziemne pragnienie, ale nic na to nie poradzę. Ja chcę przeżyć.**

**–Daj spokój. Przeżyjesz mnie.**

**–Toś mnie doprawdy pocieszył, staruszkule!**

**–Źle mi życzysz, widzę. Lecąc w dół przynajmniej nie natkniesz się na żadnego windowca na swojej linii, co zawsze cię martwiło.**

**–Mała pociecha. Mam oto przed sobą perspektywę: samobójcza misja, albo śmierć na stosie. Rewelacja! Mam wybór!**

**–Nie jesteś ciekaw, co jest tam w dole?**

**Jonathan zawahał się chwilę.**

**–Jestem – przyznał. – Ale nie aż tak, by umierać. Mam w miarę poukładane życie. Miałem.**

**–Więc zamontuj tam te swoje żagle. Motor nawali, wypróbujesz nowy system. Prowiantu możesz wziąć mniej, to żagle się łatwo zmieszczą. Jedzenie będziemy ci dosyłać na... rołkach.**

**–Więc jeszcze i śmierć głodowa mi grozi, jak się któraś rolka zatnie. Albo i katastrofa w drodze powrotnej. Nie... Lina nade mną musi być pusta.**

**Po hałasie poznali, że zbliżają się już do dolnej stacji wind. Zamilkli więc, by nikt niepowołany nie podsłuchał.**



## 15. To jest niewykonalne

W hangarze, pospiesznie przerobionym z opuszczonej lokomotywni, kilkunastu zaufanych robotników pod nadzorem Jonathana dokonywało przeróbek cygara. Nie było czasu na bardziej pracochłonne modyfikacje. Na obwodzie cygara, blisko środka, montowano obudowy łożysk i przekładnie. Pomysł z żaglami musiał na razie pozostać na papierze. Badacz postanowił zastosować prostsze, choć mniej wydajne rozwiązanie, polegające na umieszczeniu na obwodzie pojazdu dwóch poziomych wirników, obracających się w przeciwnych kierunkach. Wyprofilowane odpowiednio łopatki miały wprawiać pierścienie w ruch obrotowy, niezależnie od kierunku wiatru. Zębatka i prosta przekładnia doprowadzały napęd do istniejących mechanizmów napędowych i jeżdżących po linii rolek. Największy problem polegał na tym, że cygaro składało się z dwóch połówek, spinanych ze sobą dopiero po założeniu na linę. Oznaczało to, że wirniki wraz z łożyskami nie tylko musiały się składać z połowicznych części, to jeszcze zamontować je można było dopiero, gdy cygaro wisiało już na linie.

Dormer nie zgodził się na sprowadzenie na konsultacje fizyka, specjalisty od wiatru, by nie poszerzać kręgu wtajemniczonych. Tak więc obliczenia wydajności wirników pozostawały niesprawdzalną teorią, bo na krótki test wzniesienia się ponad hangar również nie było zgody. Hangar, w którym pracowali, miał przynajmniej tę zaletę, że przez jego środek przechodziła lina. Sprowadzony tu specjalnie targacz mógł więc umocować cygaro na linie, celem przeprowadzenia podstawowych testów. Jonathan nie miał za to dobrego pomysłu, jak umieścić cygaro na właściwej linie, pod ziemią. Na razie się do tego nie przyznawał. Pytany, udzielał wymijających odpowiedzi, a nocami nie mógł spać. Systemy bloczków i podciągów, które tam, w dole zamocowano do skał, nie wzbudzały jego zaufania. Cygaro było ciężkim, ale delikatnym ładunkiem, czego specjaliści od transportu węgla mogli nie być do końca świadomi. Kolejnym problemem było to, że cygaro nigdy nie miało być przechylane. Tak więc przed transportem należało wypompować z niego wszystkie płyny, a potem nalać je na powrót, już nad przepaścią. Nad przepaścią... Wszystkie czynności, wcześniej wykonywane w prosty sposób z użyciem zwykłej drabiny, teraz mogły przypominać cyrkową ekwilibrystkę.

Jonathan przyglądał się pracy robotników, na dłuższy czas skoszarowanych i odciętych od rodzin, w celu zapewnienia projektowi dyskrecji. Tracił nadzieję, że to się może w ogóle udać.

Pomierzył wszystko raz jeszcze, po czym zostawił ludzi. Sam ruszył do domu, by przysiąc przy żmudnych obliczeniach. Nie był typem geniusza odkrywcy. Zazdrościł takim, którzy widzieli rozwiązanie w nagłym przebłysku. Sam problemy rozwiązywał metodycznie, po kawałku. Pocieszał się tym, że dawało to bardziej przewidywalne efekty. Bo przecież geniusze nieraz nie potrafili tygodniami, jeśli nie latami wykonać

kolejnego kroku.

Rozwinął na podłodze plany ostatniego fragmentu korytarza, gdzie było najmniej miejsca. Mimowolnie obracał w palcach wyślignany już żołędź i analizował trasę kawałek po kawałku. Jeśli uda się wymontować klatkę windy, to transport cygara w pionie nie powinien być trudny. Problemy zaczną się potem. Cygaro może się zaklinować. A jeśli chodzi o problemy, to zazwyczaj „może” oznacza „musi”. Wszystko okaże się, jak przepchną ten model z listewek. Pokręcił głową z rezygnacją. Nie mógł już zrobić nic więcej, by cygaro dotarło na dół nieuszkodzone. Czego by tu nie wyrysował i tak Dorad i jego ludzie mogą to spieprzyć na sto sposobów. Problem opuszczenia cygara przez ostatni otwór pozostawił na później.

Zajął się więc wyliczaniem przełożenia dla silnika wiatrowego. Rysował, zmazywał i rysował na nowo. Mechaniczny kalkulator stukał i terkotał na drewnianym stole, ale i tak stan wiedzy badacza na temat aerodynamiki sprowadzał to wszystko do wspomaganego matematycznie gdybania.

\* \* \*

Zapadnięte oczy błyskały spod nienaturalnie gładkiego czoła. Istota dyszała, oblizując szare zęby i przykurczając ręce z wygiętymi dziwnie dłońmi. Przygarbionym ciałem wstrząsały dreszcze, jakby jedna siła próbowała pchnąć je do przodu, a inna kazała nadal kryć się w cieniu arkad.

Kreatura zrobiła krok do przodu, spojrzała w górę, na księżyc i zbliżającą się do niego chmurę. W opętanym szaleństwie umyśle wciąż istniały resztkowe, logiczne ścieżki rozumowania.

Stojący przed głównym wejściem do pałacu gwardziści zobaczyli biegnącą postać, gdy chmura ponownie odsłoniła księżyc. Pierwszy z gwardzistów stał osłupiały, widząc zbliżający się kształt, groteskowo podskakujący na dziwnie sprężystych nogach. Twarz przypominała woskową maskę, karykaturalnie przedstawiającą dzikość i obłąd. Mężczyzna nie uniósł nawet broni. Drugi, stojący po przeciwnej stronie portalu wejściowego, wycelował karabin i wypalił od razu. Ciałem w łachmanach szarpnęło, gdy kula przeszła przez ramię, ale kreatura nie zwolniła. Gwardzista przeładował i strzelił ponownie, tym razem w głowę. Z głośnym pacnięciem część splecionych włosów odleciała w tył, w chmurze krwi i odłamków kostnych. Potworna istota zachwiała się, ale wykonała jeszcze kilka kroków. Opadła na kolana, przeszurała nimi kawałek i przewróciła się bezwładnie u stóp sparaliżowanego strachem pierwszego gwardzisty. Dopiero to sprawiło, że drgnął i wreszcie zdjął z ramienia karabin. Wolno nachylił się nad trupem. Z krateru w tyle głowy wypływał czarny płyn z miękkimi zgęstkami. Mężczyzna zasłonił usta, z trudem powstrzymując wymioty. Butem trącił ramię trupa, by mieć całkowitą pewność, że ten już nie wstanie. W kreaturze w niewyjaśniony sposób pozostała jednak gasnąca

resztką życia. W mgnieniu oka ciało sprężyło się, głowa szarpnęła się i wpiła zęby w nogę mężczyzny.

\* \* \*

Cygaro tkwiło zaklinowane w ostatnim zakręcie korytarza, czyli dokładnie w miejscu, którego Jonathan obawiał się najbardziej. Najpewniej listewkowy model był elastyczniejszy, a ekipa targająca go poprzez wnętrza góry spieszyła się na kolację.

Dzień wcześniej model udało się zawiesić na linie. Jeszcze pół godziny temu wydawało się, że średnice tuneli będą wystarczające. Dodatkowym problemem pozostawał spory ciężar oryginału. Tory doprowadzono niemal pod samą stacją linową, do feralnego zakrętu. Jednak ostatni odcinek trzeba było pokonywać w inny sposób. Geolodzy nie chcieli ryzykować kucia i poszerzania tunelu w takiej bliskości spodu skały. Dla pewności wszystkie, najdrobniejsze szczeliny skalne w okolicy, aż do najbliższych lin, wypełniono spoiwem.

Dwudziestu górników, przepychających korytarzami oryginał, siedziało teraz pod ścianami i gapiło się przed siebie w oczekiwaniu, że ktoś przyjdzie i coś wymyśli. Udało im się zdjąć z wagonów drewniane płozy, na których spoczywał pojazd, przepchnąć go parę metrów i zaklinować na zakręcie. Na tym skończyła się ich inwencja.

Pomysł Jonathana polegał na przeciągnięciu cygara na płozach po deskach wyrównujących podłogę łącznika prowadzącego do stacji. Teraz w półmrokach źle oświetlonego, wilgotnego tunelu wszystko wyglądało znacznie gorzej. Ciężko było w ogóle ocenić sytuację, bo ściany były nieregularne. Na dodatek ze szczeliny w poszyciu wyciekał olej, którego na powierzchni nie dało się odessać do końca. Jonathan przyjrzał się z bliska szczytowi cygara. Oczywiście, że próbowali pchać na chama! Rysa na skalnej ścianie świadczyła o tym, że włożyli w to sporo siły. Może nawet wyciekający olej był efektem zdegeometryzowania konstrukcji. Przed startem trzeba będzie przeprowadzić dokładne pomiary.

Nie próbował dyskutować z górnikami. Wiedzieli kim był i część z nich zapewne nie miałyby nic przeciwko rozpaleniu gdzieś w okolicy wielkiego ogniska. Zresztą i tak go nie słuchali.

Dorad wreszcie tu dotarł, poprzedzany postukiwaniem kilofa. Wynurzył się z cienia, przeszedł na drugą stronę cygara, obrzucił swoich ludzi ponurym spojrzeniem i przyjrzał się pojazdowi.

–Brakuje trzech palców – ocenił.

–Czego brakuje? – zapytał Jonathan.

**–Trzech palców – powtórzył tamten. – Cofnijcie ładunek i łapcie się zakilofy! Rynna na trzy palce.**

**Ekipa nad wyraz sprawnie przystąpiła do pracy. Po chwili echo niosło korytarzem stukot narzędzi. Jonathan stał z boku, w bezpiecznej odległości od kilofów. Dziesięć minut później górnicy jak na komendę odłożyli kilofy i naparli na cygaro. Nawoskowane płozy z jękiem przesunęły się po deskach. Dorad nie musiał mówić nic więcej. Zdumiewające, jak ten facet znał się na rzeczy. Podłużne wgłębienie wystarczyło, by wystający kołnierz na czubku cygara ledwie przytarł o skałę.**

**Deski zachodziły na siebie jak dachówki, toteż płozy nie miały się o co zaczepić. Tylko co kilka sekund rozlegał się jakby wystrzał, gdy któraś płoza opadała na kolejną deskę, a pojazd lekko się przechylał. Połowa ludzi ciągnęła linami z przodu, druga połowa pchała i pilnowała, by nie przytrzeć o ścianę. Badacz szedł na końcu i czuł, jak powoli napięcie zamienia się w znużenie.**

**Trzy godziny trwało przepychanie cygara do groty ponad stacją linową. Operacja na górze, gdzie wymontowano całą jedną klatkę windy, by opuścić pojazd z użyciem istniejącej machinerii, wydawała się przy tym banalnie prosta.**

**Oczywiście nie było mowy o uruchamianiu tutaj silnika na ropę. Nawet gdyby rurę wydechową wyprowadzić daleko w dół, spaliny, jako cieplejsze, więc i lżejsze, i tak trafiłyby tu, zadymiając grootę i korytarz. Doprowadzenie jednej z lin, która za pośrednictwem systemów rolek napędzała podziemne pociągi, trwałoby miesiąc. Z konieczności zdano się więc na pracę ludzkich mięśni. System bloczków pod sklepieniem miał pomóc unieść cygaro do pozycji pionowej, a potem opuścić w studnię.**

**–Jak tam praca? – zakrzyknął Dormer, pojawiając się wewnątrz groty i zacierając ręce. Przyjrzał się cygaru, tkwiącemu jeszcze do połowy w tunelu. – Teraz wygląda na znacznie większe niż zwykle.**

**Górnicy obserwowali nowoprzybyłego spode łba. Co z tych ludzi robiła praca pod ziemią... Dwoch zaczepiało liny do przekładni bloczkowej. Reszta odpoczywała.**

**–Start się opóźni – powiedział równie ponuro Jonathan. Miał chęć się napić, ale wiedział, że nic z tego. Nastrój podziemi był chyba zaraźliwy.**

**–Mowy nie ma – Dormer pokręcił głową. – Jest harmonogram. Odpowiadam głową za terminowy start.**

**–Właściwie to nie przypominam sobie, żeby ktoś ustalał ze mną jakiś harmonogram. Określiliśmy datę orientacyjnie...**

**–Nie było harmonogramu, ale teraz jest. – Starzec wzruszył ramionami. – Gryzą się**

**przecież wszyscy między sobą. Podtykają sobie nawzajem trudności, żeby uszczknąć więcej władzy. Zaczęli się targować między sobą harmonogramem. Padło na tydzień.**

**–Nie znają się przecież... Jaki sens ma harmonogram podczas podróży w nieznane? Trzeba dokładnie sprawdzić maszynę przed startem. Nieco się nadwyrężyła podczas transportu, bo pchamy ją tutaj pospiesznie jak, nie przymierzając, gównem przez –  
Posłuchaj. – Dormer zniżył głos. – Tajemnicy nie da się długo utrzymać. Wyobrażasz sobie, co się zacznie dziać, jak pospólstwo się połapie? Znasz siłę plotki? Wyobrażasz sobie, co zrobi ze mną Thomedos?**

**–Nie chciałbym wyjść na prostaka, który myśli o tak przyziemnych sprawach, jak banalne przedłużanie własnego życia – odparł również ścisłym głosem Jonathan – ale zauważ, że jeśli zginę, to nie wrócę z żadnymi informacjami. To delikatna maszyna. Zresztą wciąż nie policzyłem do końca tych przekładni.**

**–Osobiście dopilnuję przeglądu, żebyś mógł kończyć projekty na górze. Wiesz, że dobrze ci życzę... Podsunęli mu ten termin, a on się zgodził.**

**–Więc zgodziłby się i na dwa tygodnie?**

**–Zapewne, ale niemal wszyscy przekrzykiwali się, że tydzień starczy.**

**–Przecież nie starczy...**

**–To już postanowione. Musi starczyć. A ty musisz wiedzieć, że z Thomedosem nie da się dyskutować.**

**Jonathan wiedział.**

**–Problemy w Mar Harras – ciągnął Dormer. – Dwa dni temu buntownik-szaleniec zaatakował pałac i ranił jednego ze strażników. Nie wiem dokładnie, co się dzieje, ale na górze się gotuje. Buntownicy jakby się przymierzali do czegoś większego niż zwykle. Widziałem agresywnych ludzi, biegających między budynkami. Wyglądali jak szaleńcy. Szczęściem drezyny rządowe są dokładnie zabudowane. Jeden osobnik z potwornie zmienioną twarzą zaatakował okno. Omal nie zszedłem na zawał... W północnych dzielnicach gwardia zastrzeliła trzech ludzi, pijanych albo szalonych. Niczego dobrego to nie wróży. Nie ośmielę się teraz choćby wspomnieć o przełożeniu startu.**

**Jonathan zacisnął usta i przyglądał się krzątaniu wewnątrz groty. Połowa górników unosiła już cygaro na bloczkach do góry, druga połowa trzymała linę uwiązaną od spodu, by w razie konieczności spowalniać ruch. Gdy przednie płozy uniosły się, dwóch górników sprawnie odczepiło je, mocując w zamian dodatkową linę asekuracyjną do górnego haka. Jak na razie, wszystko zgodnie z planem.**



Gdy kąt wzrósł, dolne płozy zaczęły sunąć same. Dorad uniósł rękę i krzyknął coś, ale było za późno. Płozy rozprysnęły się w drzazgi, a dół cygara coraz szybciej zaczął się przesuwac w kierunku studni. Oczywiście ci najbliżej stojący puścili linę, by nie pociągnęła ich w przepaść. W efekcie następni nie mieli dość siły i lina przewróciła ich na ziemię. Cygaro wykonało powolne wahnięcie, jakby było sercem ogromnego dzwonu, i z paskudnym chrzęstem wyrznęło w przeciwległą krawędź studni. Skala zadrżała. Jonathan zamknął oczy, a Dormer zrobił taką minę, jakby włożył nogę do zimnej wody. Cygaro bujało się luźno od brzegu do brzegu.

–Start na pewno się opóźni – ponuro stwierdził Jonathan.

\* \* \*

Oparł się o parapet i z przykrością zanurzył wzrok w pochmurnym popołudniu. Ponad kilkoma małolistnymi drzewami widział wielką dziurę wejścia do kopalni. Już przyzwyczał się do tego, że był praktycznie więźniem. Kilka razy próbował się przejść. Gdy tylko mijał granicę swojego błotnego ogrodu, jakby spod ziemi pojawiał się gwardzista i miłymi słowy zachęcał go do powrotu. Wolno mu było tylko iść ścieżką do hangaru. We wszystkich innych sprawach musiał prosić o pozwolenie, a nawet jeśli je uzyskał – zawsze towarzyszyła mu dyskretna ochrona. Odwrócił się i rozejrzał po ścianach z odłóżającym tynkiem. Spod niego wyłaniał się beton, oznaczony negatywami desek z niestarannego szalunku. Poza tym była jeszcze szafa, wielki stół, służący również za deskę kreślarską, i łóżko. Tkwiał tu i pracował całymi dniami prawie od tygodnia. Może już za kilka dni będzie tęsknił za tym miejscem.

Coś pojawiło się na niebie, jasny skrawek materiału, wybruszony powietrzem, opadał wolno na ścieżkę przed domem. Jonathan zbiegł na dół i podniósł mały spadochron z przyczepionym doń wyschniętym na wiór ziemniakiem. Spojrzał w górę, na szare chmury.

\* \* \*

Obiad jak zwykle przyniósł mu stary dziad, który nie zaszczycił go ani słowem. Jak zwykle wszystko zdążyło wystygnać. Jonathan był ciekaw, czy w deszczowy dzień dziad czymś przykryje naczynia, czy też bez słowa postawi na stole miskę pełną pierogów w zalewie z deszczówki.

Tym razem coś się zmieniło. Na tacy stały dwa talerze z pieczoną kaczką i dwie pajdy chleba. Była też butla wina, co wcześniej się nie zdarzało.

–Mam nadzieję, że nie narobiłeś sobie apetytu na drugą porcję – powiedział Semiutys, stając w progu.

Jonathan drgnął. To była kolejna niedogodność obecnej sytuacji. Drzwi

wejściowych nie dawało się zamknąć na zamek od środka, a gości filtrowali gwardziści w stróżówce niedaleko umownej bramy błotnego ogrodu. Z tego też powodu w ogóle nie używał parteru, dnie i noce spędzając w okrągłej izbie, zajmującej całe piętro.

Zrezygnowanym ruchem przystawił do stołu drugie krzesło i sięgnął na półkę po dwa blaszane kubki. Usiedli. Semiutys wyjął z płóciennej torby metalową pieprzniczkę i doprawił swoje danie. Potem odkorkował wino i nalał do kubków. Oszczędnie. Zanosilo się więc na dłuższą rozmowę.

Zjedli w milczeniu. Semiutys rozejrzał się w poszukiwaniu serwety do wytarcia rąk i ust. Nie znalazł. Wytarł więc tłuszcz o rękaw swojej szaty. Ten niespodziewany gest wzbudził sympatię Jonathana.

–W pewnym sensie uprawiamy pokrewne dziedziny poznania – zaczął gość. – Ja spędzam noce przy teleskopie, ty badasz niebo... od środka. Obaj kontynuujemy dzieło naszych przodków i obaj ryzykujemy.

–Z całym szacunkiem – odparł Jonathan. – Nie dalej jak tydzień temu, próbowano mnie spalić na stosie.

Gość uśmiechnął się.

–Też bym wylądował na stosie, gdybym ogłosił to, co wiem. Starczyłby pewnie i ułamek tego... Wiedzę należy się dzielić rozważnie, bo chociaż prawdziwa, najczęściej jest niewygodna. Z drugiej strony życie bywa ulotne, a wiedza, nieraz więcej warta od tego życia, wraz z nim ulatuje. Wychodzi więc na to, że trzeba dobierać sobie powierników tej wiedzy. Nie wszystko można zapisać w księgach.

–I ja mam być?... – Badacz zawiesił głos.

–Nie pochlebiaj sobie aż tak. Powiem ci o paru rzeczach, które mogą się okazać przydatne podczas eksploracji... podziemnego nieba. – Astrofizyk zastanowił się chwilę, gładząc siwą brodę. – Nazwę jakąś trzeba by wymyśleć... Podniebie? No nieważne. Zaczniemy od początku. Skąd wiesz, że głęboko pod naszymi stopami jest niebo?

–Widziałem je. – Jonathan wrzuszył ramionami. – Ty też je widziałeś i zobaczyło je jeszcze kilkadziesiąt osób. Jeśli powiemy o tym innym, jeśli to ogłosimy, wiedza o niebie pod Herlanem stanie się powszechna.

–Ale nie zrobimy tego oczywiście. – Astrofizyk pochylił się nad stołem. – Chcemy żyć, nieprawdaż?

–W końcu i tak się wszyscy dowiedzą.

–Chcesz powiedzieć ludziom, jak jest naprawdę? Nikt nam nie pozwoli. Prawda... To zbyt proste, a skutki zbyt nieprzewidywalne. A jeśli byśmy ogłosili, że głęboko pod ziemią jest cokolwiek innego? Moglibyśmy powiedzieć, co by nam tylko przyszło do głowy. Na przykład, że jest tam płynna odgorąca skała. To byłoby nawet lepsze, bo nikt by nie wtykał tam nosa, w obawie przed oparzeniami. Wiedza pospółstwa o sprawach spoza ich podwórka jest mierna. Oni muszą polegać na niesprawdzonych informacjach z zewnątrz. Nie zjedzą tam przecież, na samo dno kopalni, żeby się przekonać, że tam nie ma płynnej skały. Ludzie, którzy nie są panami własnych umysłów, czyli ogromna większość społeczeństwa, żyją iluzją i wygodnie im z tym, bo iluzje uwalniają umysł od trudnych pytań. Władcy lubią pielęgnować te iluzje, lubią je pielęgnować grupy interesów. Nawet więcej niż pielęgnować – oni lubią je modyfikować, tworzyć. Naciski na naukowców, by ich badania dawały takie, a nie inne wyniki były, są i będą. To część sztuki władzy. Nie lódź się, że to co odkryjesz tam w dole, ujrzy światło dzienne. Przepracujemy to my i przepracują to inne sztaby doradców Thomedosa. W efekcie powstanie oficjalna iluzja tego, co jest pod nami. Sam uwierzysz, jak to potem usłyszysz.

–A prawda? – Tym razem Jonathan polał wino. – Ktoś może się wygadać. Na pewno ktoś się wygada.

–Wtedy prawda nie będzie już groźna, bo wszyscy będą wierzyć w co innego. Szczepionka na tę prawdę powstaje już w pałacowych gabinetach. Wobec oficjalnej iluzji prawda będzie się wydawać śmieszna, będzie jak bełkot szaleńca. Oficjalna iluzja będzie odporna na prawdę, zwalczy ją, jak organizm człowieka zwalczy grypę. Kto wie? Może wersja z płynną skałą nie jest taka zła?

–Obaj jesteśmy naukowcami – powiedział wolno Jonathan. – Kolorowanie prawdy, a budowanie fikcji to co innego. Wiem, że nie każda wiedza nadaje się dla ludzi... Zresztą nie znam się na polityce.

–Dlatego właśnie nie powinieneś się przejmować późniejszą interpretacją obserwacji. Zrób to, co do ciebie należy: zbierz informacje, przeanalizuj, jeśli chcesz, i dostarcz wyniki. Pałac ciśnie wszystkich.

–Tak się tworzy historię?...

–Historia... Wiesz, dlaczego nasza historia urywa się niespodziewanie czterysta lat temu? Skąd miałbyś wiedzieć?... Musiałbyś zobaczyć, co jest ukryte w samym sercu pałacu, pod gabinetem Thomedosa.

–A co jest ukryte?

–Może kiedyś to zobaczysz... Ale nawet jeżeli zobaczysz... to też nie będzie odpowiedź, tylko kolejne pytanie. – Naukowiec spochmurniał. – Tak już jest ten świat

urządzony i niczyja w tym wina. To nieprawda, że jesteś niedoskonały, bo uwierają cię w tyłek gacie. To nie ty, to świat jest niedoskonały. Każdego coś uwiera, bo w tym świecie istnieje UWIERANIE. Tego nie zmienimy... Teraz masz misję do wykonania. Musimy wiedzieć z czym mamy do czynienia, zanim rozejdą się plotki.

–Można zaczekać...

–Ignorowanie tematu to najgorsza strategia. Lomar strzeliłby nam dwugodzinny wykład na ten temat. Trzeba powiedzieć coś, cokolwiek. Chociażby coś, co się potem zdementuje. Ale znacznie lepiej mówić, gdy coś się już wie. Gdy zna się prawdę, jest znacznie łatwiej kłamać. Kłamstwo powinno być paralelne wobec prawdy, bo wtedy prawdziwie wygląda i jakby co, łatwiej się z niego wyplątać.

–Jesteśmy naukowcami...

–Tłumaczę ci tylko mechanizm. – Semiutys uśmiechnął się. – Naszym zadaniem jest zbieranie informacji. Obrabia je i rozpowszechnia kto inny. Na razie trzeba się z tym pogodzić. Czas na zmiany nadejdzie już wkrótce.

Johathan spojrział na niego z zaskoczeniem, ale astrofizyk już wstał i zaczął przeglądać plany, leżące na dalszej części stołu. Szeleścił nimi chwilę, poprzesuwał, pokiwał głową. Deski podłogi zatrzeszczały, gdy obchodził stół.

–Ja stosuję tę taktykę od lat – kontynuował – i jeszcze nie próbowano mnie palić. To najlepszy dowód na to, że taktyka jest dobra. Zastosuj taką samą, to zachowasz życie.

–Oferta gubernatora jest mało przejrzysta: wykonaj misję, to może cię ułaskawię.

–Zapłata odroczone – uśmiechnął się Semiutys. – To taktyka stara jak... bardzo stara. Co robi Kościół Zaufania? Obiecuje nagrodę za właściwe życie, ale odbiór nagrody ma nastąpić już po śmierci. Sprytne, bo absolutnie niesprawdzalne. Nikt nie zgłosi reklamacji. A tak naprawdę, otrzymać po śmierci Łaskę Jasności może tylko człowiek doskonale niewierzący, bo tylko jego prawe uczynki płyną ze szlachetnych, bezinteresownych pobudek, a nie ze strachu przed strąceniem w Wieczny Mrok.

–Ja się nie boję mroku, tylko śmierci.

–To nie kościół, ani nie Thomedos chcieli cię zabić, tylko tłum podburzany przez wdowy po tych robotnikach, choć oczywiście był to wynik narastających od lat, niekoniecznie naturalnie, nastrojów. Ale, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, Thomedos zazwyczaj dotrzymuje obietnic. – Semiutys przysiadł na krześle i polał wina. – Pomyśl, co tam możesz znaleźć? Nie będzie windowców – wspinają się przecież w górę. Co więc tam może być?

**Jonathan pokręcił głową.**

**–Nie mam pojęcia.**

**–Nikt nie ma. Na szczęście, gdyż inaczej skonfliktowane grupy interesów próbowałyby cię siłą przeciągnąć na swoją stronę, zafalszować wyniki badań w odpowiadający im sposób. Rozerwaliby cię na kawałki, byle dopiąć swego. O tak! Lawirowanie to najważniejsza umiejętność w życiu pałacowym... Zauważyłeś, że nikt nigdy nie proponował nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z Niebianami?**

**–To niewykonalne.**

**–Pamiętasz ostatnią dyskusję w pałacu? Ostatnią, na której byłeś. Chcieli opuścić nasz płaskowyż po linach, żeby osiadł w przeznaczonym mu miejscu. Dyskutowali o tym na poważnie! Dla nich nie ma rzeczy niewykonalnych. Oczywiście, o ile można je zlecić komuś innemu i kogo innego z nich potem rozliczać. Jednak porozumienia z Niebianami nikt nie zaproponował.**

**–Siła nienawiści?**

**–Świadomość siły nienawiści – sprostował astrofizyk. – Nikt z nas nie wierzy w złą wolę Niebian. Oni najpewniej nawet nie wiedzą o naszym istnieniu. Ale szaraczki nienawidzą Niebian z całego serca i nie myślą logicznie. Nie mają zresztą danych na ten temat... Dlatego nikt nie zamierza tykać sprawy. Zauważ, że nawet Thomedos nie ułaskawił cię, tylko upozorował lincz. Jesteś ważny, ale nawet gubernator nie jest dość silny, by załatwić to oficjalnie.**

**–Może się boi... zmian, które nadejdą już wkrótce? Astrofizyk rzucił mu szybkie spojrzenie.**

**–Jest wielu ludzi, dla których każda zmiana jest na gorsze.**

**–A te zamieszki w Mar Harras?**

**–Mała potyczka z jakimiś narkomanami. Bywało gorzej, choćby podczas buntu i oblężenia Mar Numess sto pięćdziesiąt lat temu. Teraz to niemożliwe. W grę wchodzi raczej powszechny bunt plebsu, ale i tak nie wierzę, że to nadciągająca rewolucja. Znalezione tam zwłoki zagryzionego człowieka. Ślady zębów wskazują na to, że zagryzł go inny człowiek. To nie żadna rewolucja. Chyba, że obyczajowo-dietetyczna.**

**Jonathan wzdrygnął się.**

**–Cóż więc mam robić?**

**–Cokolwiek tam znajdziesz, osobiście przekaz gubernatorowi wyniki. Pośrednicy**

tylko przypiszą sobie część sukcesu, a jeszcze i ciebie dla kontrastu oczernią.

–A jeśli nic nie znajdę? Jeśli tam jest tylko Niebo, bez końca w dół tylko Niebo i Niebo?

–Wtedy wrócisz tu po śmierć.

–Wtedy nie wrócę wcale... Może istnieje tylko Herlan.

Semiutys poklepał go po ramieniu.

–Zapewniam cię, że jesteśmy fragmentem o wiele bardziej złożonego i niezrozumiałego świata. Sprawdziłeś kiedyś ciśnienie powietrza tam, w górze? Może zastanawiałeś się dlaczego liny w dalszej perspektywie nie zasłaniają gwiazd, słońca... Jeśli tak, to wiesz, co mam na myśli. Przeczytałem połowę znanych ksiąg, a na pewno wszystkie księgi z zakresu nauk, którymi się zajmuję. Sam też kilka napisałem. Przeprowadziłem wiele eksperymentów, uczestniczyłem w wielu dyskusjach naukowych. Bez fałszywej skromności mogę stwierdzić, że wiem o naszym świecie bardzo dużo. Z całej tej mojej wiedzy wychodzi mi, że nasz świat nie wygląda tak, jak powinien. A od kilkunastu dni... wygląda jeszcze gorzej. Wyobraź sobie, że budzisz się rano, patrzysz w lustro i widzisz rogi na swojej głowie. Zdziwiłbyś się, prawda? – Zdezorientowany Jonathan szczerze przytaknął. – Ale gdybyś te rogi miał od dziecka i gdyby mieli je wszyscy inni, przestałbyś zwracać na nie uwagę. Liny to takie rogi. Nie powinno ich tam być – wskazał okno – my się tylko do nich przyzwyczailiśmy.

–Są bezużyteczne – przyznał po chwili Jonathan. – Też to zauważyłem. Na drzewach ptaki budują gniazda, na skałach rosną mchy, a na linach nie ma życia. One są obce. – Spojrzał za okno. Rzędy lin przecinały okolicę, ale zwykle zapominało się o nich. Trzeba było skupić na nich uwagę, by wyłoniły się z otoczenia. Wyglądały wtedy nienaturalnie.

–To, że urodziliśmy się i żyjemy w takim, a nie innym świecie to kwestia przypadku – powiedział Semiutys. – Wierzę, że istnieje wiele innych światów, gdzie moglibyśmy się narodzić.

–Tyle, że wtedy to nie bylibyśmy my. My urodziliśmy się tu i w konkretnym czasie.

–Istnieje też mało popularny pogląd, że dusza w ogóle jest tylko jedna, zamieszkuje kolejne ciała, po śmierci cofając się niejako w czasie i zapominając o przeszłości. Wtedy wszyscy bylibyśmy jedną osobą... Nie, to już jakiś mistycyzm, nie nauka... Droga naszego poznania rozpoczyna się od odkrycia sensu istnienia lin. Nie mów o tym za głośno. Elefteriades dostaje piany na ustach na samą myśl o badaniu lin. Mity nazywa Prawdą przez duże „P”, a naukowe fakty bałwochwaltwem. Jest kapłanem, który nie wierzy we własnego boga, ale tym gorliwiej broni wiary. Nie przejmuj się

nim. Nie spodziewam się zresztą, że odkryjesz ten sens podczas najbliższej misji, ale może zrobisz chociaż krok w dobrym kierunku. Mały krok. Jesteśmy jednostkami, ale nasza siła to ciągłość cywilizacji, mimo jednostkowych śmierci.

–No toś mnie zmotywował...

Chwilę siedzieli w milczeniu.

–Czytałem wszystkie twoje raporty z niebieskich podróży. Kawał porządnej roboty. – Astrofizyk pokiwał głową. – Wiesz, co zauważyłem? Jeśli chodzi o liny, to jedynie dzieci zadają właściwe pytanie: na czym wiszą te liny? Rodzice mówią im wtedy, żeby zajęły się czymś pożytecznym. Jak mówiłem: ludzie lubią iluzje, a pytanie o sens istnienia lin może im tę iluzję zepsuć. Tym bardziej to dziecięce pytanie dodaje mi sił, bowiem dzieci instynktownie wyczuwają to, nad czym umysł mędrca musi się dopiero zastanowić. Sprawa jest oczywista: sznurek musi być trzymany u góry, żeby nie opadł na ziemię. Co więc trzyma liny tam, w górze?

–Nie wiem. Nie dotarłem tak wysoko.

–Jeśli jest jakieś mocowanie, to na pewno poza naszym zasięgiem. Szczerze mówiąc nie wierzę, żebyśmy takimi pojazdami jak twoje cygaro dotarli do końca lin. Ale też i nie trzeba badać końcówki sznurka, by zrozumieć jego budowę i przeznaczenie. Oczywiście nie chodzi mi o przeznaczenie według religii... Już prędzej uwierzę, że to twory naturalne, jak twierdzą niektórzy.

–Układ lin jest sztuczny, idealnie geometryczny – zauważył Jonathan.

–A kryształy? Są geometryczne, choć nie wytworzone ręką człowieka.

–Kryształy mają skazy, a układ lin jest idealny.

–Trzeba znaleźć skazę. – Semiutys wycelował palcem w rozmówcę, jakby gratulował mu trafego skojarzenia. – Jakaś musi być. Badanie zawsze najlepiej prowadzić, mając pod ręką jakiś błąd badanego obiektu. Badacze ptaków wiele uwagi poświęcają chorym osobnikom. Może w dole odnajdziesz jakąś nieregularność lin, która wskaże zamiary ich twórcy. A może i samego twórcę.

–Mówiąc „twórca” – zapytał jeszcze Jonathan – masz na myśli człowieka, czy... jakąś nadistotę?

–Boisz się użyć słowa „bóg” – uśmiechnął się naukowiec. – Oczywiście, że człowieka mam na myśli. Jakże by inaczej? Ale może być i tak, że niczego nie zbadasz. Tkwimy w zamkniętym świecie, nawet jeżeli jego granic nie dostrzegamy. Granicami są nasze możliwości.

**–Nie wierzysz więc w możliwość poznania? – zdziwił się Jonathan.**

**–Więziennik to ciekawy przykład odizolowanego układu sił – małego modelu świata. Co by nie robił uwięziony, worek może się co najwyżej rozbujać. Po krótkim czasie wróci do punktu wyjścia. Żeby się wydostać musiałby pociągnąć końcówkę sznurka, ale żeby ją pociągnąć musiałby się najpierw wydostać, opuścić swój świat. Kolejność przyczyna-skutek musi być zachowana. Nie ma więc wyjścia.**

**–Może zawołać o pomoc.**

**–To oznacza ingerencję spoza układu. Wracając do naszej rzeczywistości, żeby móc naprawdę poznać lub zmieniać nasz świat, trzeba go najpierw opuścić i obejrzeć z zewnątrz. – Semiutys westchnął i wstał. – Pora już na mnie.**

**Podszedł do drzwi, otworzył je i zawahał się chwilę. Odwrócił się i powiedział:**

**–Nie ufaj ludziom. Myśl sam.**

**\* \* \***

**Jonathanowi zakręciło się w głowie. Przytrzymał się wilgotnej ściany tunelu.**

**–Różnica ciśnień po przekroczeniu śluzy daje taki efekt – wyjaśnił Merging.**

**–To nie ciśnienie – odparł Dorad, głosem nieco mocniejszym niż zwykle. – To nieszczelne przewody odpływowe z lamp. Śluza dodatkowo zatrzymuje ruch powietrza.**

**–Gruba przesada. – Zarządca spojrzał na niego spode łba.**

**–Więcej górników straciło życie od gazu spalinowego z nieszczelnych odprowadzeń, niż w wyniku zawałów i wybuchów.**

**–To jakby powolny, długotrwały wypadek śmiertelny – zauważył Lomar. Nie wyglądał na przejętego losem górników; raczej podobało mu się to sformułowanie.**

**–Nie stać nas na nowe przewody – warknął zarządca.**

**–Każda praca wiąże się z ryzykiem – przytaknął Elefteriades.**

**–Oddawanie metanu w tapicerkę też? – zapytał Sanran, po czym sam sobie odpowiedział. – Można wylecieć w powietrze.**

**Jonathan miał wrażenie, że całe towarzystwo doradców Thomedosa traktowało misję z jednej strony niezwykle poważnie, a z drugiej cieszyło się dziecięco z interesującej odmiany w monotonii życia politycznego. Chodzili więc wszyscy całym**



stadem tam, gdzie nikt ich nie potrzebował i wygłaszali podniosłe sentencje, bądź brylowali dowcipami, z których nikt się nie śmiał. Darzyli się nawzajem szczerą niechęcią, ale nie mogli bez siebie żyć. Wszyscy jednak zgodnie spokojnieli w miarę zbliżania się do celu – widok nieba pod stopami na wszystkich działał podobnie.

Już samo wejście na stację linową było niesamowitym przeżyciem. Wszystkie kotwy, wbetonowane w skałę, wydawały się być wykonane z czegoś bardzo delikatnego. Nawet górnicy, którzy budowali stację i którzy ręczyli za jej trwałość, stojąc nad bezdenną przepaścią bez lin asekuracyjnych, miny mieli nietęgą. Stacja była bardzo ażurowa, miała kilka poziomów, wymuszonych przez istniejącą konstrukcję cygara, przeznaczonego do innego rodzaju startów.

Jonathan co chwila łapał się na tym, że ściska poręcz. Na szczęście nikt ze stojących obok nie zwracał uwagi na jego zachowanie. Sami byli nie mniej przestraszeni, choć nikt starał się tego nie okazywać. Dormer trząsał się, niby to z zimna, chociaż ubrany był grubo. Elefteriades w swoich powiewnych szatach mógł marznąć, ale pocił się i wyglądał, jakby stąpał po podłodze pociągu pędzącego po krzywych torach. Przepaść w niewyjaśniony sposób przyciągała go; musiał odpychać się od barierki. Sanran, mocno już zaprawiony przewencyjnie wysokoprocentowym specyfikiem, stał nieruchomo i w tym bezruchu szukał sposobu na przetrwanie kilku ciężkich minut. Starał się nie patrzeć w dół, co przy jego tuszy było łatwiejsze, bo większą część widoku zasłaniał mu własny brzuch. Merging wyglądał najgorzej – bladł i zieleniał na przemian. Dwaj górnicy stali, nie wiadomo po co, przy samych schodach prowadzących na górę. Chyba teraz wszyscy żalowali, że nie zostali w domu.

Jonathan uważał pomysł oficjalnego święcenia stacji i cygara za głupi, bo i tak misja była przecież tajna, więc wiedzieli o niej tylko niewierzący (włączając w to kapłana). Nauczony doświadczeniem ostatnich kilkunastu dni, nie odzywał się. Nie słuchał również słów kapłana. Świątynne śpiewy zawsze wydawały mu się bełkotliwe w swej treści. W formie zresztą też. Teraz dodatkowo lęk wysokości, z którym walczył Elefteriades, zamieniał pieśń w ciągłe poszukiwania uciekającego wątku. Wątpliwym było, czy sam kapłan wiedział do czego zmierza. Wreszcie zamilkł. Być może miała to być tylko długa pauza, służąca zebraniu myśli, ale pozostali, wykorzystując okazję, ruszyli pospiesznie w kierunku schodów. Kapłan westchnął i podążył za nimi.

Jonathan został sam. Lubił przed startem unieść głowę i popatrzeć w niebo. Teraz mógł co najwyżej wychylić się przez barierkę, a to przecież zupełnie co innego. Odwrócił się i spojrzął na świeżo zamalowane miejsce w dolnej części kadłuba. Powłoka była lekko pomarszczona i zaspawana na obszarze wielkości dłoni. Dormer zapewnił go, że osobiście pilnował spawacza, więc aerodynamika nie sprawi niespodzianek w postaci przykrych gwizdów przy większych prędkościach.

Poklepał czułe metalowe cygaro.

**–Coś nowego, kruszyno – powiedział cicho.**

**Jutro start.**

## 16. Start w nieznane

Płytki sen przerwało mu szczęknięcie mechanizmu zamka na dole. Wybiło go to z koszmaru o samotnym wiszeniu na linie, którego doświadczał ostatnio częściej. Leżał teraz, patrząc w sufit, i zastanawiał się, co go właściwie obudziło.

Wsluchiwał się w odgłosy nocy. Kroki na schodach. Więc nie złudzenie... Cicho zerwał się i chwycił w dłoń kilof. Dostał go kilka dni temu.

–Zawsze tak traktujesz gości?

Gości... Przełknął ślinę i przełożył kilof do drugiej dłoni. Sam wątpił, czy zdołałby zrobić z niego użytek. Po chwili więc odłożył go pod łóżko.

Była wysoka, raczej solidnie zbudowana, ale zdecydowanie miękko-kobieca. Skóra opalizowała matowo w świetle odległych latarni miasteczka górniczego. Łuki bioder, krągłość piersi, idealna geometria, stworzona przez naturę. Miała ciemne włosy, lub tylko wydawały się ciemne. Lokami opadały na ramiona. Chyba nie przyszła go zamordować. Nie miała żadnej broni. Nie miałyby gdzie jej schować – na jej strój składała się jedynie jedwabna tunika.

–Kim jesteś?

–Twoją przyjemnością.

Nic nie ważąca tunika wolno, bezszelestnie opadła na zaścielającą podłogę plany turbiny powietrznej. Motory odległej o trzy liny maszynowni, szemrały cicho na wolniejszych niż za dnia obrotach. Lokomotywa manewrowa przepychała krótki pociąg na bocznicy. Koła popiskiwały o szyny.

–Kto cię przysłał?

–Twoja przyszłość.

Pachniała piżmem i jeszcze czymś. Ciepłe dłonie dotknęły męskiego ramienia. Zsunęły się po nim.

–Ja nawet nie wiem, czy mam przyszłość – Położyła mu palec na ustach.

–Za dużo słów...

Przyłgnęła bliżej. Czuł jej oddech na twarzy i dłonie błędzące po ciele, rozpinające koszulę. Jej dotyk działał cudownie rozluźniająco. Nie miał kobiety od... od bardzo dawna. Stresy i złe myśli odpłynęły poza horyzont w kilka chwil. Nie zorientował się, kiedy znaleźli się obok łóżka. Pchnęła go delikatnie i oboje opadli na prześcieradło.

**Ktoś przebiegł tuż za ogrodzeniem, głośno dysząc i wydając odgłosy, nasuwające podejrzenie co najmniej o chorobę psychiczną. Jonathan poczuł gęsią skórę, ale nie miał najmniejszej ochoty biec do okna i sprawdzać, kto to był. Zostawił tę sprawę swoim strażnikom, a sam skupił się na uwalnianiu się z ubrania.**

**Była w tym dobra, piekielnie dobra. Czuł dreszcze aż gdzieś z tyłu głowy, na plecach, choć dopiero kończyła rozpinać jego koszulę. Przestał słyszeć odgłosy kopalni. Miękkie włosy nieznanego koloru, dla niego poruszały się już w kompletnej ciszy. Poczł się bezbronny i niezdarny w ten sam przyjemny sposób, w jaki popada się po pierwszym, głębszym łyku sotche, gdy ciepło rozlewa się po ciele, ale umysł wciąż pozostaje jasny, a zmysły wyostrzone. Poddał się tej inwazji bez oporu. Chłonał jej nagie ciało wszystkimi komórkami skóry, każdym włoskiem w dotyku i każdym kubkiem smakowym, gdy całował jej szyję. Łowił dźwięki jej dłoni na włóknach lnianej pościeli, oddech i bicie serca. Wypatrywał błysku białych zębów, między rozchylonymi wargami, ruchu rzęs wokół rozszerzonych źrenic, podwójnej zmarszczki w kąciku ust. Czuł linie papilarne palców, muskających jego tors, fakturę sutków doskonałych piersi, włosy kobiecego podbrzusza. Językiem odkrywał delikatność jej brzucha i wewnętrznych części ud, wreszcie ciepłe i wilgotne, sekretne wnętrze. Objęła nogami jego kark, plecy, ponaglaając i prosząc o więcej. Potem odepchnęła go raptownie, bez ostrzeżenia i odwzajemniła pieśczoć. Zamknęła oczy i zapadł się w błogie chłonięcie wszystkimi zmysłami jak umierający w ostatniej wizji konającego umysłu. To skojarzenie odpłynęło zapomniane w niebyt, gdy poczuł jej usta, zsuwające się wilgotnymi pocałunkami coraz niżej, wreszcie zamykające się na jego męskości.**

**\* \* \***

**–Widziałam stację linową.**

**–Jak to możliwe? Uśmiechnęła się.**

**–Chciałam to zobaczyć. Przerażający widok, nieprawdaż? Jak wytrzymałeś tam, w górze, w niebie?**

**–Miałem świadomość, że daleko pode mną jest ziemia... Teraz będzie trudniej.**

**–Może być i tak, że wrócisz do zupełnie innego Herlanu. Szykują się zmiany...**

**–A ty... reprezentujesz te zmiany? Zaśmiała się cicho, szczerze rozbawiona.**

**–Wyglądam na pragnącą zmian?**

**–Nie obraż się, ale twoja wizyta jest nieco dziwna. Chcecie rewolucji? Jakiej? Będziecie zagryzać swoich wrogów?**

**Delikatnie ugryzła go w ramię.**

**–Sama tu jestem.**

**Jonathan spowaźniał.**

**–Chcecie zmian? Wolności? Dostępu do wiedzy, do bogactw, teraz skupionych w rękach małej grupy ludzi?**

**Kobieta uniosła się na łokciu.**

**–Každy tego chce. Zazwyczaj dla siebie.**

**–Gubernator jest wybierany przez część wpływowych obywateli, potem ustanawia prawa, obsadza stanowiska. Reszta nie ma nic do gadania. Planujecie rewolucję?**

**–Nadchodzi kres rządów gubernatorów. – Pocałowała go i wysunęła się spod koca.  
– Nie warto się tym przejmować, bo nic już tego nie powstrzyma. Teraz pora troszczyć się o to, co nastąpi potem.**

**Wstała. Jej skóra w bladym świetle latarni opalizowała matowo.**

**Gdzieś od strony miasteczka rozległ się urwany krzyk. Spojrzeli w stronę okna, ale nic więcej się nie wydarzyło. Kobieta narzuciła na ramiona muślin i ruszyła w kierunku schodów. Odwróciła się jeszcze w drzwiach.**

**–Jak wrócisz, głoś prawdę.**

**–Słucham?**

**Spojrzała na niego, na tę chwilę wypadając ze swojej roli. Zobaczył w błysku jej oczu napięcie. Ryzykowała, przychodząc tu. Spuściła wzrok i zniknęła, płynnie zsuwając się w ciemność kręconych schodów. Dopiero teraz stwierdził, że w mroku północy nie zobaczył jej twarzy.**

**\* \* \***

**Przezornie nie chwalił się nocną wizytą. Kobieta nie mogła być prezentem od Dormera, to nie było w jego stylu. Ale teraz badaczem interesowało się sporo osób. Któraś mogła uznać, że odrobina relaksu dobrze mu zrobi przed misją. Kobieta miała klucz, co rzucało podejrzenia na Mergingą, w końcu to był jego dom.**

**Jonathan odetchnął głęboko i wszedł do gabinetu zarządcy. Wnętrze było urządzone bez smaku i wstawiono tu tylko tyle mebli ile było koniecznych. Wielkie okno wychodziło na tunel kopalni. Jonathan zauważył, że siedzący oficjele, po raz pierwszy obdarzają go spojrzeniem. Jednak przywitał się z nim, w imieniu**

wszystkich, tylko Dormer i wskazał mu fotel. Sanran pociągał z kufła, Semiutys, z małą torbą na ramieniu, bazgrał coś w notatniku i ćmił długą fajkę, Merging usiadł tylko za swoim biurkiem i zaczął bawić się piórem, łypiąc nienawistnym wzrokiem to na astrofizyka, to na kapłana. Dreyne siedział w kącie i milczał, obserwując wszystkich uważnie. Lomar stał tyłem do drzwi i gapił się za okno. W powietrzu wisało napięcie, jakby otwarcie drzwi przerwało jakąś kłótnię, a co najmniej ożywioną dyskusję.

Astrofizyk skończył bazgrolić, dopisał coś na dole kartki i spojrzał na Jonathana.

–Chcielibyśmy udzielić ci kilku rad. – Wstał, zebrał od wszystkich kartki, spiął je spinaczami w osobne pliki i włożył do koperty. Wręczył ją badaczowi. – Wewnątrz są dokładne instrukcje, co do programu badawczego, jaki powinien być przeprowadzony i zasad hm... bezpieczeństwa.

–Radziliście nad moim bezpieczeństwem? – zdziwił się Jonathan.

–Nie twoim – parsknął Sanran. – Nad bezpieczeństwem misji.

–Te dwie sprawy są niemal tożsame. – zauważył Semiutys, po czym zwrócił się do badacza. – To misja szpiegowska.

–Nie naukowa? – ponownie zdziwił się Jonathan.

–Jakkolwiek to zwać... Zależy kto zwie... I przy kim...

–Sytuacja od wczoraj trochę się zmieniła. – Chropowaty głos Dreyne'ego rozległ się po raz pierwszy. – Chodzi o zebranie jak największej liczby informacji. Bez narażania się, że przy tej okazji ktoś zbierze o nas jakieś informacje. Mamy silnego wroga wewnętrznego i nie potrzebujemy teraz nowych problemów.

–Nocny incydent upewnił nas, że powinniśmy się spieszyć – wyjaśnił astrofizyk.

–Incydent? – Jonathan zaniepokoił się... Wiedzieli o tej kobiecie?

–Napadnięto strażnika przy wejściu do kopalni. – Semiutys westchnął. – Ktoś go pogryzł. Żyje i chyba nic mu nie będzie, ale sprawca zbiegł.

Jonathan znów poczuł ciarki na plecach. Przełknął ślinę.

–Kiedy tu jechałem wczesnym rankiem – odezwał się Sanran – Widziałem jakiś ludzi biegnących przez pola od Mar Harras. Wyglądali, jak szaleńcy. Miejmy nadzieję, że odpowiedni ludzie – zerknął na Dreyne'ego – poradzą sobie z tymi obdartusami.

–Też widziałem kilku – przytaknął Lomar. – Nie sprawiali wrażenia zbyt dobrze

zorganizowanych. Nie przeceniajmy siły buntowników.

Zapadło krótkie milczenie.

–A te rady? – przypomniał Jonathan.

Semiutys powiódł wzrokiem po zebranych.

–Źle się skończy spotkanie, jeśli podejmę ten temat... Rękoczynny mogą popsuć wizerunek urzędników państwowych, tak ważny w obecnych czasach... Przeczytasz wszystko sam, podczas podróży. Pożytek może będziesz z tego miał... a rozrywkę na pewno.

\* \* \*

Na dół odprowadził go tylko Dormer i Elefteriades. Milczeli przez całą drogę, za co Jonathan był im wdzięczny. Przyczyną ich nastroju był incydent, który wydarzył się tuż przed wejściem do podziemi. Zaatakowało ich dwóch górników. Sprawiali wrażenie szaleńców. Gwardziści wpakowali im po kilka kulek, a tamci i tak uparcie pełzali w kierunku ludzi. Twarze mieli wykrzywione jakimś potwornym grymasem. Elefteriades prawie zemdłał, zawodząc coś o rozpoczynającej się rewolucji, Dormer tylko zbladł i nic nie powiedział. Nim zniknęli w huczących czeluściach kopalni, Jonathan usłyszał jeszcze kilka wystrzałów z dalszej odległości.

Zjechali windą, minęli służę, dwa posterunki znudzonych gwardzistów i dotarli do schodów w skalnej studni do nieba. Najgorzej wyglądał kapłan. Trzęsły mu się nogi i Jonathan musiał pomóc mu zejść po stalowych stopniach. Dzięki temu przynajmniej na chwilę zapomniał o własnym strachu. Po stalowej kładce doszli do cygara. Badacz puścił kapłana, a ten od razu zatoczył się i złapał barierki. Jęknął niewyraźnie i zamknął oczy.

Jonathan z przyzwyczajenia spojrzał w górę. Taki gest marzycielski. Mógł spojrzeć w dół, ale poczułby się jeszcze gorzej. Start w tę stronę i tak wydawał mu się głęboko nienaturalny. Na domiar złego był trzeźwy.

Wzruszony Dormer uściskał go, jakby mocniej niż zwykle, a Elefteriades zakreślił w powietrzu znak leżącej ósemki. Nieskończona pętla, znak błogosławieństwa... Ale też znak Ostatniego Pożegnania, który kapłani kreślą nad grobem, gdy trumna opuszczana jest w dół. Jonathan wzdrygnął się mimowolnie – skojarzenie niezwykle trafne.

Spojrzał na szczelinę między krawędzią pomostu a burtą cygara. Powinien jeszcze ostatni raz przejrzeć wszystko, otworzyć każdą klapkę i sprawdzić każdy zawór, ale nie podobała mu się perspektywa kilkugodzinnej ekwilibrystyki nad Niebem. Dormer przysięgał rano, że osobiście wszystko sprawdził i błagał go, żeby start nastąpił o

czasie.

Jonathan obrócił klamkę i otworzył niewielkie drzwi. Spojrzał w górę, natrafiając na skalne sklepienie. Westchnął, schylił się i przekroczył wysoki próg. Stalową drabinką pokonał dwa poziomy i uspokoił się nieco dopiero na widok znajomej konsoli. Przesadnie niedbałym ruchem rzucił worek w kąt, obok wielkiego fotela pilota. Teraz sam był sobie panem, prawa Herlanu przestały go obowiązywać. Pokład pilota był, jak wszystkie inne wewnątrz cygara, okrągłym pomieszczeniem o lekko pochyłych ścianach. Środkiem biegła rura, osłaniająca linę; na obwodzie kadłuba, na wysokości oczu, znajdowało się kilka wąskich okien. Pozostała powierzchnia ścian pokryta była miękkim filcem i skórą.

Badacz chciał mieć to za sobą. Zrzucił z siebie spodnie i kurtkę górniczą. Pod spodem miał swój stary strój z białej bawełny – tyle przynajmniej wywalczył. Usiadł w fotelu i ogarnął wzrokiem pulpity z kilkunastoma zegarami i dźwigniami. Poziom paliwa, poziom wody, temperatura szczęk hamulcowych, ciśnienie oleju, stan kłapa hamulca aerodynamicznego i wiele innych. Od czasu jego ostatniej podróży obok fotela przybyła nowa dźwignia – zwalniacz liny cumowniczej.

–Żegnajcie ziemskie kłopoty – powiedział, kładąc dłoń na dźwigni. – Przynajmniej na jakiś czas, mam nadzieję...

„Jak wrócisz, głoś prawdę.” Jak wrócę...

Wstrzymał oddech i pociągnął.



## 17. Dzieci szczęścia

Bezwietrzna, bezgwiezdna noc. Wilgoć w powietrzu, jak przed deszczem, i chłód. To zobaczyłem i poczułem, gdy otworzyłem oczy. W pierwszym momencie nie wiedziałem wcale, czy naprawdę je otworzyłem. Musiałem zamrużyć, by się przekonać, poczuć, że powieki się poruszają. Wiedziałem więc, że się obudziłem. Miałem świadomość własnego istnienia i nie był to sen. Ani śmierć. Gdzie zatem byłem?

Uniosłem dłoń, nie opierała się. Błady cień, który pojawił się przed moją twarzą miał pięć palców. Poruszyłem palcami u drugiej ręki, u nóg. Wszystko działało, a przecież pamiętałem upadek miasta i otaczającą mnie wodę. Nie powinienem żyć.

W uszach świdrowała cisza, od której odzwyczaił nas nieustanny szum powietrza.

Hersis! Usiadłem gwałtownie, aż zakręciło mi się w głowie. Łóżko, w którym się znajdowałem, przypominało wydrążoną skorupę wyłożoną czymś miękkim i gładkim. W niepełnej ciemności obok dostrzegłem drugą, taką samą skorupę. Ostrożnie spuściłem nogi na podłogę. Była tam, twarda i pewna. Zrobiłem dwa kroki i nachyliłem się nad Czarnowłosą. Oddychała równo, więc żyła. Usiadłem na łóżku i pogładziłem jej włosy. Nie chciałem jej budzić, niech odpoczywa.

Miejsca takie jak to, nie powstają same. Antycel... Więc nie ja pierwszy wpadłem na pomysł dotarcia tutaj. Ktoś tu przybył przede mną i stworzył ten bezpieczny, jak się zdawało, obszar i te dwa łóżka. Zapewne stworzył więcej, ale nic innego nie widziałem. Ktoś musiał tu nadal przebywać, bo sami się nie położyliśmy do łóżek. Przedramię ćmiło mnie lekko w miejscu dawnego złamania.

Powróciło pytanie o sposób zawieszenia na linach takiej ilości wody. Próbowałem to sobie wyobrazić i nie udawało mi się. Konstrukcja, umożliwiająca utrzymanie takiego ciężaru, musiałaby być niewyobrażalnie wytrzymała, szczelna i przede wszystkim duża.

Wciągnąłem nosem powietrze. Było wilgotne, ale podłoga pod moimi bosymi stopami była sucha. Musieliśmy być ponad wodą. Nie chciałem odchodzić i zostawiać Her samej. Rekonesans musiał zaczekać. Wsłuchałem się za to w panującą wokół mnie ciszę. Po dłuższej chwili udało mi się wyłowić spomiędzy oddechów Hersis cichy szum. Taki szum wydaje duża liczba ludzi rozmawiających jednocześnie. Nie wiedziałem nic o tym miejscu i źródłem dźwięku równie dobrze mogło być cokolwiek innego. Ciężko sobie wyobrazić tłum ludzi, kiedy siedzi się w przestrzeni bez widocznych ścian, i w której znajdują się tylko dwa łóżka.

Dotknąłem pasa i stwierdziłem, że szydłonóż wciąż tkwi w pochwie. Przy okazji dokonałem kolejnego spostrzeżenia – moje ubranie było suche. Ile czasu schło

ubranie po solidnym deszczu? Pół dnia? Kilka godzin najmniej. Tu było wilgotno, więc jeszcze dłużej.

Otworzyły się drzwi. Więc tu były drzwi! Szum nasilił się. W prostokątnym otworze znajdującym się kilka kroków od miejsca, w którym stałem, pojawiła się sylwetka. Czarna na jasnym tle. Położyłem dłoń na szydłonożu i wtedy poczułem, że to nie jest w porządku, grozić bronią komuś, kto postanowił mi tę broń pozostawić. Opuściłem rękę.

–Posilcie się, goście – powiedziała postać i znikła za zamkniętymi cicho drzwiami.

Stwierdziłem, że widzę lepiej niż przed chwilą. Zrobiło się jakby nieco jaśniej.

Podszedłem do miejsca, w którym pojawiła się postać. Na podłodze stały dwie miski z jedzeniem i kubki z napojami. W miskach zanurzone były widelce, a potrawa przypominała mięso. Zapewne było to mięso, ale innego rodzaju. Poczulem narastający głód, więc wziąłem jedną miskę i powąchałem. Pachniało dziwnie, ale smacowicie. Nabiłem na widelec niewielki kęs i ostrożnie włożyłem do ust. Białe mięso było wyjątkowo delikatne i kruche, samo rozpadało się w ustach. Było smaczne, choć smak ten był jakby rozwodniony, znacznie słabszy niż smak pieczonego królika.

Zapach jedzenia dotarł do Her, bo poruszyła się i westchnęła. Też musiała być głodna. Usiadła i przeciągnęła się. Spojrzała na mnie. Odstawiłem miski i podszedłem do niej. Objąłem ją krótko i spojrzałem w oczy. W półciemności widzieliśmy niewiele więcej niż zarysy swoich twarzy.

–Żyjemy? – zapytała.

–Tak sądzę.

Podaliśmy jej miskę. Wzięła ją, powąchała nieufnie, ale zaczęła jeść. Jej też zasmakowało. Dwie minuty później miski były puste. Opróżniliśmy też kubki – była w nich zwykła woda.

W suficie niskiego pomieszczenia stopniowo pojawiała się światło, w postaci rozmytej plamy startującej sponad naszych głów. Rozszerzała się w kierunku ścian. Po kolejnej minucie było wystarczająco jasno, by rozróżniać wszystkie szczegóły otoczenia. Była to okrągła salka, z jednej strony sporą jej część kradła wypukłość. Zupełnie, jakby za nią znajdowało się następne okrągłe pomieszczenie. Ściany wykonano z nierównego beżowego materiału. Podłogę również. Nie było tu żadnych sprzętów, poza łózkami. Teraz mogłem zobaczyć, że wyglądają, jakby zrobiono je ze spłaszczonych połówek łupiny ogromnego orzecha.

Podszedłem do drzwi, przez które poprzednio wszedł nieznajomy. Dla odmiany były

idealnie prostokątne. Dotknąłem ich matowej, gładkiej powierzchni. Zimny metal bez klamek, ani uchwytów. Pchnąłem, ale nawet nie drgnęły. Przesunąłem dłoń po ścianie obok. Była również gładka, ale pełna dołków i górek. Znalazłem tylko wgłębienie, a w nim jakiś pręt. Nie wiedziałem, co to jest, więc woląłem na razie nie dotykać. Nie mogłem zauważyć nigdzie połączeń, ani miejsc mocowania do konstrukcji nośnej. Ściana wyglądała na mokrą, choć dotyk temu przeczył. Wykonana była jakby z kamienia, ale jak wielki musiał być ten kamień! Nigdy nie widziałem kamienia większego od dłoni.

Spojrzałem na Her i wzruszyłem ramionami. Wróciłem do łóżka i położyłem się, żeby pomyśleć. Her podeszła, wcisnęła się obok i przytuliła, nic nie mówiąc.

To zamknięte pomieszczenie przytłaczało mnie. Czułem to gdzieś w gardle. Właściwie to nigdy nie byłem wewnątrz czegoś takiego. Życie odkrywcy wymaga jednak wyrzeczeń – nie można sprzeniewierzyć się wszystkim możliwym tradycjom i liczyć na to, że obejdziesz się bez niedogodności. Nie miałem w sumie prawa narzekać – żyliśmy, choć nie powinniśmy żyć. Antycel – o tym marzyłem od tak dawna! A teraz byłem... więźniem? To nawet logiczne. Ci którzy wysłali nas w miastach w górę, mogli nie chcieć, żebyśmy wracali.

Drzwi niespodziewanie otworzyły się z cichym sykiem. Mimo narastającej jasności wewnątrz obcy nadal był czarnym konturem na tle jasnego prostokąta. Usiadłem na łóżku, a Her po chwili zrobiła to samo. Obcy postąpił dwa kroki w naszą stronę i znalazł się w zasięgu światła sączącego się z sufitu. Wyglądał... normalnie. To mnie zaskoczyło. Spodziewałem się... sam nie wiem kogo, a przede mną stał pięćdziesięcioletni mężczyzna z siwymi włosami i wyglądał zwyczajnie, nic sobie nie robiąc z moich oczekiwań. Patrzył na nas dobrymi, szarymi oczyma. Tak sobie wtedy pomyślałem – miał dobre oczy, więc był dobrym człowiekiem.

–Gdzie jesteśmy? – zapytałem.

–W kolonii Mespaladia – odparł człowiek. – Nazywam się Athor.

Wstałem, przedstawiłem nas i zapytałem.

–Czy jesteśmy więźniami?

–Absolutnie nie! – zaprzeczył szybko. – Skąd ten pomysł?

–Nie mogliśmy otworzyć drzwi...

–Trzeba przesunąć dźwignię w ścianie obok. – Wskazał wgłębienie z prętem. – Widzicie? Nie byliście uwięzieni.

Mówił w dziwny sposób, wolno. Mimo to rozumiałem każde słowo. Ton jego głosu

świadczył o tym, że bardzo mu zależy, żebyśmy uwierzyli, że nas nie uwięziono. Wierzyłem mu.

–Więc możemy wyjść? – upewniłem się.

–Oczywiście! – Wskazał drzwi.

Chwilę nie wiedzieliśmy, co zrobić. Her pierwsza ruszyła w kierunku wyjścia, ja po chwili.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, czego się spodziewać. Wiedziałem tylko, że zaniemówimy z wrażenia. I tak się stało. Patrzyliśmy z góry na okrągły obszar przekraczający średnicą dwadzieścia, albo i więcej znanych nam miast. W zasięgu wzroku, dzięki świecącym kulom, rozmieszczonym w wielu miejscach, mieliśmy kilkadziesiąt osób spieszących w różnych kierunkach. Staliśmy przed barierką na swego rodzaju tarasie, oniemieli dziwną wizją. Tak musiałem to wtedy odbierać, bo realność tego co widziałem, nie zdołała do mnie jeszcze dotrzeć. Pokłady, a raczej tarasy schodziły w dół do sporego dziedzińca, pełniącego zapewne rolę naszego pokładu głównego. Miasto było naprawdę wielkie.

Wszystko, na co patrzyłem, było jakby krzywe, stopione niegdyś ogromną temperaturą, zeszlone i zastygłe tuż przed ostatecznym rozplnięciem. Z trudem dawało się gdzieś rozpoznać linię prostą, równy okrąg. To tak, jakby z rzadkiej gliny ulepić kształty, udające pomosty, chodniki, schody. Grube, ciężkie twory zdawały się być marnotrawieniem materiału. Ileż to wszystko musiało ważyć! Przyzwyczajony byłem od zawsze do przestrzeni dzielonej cienkimi pionowymi bądź poziomymi przegrodami, za którymi była następna przestrzeń. Tutaj ściana czy podłoga zwykle oznaczała kres. Dalej był tylko kamień. W zasięgu wzroku miałem może kilka przykładów przestrzeni przedzielonych, ale nawet najbliższy pomost nie wyglądał jak znane mi pomosty. Przejście pod nim sprawiało wrażenie dodanego później, jakby w wielkim kamieniu przebić nowy otwór. My kształtowaliśmy otoczenie, ustalając granice w nieskończonej przestrzeni, oni – wrywając wolne miejsca siłą, wydłubując pracowicie kawałki materii.

Wokół centralnego dziedzińca z ziemi wychodziły liny i znikaly w... czymś w rodzaju kopuły, zrobionej z zielonkawego kryształu.

–Na czym to wszystko się trzyma? – Wskazałem dookoła.

Mężczyzna spojrział na mnie zaskoczony.

–Nie rozumiem twojego pytania – odparł. – Trzyma się... samo na sobie.

Zrobiłem taką minę, że musiał pomyśleć o mnie tak samo, jak ja myślałem o Vaunee, która nie mogła wyobrazić sobie...

**–Miasto – sprecyzowałem. – Na czym oparte jest miasto? Kopuła?**

**–Na... Na skale i na linach.**

**–Ale... mówię o konstrukcji. Musi być niesamowicie wytrzymała.**

**Spojrzałem do góry i zbladłem. Woda... Z trudem przełknąłem ślinę. Nagle poczułem na sobie ciężar wody wiszącej nade mną. To na górze to musiało być szkło, teraz widziałem w nim słabe odbłaski lamp. Wiele ogromnych tafli szkła połączonych ze sobą w nieznany mi sposób zatrzymywało masę wody. Byliśmy pod wodą...**

**Spróbowałem sobie wyobrazić spód takiej masy wody i nie udało mi się. Takie coś nie miało prawa istnieć! Przypomniałem sobie dno zbiornika z wodą deszczową, w naszym mieście.**

**Opierało się na solidnych belkach, które przenosiły ciężar na główną konstrukcję miasta i dalej, poprzez napędy, do lin. Nigdy wcześniej też nie zastanawiałem się nad wytrzymałością lin. Ta myśl przyszła mi do głowy teraz, gdy wyobraziłem sobie, że muszą dźwigać ciężar całej tej wody.**

**Zaczerpnąłem tchu. Przestrzeń była duża, ale nie dość duża, byśmy poczuli się dobrze. Her trzymała mnie za rękę i staliśmy tak z zadartymi głowami.**

**–A na czym trzyma się ta cała woda? – zapytałem znów.**

**–Przykro mi, ale znów nie rozumiem twojego pytania.**

**–Co jest pod spodem? Pod skałą.**

**–Woda... Skała kończy się głęboko w dole, a pod nią jest już tylko woda.**

**Zamknąłem oczy i poczułem rozpacz. Wyjaśnienia nie było, a przynajmniej nie było go tu.**

**–Spaliście trzy doby – powiedział Athor.**

**–Czy my... umarliśmy? – zapytała Her.**

**Chciałem jej wytłumaczyć, że przecież żyjemy, ale obcy był szybszy.**

**–Owszem, umarliście – powiedział – ale teraz znów żyjecie.**

**–Tak! Pamiętam... – Zmarszczyła brwi. – Utonęliśmy.**

**–Nie wiedzieliście, że w wodzie można pływać? – zapytał Athor.**

–Nigdy nie widzieliśmy takiej ilości wody – wyjaśniłem. – Nie myśleliśmy, że gdziekolwiek może jej być tyle, by dało się w niej pływać.

Rozglądaliśmy się, wciąż rejestrując nowe szczegóły otoczenia. Szczegóły całkowicie niezrozumiałe.

–Może za wcześnie na wycieczkę po mieście – zastanowił się Athor. – Jutro staniecie przed senatem. Póki jest noc, wypoczywajcie. – Wskazał nam pokój, z którego wyszliśmy.

–Czy drzwi muszą być zamknięte? – zapytałem.

–Nie – powiedział po chwili wahania – ale przyobiecajcie, że nie opuścicie tego tarasu. Nikt nie zatrzyma was siłą. Chodzi o to, żebyście się nie zagubili.

Obiecaliśmy. Gdy Athor odszedł, wyciągnęliśmy materace z wielkich łupin, wynieśliśmy na taras i połączyliśmy je. Położyliśmy się, splatając dłonie. Od kopuły szło słabe echo, dźwięk zupełnie inny od tego, znanego z naszych miast, inny od szumu wiatru, którego słuchaliśmy przez ostatnie miesiące. Przyzwyczajmy się.

Długo leżeliśmy, próbując porządkować w głowach to, co zobaczyliśmy.

–Zmienił im się język – odezwałem się wreszcie.

–To od życia pod wodą?

–Nie. Oni są tu od dawna, a język sam zmienia się z czasem. Ludzie z różnych miast czasem używają innych słów na określenie tej samej rzeczy, a to samo słowo może znaczyć co innego. Czasem słowa giną, a w ich miejsce powstają nowe.

–I to nie dzieje się jednocześnie wszędzie.

–Właśnie. Pamiętam Harsida. Był ogrodnikiem zanim do nas przesłał. Kilka razy nazwał mnie „nicponiem”. Słyszałaś kiedyś, żeby ktoś tak mówił?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się słabo. Odgarnąłem jej włosy za ucho i pocałowałem w policzek. Położyła głowę na mojej piersi i zamknęła oczy.

Patrzyłem w górę i zdawało mi się, że nad ciemnym szkłem widzę przepływające powoli i ociężale, nieco tylko jaśniejsze kształty. Czym były? Złudzeniem zmęczonego umysłu czy może naturalnością tego świata? Podwodne ptaki – tak sobie wtedy pomyślałem.

Postanowiłem nie mówić o tym głośno.

–Nie wiem, jak takie miejsce może istnieć – powiedziałem. – To coś zupełnie

innego... Taka ilość wody jest bardzo ciężka. Nie wyobrażam sobie dna tego zbiornika.

–Wszystko, co nie jest przymocowane do lin spada – mruknęła sennie. – Wiesz przecież.

Więc to może być miejsce, gdzie wszystko przestaje spadać, pomyślałem. Myśl ta wydała mi się zbyt nierealna, by ją wypowiadać na głos.

\* \* \*

Podłoże nie było całkiem poziome. Miejscami wznosiło się nieznacznie, potem opadało. Gdy robiło się zbyt stromo pojawiały się stopnie. Przechodziliśmy po małych mostkach i pod nimi. Mijaliśmy wysokie na kilka pięter budowle mieszkalne, donice z dużymi roślinami o grubych, zdrewniałych łodygach, wyższych nawet od Drzewa.

Ludzi było znacznie więcej, niż sądziłem wcześniej. Może dziesięć razy tyle, co kiedyś w naszym mieście. Ubierali się w stroje, które wyglądały, jak złożone wielokrotnie i pospinane w skomplikowany sposób płótna żaglowe. Obuwie też było inne – wszyscy nosili sandały na elastycznej podeszwie, wiązane na rzemienie powyżej kostek. Stroje niektórych kobiet były bogatsze, a ich fryzury misternie upięte. W Niebie wiatr zrujnowałby te misterne sploty i węzélki w kilka sekund. Były jednak i takie, które nosiły się bardzo prosto. Jak stwierdziłem podczas naszej krótkiej wędrówki, im starsze były kobiety, tym więcej wysiłku wkładały w upiększanie się. Wszyscy, spotkani przez nas ludzie, mieli bardzo jasną skórę. Odniosłem wrażenie, że byli wyżsi od mieszkańców naszego miasta. Nie zwracali na nas szczególnej uwagi. Uchwyciłem tylko wzrok małego, przygarbionego człowieczka, ale i on zaraz znikł mi z oczu.

Doszliśmy do centralnego placu, który przedtem widziałem z tarasu. Na środku, nad poczerniałym otworem falował płomień gazowy.

–Gdy zgaśnie, to będzie znaczyło, że jest za dużo złego gazu – wyjaśnił Athor. – Zużytego powietrza. Wy pewnie nie znacie tego problemu.

Faktycznie, nie znałem. Postanowiłem zapytać o to przy najbliższej okazji. Teraz jednak myślałem o czym innym.

–Co to jest senat? – zapytałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

–Senat to grupa ludzi. Są wybrani przez obywateli i podejmują najważniejsze decyzje.

**–Jak nasza rada starszych – powiedziałem. – Tyle, że my ich nie wybieramy.**

**–Więc kto ich wybiera?**

**–Sądzę... że sami się wybierają – zastanowiłem się chwilę. – Jak któryś umrze, to przyjmują nowego.**

**–To bardzo źle. – Pokręcił głową Athor. – Wybierać rządzących powinni wszyscy.**

**–Głupi mogliby wybrać głupców. – Wzruszyłem ramionami. – A starsi są mądrzy, więc wybierają mądrzej.**

**–Przykro mi tego słuchać. To sprzeczne ze wszystkim, co mi bliskie.**

**–Uwierz mi, że to najmniejsza z różnic między naszymi miastami.**

**–Może i masz rację... Nie mnie to oceniać. Jak staniecie przed senatem... lepiej nie opowiadaj o tym, jeśli nie spytają. Będą zadawać wiele pytań i będą oczekiwać dokładnych odpowiedzi. Senatorowie poświęcają wam swój cenny czas, więc nie zmarnujcie go. Okażcie szacunek, należny wybranej władzy, bo tym samym okazujecie szacunek wszystkim obywatelom. Możecie wygrać swoją przyszłość.**

**–Po co w ogóle chcą nas oglądać?**

**–Muszą zdecydować o waszym losie, a od ich decyzji wiele zależy. Macie szansę zostać przyjęci na pełnych prawach do naszego społeczeństwa.**

**Nie byłem pewien, czy chciałem stać się członkiem tego społeczeństwa. Nic o nim nie wiedziałem. Jednocześnie wołałem żyć, niż nie żyć, bo żyć poza tym społeczeństwem... Gdzie mielibyśmy żyć? W wodzie? Może miejsce, o którym marzyłem, które wyobrażałem sobie jako Antycel, w ogóle nie istniało? Wcześniej nie poświęciłem zbyt wiele czasu rozważaniom, co zrobimy, jak już odkryjemy Antycel.**

**\* \* \***

**Duża okrągła sala miała kamienne sklepienie, świecące w ten sam sposób, co sufit naszego tymczasowego domu. W centralnej części podłogi ziała wielka okrągła dziura, wypełniona czarną wodą, falującą jakąś własną regularnością. Nad sam środek basenu, którego dna nie udało mi się dojrzeć, prowadziła wąska kładka, zakończona okrągłym podestem. Jak wszystko tutaj, kładka okazała się być nie tyle kładką, co litym kamiennym blokiem, wyłaniającym się z wody. Podobnie podest.**

**Brak barier nie mógł nas przerażać, skoro całe dotychczasowe życie spędziliśmy w Niebie. Niepokojąca była obecność takich ilości wody. Stanęliśmy dokładnie na środku podestu, trzymając się za ręce.**



**Dopiero teraz zwróciliśmy uwagę na ludzi. Senat nie przypominał rady starszych. Senatorów było co najmniej trzydziestu. Siedzieli na trzech wielkich stopniach otaczających salę w półokręgu. Wielu obserwujących nas w milczeniu ludzi było starych, ale dostrzegałem też trzydziestolatków. Było nawet kilka kobiet, które widocznie miały tu prawo decydowania.**

**Dokładnie na wprost nas znajdowało się podwyższenie, na którym zasiadały trzy osoby.**

**Drzwi, którymi weszliśmy, zasunęły się za nami. Athor stanął obok nas i powiedział:**

**–Szanowni wybrani. Oto Murk i Hersis. Spadli do oceanu w dużej metalowej konstrukcji, będącej zapewne statkiem powietrznym. Udało się przywrócić ich do życia. Zregenerowali siły i są gotowi, by odpowiedzieć na wasze pytania.**

**Echo głosu odbite od sklepienia rozeszło się po sali. Wśród senatorów rozległo się kilka szeptów, po czym zapadła cisza.**

**Starzec, siedzący na środku, za niskim kamiennym stolikiem, z księgą oprawioną w brązową skórę, wpatrywał się w nas badawczo.**

**–Co was tutaj sprowadza? – zapytała donośnym głosem młoda kobieta o bardzo jasnych włosach.**

**Milczałem, nie wiedząc co odpowiedzieć. Rozglądałem się, wszędzie napotykając nieruchome spojrzenia. Her trzymała mnie za rękę. „Grawitacja” – to była prawidłowa odpowiedź, ale czułem, że niewłaściwa w tej sytuacji. Gdy Athor wypuścił nerwowo powietrze zrozumiałem, że muszę powiedzieć cokolwiek.**

**–Chcieliśmy sprawdzić, co jest w dole – powiedziałem. Ze zdziwieniem usłyszałem własny głos wzmocniony odbiciem od sklepienia.**

**–Jak zamierzaliście wrócić? – padło pytanie z innej części sali.**

**Wzruszyłem ramionami.**

**–Nie zamierzaliśmy wracać.**

**Znów szepty i ściszone rozmowy, potęgowane echem do monotonnego szumu. Sala była tak zbudowana, by każdy szept stojących na środku obiegał ją dookoła, docierając do wszystkich, ale jednocześnie stojąc tu, na środku, nie dawało się wychwycić słów ze ściszonych głosów senatorów.**

**–Czego się spodziewaliście? – zapytał ktoś inny. Nie zauważyłem kto, głos zdawał się dochodzić zewsząd.**

–Nie wiedzieliśmy, co tu zastaniemy – odpowiedziałem od razu. – Spodziewaliśmy się spotkać Konstruktorów naszych miast, albo... chociaż miejsce, gdzie miasta powstały. Spodziewaliśmy się... odpowiedzi. Sensu.

–Jak wyglądają wasze miasta?

–Nasze miasta są wykonane z metalu i wspinają się w górę po linach. Są mniejsze od tego, a w każdym żyje nie więcej niż stu ludzi. To... w czym spadliśmy, to było właśnie nasze miasto.

Tym razem szum rozmów był jeszcze głośniejszy. Najważniejszy człowiek, ten siedzący na środku, za podwyższeniem wstał, a na sali zapanowała cisza. Mężczyzna był łysy i bardzo stary. Poprawił rękawy swojej długiej szaty, spojrzął na mnie przeciągle i zapytał:

–Czy wiesz, że tutaj nie wolno kłamać?

–Nie kłamię – odpowiedziałem.

Starzec usiadł. Kątem oka zobaczyłem, że Athor nieznacznie się zaniepokoił. Odwróciłem głowę by stwierdzić, że kamienny blok, po którym weszliśmy, właśnie bezszelestnie opuszczał się do wody.

–Jeśli to jest miasto, to dlaczego byliście w nim tylko wy?

–padło kolejne pytanie.

–Większość mieszkańców zginęła w wyniku... wypadku.

–Czułem, że nie powinienem ujawniać szczegółów. – Pozostali odeszli podczas Wymiany. My postanowiliśmy odczepić miasto od lin i sprawdzić, co jest w dole.

–Dlaczego nie przygotowaliście się na spotkanie z wodą?

–Nie wiedzieliśmy, że tu będzie woda...

–Cóż innego mogłoby być? Wzruszyłem tylko ramionami.

–Co to jest Wymiana? – padło następne pytanie.

–Co pewien czas łączymy dwa miasta i wymieniamy się towarami. Ludzie też mogą przechodzić, jeśli chcą i jeśli zgadzają się na to oba miasta.

Nasz pomost zniknął pod powierzchnią. Staliśmy teraz na szczycie pionowego walca. Od falującej wody dzieliły nas dwie wysokości dorosłego człowieka. I podobna odległość od brzegu. Nie było najmniejszej szansy, by przeskoczyć.

–Chcesz powiedzieć, że życie w takich ażurowych półkulach, wspinających się po linach? – zapytał znów starzec. Tym razem w jego głosie słychać było zniecierpliwienie. – Po co się wspinać po linach?

–Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. – Dlatego również zdecydowaliśmy się na tę podróż. Żeby się dowiedzieć.

Starzec ciężko westchnął. Powiedział „ażurowych półkulach”, a nie opisywałem wyglądu miasta. Musieli je dokładnie przebadać, gdy osiadło na dnie. Tylko jak? Było teraz pod wodą. Może potrafili się poruszać pod powierzchnią? Widać tak. Nas też wyciągnęli spod wody...

Her ścisnęła moją rękę i wzrokiem wskazała mi falującą czerń poniżej. Teraz i ja zobaczyłem przyczynę tego falowania – pod wodą kłębiły się oślizgłe kształty. Wołałem nawet nie wyobrażać sobie, czym są. Nie powiedziałem nic o moich podejrzeniach, co do naszej przyszłości. Nasz podest mógł zjechać w dół, jak poprzednio pomost. Tylko czemu?

Przełknąłem ślinę i zapytałem na głos:

–Czego od nas oczekujecie?

Chyba nie było to przyjętym zwyczajem, bo wywołałem sporą konsternację na sali.

–Nie wierzymy, że można żyć w tym, co nazywasz miastem – powiedział w końcu ktoś z boku.

–Ja nie wierzę, że można żyć pod wodą – odparowałem.

Senatorowie zaczęli głośno dyskutować. Nie byłem w stanie zrozumieć ani jednego słowa dobiegającego z trybun.

–To koniec na dziś – powiedział cicho Athor. Odwróciliśmy się akurat w momencie, gdy ociekający wodą pomost wyrównał się z podestem.

Wyszliśmy poza salę. Odetchnąłem z ulgą.

–Mądrze rozegrane. – Her pocałowała mnie w policzek.

Lampy już się nie paliły, a wszystko wokół zalane było mglisto-zielonym światłem. Zamiast czerni za szkłem kopuły widać było zieleń wody. W górze zieleń ustępowała miejsca białemu migotaniu. Tam było Niebo i znany nam świat.

Przeplływały nad nami większe i mniejsze podwodne ptaki. Teraz nie wyglądały tak niepokojąco jak nocą.

**–Kiedyś myślałem, że woda jest przezroczysta – powiedziałem.**

**–Bo jest – odparł Athor. – Zielona robi się dopiero gdy jest jej bardzo dużo.**

**–Czy oni chcieli nas... zabić – zapytałem, wskazując kciukiem za siebie.**

**–Istniała taka możliwość – przyznał nasz przewodnik.**

**–Ale nie zabić, tylko przestać pomagać wam przeżyć. To dosyć istotna różnica. Z początku nie wierzyli w ani jedno twoje słowo.**

**–Tam w dole były jakieś niebezpieczne zwierzęta? – zapytała Hersis.**

**–Śmiertelnie niebezpieczne.**

**–Więc zginąłbyś razem z nami.**

**–Ustanowiono mnie waszym opiekunem – wyjaśnił Athor.**

**–Odpowiadam za wasze postęпки jak za własne.**

**–Niezbyt wdzięczna rola – oceniłem.**

**–Sam się na nią zgodziłem. Mam nadzieję nie żałować. Chodźcie, zjemy coś. – Wskazał nam schody prowadzące na podwyższenie między budynkami, blisko szklanych płyt kopuły.**

**Stało tu kilka niskich stolików i otaczających je kamiennych siedzisk. Przysiedliśmy przy najbardziej skrajnym. Dalej był już tylko niski murek i bujne krzaki, zasłaniające posadowienie kopuły. Athor uniósł rękę, dając znak mężczyźnie, który na nasz widok wyłonił się z drzwi najbliższego budynku.**

**Kopuła z tego miejsca wyglądała, jakby miała się zaraz zapaść.**

**Athor przyjrzał się dokładniej mnie i Her.**

**–Wyglądacie, jakbyście się bali, że sufit spadnie wam na głowę – uśmiechnął się lekko.**

**–Dotychczas ze wszystkich stron otaczało nas powietrze – odparłem. – Tu się czuję, jakbym miał związane ręce i nogi.**

**–Ja wolę nawet nie myśleć, co bym czuł przebywając w waszym mieście – pokręcił głową. – Takim, jakim je opisaliście.**

**Wpatrzyłem się w zieloność ponad łagodnymi pagórkami dna. Wciąż nie wierzyłem**

w możliwość istnienia czegoś tak ogromnego i ciężkiego, ale przecież patrzyłem na to w tej chwili.

Na granicy widoczności dojrzałem większy od innych pagórek o regularnych kształtach.

–Co tam jest? – zapytałem.

–Następna kopuła.

–To jest ich więcej?

–Okolo stu w naszej kolonii – wyjaśnił Athor. – Tę, w której jesteśmy, nazywamy stolicą, bo jest największa. Tu zbiera się senat. Utrzymujemy kontakty z pięcioma innymi koloniami.

Chciałem zapytać, czy miasta podwodne mogą się poruszać, ale sam doszedłem do wniosku, że były na to zbyt ciężkie. No i liny przechodziły przez kopułę. Nie dałoby się ich wyczepić.

–Co jest pod wodą? – zapytałem za to. – Pod spodem wody. Jak głęboko sięga woda?

–Znów nie rozumiem twojego pytania – przyznał Athor.

–Pod wodą jest... dalszy ciąg wody.

–A niżej? Woda musi się gdzieś kończyć.

Athor wzruszył ramionami.

–Nie płynęliśmy daleko w dół. Sądzę, że tam jest już tylko woda. To... dosyć niebezpieczna rozmowa...

–Ciężko mi to sobie wyobrazić – przyznałem.

–Może odpowiedź nie leży pod nami – odezwała się milcząca dotąd Czarnowłosa. – Może to nie jest miejsce.

–Co więc jak nie miejsce? – zapytałem.

–Może odpowiedź znajduje się w czasie. W czasie przeszłym.

–Wiem. Z tego co wyliczyłem, nasze miasto pięło się w górę okolo czterystu lat.

–Chodzi mi o to, że miejsce, gdzie powstały nasze miasta, może już nie istnieć. Albo

**jest zupełnie gdzie indziej.**

**Dalszą dyskusję przerwały nam dwie kobiety, stawiając przed nami miski z jedzeniem, butlę jakiegoś napoju i trzy kubki.**

**–Z czego jest to mięso? – zapytałem, wkładając do ust pierwszą smakowicie pachnącą porcję.**

**Athor wskazał tylko w górę. Ujrzałem tam kilkanaście metalicznych kształtów podążających jednym rytmem blisko kopuły.**

**Niepokojące były te podwodne ptaki, gdy przyjrzałem się im bliżej. Miały martwe, nieruchome oczy i kształt... zdeformowany. Bezrękie, beznogie, jakby za karę uwieziono je w takich powłokach. Powiększone robaki, tak wtedy skojarzyłem te duże błyskotki.**

**–Ryby – wyjaśnił Athor widząc moje zapatrzenie. – Jest ich wiele rodzajów. Dla was pewnie wszystkie smakują podobnie.**

**Z trudem przełknąłem pierwszy kęs, który wydał mi się nagle słodkavo-zepsuty. Gdybym nie był głodny, nie dałbym rady dalej jeść. Her informacja o pochodzeniu dania najwyraźniej nie przeszkadzała.**

**–Jak stara jest Mespaladia? – zapytałem po skończonym posiłku.**

**Athor odstawił pustą miskę.**

**–Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał. – Istnieje odkąd... odkąd wszyscy pamiętamy. Ciekawe pytania zadajesz... Niebezpieczne...**

**–Podobne pytanie przywiodło nas tutaj.**

**Athor przeprosił nas na chwilę, by zamienić kilka słów z mężczyzną, który pojawił się w wejściu.**

**Kamienny blat naszego stołu pokryty był siatką rys powstałych przez dziesiątki, może setki lat. W jednym miejscu rysy były wyraźnie mocniejsze, celowe. Jakby ktoś chciał zatrzeć napis, przebijający spomiędzy nich. Przekrzywiłem głowę i przeczytałem z trudem: „Postęp”.**

**Z drugiego końca sali przyglądał się nam mały człowieczek. Pamiętałem go, mijaliśmy go godzinę wcześniej. Gdy podchwyciłem jego wzrok wstał i podszedł do nas. Patrzył na nas chwilę z góry, po czym bez słowa, gwałtownie usiadł obok. Jakby się bał, że ktoś zajmie mu miejsce. Był dosyć otyły i nieogolony. Obie rzeczy rzadko spotykane w podwodnym mieście.**

**–Dobrze byłoby przenieść pewną rzecz z jednego domu do drugiego – rzucił tajemniczo.**

**Popatrzyłem na niego, nie rozumiejąc o co chodzi.**

**–Prawo tego zabrania, ale wy jesteście poza prawem – kontynuował. – Jedna mała rzecz. Lekka i poręczna.**

**Oczka mu biegały między mną a Hersis.**

**–Nie znamy tutejszych zwyczajów... – zaproponowałem nieśmiało.**

**–To proste: wchodzisz do domu, bierzesz pewien przedmiot i przenosisz go do innego domu. – Gestykulował żywo, ale te gesty nie pasowały do wypowiedzianych słów, jakby kto inny mówił, a kto inny poruszał rękami. – Nie próbuj zrozumieć, że cię namawiam. O nie, wcale cię nie namawiam! Ale dobrze byłoby to zrobić. Mały przedmiot, mały wysiłek.**

**–A właściciel? Czy on nie będzie mnie zatrzymywał?**

**–Nie wolno mu. Może... musi was tylko potem zaskarżyć, ale nic wam nie grozi, bo jesteście poza prawem.**

**–Czy namawianie do przestępstwa nie jest karalne?**

**Tamten uśmiechnął się paskudnie, garbiąc się przy tym.**

**–Tak czy inaczej zarobiłem dzień aresztu – odparł. – Jeśli całą sprawę załatwimy podczas tej rozmowy nic więcej mi nie grozi. Ale nie namawiam was w żadnym wypadku. Dobrze byłoby to zrobić, tylko tyle.**

**–Zrób to sam.**

**–Stracę dwa tygodnie. Ta rzecz nie jest warta dwóch tygodni.**

**–Chyba jednak odmówię – powiedziałem – ale... nic nikomu nie powiem. Odejdź... Po prostu odejdź.**

**–To nie takie proste – obcy skurczył się jeszcze bardziej.**

**–Ale warto było spróbować...**

**–Nikt nie słyszał tej rozmowy...**

**–Jeśli zataję fakt tej rozmowy to zasłużę na następne siedem dni. Jeśli zataję fakt zatajenia to będzie następny tydzień. Jeśli zataję fakt zatajenia zatajenia... – Pokręcił**

**głową. – Lepiej przesiedzieć tylko dzień.**

**Zerwał się tak szybko, jak się przysiadł i wybiegł, mijając się w przejściu z Athorem. Ten spojrzął za nim z niesmakiem i dał sygnał obsłudze, że skończyliśmy. Zeszliśmy na dół.**

**–Tamten człowiek chciał, żebyśmy coś dla niego ukradli – powiedziałem.**

**–Nie dla niego – odpowiedział Athor. – To pośrednik. Zleceniodawca niczego nie mówi wprost, nie łamie prawa. Pośrednik zadaje ogólne pytania, a zainteresowany odpowiada mętnie. Nie wyraża bezpośrednio woli, więc nie łamie prawa. Takie zwyczaje tu mamy.**

**–Ale musiał się najpierw zwrócić do tego pośrednika z prośbą o rozmowę.**

**–Nie. Pośrednik sam systematycznie nagabuje obywateli i spędza miesięcznie kilka dni w areszcie.**

**Nie chciałem tego dalej roztrząsać. Postanowiłem nie rozmawiać w przyszłości z podobnymi osobnikami.**

**–Jak mocna jest ta kopuła? – zapytałem gdy wyszliśmy.**

**–Nigdy nie zdarzyło się, że któraś z szyb pękła?**

**–Nigdy – odparł Athor.**

**–A gdyby coś ciężkiego spadło z góry? Nasze miasto mogło trafić – Ależ ono spadło dokładnie na kopułę – potwierdził Athor. – Stąd to negatywne nastawienie senatu. Oni zakładali, że to był nieudany atak.**

**Wymieniłem z Her zdziwione spojrzenia.**

**–Atak? – zapytałem. – Czyj atak?**

**–Spójrzcie, jak to wygląda z naszej strony: nagle z nieba spada coś wielkiego, ciężkiego i trafia w kopułę nad stolicą. Wokół jest wielki ocean, a to coś spada dokładnie tu.**

**–To twoje szczęście – powiedziała do mnie Czarnowłosa.**

**–Tylko dzięki temu zostaliśmy uratowani.**

**–Nie widzę w tym żadnej celowości – odpowiedziałem, ale zaraz przypomniałem sobie dziwne manewry miasta, gdy spadaliśmy. Czy miasto samo celowało w to miejsce?**



**Doszliśmy do centralnego placu, z płomieniem na środku. Zatrzymałem się, olśniony nagłą myślą. Wokół centralnego placu z podłoża startowało sześć lin. Przebijały kopułę, przy okazji zapewne niosąc jej ciężar. Podeszedłem do pierwszej z brzegu liny i dotknąłem jej dłonią. Jak zawsze, nie dawało się określić jej temperatury. Odwróciłem się i spojrzałem na przeciwległą linę. Ruszyłem, starając się nie zmieniać długości kroku na stopniach. Doszedłem do liny z drugiej strony i dotknąłem jej powierzchni. Policzyłem w myślach i zastanowiłem się.**

**–Te liny otaczające plac... – powiedziałem, odwracając się do Her i Athora. – Odstępy między nimi są dokładnie takie, żeby wewnątrz umieścić nasze miasto z wysuniętymi napędami.**

## 18. Wrak miasta

Athor poprowadził nas w inną część stolicy, do jednego z kilkupiętrowych budynków.

–Załatwiłem wam nowe mieszkanie – powiedział. – Zauważyłem, że źle znosicie zamknięte pomieszczenia.

Weszliśmy po schodach na ostatnią kondygnację, na częściowo przekryty ażurowym dachem taras. Wyżej była tylko kopuła i zielony migotliwy blask spodów fal.

–Czy ci wszyscy ludzie nie są nas ciekawi? – zapytałem, patrząc w dół.

–Nie wiedzą kim jesteście. Postanowiono nie rozgłaszać tego.

–I nikt się nie domyśla? – zdziwiłem się. – Uderzenie musiało być sensacją.

–Było. Tak naprawdę – Athor ściszył głos – wielu o was wie, ale będą udawać, że nie wiedzą.

–Czemu?...

–Bo tak postanowiono.

Nie drążyłem dalej. Zamiast tego zapytałem:

–Gdzie jest teraz nasze miasto?

–W porcie – powiedział. – Jest badane.

–Czy mogę je zobaczyć?

–Nikt tego nie zabronił – odparł po krótkim namyśle. – Chcecie je zobaczyć?

–Bardzo.

–Nie mam nastroju na zwiedzanie wspomnień – odezwała się Her. – Wolę się przespać.

–Mnie na tym zależy – Dotknąłem jej ramienia. – Z kilku powodów.

–Więc opowiesz mi, jak było. – Pocałowała mnie na pożegnanie. Uśmiechnęła się i odeszła.

**Westchnąłem i spojrzałem na Athora.**

**–Są dwie możliwości dostania się tam – powiedział Athor, gdy schodziliśmy. – Pierwsza jest prosta, można dojść piechotą. Druga za to pozwoli ci lepiej się przyjrzeć naszemu światu.**

**–Być może będę żałował, ale wybieram drugą możliwość – odparłem, podświadomie czując, że właściwie to już zaczynam żałować.**

**Athor otworzył drzwi, za którymi znajdowała się malutka salka. Gdy tylko przekroczyliśmy próg, sufit zaczął się samoczynnie rozjaśniać. Athor zamknął drzwi i podszedł do innych, z drugiej strony salki. Otworzył je, a towarzyszyło temu ciche syknięcie. W uszach poczułem ucisk, który minął, gdy przełknąłem ślinę.**

**Weszliśmy do dużej sali, której większą część podłogi również stanowiła woda. Jednak jej poziom był niemal równy z poziomem posadzki. Tyle wody starczyłoby dla miasta niebieskiego na miesiące... Podwodne źródła światła ukazywały unoszące się na wodzie pojazdy. Pomiedzy nimi pływało kilka małych ryb. Przez chwilę miałem wrażenie, że cała ta masa wody wyleje się wprost na mnie. Mało brakowało, bym obrócił się na pięcie i uciekł. Athor odszedł na bok, zamienił kilka słów z mężczyzną, siedzącym za wysokim, zabudowanym stołem, po czym powrócił do mnie. Inni, pracujący tutaj mężczyźni, nie zwrócili na nas żadnej uwagi.**

**Na ścianach znajdowały się dziesiątki różnej wielkości zegarów, wskazujących ciśnienie, może poziom wody. Nie miałem czasu się im przyjrzeć.**

**–Popłyniemy tym aquamobilem. – Athor wskazał najbliższy pojazd.**

**Pojazd był niemal całkowicie zanurzony w wodzie i wyglądał jak bezskrzydła mucha. W przedniej części wewnątrz szklanej bańki zobaczyłem dwa fotele i przyrządy sterownicze. Tuż za nimi, już w metalowej części kadłuba, w miejscu gdzie mucha ma skrzydła, znajdował się wypukły, okrągły właz, zakręcany małym kółkiem. Dalej umieszczono cztery duże zbiorniki, połączone rurami i zaworami. Od tych rur odchodził wąż, ginący drugą stroną w mrokach sklepienia, pokrytego skomplikowanymi instalacjami.**

**Athor wszedł na zbiorniki, wprawiając pojazd w kołysanie.**

**–Zbiorniki na sprężone powietrze. – Odłączył od zaworu wąż. Towarzyszyło temu krótkie i głośnie syknięcie, które odbiło się echem od ścian. – Poruszają śrubę w tylnej części.**

**–Wskazał palcem na śrubę skrytą w mosiężnej tulei, której średnica równa była długości mojego przedramienia. – W trakcie pracy zmienia się środek ciężkości, więc mechanizm rekompensuje to, zmieniając ilość wody w zbiornikach balastowych z tyłu**

**i przodu kadłuba.**

**Nie do końca rozumiałem jego słowa, ale wiedziałem przynajmniej, że zaraz odbęde przejażdżkę czymś naprawdę przemyślanym.**

**–Aquamobil jest napędzany powietrzem – powiedziałem.**

**–Jak?**

**–Sprężonym powietrzem – poprawił mnie Athor. – Powietrze potrafi magazynować energię jak sprężyna. Hm, stąd nazwa. Całe powietrze zawarte w tym doku udałoby się zgromadzić w kilku takich zbiornikach.**

**–A jak je sprężacie?**

**Athor wskazał kciukiem w górę.**

**–Dzięki ruchom wody. Pod kolonią jest system tłoków i zaworów, które sprężają powietrze zużyte przez ludzi i zatrzymują je w wielkich zbiornikach.**

**Sigg byłby przeschczęśliwy, gdyby mógł być teraz na moim miejscu.**

**Uchwyciłem podaną mi rękę i pełen obaw, ale i podniecony wszedłem na wierzch pojazdu. Przechylił się i wrócił do poziomu. Przykucnąłem, łapiąc się rur. Starłem się nie patrzeć w dół, ale i tak głębokość wody nie miała znaczenia – nie umiałem pływać.**

**Athor odkręcił blokadę wjazdu i otworzył pokrywę. Po krótkiej drabince weszliśmy do środka.**

**–Nie mieliście, tam na górze, żadnych pojazdów do podróżowania między miastami?  
– zapytał, zakręcając włącznik.**

**–Nie było takiej potrzeby. – Usadowiłem się w miękkim fotelu. – Poruszaliśmy całe miasta.**

**Przez górną część bańki widziałem wewnątrz doku, przez dolną to, co było pod wodą. Granicą była powierzchnia wody. Wszystko, co ją przekraczało było przecięte i nieznacznie przemieszczone. Athor poruszył kilkoma dźwigniami i położył dłonie na grubo szprychowanym kole, umocowanym na wystającej z podłogi rurze.**

**–Dla mnie miasto, to coś nieruchomego – powiedział. – I dużego.**

**Złapałem się poręczy fotela, bo zaczęliśmy tonąć. Widziałem dokładnie podwodne części innych pojazdów, delikatnie świecące dno doku i czarny otwór prowadzący na zewnątrz. Aquamobil zanurzył się całkiem i, pochylając przód do dołu, ruszył z**

cichym sykiem w stronę ciemności. Byłem bliski tego, by zacząć krzyczeć, że chcę wracać. Wyciągnąłem rękę, opuszkami palców dotykając zimnego szkła. Czułem jakby naciskało na moje czoło. Wzięłem kilka głębszych wdechów i pozwoliłem ciekawości wziąć górę nad strachem.

Tunel, prowadzący na zewnątrz, był krótki, a wzrok szybko przystosował się do podwodnego półmroku, przypominającego pochmurny dzień. Widok, jaki ukazał mi się po chwili, wcisnął mnie w fotel. Zielone pagórki ciągnęły się aż do zaniknięcia w mętniejącej wraz z odległością wodzie. Na wprost zobaczyłem następną kopułę, połączoną z naszą zagłębionym w dnie szklanym korytarzem. Widziałem też kilka lin, idących pionowo od dna do powierzchni. Chciałem zobaczyć miejsca, w których wchodzi w dno, ale natłok nieznanymi widoków sprawił, że zaraz o tym zapomniałem. Szare i kolorowe ryby pływały wokół nas. Smukłe i powolne, albo zwinne i giętkie. Duże, bardzo duże i nie większe od palca. Były i takie, których nigdy nie wziąłbym za żywe stworzenia – miały się pozornie bez celu jak kolorowe szmatki na wietrze.

–Jak one oddychają? – zapytałem.

–Biorą powietrze wprost z wody.

–Jak?

–Powietrze rozpuszcza się w wodzie. Ryby potrafią je wyciągnąć na powrót.

Zastanowiłem się nad tym, ale nie pytałem dalej. Kolonia zapewne musiała łapać powietrze tak samo jak ryby.

Athor przekręcił koło i przechyliliśmy się w zakręcie. Wrażenie było podobne do tego, którego doświadczyłem, uciekając Ptasznikowi, gdy uwolnione od lin miasto po raz pierwszy niebezpiecznie się przechyliło.

Nagle z boku dojrzałem coś... Zielonobrunatna kwintesencja obrzydlistwa rytmicznie rozkurczała się i nieskładnie poruszała do przodu, ciągnąc za sobą podłużne węże. W tym powolnym tańcu żywego, elastycznego worka była jakaś odrażająca harmonia i spokój. Ohyda parła cierpliwie i sprawnie, za nic mając moje wyobrażenia na temat tego, co istnieć nigdy nie powinno.

–Oktopus – wyjaśnił Athor.

–Tego chyba nie jecie? – zapytałem.

Odprowadziłem obrzydlistwo wzrokiem, a potem zamknąłem oczy i odliczyłem do dwudziestu. Potwór zniknął z pola widzenia.

Dotarło do mnie migotanie falującego oceanu, wyraźniejsze tu, poza kopułą. Spojrzałem w górę. Chciałem prosić, byśmy wypłynęli na powierzchnię, ale zrezygnowałem, przewidując jak przytłaczające wrażenie zrobi na mnie ogrom widziany z powierzchni. Zamiast tego, gapiłem się na nowy świat, opanowując dłonie, które mimowolnie poruszały się próbując znaleźć lepsze oparcie niż brzegi fotela. Wciąż miałem wrażenie, że spadnę przez szklany bąbel w zimną toń.

Przecieliśmy ławicę ryb, wirującą nad dnem jak szalony bąk. Rozdzieliła się na dwoje i złączyła ponownie, gdy tylko się oddaliliśmy. Zatoczyliśmy łuk i wznieśliśmy się wyżej ponad stolicę. Poniżej widziałem wewnątrz kopuły wraz z uliczkami, domami i ludźmi, zajętymi swoimi sprawami. Stąd mogłem w pełni dostrzec jej wielkość.

W zasięgu wzroku miałem jeszcze dziesięć, może dwanaście kopuł, połączonych korytarzami i kilka aquamobili, ciągnących za sobą łańcuszki uwolnionych bąbelków powietrza. Widziałem obracającą się śrubę najbliższego z nich i dopiero teraz pojąłem genialnie prostą zasadę jej działania. Z dna wystawało kilka regularnych zarysów, jakby niedokończonych lub zburzonych budynków. Tylko czemu znajdowały się poza kopułą? Dalej podwodny las długich, liściastych roślin piął się w górę, niemal do powierzchni. Spomiędzy roślin wypływali... ludzie, kryli się na chwilę wewnątrz szklanych dzwonów i wracali między liście.

–Zbierają owoce – wyjaśnił Athor. – Nie można jeść samych ryb.

Nie próbowałem sobie wyobrazić tych owoców, choć pewnie już je jadłem. I pewnie to one usiłowały teraz wrócić tą samą drogą na wolność.

–Większość ryb łowimy w sieci – kontynuował mój przewodnik. – Ale na te największe polujemy.

–Polujecie? – zdziwiłem się. – Cóż to znaczy?

–To oznacza pogoń lub zasadzkę i zabicie ofiary.

–Wobec tego nigdy nie polowałem. Zwierzęta, które jedliśmy wystarczyło wyjąć z klatki...

–Hodowla, oczywiście... ale polowanie to zupełnie nowe przeżycie. – Machnął ręką, nie mogąc tego wyrazić słowami. – Takie wyrwanie się spod rygorów... Może chcesz spróbować?

Spojrzałem na niego zaskoczony.

–Ja nawet nie umiem... pływać.

Athor potarł brodę w zamyśleniu.

**–Na diabła morskiego polujemy, chodząc po dnie – zastanowił się. – Nie trzeba umieć pływać.**

**–Nie umiem też wstrzymać powietrza tak długo, jak ci, co zbierali owoce.**

**–Ćwiczmy już małe dzieci wstrzymywania oddechu – powiedział Athor. – Każdy zawodowy myśliwy, czy zbieracz potrafi nie oddychać co najmniej przez dziesięć minut.**

**–Czy to samo rozumiemy pod pojęciem minuty? – zapytałem z niedowierzaniem.**

**–Nasza doba ma dwadzieścia cztery godziny, a każda godzina sześćdziesiąt minut. Każda z tych minut znów dzieli się na sześćdziesiąt sekund.**

**Dziesięć minut bez oddechu...**

**–Ale nie martw się – dodał. – Mamy specjalne urządzenia dostarczające nam powietrze podczas polowania.**

**Zbliżyliśmy się do kopuły.**

**–Tu uderzył wasz pojazd... wasze miasto. – Wskazał miejsce nie różniące się specjalnie od pozostałych. Rozpoznałem je dopiero po chwili. Pod kopułą był okrągły plac, nieco zagłębiony względem ulic, z małym płomieniem pośrodku. Dalej kopuła wchodziła w skałę, a u stóp skały denny muł poryty był świeżymi szramami. Na większym obszarze leżały rozrzucone szczątki, w których z trudem udało mi się rozpoznać elementy wyposażenia miasta.**

**–Kopuła ugięła się, ale nie przepuściła ani kropli wody – kontynuował. – Potem wróciła do poprzedniego kształtu i nie został na niej nawet ślad.**

**–Przykro mi, że to się stało – powiedziałem. – Naprawdę nie mieliśmy pojęcia, co jest w dole.**

**Wiedziałem, co musieli sobie pomyśleć: celne trafienie. Tak to musiało wyglądać, wobec wielkości otaczającego nas oceanu. Ja sam tak bym pomyślał. Ba! Ja tak myślałem! Hervis powiedziała kiedyś, że nic nie dzieje się przypadkiem, a ja zaprzeczyłem. Dziś już bym nie zaprzeczył. Nasze miasto celowało w środek placu, dokładnie między sześcioma linami. Wróciło do domu, tyle że domu już nie było.**

**Krążąc, przepłynęliśmy nad kilkoma kopułami. Niektóre wyglądały podobnie do stolicy, inne były wypełnione uprawami roślin, które mogłem znać. Widziałem dziesiątki ludzi, wolnym krokiem przechodzących korytarzami między kopułami.**

**–Wiedziałem, że stałe połączenie miast musi przynieść korzyści – powiedziałem.**

**–Dlaczego tego nie zrobiliście?**

**–Liny rozerwałyby kolonię. Tak mówili.**

**Kopuła, do której się kierowaliśmy, była jeszcze inna. Wyniesiona wyżej nad dno, posiadała wiele dużych tuneli prowadzących do jej podstawy. W centralnej części wzniesiono duży budynek, a otaczały go wyłącznie doki z dziesiątkami różnej wielkości pojazdów.**

**Nagle serce zabiło mi mocniej. W jednym z doków, pozbawionym wody, stało nasze miasto. Znikło mi zaraz z oczu, gdy zniżyliśmy się i wpłynęliśmy w tunel. Wynurzyliśmy się w doku podobnym do poprzedniego, z tą różnicą, że tu nie było sklepienia, a jedynie kilka kratownic.**

**Z ulgą wysiadłem na brzeg. Chciałem biec, ale postanowiłem nie dokładać sobie kłopotów i zaczekać na Athora. Przywiązał cumę i podłączył do górnego zaworu zwisający z rusztowania wąż. Po kamiennych schodach weszliśmy na wyższy poziom. Minęliśmy kilka doków. W dole po lewej stronie zobaczyłem duży plac, stykający się z krańcem kopuły. Krzątało się tam kilkunastu mężczyzn. Przesuwali i kroili jakieś obłe, podłużne przedmioty. Gdy zrozumiałem co to jest, żołądek znów podszedł mi do gardła. Trzeba się będzie przyzwyczać.**

**Nasze miasto leżało w następnym doku, pozbawionym niemal wody. Zeszliśmy do niego, a potem jeszcze niżej, na dno.**

**Stanąłem po kostki w wodzie i zadarłem głowę. Miasto wydawało się wielkie, ale dok, w którym leżało, był dwa razy większy. Chciało mi się płakać. Miasto wyglądało fatalnie. Niemal wszystkie maszty były połamane, barierki i większość blach pocięta, sieci poszarpane. Pokłady ogrodnicze praktycznie przestały istnieć; pozostał po nich tylko szkielet. Po kabinie Phory nie został nawet kawałek ściany. Bezlistne Drzewo poniżej pokładu dowodzenia wyglądało na uschnięte. Poczułem smutek. Może jeszcze odżyje, w końcu co rok gubi liście. W ich miejsce wyrastają nowe i cykl zaczyna się od początku.**

**–Część roślin udało się uratować – powiedział Athor. – Mam nadzieję, że opowiecie nam o nich. Może będą się nadawać do hodowli w naszych ogrodach.**

**Z drugiej strony kilku ludzi wymontowywało mniejsze elementy i układało pod ścianą. Była tam już spora sterta.**

**Podszedłem bliżej i dotknąłem dłonią zimnego metalu łukowatej belki nośnej. Przynajmniej główna konstrukcja wyglądała na nienaruszoną. Wciąż kapła z niej woda.**

**Spadochrony, częściowo podarte, leżały pod ścianą doku; liny starannie zwinięto i**



położono obok. Dalej były posegregowane według podobieństwa przedmioty i wyrwane siłą uderzenia kawałki pokładów. Rozpoznałem kapitańską narzutę z setki króliczych futer.

Wszedłem do środka miasta na najniższym poziomie. Nie zostały się tutaj niemal żadne płyty podłogowe, ale schody były całe. Wszedłem po nich aż na pokład główny, po drodze oceniając zniszczenia.

Regulator wydawał się być nieuszkodzony, napędy też. Mój ką, w którym mieszkalem przez tyle lat, nie doznał uszczerbku, choć materac i cała reszta zniknęły.

Nagle sobie przypomniałem. Podeszedłem do podstawy pokładu dowodzenia. Była tam, wciśnięta między łączące się pod kątem belki. Torba wciąż tam była. Wyciągnąłem ją, wilgotną, i rozwinąłem. Księga wyglądała na nienaruszoną. Otworzyłem ją na ostatniej zapisanej stronie. Papier był lekko pofałdowany, ale atrament się nie rozpląnął. Usiadłem na zimnym stopniu, szczęśliwy, że ją odzyskałem.

Athor dopiero teraz tu dotarł i wyjrzał na pokład z lekkim przestraszeniem.

Przyciskałem do piersi księgę, a myślami byłem daleko stąd, w przeszłości. Harsid, Sigg, Phora... Niebo...

Athor podeszedł do mnie, przed każdym krokiem badając stopą kraty pokładu.

–Całe życie na czymś takim? – W jego głosie usłyszałem szacunek pomieszany ze współczuciem; z przewagą współczucia.

Pogoń za Celem. Utopia. Sens życia. Sens... nie mój. Mojego na razie nie znalazłem.

Włożyłem księgę do torby i zarzuciłem pasek na ramię. Wszedłem na pokład dowodzenia i przetrąłem rękawem ekran regulatora. Nachyliłem się nad nim, zasłaniając dłońmi dopływ światła. Trybiki w głębi stalowego cylindra wciąż się obracały. Gdzieś tam, w środku, serce naszego miasta wciąż żyło.

Oparłem się o reling. Nie było Nieba. Wielka, stalowa płyta odgradzała nas od wody.

\* \* \*

Powrót piechotą był krótki. Tak naprawdę Athor opłynął ze mną spory fragment kolonii, aby mi ją pokazać. Port był położony w bezpośrednim sąsiedztwie stolicy.

W szklanym tunelu był spory ruch, ale ja nie zwracałem uwagi na mijanych ludzi.

Her na nasz widok wstała z kamiennego siedziska. Objąłem ją i nie puszczałem.  
Chyba płakałem, nie pamiętam. Ona nic nie mówiła.

# 19. Polowanie

Z tej wysokości mogłem dojrzeć pięćdziesiąt, a może nawet więcej, budynków podobnych do naszego. Bliżej brzegów kopuły były niższe, w centralnej części dochodziły nawet do sześciu kondygnacji. Przedtem wydawało mi się, że wszystko, co widzę zostało pracowicie wydłubane w kamieniu. Teraz widziałem już, że nie do końca była to prawda. Wyższe budynki miały górne piętra dobudowane z kamiennych bloków. Czas zaokrąglił ich kształty, a drobne rośliny, porastające ściany, zasłoniły łączenia. Mogłem stąd dostrzec również jedną kładkę, która, choć masywna, niemal na pewno była położona nad istniejącym wcześniej przejściem.

Stałem, opierając się o naruszony zębem czasu murek, pełniący rolę barierki. Próbowałem sobie wyobrazić dno i wodę idącą w dół, w nieskończoność. Nie potrafiłem się uwolnić od przeświadczenia, że gdzieś tam daleko w dole znów jest Niebo i że cała ta woda musi się na czymś trzymać, żeby nie spaść.

Zastanawiałem się nad wszystkim, czego do tej pory dowiedziałem się o podwodnych koloniach. Byłem pod wrażeniem technologii, którą dysponowali, ale to przecież nie była ich technologia. Oni jej używali tak, jak my używaliśmy miast, nie wiedząc jak działają, ani skąd się wzięły. Oni, tak samo jak my, nie mieli pojęcia o zasadach, według których mogli tu żyć i korzystać ze wszystkiego wokół.

Her siedziała na macie, przeglądała księgę, dopisując uwagi do swoich przepisów. Chciała jak najwierniej przekazać naszym wybawcom swoją wiedzę o ziołach. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jakie rośliny przetrwały słoną kąpiel.

Przypomniałem sobie królika, który instynktownie wiedział jak się zachować w wodzie. Płynął w górę, do powietrza. Sto pokoleń królików przechowało w sobie umiejętność pływania po to, by ten jeden mógł wypłynąć? Uderzyło mnie oczywiste pytanie: Dlaczego króliki umieją pływać? Odpowiedź również była oczywista: Już tu kiedyś były... razem z nami. A to mogło znaczyć, że woda była tu, zanim wystartowały nasze miasta.

Ogarnąłem wzrokiem całą kopułę i ponownie poczułem się przytłoczony. Po co w ogóle żyć pod wodą? A po co żyć w Niebie? Nikt nie wybierał swojego miejsca. Ja i Her byliśmy zapewne jedynymi ludźmi, którzy zdołali przeżyć przeprowadzkę.

Ludzkie ciało na pewno nie służy do pływania. Możemy pływać, ale niezdarnie. Ryby poruszają się w wodzie znacznie sprawniej i nie muszą co kilka minut wracać po powietrze. Ludzkie ciało nie jest również stworzone do życia w Niebie. Niebo jest miejscem dla ptaków, które latają i nie potrzebują mechanizmów, by móc tam przeżyć. Gdyby ktoś mnie zapytał, jakie miejsce do życia jest najlepsze, to powiedziałbym, że takie, jak to, tyle że bez wody nad głową. Cóż, takie miejsce nie

**istniało, albo istniało gdzieś daleko stąd. Za daleko stąd.**

**–Z tego co się zorientowałem, oni łapią mniejsze ryby w sieci – powiedziałem. – Mogłbym je naprawiać, tak jak to robiłem w Niebie. Ty mogłabyś zostać zielarką...**

**–Czy tego chcieliśmy? – Uniosła głowę i patrzyła na mnie czarnymi oczyma.**

**To w tych oczach się zakochałem. Zobaczyłem w nich siebie... Zobaczyłem w nich prawdę. I coś więcej...**

**–Pytasz, czy warto zamieniać jeden schemat na inny?**

**–odezwałem się po chwili. – Wiem... Tu nie ma odpowiedzi na żadne z krążących mi po głowie pytań.**

**–Szukałeś odpowiedzi. Tu są tylko nowe pytania.**

**W dole zobaczyłem Athora. Szybkim krokiem zbliżał się do naszego domu.**

**–Nie wiem, co innego moglibyśmy robić – powiedziałem.**

**–Tam na górze wszystko było prostsze. Wystarczyło odczepić liny i spaść na dół. Tu niżej nic już nie ma. Poza wodą.**

**–Podobnie mówili, jak byliśmy w Niebie.**

**–Tyle, że wtedy byłem pewien, że w to nie wierzę.**

**Usłyszeliśmy kroki na schodach.**

**–Wyływamy za kwadrans – powiedział lekko zdyszany Athor, gdy tylko pokonał ostatnie stopnie. – Nadal chcesz?**

**Przytaknąłem szybko, jakbym się bał rozmyślić. Ale czy ja wczoraj powiedziałem, że chcę? Nieważne, chciałem.**

**\* \* \***

**Doszliśmy piechotą do najdalej wysuniętej na północ kopuły. Była zdecydowanie mniejsza od innych. Wewnątrz znajdował się tylko jeden kamienny budynek i dwa doki. Kręciło się tu kilku ludzi. Czynności, które wykonywali przy aquamobilach, były dla mnie kompletnie niezrozumiałe. Nawet nie pytałem, przeczuwając, że prosta odpowiedź nie wystarczy.**

**Na kamiennej platformie za budynkiem dwóch mężczyzn odciągało dalej od wody wielką rybę. Granatowa z wierzchu, biała od spodu, z wielką szczęką pełną**

trójkątnych zębów. Opływowy kształt, ale z ostrymi załamaniem powierzchni; skóra matowa, potężne płetwy. Wystarczyło spojrzeć na to zwierzę, by wiedzieć, że jest drapieżnikiem, że zjada inne ryby. Może również ludzi.

–Szark – powiedział mój przewodnik. – Bardzo niebezpieczny. I bardzo smaczny.

Weszliśmy do pomieszczenia zajmującego połowę parteru. Na ławie, obiegającej trzy ściany, siedziało kilka osób. Athor przywitał się z mężczyzną stojącym za kontuarem i zamienił z nim kilka słów, których nie dosłyszałem.

Rozejrzałem się, stwierdzając że wszyscy gapią się na mnie. Gdy zauważyli moje zakłopotanie, na powrót zajęli się rozmowami, przerywanymi naszym wejściem. Przyjrzałem się pomieszczeniu. Na nieregularnych ścianach wisiały sprzęty, zapewne różne rodzaje broni. Athor powiedział jeszcze coś do tego za kontuarem i powrócił do mnie.

–Poznaj moich synów – Wskazał dwóch chłopców w moim wieku. Wstali z ławy i podeszli do nas. – To Nequa i Armo. Wolą polować tradycyjnie, pływając. Dali się namówić, kiedy powiedziałem im o tobie.

Przywitałem się skłoniwszy głowę. Oni uczynili to samo. Byli szczupli, mieli krótkie, czarne włosy i ciemne oczy. Jak większość ludzi tutaj, nosili ubrania przypominające pozawijany i spięty w skomplikowany sposób żagiel. Patrzyli na mnie błyszczącymi oczyma. Zapewne niezmiernie interesowało ich moje pochodzenie, ale z powodów dla mnie niezrozumiałych, teraz nie wypadało im o nic pytać.

Dwóch mężczyzn zaczęło przynosić nam sprzęt. Buty do chodzenia po dnie przypominały nieco sandały. Gruba, dolna część podeszwy była wykonana z ołowiu. Na wierzchu przymocowano do niego wyprofilowany do kształtu stopy kawałek drewna. Gdy przyjrzałem mu się dokładniej stwierdziłem, że są to pocięte na drobne kawałki i sklezione czymś łądygi, zapewne wodorostów. Buty mocowało się do nogi kilkoma grubymi pasami. Na prawej łądce do pasów tych wiązało się pochwę z nożem; druga, mniejsza miała się znaleźć na lewym przedramieniu. Zrezygnowałem z obu broni i postanowiłem polegać na moim szydłonożu.

Athor podał mi włócznię.

–Twoja broń będzie mało przydatna – powiedział.

–Lubię ją i znam. – Wziąłem włócznię, ale szydłonoż został w pochwie u pasa.

Włócznię musiałem odstawić, bo wciśnięto mi w dłoń hełm. Hełm był dużą szklaną bańką od dołu umocowaną w niskiej, okrągłej tulei, która niżej wchodziła w jednoczęściową skórzaną zbroję, obejmującą tłoczonymi miseczkami barki, schodzącą z przodu i z tyłu aż pod żebra. Na plecach znajdowały się dwa podłużne

zbiorniki z powietrzem. Z przodu był kręcony zawór i zegar pokazujący ciśnienie. Całość zakładało się bez rozpinania przez głowę i mocowało dwoma grubymi rzemieniami pod pachami. Sprzęt ważył tyle, że ledwo go uniosłem. Z trudem opanowałem też lekką panikę i poczucie uwięzienia w tym dziwnym stroju.

Do kompletu dostałem obszerną torbę na ramię i sieć do transportu upolowanych ryb.

Pozostali związywali materiał ubrań na ramionach i nogach rzemykami, ale odmówiłem. Woląłem zachować większą swobodę ruchów.

Przed budynkiem czekało na nas dwóch mężczyzn w wieku Athora i nieco młodsza kobieta. Przedstawili się, podali mi rękę. Zwyczaj bardzo rzadki w Niebie, w ten sposób mogli się witać kapitanowie i członkowie rady starszych na początku Wymiany. Nie pokazałem po sobie zdziwienia. Nowe miejsce, nowe zwyczaje.

Muskularny brodacz, Urqas był, zdaje się, bliskim przyjacielem Athora. Rozmawiali ze sobą swobodnie, śmiejąc się. Chudy Siver nie otwierał ust bez potrzeby. Kobieta nazywała się Paqualia i, podobnie jak ja, płynęła pierwszy raz.

Przyjrzałem się moim współtowarzyszom łowów. Ci ludzie nie byli do siebie nawzajem podobni. Urqas miał czarne, kręcone włosy, a Siver proste i jasne. Paqualia też miała długie blond włosy i rysy twarzy zupełnie inne od pozostałych. Wiedziałem, że dziecko w znacznym stopniu przypomina rodziców. Rodzice tych tutaj musieli wyglądać inaczej, więc musieli pochodzić z innych miejsc, albo byli tu zaledwie od kilku pokoleń. Zastanawiałem się nad tą sprawą wiele razy, jeszcze w Niebie: gdyby czarnowłosi mieszały się z jasnowłosymi od dawna, to z każdym kolejnym pokoleniem różnice by zanikały.

Gdy powitania i grzeczności ucichły, przeszliśmy do doku, gdzie czekał na nas pojazd. Za kabiną, którą znałem z poprzedniego aquamobilu, w stalowym umocowaniu znajdowało się kilka szklanych pierścieni i dopiero na końcu układy napędowe. Sądząc po ilości miejsc, pojazd mógł zabrać dziesięć osób.

Kolejno weszliśmy do środka, zajmując miejsca na plecionych ławeczkach, które oparciami były skierowane do burt. Pierścienie były lekko wypukłe, toteż obraz zewnątrz zniekształcał się i załamywał na ich granicach. Rozbawił mnie widok mężczyzny nurkującego obok pojazdu i mocującego do burty nasze włócznie. Gdy jego twarz znajdowała się na granicy pierścieni, wydawało się, że ma czworo oczu w szerokiej głowie.

Oprócz wjazdu na górze, drugi, większy znajdował się w podłodze. Mieliśmy przez niego opuścić pojazd, gdy dotrzemy na miejsce.

–Jeśli teraz otworzymy dolny, to zatoniemy – powiedział Nequa, widząc na co

patrzę.

–Jeśli potem otworzymy górny, też zatoniemy – dodał ze śmiechem Armo.

Musieli być bliźniakami, ale Nequa wyraźnie dominował. On pierwszy wstawał, pierwszy coś mówił, dopiero potem odzywał się brat.

–Polowanie może być niebezpieczne – powiedział do mnie Athor. – Powinieneś wiedzieć, zanim wypłyniemy.

Dlaczego powiedział to dopiero teraz? Chciał, żeby trudniej było mi się wycofać? Oczywiście mogłem to zrobić, ale... jakby to teraz wyglądało?

–Powinno być niebezpieczne – powiedział Nequa – żeby ludzie nie zamieniali się w śniących na jawie.

–Uważaj, co mówisz – ostrzegł go Athor. – Jeszcze nie jesteśmy na łowach.

Ostatni wszedł do wnętrza Urquas i to on miał prowadzić pojazd. Zakręcił włącznik, uśmiechnął się do wszystkich i zasiadł w fotelu pilota. Jego postura sprawiała, że fotel wydawał się być znacznie za mały.

–O czym będzie można mówić na łowach? – zapytałem Athora, który usiadł po mojej prawej stronie.

–Tam nie obowiązują żadne prawa – wyjaśnił. – Można mówić i robić, co się chce, bez żadnych konsekwencji.

–Nasze społeczeństwo podlega rygorystycznemu prawu – dodała Paqualia, siadając po mojej lewej stronie. – To oczywiście konieczne, by panował spokój i porządek... ale jeśli ktoś ma już dość, może zrobić przerwę.

–Ty nie możesz tego znieść? – zapytałem.

Zmieszła się i nie odpowiedziała.

Athor zmienił się wyraźnie po opuszczeniu kolonii. Stał się bardziej swobodny.

–Senat nie przegłosował jeszcze, czy wasze miasto istnieje – powiedział. – Dlatego też nikt nie wie, czy można was o nie pytać.

–Przecież miasto spadło – zdziwiłem się.

–Coś spadło – przyznał Athor. – Ja wam wierzę, inni może też. Nawet wszyscy mieszkańcy kolonii mogą wierzyć, ale będą musieli mówić, że nie wierzą, jeśli tak zadecyduje senat.

**–Głosują, co jest prawdą, a co nie?**

**–Często nie wiadomo, co jest prawdą. Ktoś musi podjąć decyzję.**

**–Więc czemu ty o tym mówisz? – zapytałem. – Myślałem, że nie wolno...**

**–Już jesteśmy poza prawem.**

**Światła ostatnich kopuł mętniały i ginęły w oddali. Pomyślałem sobie, że teraz tutaj mogliby zabić mnie bezkarnie, by pozbyć się kłopotu decydowania, czy istnieję.**

**–Jak tam jest? – zapytał Nequa.**

**Wiedziałem, że o to zapyta. Pozostali też spojrzeli na mnie wyczekująco, więc opowiedziałem im w skrócie, jak wygląda życie w Niebie. Opowiedziałem też, jak wyczepiliśmy miasto i trafiliśmy tutaj.**

**Gdy skończyłem, zapanowała długa cisza. Słyszeć było tylko syk powietrza napędzającego śrubę. Za przezroczystymi ścianami przesuwały się monotonne pagórki. Wreszcie dno urwało się i w dole zobaczyłem czerń otchłani. Nieliczne skały wisiały ucepione lin, stanowiąc jakby domyślne przedłużenie dna wokół kolonii. Miejscami spłaszczone fragmenty były na tyle duże, że unosiły się na kilku linach. Pomyślałem sobie wtedy, że taka skała, wisząca ponad wodą i zarośnięta roślinami, byłaby niezłym miejscem do życia. Tyle, że wszystkie skały, które widziałem, były pod wodą. Może inaczej być nie mogło.**

**–Pod wodą będziemy mogli rozmawiać, tylko dotykając się hełmami lub stojąc blisko – Athor wyjaśniał to mnie i Paqualii.**

**–Nie nachylajcie się zbyt mocno, bo woda wleje się do hełmu. Jeśli tak się stanie, wyprostujcie się i odkręćcie do końca zawór, aż powietrze wypchnie wodę. I cały czas miejcie oczy wokół głowy. Polujemy na morskiego diabła, ale na nas też coś może zapolować.**

**–Ogon diabła jest niebezpieczny – dodał Nequa. – Tnie ciało do kości i wpuszcza jad.**

**–Najlepiej trafić w środkową część ciała – uzupełnił jego brat – tam, gdzie ryba jest najgrubsza. A jak będzie płynął na was szark, to trzeba wycelować w niego włócznię, niech sam się nabije. To dobry sposób na większość drapieżników.**

**Przełknąłem ślinę. Czy ja nadal chciałem polować? Zerknąłem na Paqualię. Była wystraszona bardziej ode mnie.**

**–A oktopus? – zapytałem. Nequa machnął ręką.**



**–Boją się nas. Są za mądre, żeby podpływać.**

**–Ale jest całkiem sporo innych – Nie straszcie ich – przerwał synom Athor. Wpłynęliśmy nad spory fragment płaskiego dna.**

**–Czy nie prościej byłoby je złapać w mocną sieć? – zapytałem.**

**–Zapewne – przytaknął Urqas, odwracając się do mnie.**

**–Ale tu nie chodzi o ilość złapanych ryb. Ważniejszy jest sposób, w jaki się to robi.**

**Powiodłem wzrokiem po twarzach tonących w zielonkawym półmroku. Bracia rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami. Athor wypatrywał zdobyczy, nie zwracając już uwagi na najbliższe otoczenie. Siver nie robił nic, patrzył przed siebie i czekał. Spojrzałem na Paqualię. Kobieta uśmiechnęła się do mnie, chcąc zapewne dodać otuchy i sobie. Widziałem, że jest spięta i, gdyby mogła, to pewnie teraz by zawróciła. Bała się polowania, ale nie wody. Zatem ja bałem się dwa razy bardziej.**

**–Są – powiedział Urqas, skręcając raptownie i przyspieszając.**

**W kabinie zapanowało poruszenie. Gdy tylko złapałem równowagę wytężyłem wzrok, ale nie udało mi się niczego zobaczyć.**

**–Diabły są leniwe – wyjaśnił Nequa. – Jeśli staniemy nieruchomo na ich drodze, to nie będą próbowały nas omijać.**

**Mieliśmy więc wyprzedzić ryby i zwyczajnie na nie zaczekać. Inaczej wyobrażałem sobie polowanie.**

**Po minucie Urqas zniżył się prawie do dna i rzucił dwie kotwice. Ciężkie stopy uderzyły w dno, unieruchamiając pojazd.**

**–Szybko – rzucił Athor, podając kobiecie jej hełm. Założył jej go przez głowę, aż się zachwiała, zacisnął paski mocujące i odkręcił o pół obrotu zawór. Jego synowie sprawnie zrobili to sami, Siver założył hełm bez pośpiechu, ale z wprawą. Ja szamotałem się najdłużej, próbując wcelować głową w otwór. W końcu udało mi się, a rzemienie zapiął mi ktoś od tyłu. Musiałem złapać się oparcia ławki, by się nie przewrócić. Znów to przykre uczucie duszenia. Zrobiłem kilka głębokich wdechów i minęło.**

**Urquas odkręcił blokadę dolnego wjazdu i otworzył go. Zobaczyłem krótką rurę, w której było akurat tyle miejsca, by precyzyjnie się nią dorosły mężczyzna, i dno oceanu. Nasz pilot zszedł po wystających wewnątrz rury stopniach i stanął na dnie. Bąbelki powietrza wylatywały przez otwór na jego plecach, powyżej zbiorników. Machnął do nas i odsunął się, ustępując miejsca schodzącemu Nequa.**

Gdy przyszła moja kolej, z trudem zapanowałem nad ciałem, protestującym przed zanurzeniem się w wodzie, i umoczyłem jedną nogę. Woda była zimna. Zaciskając zęby zszedłem niżej, czując jak woda podchodzi mi do pasa. Wtedy skończyły się stopnie, a ja zrobiłem wdech i puściłem się brzegu rury. Nie. Spróbowałem się puścić, ale ciało się nie zgodziło. Wiedziałem, że woda nie wleje się do hełmu. Wiedziałem, ale ciało mi nie wierzyło. Wreszcie dłonie powoli się otworzyły. Spodziewałem się wstrząsu, ale opadłem łagodnie na dno. Poczułem piasek wokół stóp. W osobliwy sposób woda naciskała na moje ciało, ale jednocześnie czułem się lekko. Czułem, że gdyby nie buty, mógłbym latać. Nawet hełm niespodziewanie przestał mi ciążyć. Zrobiłem kilka kroków, przełamując opór wody. Łapałem powietrze krótkimi haustami, jakbym bał się zakrztusić wodą. Było mi zimno, a rzemienie piły mnie pod pachami. Moje luźne, płócienne ubranie nie sprawdzało się tutaj. Krępowano ruchy, ale teraz nic już na to nie mogłem poradzić. Trzeba było słuchać mądrzejszych i zawiązać je rzemieniami. Podkręciłem zawór, bo wcześniej zapomniałem tego zrobić i twarz owiał mi delikatny strumień powietrza.

Urqas, jako najbardziej doświadczony, poszedł przodem. Za nim dwaj bracia, ja, Paqualia i Siver. Athor ubezpieczał tyły. Po kilkunastu krokach Urqas gestem nakazał nam odsunąć się od siebie, by utworzyć szeroką linię na domniemanej trasie diabłów. Ustawiliśmy się tak i czekaliśmy, co kilka chwil zerkając przez ramię. Do wody przyzwyczailem się nawet szybko. Tak naprawdę największym problemem był fakt, że stoję na tak dużej, otwartej przestrzeni bez żadnej osłony.

Zobaczyłem je. Cztery diabły falowały brzegami płetw-skrzydeł i płynęły-leciały wprost na mnie. Nierzeczywiste, lekkie. Nie bały się mnie, nie próbowały mnie omijać. Ich widok kojarzył mi się z czymś...

–Wyglądają jak ptaki – powiedziałem na głos, ale przypomniałem sobie, że nikt mnie nie słyszy.

Pozostali stali nieruchomo, mogąc co najwyżej trzymać za mnie kciuki. Patrzyłem w wielką gębę najbliższego stworzenia, na jego biały brzuch i majestatyczne ruchy. Czułem na sobie wzrok pozostałych ludzi, ale nie poruszyłem się. Stałem tak z uniesioną włócznią, a diabeł morski przepływał nade mną na wyciągnięcie ręki. Mogłem go zabić, wystarczyło wyprostować ramię, wbić ostrze w ciało ryby. Poczułem zawirowania wody, wywołane leniwymi ruchami zwierzęcia.

Odprowadziłem podwodne ptaki wzrokiem.

Athor biegł w zwolnionym tempie w moim kierunku. Gdy był kilka kroków ode mnie, rzucił włócznią w ślad za rybami, ale były już za daleko.

–Dlaczego nie uderzyłeś? – zapytał, przytykając hełm do mojego hełmu. – Były tak blisko!

Jego głos dochodził jakby z drugiego końca metalowej rury. Spojrzałem na jego twarz pomniejszoną zakrzywieniem szkła. Nie było w tym pytaniu złości, raczej zdziwienie.

–Nie mogłem.

Za plecami Athora zobaczyłem kolejny ciemniejszy kształt. Nie chciałem, żeby zabił diabła. Każdą inną rybę tak, ale nie diabła.

Wtedy zobaczyłem, że to nie był diabeł... Nie musiałem nic pokazywać. Athor wyczytał wszystko z wyrazu mojej twarzy i odwrócił się. Szark był długi na co najmniej dziesięć stóp i nieprawdopodobnie szybki. Nie było szans, by dotrzeć do pojazdu. Zostały nam dwie, trzy sekundy. Przestałem odczuwać zimno, przestałem zauważać cokolwiek poza szarkiem i Athorem, który nie miał swojej włóczni.

Szark przyspieszył i gnał na nas, przepychając wodę mocnymi uderzeniami ogona. Instynkt wygrał z krótkim szkoleniem. Rzuciłem włócznię Athorowi, a sam wyciągnąłem z pochwy szydłonoż i stanąłem na wprost ryby. W całkowitej ciszy wielka szczęka rozwarła się przede mną ukazując kilka rzędów ostrych zębów i mroczne wnętrza cielska. Byłem wtedy zupełnie spokojny, nie bałem się ani trochę, mimo że obraz tamtej chwili wyrył mi się w pamięci już na zawsze. Wiedziałem co muszę zrobić i zrobiłem to niezwykle sprawnie. Rzuciłem się w dół i pchnąłem w górę nóż. Uderzenie okręciło mnie o pół obrotu i poczułem szarpnięcie ręki. Wokół mnie woda zrobiła się czerwona i mętna. Szark i Athor zniknęli mi z oczu. Po chwili nic już nie widziałem, czując tylko ból w ramieniu. Obracałem się dookoła, oczekując z każdej strony kolejnego ataku, ale atak nie następował. To oczekiwanie było jeszcze gorsze niż widok tych szczęk, zdolnych do wciągnięcia człowieka w całości.

Nie podobało mi się życie pod wodą. Pomyślałem wtedy, co zrobi Czarnowłosa, jeśli teraz zginę.

Woda powoli stawała się przejrzysta. Zza tej krwawej mgły wyłonił się sunący wielkimi krokami Urqas, za nim Siver i dwaj bracia. Paqualia stała dużo dalej i patrzyła nieruchomo. Brakowało tylko Athora. Obróciłem się. Siedział na dnio, kilka kroków za mną, oglądając zgiętą na pół włócznię. Jeden skórzany naramiennik zniknął, ale materiał pod spodem był nietknięty.

Spojrzałem po sobie. Wyglądało na to, że byłem cały.

Szark leżał na boku jeszcze dalej. Nie ruszał się, dymił tylko krwawo z rozdartego brzucha. Urqas dopadł go wreszcie i wbił mu w głowę swoją włócznię. Chwilę potem ciało drapieżnika przebiły kolejne trzy włócznie. Potwór dymił krwią i po chwili zrozumiałem, co się stało. Szydłonoż wbił się tuż pod szczęką potwora, a potem uderzenie w szkło hełmu obróciło mnie. Nie puściłem jednak broni. Trójkątne wcięcie

ostrza, służące przecinaniu linek sieci, rozplątało brzuch potwora na całej długości.

Poczułem dreszcze, nagle zrobiło mi się zimno. Musiałem zdjąć ten hełm i odetchnąć powietrzem. Potrzebowałem przestrzeni! Choćby tej wnętrza aquamobilu. Ignorując wszystkich, pomaszerowałem w zwolnionym tempie w kierunku aquamobila. Wszedłem do środka, zrzuciłem hełm i usiadłem na swoim miejscu. Cały się trzęsłem, z zimna i emocji. Paqualia weszła zaraz za mną. Też zdjęła od razu hełm i też się trzęsła. Sięgnęła po koc i przysiadła się do mnie. Bez słowa owinęliśmy się grubym materiałem i przytuleni czekaliśmy na resztę.

–To największy szark, jakiego widziałam w życiu – powiedziała tylko.

Pozostali holowali zdobycz. Wsunęli martwą rybę w sieć i zaczepili na haku. Zaczęli wchodzić na pokład.

–Wynośmy się stąd, nim krew zwabi inne drapieżniki. – Athor zrzucił hełm.

Urqas wszedł jako ostatni i zakręcił włącz. Ściągnął strój i spojrzał na mnie.

–To się nie zdarza. – położył swoją wielką dłoń na moim ramieniu. – Nie można zabić szarka takim scyzorykiem. Mogę zobaczyć tę broń?

Wyjąłem szydłonóż z pochwy i podałem mu. Trzonek wciąż był przywiązany do pasa linką.

–To nie jest broń – wyjaśniłem. – To narzędzie do naprawy sieci.

Mężczyzna zmarszczył brwi, poobracał szydłonóż w dłoniach i oddał mi go.

–Ważne, kto się nim posługuje – powiedziała Paqualia, wciąż obejmując mnie ramieniem w pasie.

–Tak – Urqas kiwnął głową, po czym zwrócił się do mnie...- Ty robisz to doskonale.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na synów Athora, wpatrujących się we mnie z mieszanką podziwu i niedowiary.

–Przypadek – rzuciłem.

–Szkoda, że nie możemy mieć czegoś takiego – odparł Nequa.

–Czemu? – spytałem. – Łatwo jest zrobić szydłonóż. Athor odchrząknął.

–To nie takie proste – powiedział. – To by oznaczało postęp. Nie rozumiałem, co miał na myśli.

**–Postęp jest zakazany – ciągnął. – Trwamy w stagnacji, jako jedynym bezpiecznym systemie. Nic się nie zmienia. Buty wiążemy w ten sam sposób, co nasi ojcowie; nasze szaty są identyczne od wieków; broń też nie ulega zmianie. Wszelkie zmiany są przecież na gorsze.**

**–Mówiono mi tak w Niebie – powiedziałem.**

**–Tutaj to jest prawo. Nawet z pozoru dobre zmiany, mogą pociągnąć za sobą inne, nieprzewidziane i złe.**

**–Ale... ryby. One uczą się unikać ludzi, muszą się uczyć.**

**–Kiedyś ryb było więcej – wtrącił Nequa. – Starzy mówili...**

**–Nie gadaj! – skarcił go ojciec.**

**–Ale tak musi być – upierałem się. – Ryby, które zbliżają się do ludzi, giną. Przeżywają tylko te, które umieją was unikać. One uczą swoje potomstwo unikania ludzi. To nauka, która musi przechodzić z pokolenia na pokolenie. Będziecie łowili coraz mniej ryb, więc będziecie musieli łowić je w inny sposób. Gdyby na ciebie ktoś polował, i gdybyś zdołał uciec, czy nie byłoby dla ciebie ważne, by i twoi synowie uniknęli niebezpieczeństwa?**

**–Ryby są głupie – powiedział Athor. – Widziałeś te diabły morskie? Nie próbowały cię ominąć, a przecież polujemy na nie od... od zawsze.**

**–Ryby nauczą się unikać ludzi – powiedziałem z przekonaniem. – To wymusi postęp.**

**W miarę zbliżania się do doków twarz Athora tężała, wracając do znanej mi postaci, a jego synowie markotnieli. Oni nienawidzili zasad, według których przyszło im żyć. Siver drzemał na swojej ławce, a Urqas prowadził nas w milczeniu. Paqualia wciąż mnie obejmowała, choć dawno już się rozgrzaliśmy. Wiedziałem już, że niczego więcej nie chcieli słuchać.**

**–To było poważne przeżycie – powiedział Athor innym tonem.**

**–Myślałem, że nie mam już ręki – przyznałem, wczuwając się w nową formę nieco wymuszonej konwersacji. – Potem zdawało mi się, że szark zdążył cię zjeść w całości.**

**–Ale podobało wam się?**

**–Tak – powiedziałem. Zgodnie z prawdą.**

**Kobieta tylko przytaknęła głową. Nie sądzę, aby kiedykolwiek jeszcze wybrała się na łowy. Zerknęła na mnie do końca podróży, uśmiechając się nieco strachliwie. Co ja właściwie zrobiłem? Pozwoliłem działać instynktowi. Przypadek sprawił, że wcięcie szydłonoża podeszło pod skórę szarka. Przypadek, szczęście. Znowu.**

**Nie spostrzegłem, gdy wpłynęliśmy do doku i wynurzyliśmy się. Widziałem miny ludzi zgromadzonych przy nabrzeżu. Dawno nie oglądali tak wielkiej ryby, upolowanej podczas łowów.**

**–Uważam, że senat nie uzna waszego pochodzenia – powiedział cicho Urqas, pomagając mi opuścić aquamobil.**

## 20. Wyrok

–Ogłoszono to – krzyknął do nas Athor z dołu i dodał. – Musimy szybko iść.

–Gdzie? – zapytałem.

–Do senatu. Jesteście oskarżeni!

–O co? O spadnięcie z Nieba na stolicę? Teraz to zauważyli? Czyż nie spadliśmy kilka dni temu?

–Tak, ale oni dopiero teraz przegłosowali, że to był wrogi akt.

Zbiegliśmy po schodach, a nasz przewodnik poprowadził nas szybko w kierunku senatu.

–Wcześniej akt nie był wrogi, a teraz jest? – zapytałem.

–Nieważne, co było, nieważne co jest. Ważne, co przegłosowali – tłumaczył cierpliwie Athor.

–Jak pamiętam, to przegłosowali, że jesteśmy wyjęci spod prawa – zaprotestowałem – i przez tydzień możemy robić, co chcemy.

–I tak jest – powiedział Athor. – Wyrok, jaki dziś zapadnie wejdzie w życie za dwa dni.

–Więc nie musimy tam iść i ich słuchać?

–Pójście tam byłoby wskazane. To ułatwi wam przebycie drogi prowadzącej do wyjścia z tej sytuacji.

–Nie rozumiem...

–Wyroki ogłaszane przez senat to rzadkość. Zazwyczaj prawo działa automatycznie. Każdy wyrok skazujący jest dla nas problemem, ale wyroki muszą zapadać. Dlatego są osobne... procedury, ułatwiające skazanym najlepsze rozwiązania. Nie bójcie się...

\* \* \*

Znów staliśmy na kamiennym walcu odcięci od wejścia czarną wodą. Tym razem w ławach było mniej senatorów. Sprawa była chyba przesądzona. Przegłosowana.

–Jesteście zagrożeniem dla naszej społeczności – zaczął przewodniczący. – Żyjemy

szczęśliwie dzięki wierności tradycji i stałości praw. Zmiany nie są wskazane, zmiany są złe, a wasza obecność nieuchronnie musi prowadzić do zmian.

–Mieliśmy wam przekazać naszą sztukę zielarską... – odezwała się niespodziewanie Her, nim zdążyłem otworzyć usta.

–Zniszczyliśmy wasze rośliny – odparł przewodniczący. – Nie ma potrzeby wprowadzać nowych, nieznanymi leków, skoro stare są dobre.

Czarnowłosa westchnęła ze zdziwienia i rozczarowania.

–Ale elementów naszego miasta używacie – powiedziałem.

–Używamy ich od zawsze – wyjaśnił mężczyzna siedzący obok przewodniczącego. – Spadają z nieba, to część tradycji. Teraz spadły w większym kawałku.

Zastanowiłem się chwilę.

–Owszem, doprowadziliśmy do sytuacji zagrożenia waszego miasta... kolonii, i jest nam z tego powodu przykro. Uczyniliśmy to jednak nieumyślnie, nawet nie wiedząc jeszcze o waszym istnieniu. Nastąpiło to w Niebie, gdzie nie obowiązują wasze prawa. Reszta to konsekwencje.

Przewodniczący spojrzał na mnie przeciągle. Wyglądał na zdziwionego moją wypowiedzią.

–Nie utrudniaj sprawy – szepnął mi na ucho Athor. – Im szybciej zostaniecie skazani, tym lepiej dla was.

Opuściłem więc głowę i czekałem, co będzie. Wszyscy senatorowie wstali jak na komendę, a starzec oznajmił:

–Niniejszym skazujemy dzieci niebios na karę pozbawienia życia.

Poczułem się, jakby mnie ktoś uderzył w twarz.

–Kara śmierci?! – krzyknąłem. Athor próbował mnie uspokoić, ale nie na wiele się to zdało. Byłem pewien, że zaraz walec zjedzie w dół, a nas pożre to, co wije się w dole. Her złapała moją rękę, ale już nie odezwała się ani słowem.

Uspokój się! – powiedział cicho Athor. – Nikt was nie zamierza zabijać.

Rozejrzałem się po zebranych. Sprawiali wrażenie poruszonych moją wypowiedzią, ale rzeczywiście nie wyglądali, jakby chcieli kogoś zabić.

–Wyrok uprawomocni się niezwłocznie po zakończeniu okresu ochronnego – dodał



**ciszej przewodniczący. – Resztki konstrukcji, która uderzyła w kopułę, zostaną zniszczone.**

**–Nikt was nie zamierza zabijać – powtórzył mi do ucha Athor. – Wyjaśniałem wam to...**

**Usłyszałem, jak za nami wynurzył się z wody pomost. Prawda... mieliśmy dwa dni. Ale co potem?**

**–Dzieli nas czterysta lat historii – powiedziałem głośno, rozkładając ręce. – Pochodzimy od tych samych przodków. Chcieliśmy tylko poznać przyczynę. Czy to zbrodnia?**

**Athor niezdecydowanie pociągnął mnie za rękaw. Pomost był już na swoim miejscu. Na samym środku trzepotało się coś czarnego. Ruchy były tak szybkie, że nie dawało się dostrzec kształtów.**

**–Żyjemy tu od zawsze – powiedział spokojnie starzec.**

**–Nie jesteście ciekawi?! – krzychałem już. – Nie jesteście ciekawi, kto kazał wam żyć pod wodą?! Ja chcę wiedzieć, kto wysłał nas w Niebo! Nie rozumiem tego, a chcę zrozumieć! Tylko tyle!**

**Athor ciągnął mnie tak, że musiałem mu ustąpić o krok, żebyśmy się nie przewrócili. Dopiero Her wzięła mnie za rękę i jej pozwoliłem się wyprowadzić z senatu. O dziwo, nikt nas nie zatrzymywał.**

**Powietrze na zewnątrz wydało mi się wilgotne i zatęchłe. Mimo to odetchnąłem nim głęboko.**

**–To nic złego – powiedział Athor, wciąż nie podnosząc głosu.**

**–O czym ty mówisz?! – zaprotestowałem. – Nic złego?! Zabić kogoś?!**

**Athor trzymał mnie za łokieć, chcąc chyba czym prędzej się stąd oddalić. Zreflektował się po chwili i puścił mnie.**

**–Nasz system prawny jest surowy, ale konsekwentny – powiedział. – Egzekucja jest niezwykle trudna do przeprowadzenia, bowiem kat, który by was miał stracić, sam zostałby oskarżony o zabójstwo i skazany na śmierć, a wszyscy senatorowie – skazani za zlecenie zabójstwa.**

**–Niczego nie rozumiem. – Patrzyłem na niego bezradnie.**

**Athor opuścił głowę i chwilę się zastanawiał.**

–Pamiętam, co opowiadaliście o waszych miastach – powiedział. – U nas nie ma kapitanów, strażników. Prawo jest proste i niezmiennie. I takie samo dla wszystkich. Pełniona funkcja niczego nie zmienia. Jeśli nie wolno nikogo pozbawiać wolności, to nie wolno i już. Nawet przestępcy. Obywatel, który popełnił przestępstwo, musi sam poddać się karze.

–Jakie jest więc wyjście? – zapytałem nieco spokojniej.

–Nie zabijemy się tylko dlatego, że tamci tego chcą.

–Macie dwa dni, aby opuścić kolonię. To zamknie sprawę.

–Jak to widzisz? Jak mamy opuścić kolonię? Wpław?

–Możecie robić, co się wam podoba. – Athor zniżył głos.

–Nikt nie może was zatrzymać ani nakładać dodatkowych kar, dopóki wyrok się nie uprawomocni.

–Dodatkowa kara? Poza karą śmierci?

–Na waszym miejscu udałbym się do portu...

–To stała praktyka wobec skazańców?

–Inne kolonie robią tak samo.

–Chcesz przez to powiedzieć, że nikt nas nie będzie powstrzymywał?

Przytaknął.

–Odpłyniemy i co dalej? Dotrzemy do innej kolonii?

–To najrozsądniejsze, co możecie zrobić – wsiąść na statek, który zawiezie was do innej kolonii. Codziennie jakiś wypływa.

–Jak nas tam przyjmą? – zapytała Her.

–Przyjaźnie. Nikt nie pyta o przeszłość, jeśli tylko nie spada się z góry w stercie stali... I radzę się wam pospieszyć. Senat ma do przegłosowania jeszcze jedną sprawę. Chodzi o to, czy naprawdę przybyliście z nieba. Wielu wolałoby uznać, że miasta w niebie nie mogą istnieć.

–Skazali nas za spadnięcie miastem z Nieba, a teraz nie wierzą w miasta w Niebie? – zapytałem powoli.

–W tej sprawie senat podzielił się na cztery frakcje. Pierwsza frakcja wierzy w miasta na linach i uznaje to oficjalnie, druga nie wierzy w ani jedno wasze słowo i nie chce się zgodzić na przyjęcie uchwały o istnieniu miast. Trzecia wprowadzie wierzy wam, ale obawia się skutków uznania istnienia życia ponad wodą – Niech zgadnę – przerwałem mu. – Czwarta frakcja nam nie wierzy, ale chce, by ogłoszono, że mówimy prawdę.

–Zgadłeś. Wam może to się wydawać głupie, ale to się doskonale sprawdza.

–Nie rozumiem tego. – Popatrzyłem na niego. – Rezygnujecie z wiedzy, jaką wam przynosimy, bo obawiacie się zmian?

–Dokładnie. Zmiany są zawsze zmianami na gorsze.

–To prawda oficjalna, czy nieoficjalna? Jeśli nie ma więcej rodzajów prawdy...

–Nie jesteśmy na polowaniu – uśmiechnął się smutno.

–Nie mogę odpowiedzieć.

\* \* \*

Siedzieliśmy na stopniach obniżenia centralnego placu i gapiliśmy się w niewielki płomień na jego środku.

–Żywią nas, dali nam mieszkanie – odezwała się Her.

–Nie mogą być źli.

–Upolowałem wielką rybę – przypomniałem. – Jej mięso starczyłoby dla nas dwojga na kilka miesięcy. A części z naszego miasta na pewno wynagrodzą trudy pożyczenia nam łóżek. Jeśli dobrze rozumiem tutejsze prawo, to nikt nie może nas tknąć.

–Prawo jest takie samo dla wszystkich – Athor podszedł i przysiadł obok. – Dla was także.

–Ale senat jest ponad prawem – powiedziałem. – Senat ustanawia prawa, tak jak rada starszych w Niebie.

–Senat nie ustanawia praw. Prawa istnieją od zawsze. Umówiliśmy się, że senat rozsądza spory, których nie można rozsądzić inaczej. Nakłada karę, która też jest wynikiem umowy wszystkich obywateli. Karę wykonać musi sam skazany.

–A jeśli nie opuścimy Mespaladii? – zapytałem. – Nikt nas nie zmusi?

–Nie rozumiecie podstaw naszego systemu. Dlatego senat uznał, że jesteście

zagrożeniem. Ponadto nie wolno wam dłużej twierdzić, że pochodzicie sponad wody.

–Przecież spadliśmy tu z Nieba – zdziwiłem się.

–Nie, nie spadliście. Senat przegłosował, że nie ma miast w niebie. Zatem nie mogliście spaść miastem z nieba.

–Mamy więc kłamać i udawać? – mruknąłem. – Na tym polega demokracja?

–Macie mówić prawdę. Prawdę ustala większość. Jeśli większość zdecyduje, że miast w niebie nie ma, to znaczy, że ich nie ma. Musicie się dostosować. Mówić... prawdę. Prawdę...

–A jeśli się nie dostosujemy?

–Przestępca sam poddaje się karze, żeby uniknąć kolejnej, większej kary.

–A jest coś większego od kary śmierci? – zapytałem, czując narastającą irytację. – Może kara śmierci plus tydzień aresztu?

Athor zacisnął usta i spojrzał w bok. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę. Życzył nam jak najlepiej, ale jednocześnie musiał być posłuszny prawu.

–Czy macie tu jakieś księgi? – zapytałem. – Czy też je zniszczyliście, bo były zagrożeniem dla waszej stagnacji?

–Mamy bibliotekę – powiedział cicho. – Znajduje się w trzeciej kopule, idąc korytarzem na prawo od doków.

–Uwolnimy cię zatem od naszego towarzystwa – wstałem.

–I tak jestem zobowiązany opiekować się wami.

–Będziemy w bibliotece.

Odeszliśmy we wskazanym kierunku.

–To nie jego wina – powiedziała jeszcze Her, gdy wchodziliśmy w pierwszy korytarz. Nie odpowiedziałem, spojrzałem w górę. Nad wodą był dzień, zieloność jaśniała miętowo, jak herbata którą kiedyś, dawno temu parzyła Phora.

Przeszliśmy kopułę-ogród, potem kopułę z polem uprawnym, obsianym dziwnymi, wysokimi roślinami na cienkich łądygach. Miały złoty kolor, a każda zakończona była lekką, podłużną, włochatą jakby szyszką. Trzecia kopuła, dosyć mała, wpasowywała się między liny. Niejadalne rośliny, służące jedynie ozdobie, rosły wzdłuż kilku alejek, prowadzących do centralnego budynku biblioteki. Był okrągły, niezbyt wysoki, z

czterema przybudówkami. Miał własną, przezroczystą kopułę, która chyba chroniła zbiory przed wilgocią, może kurzem. Uchylone drzwi sprawiały, że ta ochrona nie była wiele warta. Zatrzymaliśmy się w alejce, po bokach której stały ławki. Pod nogami chrzęściły małe kamyki.

–To nie wygląda tak, jak powinno wyglądać podwodne miasto – powiedziałem. – To wygląda, jak miasto, które ktoś zrobił na skale ponad wodą, a dopiero potem przykrył je kopułą, gdy woda się podniosła.

–Od deszczów? – zapytała Her.

–Może. Wszystkie deszcze, padające w górze, muszą tu docierać. Woda paruje, ale nie dość szybko. Gdyby ktoś budował miasto pod wodą, oszczędzałby przestrzeń. Nie byłoby tych kopuł, tylko wodoszczelne budynki, połączone korytarzami. Konstruktorzy tej kolonii wybrali najcenniejsze budowle i miejsca, po czym przykryli je kopułami i połączyli korytarzami.

–Czy to coś zmienia?

–W poszukiwaniu Antycelu? – zastanowiłem się. – Nie wiem. Może.

Ruszyliśmy dalej, w kierunku uchylonych drzwi biblioteki. Weszliśmy do środka. Wzdłuż obłych ścian znajdowały się regały, zastawione od ziemi do podstawy kopuły książkami. Na samym środku stało półokrągłe biurko, a za nim drzemała starsza kobieta. Promieniście, wokół tego biurka, ustawiono stoły i krzesła. Panowała tu niezwykła cisza, a poza ową kobietą, nie było nikogo. To był ten rodzaj ciszy, która onieśmiela wszystkich. Stąpaliśmy więc cicho po kamiennej posadzce. Wyglądało na to, że tego miejsca nie odwiedzały tłumy. W kątach walał się kurz. Pociągnąłem nosem i stwierdziłem, że mimo uchylonych drzwi, jest tu sucho. Spojrzałem w górę. Na ścianach z kamiennych bloków opierała się metalowa, nitowana konstrukcja kopuły. Szybki były matowe i brudne, ale przepuszczały dość światła, by dało się tu czytać. Ze ścian wystawały pokryte pajęczynami żeliwne kinkiety z kamiennymi kulami, dającymi zapewne światło w nocy.

W przeciwieństwie do mojej książki, te na półkach miały napisy na grzbietach, informujące o zawartości. Podeszedłem do pierwszej z brzegu półki i przeczytałem kilka tytułów:

–Są pogrupowane tematycznie – szepnęła Her. – Każdy regał od podłogi do samej góry jest poświęcony jednemu tematowi.

Powiodłem za jej spojrzeniem: „Zwierzęta morskie”, „Drapieżniki podwodne i obrona przed nimi”, „Miękkocieleśne, jadalne stwory wodnych otchłani”. Przeszedłem do następnego regału i zerknąłem na pierwszy tytuł: „Fizyka morskich głębin”. Wyciągnąłem książkę i na palcach podeszedłem do najbliższego stołu. Nie chciałem

**budzić śpiącej kobiety.**

**Księża miała trzysta pięćdziesiąt lat! Her stanęła za mną, oparła brodę na moim ramieniu i zaczęła czytać razem ze mną: „Ciśnienie, określane, jako nacisk wody na konkretny fragment powierzchni ciała stałego, zanurzonego w tejże wodzie, wzrasta o swoją wielokrotność o każde trzydzieści dwie stopy zanurzenia.”**

**Uniosłem wzrok znad księgi. Pierwsze zdanie i coś nowego! Woda też jest materią, musi więc naciskać na wszystko, co w niej zanurzone. To przecież było... oczywiste! Woda, którą zbieraliśmy z deszczu i piliśmy od urodzenia dawała się przyrównać do żelaza i każdej innej materii. Przerzuciłem pobieżnie karty księgi. Porównywano tam wodę do zbioru małych, idealnie śliskich kulek, posiadających ciężar. Im głębiej w niej coś zanurzać, tym większy nacisk będzie nałożony na powierzchnię tego czegoś. Nawet na jego spód i boki. Pierwsza z brzegu księga i takie olśnienie! Woda ma ciężar działający we wszystkich kierunkach! Nawet w górę! Stąd konieczna wytrzymałość kopuł Mespaladii. Piękne! Odstawiłem księgę na miejsce, ale zapamiętałem gdzie stoi. Sięgnąłem po następną: „Budowa pojazdów podmorskich”. Istna skarbnica wiedzy! Otworzyłem skórzaną okładkę i zacząłem czytać od piętnastej strony: **Wszelkie pojazdy podwodne, napędzane siłą inszą, niżeli ciśnienie powietrza, skazane są na zanik używalności na skutek braku paliwa. Należy zatem przerobić je, lub wymienić na takie, korzystające pośrednio ze sił oceanu, wywołujących różnice ciśnienia w miechowych zbiornikach kolonii.**” Zerknąłem na rok wydania: prawie dwieście lat temu. Aktualny, współczesny rok podawano wszędzie, choćby w księgach połowów, gdzie odnotowano mojego szarka. Wedle miary podwodnej, mieliśmy teraz rok trzysta dziewięćdziesiąty ósmy. Pomyślałem od razu o tym, co dało początek temu liczeniu. Słowem, co się wydarzyło w roku zero. Może odpowiedź znajdowała się na tych regałach?**

**Drugi rozdział księgi dotyczył kształtu śrub napędowych, więc przerzuciłem go, jako zanadto specjalistyczny. Kolejny opisywał siły działające na szklaną bańkę, stanowiącą zazwyczaj kabinę aquamobilu. O ile zrozumiałem, to pojazd musiałby ulec zmiżdżeniu, jeśli zanurzyłby się zbyt głęboko.**

**–Najczęściej piszą „podwodne”, a nie „wodne” – zauważyłem. – Kiedyś „wodne” odnosiło się pewnie do czegoś, co pływało po powierzchni. Teraz wszystko jest pod wodą i obydwa słowa znaczą to samo.**

**Rozejrzałem się. Ksiąg było tyle, że starczyłoby na rok czytania. Jak wyszukać te najważniejsze? Te, które pomogą zrozumieć... sens?**

**W dotarciu do wyższych półek pomagały trzy drabiny, objeżdżające salę dookoła na szynach: jednej w podłodze, drugiej na szczycie regałów. Her wdrapała się na samą górę najbliższej drabiny i wróciła z księgą kucharską. Przerzuciła kilka kartek, skrzywiła się i prędko odstawiła ją na miejsce. Zainteresowała się za to spisem**

**receptur leków, otrzymywanych z organizmów wodnych i jakąś księgą prawniczą.**

**Ja przerzuciłem się na kroniki miejskie, by stwierdzić, że nic niezwykłego nigdy się tu nie działo. Kroniki zawierały opisy comiesięcznych zebrań senatu, które przypominały rytuały potwierdzające stabilność społeczeństwa i konieczność dalszej stagnacji. Ciekawe, jak opiszą ostatnie, nadzwyczajne zebrania z naszego powodu? Nadzwyczajnych zebrań znalazłem kilka. Dotyczyły jakiejś epidemii sprzed stu siedemdziesięciu lat, czy zmniejszających się połowów dorsza. Pół księgi z każdego roku stanowiły tabelki, które pewnie bym przejrzał, gdybym miał więcej czasu. Na pewno musiały istnieć jakieś zmiany, o których Mespaladyjczycy woleliby nie wiedzieć. Zacząłem cofać się w czasie, sięgając po coraz starsze kroniki. Dojechałem do roku jedenastego, wcześniejszych kronik nie było. Zacząłem wyciągać z półek przypadkowe pozycje. Pod wieczór byłem już niemal pewien, że nie ma żadnej księgi, opisującej losy kolonii sprzed roku zero. Nie znalazłem nawet żadnej datowanej wcześniej niż rok siódmy.**

**Gdy zaczęły się zapalać kamienne kule w kinkietach, zauważyliśmy, że bibliotekarka gdzieś zniknęła. Może przestraszyła się nas i chyłkiem uciekła? Pewnie wiedziała o wyroku.**

**Nie przejmowaliśmy się tym, wspinaliśmy się na drabiny i przeglądaliśmy coraz to nowe książki. Musiała być już prawie północ, gdy zmęczenie zaczęło wygrywać z głodem wiedzy.**

**–Taka sama księga leżała przed tym starcem w senacie – powiedziała Her. – To spis tutejszych praw. Powinieneś przeczytać.**

**–Interesuje mnie co innego. – Ziewnąłem. – Chodźmy spać. Jutro tu wrócimy.**

**\* \* \***

**Biegłem po morskim dnie bez stroju nurka, ale dziwnym sposobem mogłem oddychać. Woda stawiała oleisty opór, więc bieg był bardzo powolny. Co chwilę oglądałem się przez ramię, próbując wychwycić coś z mroku. Bo przed czymś przecież uciekałem. Wreszcie wychwyciłem łagodne, falujące ruchy diabła morskiego. Biegłem co sił, ale im więcej siły w ten bieg wkładałem, tym wolniej się poruszałem. Goniący mnie stwór nie był już diabłem morskim, teraz to był Ptasznik. Leciał pod wodą jak ptak. Powoli machał skrzydłami, powstałymi ze zrośniętych z połami płaszcza ramion. Kapelusz zasłaniał jego twarz, ale widziałem wielkie usta, pełne ostrych, trójkątnych zębów. To nie były nawet usta, tylko paszcza, sięgająca piersi. Nagle, gdy już miał mnie dopaść, straciłem grunt pod nogami. Dno się skończyło i spadałem teraz w czarną otchłań.**

**Obudziłem się, oddychając szybko. Byłem sam. Chwilę zajęło, nim doszedłem do**

siebie. Był zielonkawy ranek. Zwlokłem się z łóżka i poszedłem do biblioteki. Hersis musiała umyć włosy, bo błyszcząły jak kiedyś i w lokach spadały na ramiona. Uśmiechnąłem się. Siedziała nad tą samą księgą i jadła kanapkę. Drugą zostawiła dla mnie.

–Jutro do południa musimy się wynieść – przypomniałem, całując dziewczynę w skroń. – Spróbujmy znaleźć jakieś pożyteczne informacje.

–Te są pożyteczne – odparła, nie odrywając wzroku od paragrafów. – Całe to społeczeństwo ślepo przestrzega spisanych tu zasad. Może któraś z zasad da się wykorzystać dla naszego dobra. Może będziemy mogli zostać tu dłużej.

–Za późno. Skazali nas przecież.

Nie musieliśmy ściszać głosu, bowiem bibliotekarki, ani nikogo innego nie było.

–Popatrz. – Her zamknęła księgę i przysunęła do niej podobną. Ta druga była nieco grubsza. – Księga, która leży w senacie to wersja skrócona. Ta grubsza to oryginał. – Spojrzała na mnie, a oczy świeciły się jej z podniecenia. – Może to nawet najstarsza księga w tej bibliotece; została spisana w roku piątym. Wszystkie inne to kopie, w których zrezygnowano z niepotrzebnych informacji.

Pokiwałem głową bez przekonania i wziąłem się za moją kanapkę. Ta gąbczasta substancja, zwana chlebem, bardzo mi smakowała. Podejrzywałem jednak, że proces produkcji był zbyt skomplikowany, by dało się go zastosować w miastach niebieskich. Co za myśli! Przecież nigdy nie wrócimy do Nieba...

Na jednym ze stołów zobaczyłem małą książeczkę. Podeszedłem i przeczytałem tytuł: „Filozofia poprawności proceduralnych”. Niezrozumiały tytuł zaintrygował mnie do tego stopnia, że po nią sięgnąłem. Na stronie tytułowej znajdowało się motto „Nie ma doskonałości, jest doskonałość”.

–Rano była tu nauczycielka i kilkoro dzieci. – Hersis podniosła na chwilę wzrok znad lektury. – Chyba to oni ją zostawili.

Odwróciłem kilka stron. „Celem w życiu nie jest dążenie do perfekcji, celem jest bycie perfekcyjnym. Najlepszym sposobem wykonywania czynności jest wykonywanie ich w sposób sprawdzony od wieków.” Pod spodem był rysunek nurka, wydobywającego coś z wykopu w dnie morskim. Ktoś ponad nim wkładał urobek do kubła, podwieszzonego pod aquamobilem. „Lepsze jest wrogiem dobrego. Poprawne wykonywanie czynności oznacza szacunek dla mądrości przodków-założycieli, którzy ustalili najlepsze sposoby na wszystko”. Następny rysunek przedstawiał dłonie odcedzające muł z kubła i wyciskające z niego nadmiar wody. Przewróciłem stronę. „Nasze społeczeństwo to doskonale sprawnie funkcjonujący organizm. Każdy z nas robi to, co powinien. Ani mniej, ani więcej.” Na następnej



stronie ktoś ważył bezkształtną bryłę, usuwał nadmiar materiału i zawijał w szmatkę. Wszyscy współpracują ze sobą, wykonując swoją pracę dokładnie i starannie. Każda próba zmian prowadzi do błędów i sprawia, że cała praca, a może i praca innych, zostanie zmarnowana.” Dalej był rysunek rąk, lepiących jakiś kształt z gliny. Schemat z ponumerowanych strzałek ukazywał kolejność ruchów, choć był to raczej obrazowy przykład, niż instrukcja. Ostatni rysunek przedstawiał kulę na prostym postumencie. W przeciwieństwie do wcześniejszych rysunków, a nawet tego postumentu, kula była wyrysowana idealnie gładką linią. Wydawała się przez to prawie wychodzić z papieru. Podpis pod spodem głosił „Każda zmiana jest na gorsze.”

Książeczka wyglądała jak zbiór pouczających przypowieści dla dzieci. Przeleciałem kartki do połowy i zauważyłem rysunek stołecznej kopuły z charakterystycznym placem i płomieniem na jego środku. „Nie należy pytać, jak coś zostało zrobione. Jeśli istnieje – zostało zrobione zgodnie z zasadami.”

Drzwi otworzyły się i do sali wbiegł ośmioletni chłopczyk. Zatrzymał się, patrząc na książeczkę, którą trzymałem w dłoniach.

–Przeglądałem tylko. – Wysunąłem książeczkę w jego stronę. Nieufnie podszedł i wziął ją. Popatrzył na nią, potem na mnie.

–A jak jest u was, w Niebie? – zapytał szybko.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi otworzyły się ponownie i stanęła w nich... Paqualia. Spojrzała na mnie zaskoczona, uśmiechnęła się, ale po chwili uciekła wzrokiem w bok, spoważniała. Zgarnęła chłopca i oboje wyszli.

Stałem tam jeszcze chwilę, po czym powróciłem do przeglądania regałów. Przyniosłem do stołu atlas geograficzny. Każda ze stronic dawała się rozłożyć w spory arkusz, tak duży, że musiałem wejść na krzesło, by go obejrzeć w całości. Na pierwszym arkuszu była mapa kolonii z kolorowymi ilustracjami i opisami funkcji poszczególnych kopuł. Pomysłowy schemat – wyglądał tak, jakby wszystko przeciąć na wysokości głowy człowieka i usunąć to, co było wyżej. Zauważyłem kropki ułożone w regularny wzór i dopiero po chwili dotarło do mnie, że są to liny. Nigdy bym nie wpadł na to, by przedstawić linę za pomocą kropki. Ktoś mądry włożył dużo wysiłku i dużo pomysłów w to dzieło. Złożyłem starannie arkusz, by nie zagiąć papieru w niewłaściwym miejscu, i otworzyłem następny. Była na nim mapa innej kolonii, zapewne jednej z pięciu, o których wspominał Athor. Dopiero szósty arkusz przedstawiał mapę w mniejszej skali. Widać było na niej owe pięć kolonii, zaznaczonych tu kropkami i obrysy wszystkich fragmentów skał, zwanych przez Athora dnem. Punkty oznaczające liny były naniesione tylko na skałach. Pominięto puste przestrzenie wypełnione tylko wodą. To mnie zastanowiło. Może więc liny między skałami zmieniały położenie jak te w Niebie? Ale skoro skały wisiały na nich,

to same również musiałyby się przesuwac... Następny arkusz potwierdził moje przypuszczenia. Wyrysowano na nim przerywaną linią granice, w jakich mogły się poruszać skały. Brakowało jednak opisów, tłumaczących dlaczego i jak często się to działo. Odłożyłem atlas na półkę i odszukałem księgę, traktującą o samych linach.

To zadziwiające, ile wiedzy zgromadzono w tym budynku. Wiedzy, z której nikt nie korzystał.

Na pierwszej stronie znajdowała się rycina, przedstawiająca widok z boku... nie, przekrój przez naszą kolonię. Linia cięcia przechodziła dokładnie przez środek kopuły stolicy. Skała wyglądała zaskakująco: Płaski wierzch i poszarpany, w przybliżeniu trójkątny spód. Wobec ogromu skały pod naszymi stopami, kolonia wydawała się być mała. Na drugiej rycinie znów wyrysowano liny widoczne z góry. Dodano schemat, porządkujący kropki w wierzchołki połączonych ze sobą sześciokątów.

Zorientowałem się, że tutaj odległości mierzono „linami”. Ta jednostka oznaczała po prostu odstęp między kolejnymi linami, wyrastającymi z dna, czyli około stu stóp. W Niebie odległości liczyliśmy w miesiącach i latach, czyli w odcinku liny, pokonanym przez miasto w miesiąc czy rok. Jednak czas mierzyliśmy tak samo...

Przerwałem rozmyślenia i wróciłem do księgi. Według autora w bardzo dużym powiększeniu na linie widać było drobne rowki, idące łagodną spiralą w górę i struktury wewnętrzne nieznanego rodzaju. Ale czy w istocie tam były? Nie zastanawiałem się wcześniej nad tym, ani nad samą nazwą. Nie widziałem nigdy żadnych rowków, ale przecież lina powinna być z czegoś upleciona. Gdyby nie te rowki, zapewne liny nazwano by inaczej. Rowki mogły być mikroskopijnymi przerwami między pojedynczymi włóknami, ale mogły też być tylko nacięciami... lub, co najbardziej prawdopodobne, dowodem na niedoskonałość optyki instrumentu pomiarowego. Lina była zbyt twarda i wytrzymała, by dało się coś wcisnąć w te hipotetyczne rowki i spróbować rozewrzeć włókna. Kolejnych kilka stron było wypełnionych obliczeniami zależności pomiędzy spiralą, grubością lin i ich rozstawem na planie sześciokąta. Te rachunki były dla mnie zbyt skomplikowane i pełne nieznanymi mi symboli. Dalej było to, co wiedziałem od zawsze: liny nigdy nie pokrywały się lodem, nie udawało się ich nagrzać ani schłodzić. Nie można ich było też pomalować, ani trwale pobrudzić.

Do biblioteki wszedł jeden z senatorów. Pamiętałem go, siedział tuż obok przewodniczącego. Popatrzył na nas i po zastanowieniu skłonił lekko głowę. Zrobiłem to samo. Podszedł do regału z kronikami kolonii i wyciągnął najnowszą. Przysiadł za stołem i wpisał do niej kilka zdań. Potem odstawił księgę na miejsce, ukłonił się nam i wyszedł. Korciło mnie, żeby zobaczyć, co zapisał, ale wolałem czytać o linach. Przerzuciłem strony, aż dotarłem do kolejnego rysunku sześciokątnego układu lin. Gdy przewracałem stronę, coś dziwnego rzuciło mi się w oczy. Pod światło widać

było inny, chyba celowo zatarty rysunek. Przyjrzałem mu się, mrużąc oczy i poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy. To było miasto! Niebieskie miasto! Sześcioma napędami trzymało się sześciu lin, idealnie wpisując się w wyrysowany schemat.

–Zobacz! – Pokazałem Her stronę. – Próbowali to ukryć! Wiedzieli o naszych miastach!

Dziewczyna przyjrzała się zarysowi i skinęła głową.

–Widziałam coś podobnego w jednym miejscu – odparła.

–Gdzie?! – wykrzyknąłem.

Drgnęła, przestraszona moim wybuchem. Podeszła do regału i zadarła głowę. Weszła do połowy wysokości drabiny i przejechała razem z nią kawałek, odpychając się od półek. Wreszcie sięgnęła po czarny grzbiet ze złotymi literami i wróciła na dół.

–Chyba odzyskali papier z jakiejś starszej księgi – ocenilem, patrząc pod światło na kolejne strony. – Usunęli w jakiś sposób tusz, a papier wykorzystali ponownie.

Nie byłem jednak w stanie określić, co przedstawiał rysunek w tle. Tchnięty przecuciem, wyjąłem swoją księgę, przekartkowałem i oniemiałem. W świetle emitowanym przez kamienne kule, spod moich rysunków spadochronu wyłaniał się inny rysunek. Był ledwo widoczny i też nie miałem pojęcia, co może przedstawiać. Przyglądałem mu się ze wszystkich stron, ale nic to nie dało.

–Nie mogą nas skazać! – nagle oznajmiła triumfalnie Her, podnosząc głowę. – Tu jest napisane, że prawo obowiązuje wszystkich mieszkańców kolonii podwodnej Mespaladia i przybyłych z innych kolonii podwodnych.

–Nie przybyliśmy z innej kolonii podwodnej – stwierdziłem oczywistość. – Jak mogli to przeoczyć?

–Używają kopii, a tam nie ma tego paragrafu. Chyba dawno temu ktoś uznał, że jest niepotrzebny, skoro wszyscy żyją w podwodnych koloniach. W kopii zniknęło też kilka innych fragmentów, ale tamte nas nie dotyczą. Chodziło chyba o to, żeby treść stała się bardziej przejrzysta.

–A może po prostu zmienili prawo?

–Pierwsze i najważniejsze zdanie obydwu ksiąg mówi: „Prawo jest niezmiennie i nikomu nie wolno nawet proponować jego zmiany”.

–Próba zmiany prawa to chyba najcięższe przestępstwo, jakie tu można popełnić...

**Więc skazali nas niesłusznie – podsumowałem. – Nie mieli prawa tego zrobić. Nie mieli prawa nawet nas sądzić.**

**–Tu jest też napisane, że każdy, kto wyda niewłaściwy wyrok... – uniosła na mnie wzrok – sam podlega identycznej karze.**

**–To by znaczyło, że skazali samych siebie na śmierć... – zastanowiłem się. – Przecież nie popełnią zbiorowego samobójstwa...**

**Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.**

**–Jednak tu jesteście! – Podskoczyliśmy, słysząc niespodziewany głos. W drzwiach biblioteki stał Athor. – Możecie mnie nie lubić, ale i tak muszę się wami zajmować do jutra. Jestem waszym oficjalnym opiekunem. Westchnąłem i powiedziałem:**

**–Musimy się spotkać z najważniejszym senatorem.**

**–Nie ma najważniejszego senatora. – Athor pokręcił głową. – Wszyscy są równi.**

**–A ten łysy starzec, który siedział na środku?**

**–Jego zadaniem jest tylko pilnowanie porządku obrad.**

**–Więc jest najważniejszy. Możesz nas do niego zaprowadzić?**

**Athor chwilę się zastanawiał, wreszcie niechętnie skinął głową. Her wzięła księgę prawną, a ja tę o budowie lin i ruszyliśmy do wyjścia.**

**–Z biblioteki nie wolno wyciągać książek – zaprotestował Athor.**

**–Dolicz nam jeszcze po tygodniu do tej kary śmierci – odparłem zgryźliwie.**

**Westchnął ciężko.**

**–Jeśli myślicie, że senat da się przekonać do zmiany decyzji, to szkoda fatygi.**

**–A ja myślę, że ich przekonam – uśmiechnąłem się złośliwie.**

**Wyszliśmy na zewnątrz.**

**–Cóż jest tak ważnego, że chcecie zawracać mu głowę? – zapytał nasz opiekun.**

**–Nic bardzo ważnego – powiedziałem z przesadną lekkością. – Mamy dowody własnej niewinności.**

**W milczeniu przeszliśmy szklanym korytarzem do kopuły z uprawami.**

**–Mogę zerknąć? – nie wytrzymał Athor.**

**Zatrzymaliśmy się. Otworzyłem księgę o linach i pokazałem mu pod światło stronę z wytartym miastem.**

**–To dowód, że spadliśmy tu z Nieba – powiedziałem, po czym wziąłem drugą księgę i podetknąłem mu pod nos paragraf wynaleziony przez Czarnowłosa. – A to dowód na to, że senat nie miał prawa nas sądzić.**

**Athor usiadł na kamieniu i zamyślił się. Złote źdźbła falowały w przeciagu.**

**–Owszem, to wystarczający dowód na waszą prawdomówność – powiedział smutno Athor – i na błąd senatu. Będą musieli to uznać. Taka sytuacja... nigdy się jeszcze nie zdarzyła.**

**–I co teraz? – zapytałem. – Utopią się grupowo?**

**–W świetle naszego prawa będą podlegać karze śmierci – przytaknął. – Tradycyjnie zapewne opuszczą kolonię. Kara śmierci bardzo rzadko jest realizowana.**

**Wstał i ruszył dalej.**

**–Nadal tego nie rozumiem. – Podążyłem za nim. – Przecież cały senat nie wsiądzie jednocześnie do aquamobilu i nie odpłynie. Będą szukać jakiś sposobów, nie poddadzą się... Co robicie z ludźmi, którzy uparcie łamią prawo?**

**–Jest pewien sposób. Pewna tradycja... Niechlubna, niedozwolona prawem, ale jest. Pięć lat temu pewien człowiek okradał innych i nie poddawał się kolejnym karom. Został zamordowany przez jednego z okradzionych. Ten... morderca dobrowolnie poddał się swojej karze.**

**–Opuścił kolonię?**

**–Popełnił samobójstwo. Teraz przepraszam, muszę iść. Przedstawiłeś mi dowód. Muszę powiedzieć o nim senatowi. Muszę, takie prawo.**

**–Zaczekaj! – Złapałem go za rękaw. – Nie chcemy tu zostawać. Nie chcemy nikomu robić krzywdy. Chcemy tylko przeczytać jak najwięcej ksiąg i wymyślić sposób na... – spojrzałem na Her.**

**–Na dalszą podróż – dokończyła za mnie. Chwyciliśmy swoje dłonie.**

**–Dalszą podróż? – zapytał mężczyzna, odwracając się do nas. – Dokąd?**

**–Dowiemy się – powiedziałem wolno – jak już tam dotrzemy...**

## 21. Niebo

Trzeci dzień opadania i nic nowego, jeśli nie liczyć coraz mniejszego i coraz słabiej widocznego cienia Herlanu w górze. Pierwszego dnia zrobił kilka zdjęć wielkiej, szarej bryły, gdy widać było wyraźnie poszarpane krawędzie, szczyty i doliny odwróconych łańcuchów górskich. Potem gigantyczna skała, otoczona nieodłącznym wianuszkiem chmur, poczęła się zamazywać w perspektywie powietrznej. Liny wokół cygara traciły już geometrycznie równoległy porządek. Jedynie to przypominało poprzednie podróże. Wibracje w normie, czyli wszystko działało jak należy. Pozostawało tylko to głupie uczucie, że pojazd porusza się w złą stronę.

Jonathan miał też świadomość istnienia dodatkowego problemu. Lecąc w górę, mógł się zatrzymywać po kilka razy, po prostu wyłączając silnik i, gdy pojazd zwalniał, zaciągając hamulec. Teraz miał tylko jedno hamowanie z użyciem szczęk zaciskowych, które przy tej okazji wycierały się niemal całkowicie.

Otworzył kopertę i wyciągnął kilkanaście ponumerowanych i spiętych arkuszy papieru. Wysunęły mu się z ręki i spadły na podłogę. No tak... To nie była jedna instrukcja, tylko kilka odrębnych, spisanych przez różnych doradców gubernatora. Więc wyjdzie z tego jakiś bełkot! Musi wyjść, skoro każdy z autorów chciał czego innego. Nie było nadrzędnej instrukcji od Thomedosa. Chyba zdał się na badacza, albo, co pewniejsze, uznał, że wobec nieznanego żadne instrukcje na nic się nie zdadzą.

Z braku lepszego zajęcia, Jonathan zaczął przeglądać arkusze. Nie były to nawet wytyczne, czy rady, bardziej notatki z ostatniego, burzliwego spotkania. Z braku czasu nie przepisano ich na czysto, ani nie usunięto zbędnych fragmentów. Może i było to dziwne, a może, nie ufając kronikarzom, zawsze tak robili.

Z trudem, ale można się było nawet domyśleć kolejności wypowiedzi. Elefteriades na wstępie zaproponował rozwiązanie najprostsze: zatrzymać pojazd po jednym dniu spadania, gdy byłby już poza widocznością, odczekać tydzień i wrócić, ogłaszając, że to tylko wielka, podziemna grota wewnątrz płaskowyżu. Ot, anomalia geologiczna i nic ponadto. Semiutys na to walnął wykład na temat nowych możliwości dla nauki, których nie wolno marnować za sprawą jakiś tam fikcji i zabobonów, choćby to były zabobony oficjalnie uznawane za religię państwową. Na to Elefteriades uderzył pięścią w stół (zapewne takie było pochodzenie tych kilku kleksów) i odparł, że nie za takie bluźnierstwa palono ludzi na stosach. Odpowiedzią Semiutysa było przypomnienie, że również kilku kapłanów zgniło w lochach Pałacu, za zbyt gorliwą wiarę, kolidującą z interesem politycznym gubernatorów.

Chyba na dłużej zapadła cisza, bo Merging, który zapisał kolejne zdanie, chwilę walczył z zaschniętym piórem. Pisał o konieczności zapoznania się z przemysłem i

rolnictwem Podziemian, by móc ustalić w jakich dziedzinach można by nawiązać z nimi współpracę handlową. Sanran parsknął (bo na papierze były wyraźne ślady piwnych kropel) i przypomniał stare przysłowie o dzieleniu skóry na jeleniu, nie wytropionym nawet jeszcze. To z kolei sprowokowało Semiutysa do rozważań nad prawdopodobieństwem spotkania w dole kogokolwiek lub chociaż natrafienia na inną skałę. Wyszło mu... że nie ma sposobu, by to teoretycznie wydedukować z tak nieznaczących faktów, jakimi dysponował. Na to znów kapłan podrzucił przypuszczenie, że od siedzenia nocami z okiem przy teleskopie utkwionym w gwiazdach, mózg niszczeje za sprawą skupionego promieniowania tychże.

Tutaj Jonathan na chwilę zgubił chronologię. Astrofizyk opowiadał o prawdopodobnych przyczynach odpadnięcia reszty skały od płaskowyżu Herlan. Elefteriades mówił coś o sile bezkrytycznej wiary, dającej szczęście doczesne i spokój wiekuisty, bez zamartwiania się detalami, na przykład brakiem fundamentów świata – od ich istnienia ważniejszy jest przecież stan wiary w nie. Lomar zaczął notować krótkie myśli, ciekawe porównania i oryginalne konstrukcje gramatyczne, z zamiarem użycia ich w najbliższym przemówieniu. Merging uparcie postulował konieczność nawiązania kontaktów handlowych z Podziemianami. Na pewno oni produkują coś, czego nam brakuje. I odwrotnie. Wina chociażby u nas muszą być lepsze, bo całe słońce tym z dołu zatrzymujemy. Tam w dole mogą za to mieć urodzaje ziemniaków. Warto by więc przygotować jakąś ofertę handlową. Elefteriades rzucił coś o przyziemności niektórych ludzi, zwłaszcza tych, związanych z kopaniem w ziemi. Merginga chyba to nie ruszyło, przynajmniej nie na tyle, by coś odpisał. Odezwał się za to Dreyny, przypominając o konieczności zachowania zasad bezpieczeństwa informacyjnego. Podziemian trzeba śledzić, obserwować z daleka, z ręką na spuście sprężyny rozrusznika. Informacje zapisać, zdjęcia wykonać i wracać, nim tamci się spostrzegą. Po powrocie zdać raport i zapomnieć.

Dobrze, że nie dodał nic o wymazywaniu wspomnień gilotyną.

Po dłuższym milczeniu (wszystkim zaschły pióra) odezwał się Sanran, proponując by delikatnie wybadać wierzenia Podziemian, celem uniknięcia przyszłych tarć kulturowych. Na to kapłan odparł, że jeśli nawet, to lepiej nie zagłębiać się w lokalne wierzenia i założyć, że tamci wierzą w to samo i obrzędy ich są identyczne. Semiutys złośliwie zauważył, że to raczej niemożliwe, ponieważ w ciągu czterystu lat znanej historii liturgię zmieniano kilkakrotnie, więc za sprawą izolacji kulturowej znaczne różnice musiały się pojawić. Potem dyskusja zoczyła, na krótko tylko, na tematy związane z szansą na powrót cygara. Tu włączył się Dormer i, w swoim optymistycznym stylu, zapewnił wszystkich, że cygaro jest sprawdzone i niezawodne. Akurat!

Semiutys poruszył sprawę nadziei, jaką odkrycie Podziemian może wzbudzić w całym społeczeństwie, na co Dreyny od razu odpowiedział, że to może być nadzieja destrukcyjna, szczególnie w świetle wydarzeń ostatnich dni, więc lepiej, żeby jej nie

było wcale.

Wreszcie głos znów zabrał Sanran, reprezentujący poglądy najbardziej chyba zbliżone do poglądów gubernatora. Powiedział, że każda zdobyta informacja będzie miała przełomowe znaczenie, więc za najważniejsze należy jednak uznać bezpieczny powrót cygara i to wraz z pilotem. Nawet najbardziej szczegółowe informacje, jeśli nie wrócą do Herlanu, będą przecież zupełnie pozbawione znaczenia. Dreynty przysłuchiwał się temu, pukając jedynie piórem w papier. Tak więc, ciągnął Sanran, należy nakazać badaczowi zachowanie najwyższej ostrożności, robienie fotografii i notatek, i chronologiczne ich ułożenie, na wypadek, gdyby statek miał jednak wrócić sam.

Dość tego! Jonathan rzucił instrukcje na podłogę i położył się na pryczy. Banda ograniczonych tępaków! Każdego obchodzi tylko jego własny wycinek. A Thomedos, jedyny człowiek, który patrzył na to z góry, nie napisał ani słowa.

Nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie o dwóch postaciach, które sfotografował w spadającym windowcu. Dlaczego się wyczepili? Zrobili to celowo, nie miał wątpliwości. Ale może niepotrzebnie się dziwił. Teraz robił to samo. No, prawie to samo, bo z teoretyczną szansą na powrót.

Leżał kilka minut, gapiąc się w małą lampkę do czytania, wystającą ze ściany, i w sufit, pełen guzowatych nitów. Ciekawość wzięła jednak górę nad złością. Pozbierał więc kartki i wrócił do ciętej riposty Semiutysa, który udowadniał przez pół strony, że takie asekuranctwo to zwykła głupota. Jeśli nie chce się przeprowadzić dokładnych badań, to można ich od razu zaniechać i przyjąć za prawdziwe bajki ze świętych ksiąg. Chronologię dalej dawało się rozszyfrowywać swobodnie, bo kolejny zapis Elefteriadesa musiał być odpowiedzią na te obrazoburcze zaczepki. Tym razem kapłan był poważnie wzburzony, bo jego pismo stało się zamaszyste i bardziej pochylone. Pod koniec akapitu pojawił się nawet pomysł zaczopowania wszystkich miejsc, gdzie spod ziemi przebija błękit nieba i wymazania całej sprawy z historii. Sanran trafnie zauważył, że już zbyt dużo ludzi o tym wie, by sprawę dało się wyciszyć. Lomar wspomniał, że wobec tego warto by się już teraz zastanowić, co powiedzieć ludziom, zależnie od wyników ekspedycji. zaproponował stworzenie kilku scenariuszy i opracowanie gotowych wersji propagandy do każdego z możliwych wyników. Sanran (pociągając z kufła, sądząc po jednym, niewyraźnie napisanym wyrazie) odparł, że to całkowicie bez sensu, bo wersje mogą być tysiące, więc lepiej zająć się czymkolwiek, tylko nie tym. Tutaj rzecznik złośliwie poddał pomysł, by tym czymś było spicie się do nieprzytomności już o poranku, ale nie zdołał wyprowadzić tym doradcy z równowagi, bo na kartce Sanrana nie było żadnej odpowiedzi.

Pionowe drgania oderwały Jonathana od lektury. Wyjrzał przez okno. W górę, w niesamowitym tempie, umykały chmury. Zmiany gęstości powietrza, nic niezwykłego. Zerknął jeszcze w okular spodniego wizjera, potem górnego, ale nie dojrzał nic



**niepokojącego.**

**Z trudem przebrnął przez kilka kolejnych stron. Monotematyczny Merging upierał się, by z bezpiecznej odległości przeprowadzić chociaż skromny wywiad gospodarczy. Może dałoby się załadować do cygara próbki towarów od chętnych kupców? Semiutys znudzonym charakterem pisma zauważył, że skoro w dole widać tylko błękitne niebo, to kraina Podziemian, jeśli w ogóle istnieje, musi znajdować się w znacznej odległości, co raczej uczyni handel bardzo nieopłacalnym. Na to niezmordowany Merging odparł, że wobec tego trzeba stworzyć stację turystyczną kolei linowej i zarabiać na biletach. Może nawet kilka stacji dałoby się wykuć. To chyba ostatecznie zniechęciło astrofizyka do jakiegokolwiek dyskusji, bo dalszą część jego kartki wypełniały już tylko abstrakcyjne rysunki i kilka wykrzykników. Tylko na samym dole widać było malutki dopisek „myśl sam”. Powstał w momencie, gdy Jonathan już wszedł do gabinetu. Może więc napis był skierowany tylko do badacza? Wówczas byłaby to sugestia, by wszystkie powyższe zapiski naprawdę traktować w kategoriach rozrywkowych.**

**Jonathan miał zamiar tak właśnie zrobić, nawet bez tej zachęty. Był szczęśliwy, że zostawił wszystkich tych przemądrzalców wysoko ponad sobą.**

**W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu słyszy wolno narastający świst. Odłożył papiery i wstał. Do świstu dołączyły delikatne drgania, które powoli zaczęły przechodzić w wyraźne wibracje podłogi. Zszedł po drabince na sam dół. Nasłuchując znalazł szybko źródło hałasu. Łożysko!**

**Cygaro posiadało trzy potrójne zestawy rolek, obejmujących linę. Razem było dziewięć rolek, opartych na łożyskach kulkowych i sprężynach. Przed startem, w momencie zamykania obu połówek cygara, sprężyny napinały się, eliminując wszelkie luzy. To było konieczne, żeby przy dużych prędkościach łożyska nie wybijały się oraz żeby zapobiec poślizgowi. Rolki służyły bowiem silnikowi do wciągania cygara w górę, a teraz dawały napęd pompom oleju, które były konieczne do uruchamiania wszystkich mechanizmów cygara, łącznie z hamulcami. Do zamknięcia kadłuba potrzebna była więc spora siła. Bez mocarnych ramion targacza, ciężko było to zrobić. Jonathan oddychał szybko i intensywnie myślał. Bez jakiegoś zastępczego mechanizmu było to niemal niewykonalne... Zapewne więc robotnicy poluzowali sprężyny, żeby łatwiej zatrzasnąć zamki... Dormer... Dormer! Ty stary draniu! Obiecałeś osobiście nadzorować zapięcie!**

**Schylił się i poczuł podmuch na twarzy. Przyświecił lampką. Ponad obudową łożysk, znajdowało się coś, czego na pewno nie powinno tam być: pionowa szczelina w miejscu łączenia osłony liny. Ci kretyni z kilofami nieźle się przyłożyli, skoro zdołali zepsuć geometrię prowadnicy – najmocniejszej części pojazdu! Tego nie da się tutaj naprawić. Szczelina sama w sobie nie była nawet groźna, ale świadczyła o odkształceniu całego szkieletu nośnego. Kto wie, co jeszcze z tego wyniknie. A**

łożysko z całą pewnością można było wymienić tylko na ziemi. Ile pociągnie w takim stanie? Badacz dotknął dłonią obudowy łożyska, przyśrubowanej do centralnej rury. Była gorąca.

Jeśli wróci teraz, czy Thomedos uzna to za zerwanie ich niepisanej umowy. Czy ukarze winnych i da tydzień czasu na naprawę uszkodzeń? Czy raczej wyciągnie z piwnicy zakurzoną gilotynę? Badacz przełknął ślinę. Czasu na decyzję miał coraz mniej, bo świst nadwyreżonego łożyska przechodził w coraz głośniejszy wizg. Miał tylko jedno hamowanie, więc pociągnięcie za hamulec było decyzją nieodwołalną. Wstał i uderzył pięścią w ścianę. Zawiniło wielu ludzi... Chronili własne tyłki, więc czemu teraz mieliby przestać? Zabiją go i przełożą gubernatorowi własną wersję... Dormer... Ty gnido... Ty stara, garbata gnido!

Może wystarczy przesiedzieć tu miesiąc? Zrobić kilka niewyraźnych zdjęć, wymyślić parę bajeczek. Prawda... był licznik przebiegu. Ale miesiąc to dość czasu, by nad nim popracować. W końcu sam go projektował.

Ze szczeliny w obudowie zaczął się wydobywać swąd przegrzanego metalu. Dość tego! Trzeba to przerwać, bo inaczej łożysko eksploduje. Jonathan wbiegł na górę, wskoczył na fotel i przypiął się pasem. Zamknął oczy i w myślach powtórzył procedurę. Wszystko trzeba było przeprowadzić w maksymalnie krótkim czasie, żeby szczęki nie zdążyły się zedrzeć do końca. Nie można było też szarpać, żeby ich nie wyłamać. Odbezpieczył dźwignie i położył na nich dłonie. Ciśnienie oleju w normie, wszystko w porządku, jeśli nie liczyć coraz silniejszych wibracji kadłuba. Można zaczynać. Najpierw lewą ręką pociągnął mniejszą dźwignię hamulca aerodynamicznego. Ciśnienie oleju wzrosło, a klapy w górnej części kadłuba zaczęły się otwierać, wypełniając wnętrze pojazdu hukiem pędzącego powietrza. Badacz poczuł siłę, wciskającą go w fotel. W myślach odliczał sekundy i patrzył na zegar prędkościomierza. Gdy wskazówka opadła o jedną czwartą skali, pociągnął główną dźwignię. Szarpnęło nieznacznie i do atakujących go dźwięków dołączył wysoki śpiew okładzin ciernych. Pięć sekund do maksymalnej siły hamowania. Wiedział, że musi to zrobić płynnie i precyzyjnie. Łączenia kadłuba jęknęły znajomo. Na razie idzie dobrze. Ciągnął do siebie dźwignie, czując jednocześnie, jak coraz mocniej zapada się w fotel. Powtarzał te czynności wielokrotnie i to go trochę uspokoiło. Cygaro zostawiało nad sobą smugę siwego dymu i zwalniało, emitując w Niebo kakofonię dźwięków.

Nagle dźwignia hamulca ustąpiła, opadając do końca. Jonathan podskoczył, gdy deceleracja osłabła do zera, a wizg hamulców ucichł. Jęknął, czując krótki nacisk pasa na biodra. Zaskoczony spojrział na zegary. Prędkość rosła, a ciśnienie oleju wolno spadało. Klapy hamulców aerodynamicznych zamykały się. Odpiął pas i zeskoczył z fotela. Potknął się, podbiegł do wskaźnika ciśnienia na ścianie. Tu wskazania też wolno spadały. Zaklął i zbiegł poziom niżej. To samo. Dopiero na środkowym poziomie wskazówka była na trzech czwartych skali. Jeden obwód to za

mało! Gorączkowo próbował sobie przypomnieć schemat instalacji hydraulicznej. Na wertowanie planów nie było czasu. Zbiegł na sam dół, potykając się po drodze o leżące na ziemi części do montażu turbiny powietrznej. But pacnął w coś wilgotnego i lepkiego. W świetle słabej lampki z przerażeniem stwierdził, że stoi w kałuży oleju. Spod klapy w ścianie wypływał spory strumień. To nie był zwykły przeciek, to wyglądało, jakby ktoś wyrwał cały przewód! Rzucił się do klapy i otworzył ją. Odskokzył, gdy w powietrze trysnął brązowy strumień. Trzy miedziane przewody były wygięte i rozerwane!

Na chwilę go zamurowało. Jak mogło powstać takie uszkodzenie? Przecież w nic nie uderzył! Zaraz... Poznał to miejsce! Tak! Usunięty spory fragment izolacji termicznej i niestarannie zaspawane poszycie maskowało bliźnę po uderzeniu w skałę. Ten stary obesraniec przysięgał, że to naprawił! Na przewodach wisiały smętne resztki gumy, którą pospiesznie obwiązano uszkodzone miejsca. Olej służył również jako chłodziwo. Odprowadzał ciepło tuż pod zewnętrzne powłoki kadłuba. Inaczej hamulce zapaliłyby się po kilku sekundach, a silnik spalinowy zatarł po kilkunastu. Jonathan wiedział o tym, a jednak zaufał Dormerowi, gdy ten zaklinał się, że wszystko sam sprawdził. Akurat! Połatał to tylko, skundlony zdrajca, żeby start nie opóźnił się ani o minutę. A starczyłyby jeszcze trzy, cztery dni, żeby to wszystko zrobić porządnie!

Wtedy zrozumiał jeszcze coś, co sprawiło, że poczuł na plecach zimny pot. Spojrzał na obudowę łożyska. Wibracje sprawiały, że zamazywał się obraz śrub mocujących. Olej, chlapiący na rozgrzany metal zaczynał dymić. W szczelinie rury przewodnicy pojawiły się pierwsze iskry. Trzeba odciąć dopływ oleju! I tak już się wylała połowa. Gdzie są te zawory?! Główny na środkowym poziomie, dziewięć przy wszystkich rolkach i dwa przy zbiornikach. Najpierw zbiorniki! Dopadł drabinki i w kilku susach znalazł się na środkowym poziomie. Wtedy coś huknęło i potężny wstrząs przewrócił Jonathana na ziemię. Z dołu strzeliły iskry i kawałki rozgrzanego metalu. Łożysko rozsypało się, a szczątki mechanizmu wklinowały się w przewodnicę. Jęk dartego metalu zlał się w jedno z hukiem płonącego oleju. Pół sekundy później płomień wyprysnął z otworu w pokładzie, jak z otwartego pieca hutniczego. Jonathan rzucił się do tyłu i zasłonił ręką od żaru.

Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Gapił się na płomień, wydobywające się z otworu i zaczynało do niego docierać, że to się dzieje naprawdę. Potem zrozumiał, że musi wskoczyć w płomień, by dostać się wyżej. I to natychmiast, zanim szczeble drabiny się rozgrzeją. Nie myśląc dłużej, rzucił się do drabiny, wbiegł na pokład główny i przylgnął do ściany, za solidną obudową kuchenki. Osłona liny dymiła i wolno się wyginała. Zostało kilka sekund, nim wszystko rozsypie się na kawałki. Cygaro zwałniało, a Jonathan słyszał, jak kolejne belki i wsporniki pod nim gną się, a węzły konstrukcyjne pękają. Słyszał strzelające nity i łamiące się spawy. Czuł, że zaczyna mu brakować powietrza. Wtedy wibracje nagle ustały. Jonathan otworzył oczy i zrozumiał: pojazd zatrzymał się. Kaszłąc, ruszył do wjazdu. Odblokował go i nacisnął klamkę. Drzwi z sykiem otworzyły się i impetem wyciągnęły mężczyznę na

**zewnątrz. Krzyknął i złapał się progę, czując na twarzy ognisty podmuch. Pożar przybrał na sile. Różnica ciśnień, przecież to oczywiste! Odwrócił twarz od żaru i spojrzał w dół. Pod stopami miał krzywizną kadłuba i nic więcej. Z nieba spadały odłamki, bębniąc o blachy. Ciągnęły za sobą smugi czarnego dymu i odlatywały w Niebo. Po linie ciekł płonący olej.**

**Badacz nabrał powietrza i wczołgał się do środka. Z trudem zatrzasnął drzwi i wdrapał się na górę, do sterowni. Znał konstrukcję cygara. Wiedział doskonale, że mimo zachowania kształtów zewnętrznych, pojazd jest już zniszczony. Nawet jeśli jakimś cudem udałoby mu się ugasić pożar, maszyny i tak nie dałoby się ruszyć z miejsca. Ale pożar był nie do ugaszenia, a na samym dole pełne zbiorniki paliwa zbliżały się do temperatury zapłonu.**

**W sumie co za różnica: spłonąć na Placu Zaufania, czy tu? Zaśmiał się ochryple i pokręcił głową. Sterownia powoli wypełniała się dymem. Założył mały plecak i przerzucił przez ramię worek. Dotknął czule oparcia fotela, ale na nic więcej nie było czasu. Wstrzymał oddech i zszedł do drzwi. Otworzył je, trzymając się framugi. Pożar ponownie zahuczał ze zdwojoną siłą...**

**Wychylił się i spojrzał w bezdenną przepaść. Plecy zaczynały go parzyć. Przełknął ślinę i postawił stopę na zawiasie. Ponaglany żarem, wspiął się na drzwi i dalej, na krawędź framugi okiennej. Przypomniawszy sobie, że w nowym modelu cygara planował lepiej spasować wszystkie elementy zewnętrzne, w celu poprawy aerodynamiki. Gorący dym opływał cygaro, drapiąc go w gardle. Zobaczył mroczki przed oczami, więc zatrzymał się na chwilę. Zaczepił tchu, korzystając z powiewu wiatru i piął się dalej. Na szczęście płyty hamulca aerodynamicznego nie zamknęły się całkiem, widać w jednym, nieuszkodzonym obwodzie utrzymało się szczątkowe ciśnienie oleju. Wspiął się aż na szczyt cygara. Z otworu przewodnicy wokół liny, jak z komina, bił gęsty, czarny dym. Jonathan wstrzymał oddech i złapał się liny. Miała grubość męskiego nadgarstka, więc łatwo można się było po niej wspinać.**

**W minutę dotarł poza zasięg dymu, zwiewanego lekkim wiatrem w bok, i zmęczenie kazało mu się zatrzymać. Kaszlał, wciąż czując w płucach opary płonącego oleju. Spojrzał w dół. Pokonał trzy wysokości cygara. Zaczął się zastanawiać, jaki zasięg będzie miał wybuch. Nieważne... Kula ognia i tak ruszy w górę, nim się dopali. Zaczął się wspinać, z każdym ruchem czując protest mięśni.**

**Po co ten worek? – pomyślał w pewnym momencie. Zaśmiał się niemal, ale worka nie wyrzucił. W końcu, jakie to miało znaczenie? Z workiem, czy bez, nigdy nie zdoła się wdrapać na górę, do Herlanu.**

**Przestrzenią wokół targnął potężny wybuch. Jonathan z trudem utrzymał wrywającą się z dłoni linę i spojrzał w dół. Fragmenty cygara odlatywały na wszystkie strony, wraz z płonącymi smugami. Drugi wybuch dokończył dzieła**

zniszczenia. Badacz w ostatniej chwili uchylił się przed lecącym fragmentem pokładu i owionęła go chmura gorącego powietrza i dymu. Ognista kula wypaliła się poniżej.

Wisiał jeszcze kilka chwil, skulony, z zaciśniętymi powiekami, czując, jak spadają na niego zimne już płaty sadzy. Wreszcie wszystko ucichło, a dym rozwiął się.

Otworzył oczy i spojrzał w dół. Lina była pusta.

## 22. Elektryczne oko

–Być może mamy czas tylko do południa – powiedziałem, patrząc na słońce, a raczej na miejsce, w którym powinno być. Nauczyłem się już odgadywać jego pozycję z niewielkich różnic jasności wody nad kopułą. Jeśli dobrze wytężyć wzrok, można było nawet dostrzec migotanie na krawędziach fal. Nim uderzyliśmy o wodę, przez moment widziałem fale z góry. Teraz wydawało mi się, że od tego czasu upłynął rok. Stałem z zadartą głową wśród falujących łąnów pszenicy. Poznałem nazwę tej rośliny, zebrałem nawet kilka dojrzałych nasion do szklanej fiolki. To z nich powstawał chleb.

–Tęsknisz do Nieba – stwierdziła Czarnowłosa, przyglądając mi się. – Chciałbyś tam wrócić?

–Tęsknię. – Pogładziłem jej włosy. – Ale nie chcę wracać.

Pocałowałem ją i ruszyliśmy w kierunku biblioteki. Miałem na ramieniu skórzany worek z moją księgą oraz przyborami do pisania. Można ufać swojej pamięci, ale najlepiej co ważniejsze rzeczy zapisać.

Do biblioteki wszedł garbaty mężczyzna. Zerknął na nas ukradkiem i sięgnął po jakąś księgę. Usiadł z nią w drugim końcu sali. Przerzucał stronicie dziwnie mechanicznie, jakby ich treść go nie interesowała. Zapewne wtedy powinien mi się włączyć w głowie alarm, ale nic takiego nie nastąpiło.

Her zajęła się przeglądaniem książki medycznej, opisującej leczenie za pomocą igieł. Odłożyła ją zaraz i otworzyła atlas anatomiczny. Porzuciłem moje „Konstrukcje podwodne” i zacząłem oglądać razem z nią przekroje przez ludzkie ciało i wyciągnięte wnętrzności. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się zbytnio nad tym, co jest wewnątrz człowieka. Przełknąłem ślinę i patrzyłem: mięso, jakieś przewody, rurki, sieci, zbiorniki. Jak w naszym starym mieście. Aż dreszcz mnie przeszedł.

Na następnej stronie był mózg. Mózg... to pomarszczone coś w mojej głowie... to byłem ja, a cała reszta ciała to jakby pojazd, wehikuł posłuszny mojej woli. Ja, czyli mózg, siedzę w głowie i popycham odpowiednie dźwignie, wprawiając w ruch skomplikowany mechanizm. Ciekawa myśl. Popatrzyłem na swoją dłoń. Naprawdę dziwne uczucie, wiedzieć, co jest w środku.

Na kolejnych stronach były powiększone rysunki włosa i jakiś małych kamyków wewnątrz żyły. Podane obok nazwy nic mi nie mówiły, a na studiowanie długich opisów nie miałem czasu. Zastanawiałem się nad tym, skąd można było wiedzieć, jak wygląda coś tak małego. Może dzięki przyrządowi podobnemu do teleskopu Sigga?

Serce pompuje krew, mięśnie poruszają ciałem, płuca służą do oddychania.

**Oddychamy, właśnie... Po co? Wcześniej wydawało się to oczywiste – oddychamy, żeby chłodzić krew. Jak się człowiek męczy i nagrzewa, od tarcia, chyba, między tymi wszystkimi mechanizmami pod skórą, to oddycha szybciej, a jak leży bez ruchu – oddech zwalnia. Po co więc oddychać pod wodą, skoro jest zimna? Z przyzwyczajenia? Sprawa byłaby prosta, gdyby ryby, częściowo podobne przecież ludziom, nie oddychały. Ale one oddychały, wyciągając powietrze z wody.**

**Nie dawało mi spokoju to oddychanie, chociaż jeszcze nie wiedziałem dlaczego. Podszedłem do regału z fizyką. Szybko znalazłem książkę „O powietrzu i ciśnieniach”. Pokazana w niej była zasada, na jakiej ładowano sprężonym powietrzem zbiorniki aquamobili. Używając odpowiedniej pompy, można było sprężyć powietrze tysiąc razy. Zbiornik można było przenieść w inne miejsce i rozprężyć zawartość, a nawet usunąć powietrze całkowicie. Tylko co wtedy zostaje w zbiorniku? To oczywiste pytanie zaskoczyło mnie. Przecież powietrze to było... nic. Chociaż... powietrze napierało na żagle i spadochrony miasta. „Nic” nie może napierać.**

**Zaskoczyła mnie też kolejna informacja: pełny zbiornik z powietrzem był cięższy od pustego, a sprężając powietrze coraz bardziej, można było zamienić je w ciecz, taką jak woda. Zbiornik zawierający „nic” stawał się minimalnie lżejszy od otwartego, zawierającego powietrze pod normalnym ciśnieniem. To „nic” nosiło nazwę „próżnia” i jej poświęcony był cały następny rozdział.**

**Spojrzałem na Her i zastanowiłem się. Dmuchałem w jej włosy, a włosy poruszyły się. Wiedziałem, że się poruszają, ale musiałem sprawdzić, żeby popchnąć myśl. Her uśmiechnęła się do mnie i wróciła do lektury. Przeszły mi ciarki po plecach – znajomy objaw kielkującej w głowie myśli. Teraz wystarczy zaczekać, aż dojrzeje. Wiedziałem, że jakaś część mego mózgu będzie nieustannie pracować, aż znajdzie rozwiązanie.**

**Na stronicę książki padł cień. Uniosłem głowę w momencie, gdy garbaty mężczyzna próbował z zamachu walnąć mnie w głowę czymś długim i metalowym. Uchyliłem się, a raczej moje ciało się uchyliło, nim ja sam zdążyłem się zorientować, że ktoś mnie atakuje. Spadłem, zsunąłem się z krzesła i usłyszałem krzyk Her. Szydłonóż sam wskoczył mi w dłoń. Zerwałem się, przewracając przy okazji ciężki stół za mną. Huk odbił się od przeszklonej kopuły biblioteki. Tamten zamachnął się ponownie. Trzymał w dłoni coś na kształt długiego na trzy stopy noża. Miecz, to się nazywa miecz, przemknęło mi przez myśl. Jego zacięta twarz wyrażała pełną determinację. Chciał nas zabić i był to jego cel nadrzędny. Negocjacje nie wchodziły w grę. Ciął z góry. Zablokowałem nożem, poleciały iskry. Ale cóż znaczy nóż wobec miecza? Rzuciłem się na niego, gdy brał kolejny zamach. Przewróciłem go, był lekki i niemal niezdamny. Miecz zadźwięczał na posadzce. Odepchnąłem od siebie rachityczne ramiona, pokonując przeciwnika od razu. Upadł na plecy, przerażony. Szydłonóż dotykał do jego szyi. Koniec walki.**

**Do sali wpadło kilka osób. Musieli usłyszeć krzyki Czarnowłosej. Wstałem, przyglądając się leżącemu garbusowi. Cały drżałem. To wszystko wydarzyło się jakby poza mną. Ostatnie kilka sekund pamiętałem jak przez mgłę.**

**Her chwyciła mnie za rękę i patrzyła przerażona na leżącego kalekę.**

**–Próba morderstwa – powiedział ktoś. – Paragraf dwudziesty ósmy punkt trzynasty Prawa. Kara śmierci...**

**–Nie! – krzyknęła Her, ale garbus jej nie słuchał. Uniósł miecz, dotknął szpicem do swojej szyi. Pół sekundy na zastanowienie, podsumowanie. Pchnął.**

**\* \* \***

**–Wpajają im to od dziecka – powiedziałem. Szliśmy pospiesznie w kierunku doków. – Porządek, prawo, stabilność. Wszelkie osoby z zewnątrz, choćby hipotetyczne, są zagrożeniem dla systemu. Poświęcił się garbus, kretyn, idealista.**

**Dopiero teraz poczułem startą skórę na plecach. To się stało, gdy przewróciłem stół. Wtedy nawet nie zauważyłem, mózg zignorował ten fakt jako nieistotny wobec poważnego zagrożenia. Przerzuciłem torbę na drugie ramię.**

**W parku dopadł nas Athor. Przez ramię miał przewieszoną płócienną torbę.**

**–Słyszałem, co się stało – oznajmił w biegu. – To było działanie bezprawne. Absolutnie bezprawne.**

**–Domyślam się – odparłem, ciągnąc Czarnowłosą za sobą. – Znalazłem brakujący element waszego systemu społecznego. Nie dawało mi to spokoju, ale już wiem.**

**–Nic nie wiesz! To nie jest element systemu!**

**–Ależ jest. Inaczej moglibyśmy tu mieszkać przez lata. Moglibyśmy robić dowolne rzeczy, każdy z obywateli mógłby robić cokolwiek i nikt by go nie powstrzymał. To właśnie taki garbus trzyma ten system w kupie!**

**–Nic nie rozumiecie! – wykrzyknął Athor. – Ten człowiek, to nie był żaden wysłannik... To efekt uboczny... Ludzie czasem zbyt dosłownie rozumieją prawo...**

**–Więc ich też należałoby ująć w tym prawie – zauważyłem. – Efekty uboczne systemu są częścią systemu.**

**–Zaczekajcie! – Athor chwycił mnie za rękaw. Patrzył na mnie, zastanawiając się nad tym, jak coś powiedzieć, żeby nie złamać prawa. Wreszcie wykrztusił. – Może zechcielibyście zwiedzić maszynownię kolonii? Nadłożylibyśmy nieco drogi...**



**Spojrzałem na niego zdziwiony, ale po chwili zrozumiałem.**

**–Garbus nie był jedynym, który zbyt dosłownie rozumie prawo? – zapytałem.**

**–Oficjalnie... – zawahał się. – Oficjalnie muszę zakładać, że wszyscy przestrzegają prawa. Bo przecież przestrzegają!**

**–Przecież widzieliśmy, że nie przestrzegają... A nieoficjalnie?**

**–Nie jesteśmy na polowaniu.**

**Zastanowiłem się i skinąłem głową.**

**–To jest wycieczka – oznajmił Athor. – Pragnę wam pokazać mechanizmy utrzymujące Mespaladię w niezmiennym stanie.**

**Rozejrzał się czujnie i wąską ścieżką powiodł nas w kierunku małego budyneczku, wyrastającego spomiędzy drzew. Widziałem go wcześniej, ale myślałem, że to toaleta publiczna. Drzwi były opatrzone jakąś tabliczką, której nie zdążyłem przeczytać, bo Athor otworzył je szybko, ponownie rozejrzał się czujnie i niemal wepchnął nas do środka. Po zamknięciu drzwi ogarnęły nas ciemności, które zaczęła rozpraszać jaśniejąca powoli kula pod sufitem.**

**Budynek okazał się być wejściem do podziemi – staliśmy na szczycie kręconych, kamiennych schodów. Wychyliłem się przez litą balustradę, ale widok w dół zasłaniał centralny słup, na którym wspierały się schody od strony wewnętrznej. Z drugiej strony wchodziły w mur, ułożony z grubych, porośniętych mchem, równo ociosanych kamieni.**

**Zeszliśmy w dół, nie licząc stopni. Kule, wmurowane w ściany zapalały się, wyczuwając nasz ruch. Pełną mocą jaśniały jednak dopiero, gdy zostawialiśmy je za sobą. Schody szły jeszcze dalej w dół, ale Athor skręcił w przesklepiony korytarz, odchodzący od krótkiego spocznika. Po kilku krokach doprowadził nas do skalnej groty wypełnionej dochodzącym zewsząd przytłumionym sykiem i kapaniem.**

**Kula, wisząca na linie u sklepienia, dopiero zaczynała dawać światło, więc nic jeszcze nie widzieliśmy. Czułem za to chłód i wilgoć w butach.**

**–Czy aby nie przyprowadziłeś nas tutaj – zacząłem cicho – bo sam również traktujesz prawo zbyt dosłownie?**

**Athor westchnął. Zapewne istniała prosta odpowiedź, ale nie mógł jej udzielić, nie łamiąc któregoś z paragrafów.**

**–Znajdujemy się pod kopułą Parku Równości – powiedział zamiast tego. – Przez**

liczne, niewidoczne szczeliny nowe powietrze dostaje się stąd do kopuły.

Kula wreszcie wydobyła z mroku wnętrze groty. Nie było tu zbyt wysoko, ale liczne przejścia między skalnymi filarami prowadziły do kolejnych grot. Nie wyglądało to na precyzyjną robotę, były to przestrzenie powstałe w wyniku... wydobycia czegoś. Mieszkańcy nie mogli przecież zbudować kopuł z tego, co spadło z Nieba. Wydarli więc surowce skale. Podszedłem do najbliższego filaru, zauważając wyryty na nim rysunek. Była to postać, uwięziona w klatce. Trzymała się pionowych prętów, jakby chciała je wyrwać z mocowań. W miarę, jak robiło się jaśniej, dostrzegałem dalszy ciąg rysunku. Linie prętów szły w górę, aż do sklepienia. Liny wertykalne...

Ruszyliśmy dalej, wzdłuż rur idących pod ścianami, w stronę gdzie rury te łączyły się w większe. Weszliśmy w równo wyciosany korytarz, przestronniejszy od poprzedniego i dotarliśmy nim do znacznie większej groty, pod sklepieniem której już paliły się kule świetlne. Rury szły do wielkich, błyszczących wilgocią cylindrów. Z ich wnętrza wychodziły popychacze, umocowane do jeszcze większych kół szprychowanych. Koła obracały się tak wolno, że ledwie zauważalnie. Przekładnie zębate i ginące w korytarzach osie doprowadzały napęd do tych maszyn.

Athor nie pozwolił nam dłużej przyglądać się pracy maszyn.

–Sugeruję pośpiech – powiedział, idąc szybkim krokiem dalej.

–Tu też nam coś grozi? – zapytałem, goniąc go. Słyszałem kroki Czarnowłosej tuż za mną.

–Tu nie...

–Potrafię nas obronić.

–Nie wolno ci – zaprzeczył Athor. – Jeśli zranisz napastnika, popełnisz przestępstwo.

–Nie wolno się bronić?

–Prawo jest dostateczną obroną.

–Tego garbusa to nie powstrzymało.

–Już mówiłem. Nie wolno mu było tego zrobić.

Pokręciłem z rezygnacją głową, ale Athor tego nie widział.

Szedł przodem, nie oglądając się.

–Nie możemy się porozumieć – powiedziałem. – Cóż z tego, że nie było mu wolno,

**skoro to zrobić?**

**–Prawo jest niezmiennie.**

**–To mi właśnie tu nie odpowiada. Żyjecie tu, jak uwięzieni w kryształach. Ale ten kryształ ma poważną skazę.**

**–Nie, prawda wygląda inaczej...**

**–Prawda, która została przegłosowana? Oficjalna prawda, która prawdą przecież nie jest.**

**Nie odpowiedział na to. Chwilę szliśmy w milczeniu.**

**–Czy w innych koloniach obowiązują te same prawa? – zapytałem.**

**–Bardzo podobne...**

**–Zapewne w inny sposób dokonali skrótu tej samej, oryginalnej księgi – wtrąciła Her. Ścisnęła moją dłoń i szła teraz obok mnie.**

**–Gdzie powinniśmy płynąć? – zapytałem.**

**–Najbardziej na zachód wysunięta, znana nam kolonia nosi nazwę Puerla – powiedział nasz opiekun. – Utrzymuje kontakty z następnymi koloniami, których my nie znamy.**

**–To jest ich więcej? – zdziwiłem się.**

**–Sądzę, że jest ich bardzo dużo, ale o tych dalszych niczego nie wiemy.**

**–Mogę uroczyście oświadczyć, że przybyliśmy z innej kolonii – powiedziałem. – Wtedy w świetle waszego prawa, znów my będziemy winni, a wasz senat ocaleje.**

**–Nie wolno kłamać. – Athor obejrzał się na nas. – My nie kłamiemy.**

**Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem. Kolejnym korytarzem doszliśmy do groty pełnej cylindrycznych, ustawionych pionowo zbiorników i podłączonych do nich wiązek cienkich, miedzianych rur. Domyśliłem się, że są to zbiorniki sprężonego powietrza dla aquamobili. Jak się okazało chwilę później, miałem rację. Krętymi schodami wspięliśmy się na poziom podłogi kopuły portu. Wyszliśmy z małej przybudówki przy głównym budynku portu. Przy jednym z doków kłębił się tłum. Z drugiej strony portu leżało, rozbierane na kawałki, nasze miasto. Zatrzymałem się i przyjrzałem mu się uważnie.**

**–Ten wasz świat wcale nie jest taki idealny – powiedziałem. – Jeśli nikt tu nie**

**kłamie, to skąd znacie słowo „kłamać”? Dlaczego tamci ludzie tak szybko zjawili się w bibliotece?**

**Popatrzył na mnie uważnie.**

**–Zmieniliście zdanie, co do terminu wypłynięcia. Przestraszył was ten szaleniec, czy też przeczytaliście już wszystkie księgi?**

**–Niszczę wszystko, czego się dotknę – odparłem. – Nie chcę i tu pozostawić po sobie blizn. Jeśli znikniemy, zniknie też problem, prawda? Dlatego przecież senat nas skazał. Dlatego zaatakował nas garbus. Chciał usunąć skazę z kryształu, ale to on był tą skazą. Jej częścią.**

**Athor patrzył na mnie, a ja na niego. Przechodnie omijali nas sporym łukiem. Plotka rozeszła się szybko. Byłem ciekawy, jak zaczęliby nas traktować, gdyby było już południe. Czy wtedy wszyscy ci uczciwi i praworządni obywatele rzuciliby się na nas jednocześnie?**

**Na ramieniu miałem torbę z księgą. Ból pleców powrócił.**

**–Chciałbym jeszcze raz zobaczyć nasze miasto – powiedziałem.**

**Było jeszcze trochę czasu, więc Athor nie protestował. Nadłożyliśmy nieco drogi, obchodząc wielki budynek portu. Z dołu dochodziły odgłosy metalicznych uderzeń. Wziąłem Czarnowłosą za rękę i zeszliśmy na dno doku. Athor został na górze, nie chciał pewnie ryzykować wchodzenia do miasta, bo spora część podłóg była już wymontowana. To, co się tam działo, nie przypominało rozbiórki, tylko planowe niszczenie. Mężczyźni z młotami gięli blachy przepierzeń, tłukli lampy, inni cięli piłami belki konstrukcyjne. Zacisnąłem usta. Wiedziałem, że sprzeciw byłby na nic. Błyszczący potem mężczyźni usuwali się nam z drogi. Omijaliśmy ich w obawie, żeby któryś nie powtórzył wyczynu garbusa. Przyglądali się nam, ale z ich twarzy nie mogłem wyczytać nawet zwykłej niechęci. Wykonywali po prostu decyzję senatu.**

**Pomagając sobie wzajemnie, dotarliśmy na pokład główny i rozejrzeliśmy się. Dotknąłem kory Drzewa. Już nie było w nim życia. Na nagich gałęziach ocalał jeden żołądź. Nie zastanawiając się, zerwałem go, zawinąłem w chustę i włożyłem do torby. Ledwie odeszliśmy kilka kroków, donica pękła na pół pod ciosem młota. Ziemia sypała się przez pokłady, a robotnik przyglądał się, jak Drzewo upada.**

**Weszliśmy na pokład dowodzenia. Elektryczne oko! Nie zdążyli go zniszczyć. Wyciągnąłem je z zagłębienia w regulatorze, położyłem na dłoni i przyjrzałem mu się. Może był to tylko zbędny ciężar, może coś więcej. Nasz kapitan drogo się na nie wymienił, a Ptasznik wykradł drugie takie samo podstępem. Może oko służyło do czegoś więcej, niż do wykrywania burz, które i tak przecież były widoczne z dużym wyprzedzeniem. Ostatni raz oparłem się o pulpit regulatora. Dotknąłem wszystkich**

dźwigiemek i przejechałem dłońmi po wyslizganych poręczach. Mój wzrok ponownie padł na wgłębienie nieco z boku. Obróciłem w dłoni elektryczne oko i, tknięty nagłym impulsem, na powrót wetknąłem je w otwór. Rozjarzyło się czerwienią, a w głębi regulatora coś kliknęło i zaczęło wolno cykać. Zaskoczony cofnąłem się o krok. Na ekranie pojawiła się nieostra czerwona kreska.

Nie widziałem wcześniej, by wyświetlał coś takiego.

–Wskazuje chyba kierunek... – powiedziałem, gdy Her stanęła obok.

Gdzieś z tyłu doszło nas przeciągłe trąbnięcie oznajmiające, że statek zaraz odpływa. Wyjąłem oko i schowałem do torby. Cykanie wewnątrz regulatora zwolniło, wreszcie ustało, a kreska rozmyła się. Cofnąłem się, widząc zbliżającego się robotnika. Wziął potężny zamach i łupnął młotem w środek ekranu. Odprysk odleciał w przestrzeń, ale szkło okazało się mocniejsze, niż sądziłem.

Nie chcieliśmy tego oglądać. Zbiegliśmy na dół doku i po schodach dotarliśmy do niecierpliwącego się Athora. Gdy odchodziliśmy, młot wreszcie pokonał szkło. Robotnik cofnął się zaskoczony, bowiem z wnętrza regulatora chlapnął na niego czarny olej. Uśmiechnąłem się pod nosem, ale wolałbym, żeby cała pocięta konstrukcja przygniotła tych niszczycieli swoim ciężarem.

Athor szybkim krokiem poprowadził nas w kierunku przeciwległego doku.

Nagle zatrzymałem się.

–Statek odpłynie za dwie minuty – ponaglił mnie Athor.

Her milczała, obserwując mnie uważnie.

–Zastanawiam się... – zacząłem. – Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy wziąć małego aquamobilu.

–To niestety niemożliwe – powiedział szybko Athor, zerkając do następnego doku, gdzie obsługa zamykała włązy i odłączała przewody.

–Powiedzmy, że aquamobil jest ceną za to, że weźmiemy na siebie winę i ocalimy wasz senat.

–Takie targi są bezprawne! – oburzył się, ale jego spojrzenie stało się nagle dziwnie bystre. – Nawet sama propozycja – Spróbujmy więc półsłówkami – przerwałem mu. – Są tu tak popularne. Czy senat chciałby, żeby prawda wyglądała tak, że przybyliśmy z innej kolonii?

–Z pewnością – przyznał ostrożnie. – Byłem dziś rano na polowaniu z kilkoma

senatorami. Niczego nie upolowaliśmy... ale dużo rozmawialiśmy. Senatorowie zgodzili się, że taka prawda byłaby... najlepsza.

–Wtedy kara śmierci przestałaby obowiązywać, a wszystko wróciłoby do stanu sprzed naszego przybycia?

–Zgadza się...

Spojrzałem w bok. Widziałem tylko kawałek statku pasażerskiego, ale to wystarczyło, by docenić jego wielkość. Odczekałem jeszcze kilka sekund. Teraz było już za późno by wsiąść.

–Pokażesz mi jak się steruje? – zapytałem.

–Jesteście tego pewni? Możecie się zagubić. Spojrzałem na Her. Wolno skinęła głową.

–Tylko wsiądziemy – powiedziałem – a ty pokażesz nam, jak się steruje. To chyba dozwolone. Potem wyjdiesz, zostawiając nas bez opieki najwyżej na chwilę.

Patrzył na mnie, uśmiechając się smutno.

–Ten popłynie najdalej. – Athor wskazał aquamobil o połowę większy od tego, którym mnie przewiózł. Stał w dużym doku, obok kilku innych. – Powiedzcie mi tylko, dlaczego tak wam zależy na naszym senacie?

–Mam dość niszczenia. – Wzruszyłem ramionami. – A co będzie z tobą?

–Ja spędzę tydzień w areszcie, bo zostawię was bez nadzoru. Świadomie.

–To już postanowione?

–Nie, to się dzieje automatycznie.

–Nie wyglądasz na zmartwionego...

–To moja praca – wyjaśnił. – Jestem opiekunem dla podobnych wam. Mam własną celę, która jest moim drugim domem.

Pokiwałem głową. Zeszliśmy do wnętrza doku.

–Jak często wypływacie na powierzchnię? – zapytałem.

–Nigdy. – Teraz zdziwił się szczerze. – To też zabronione prawem. Po co wypływać?

–Żeby zobaczyć, co jest dalej. Po powierzchni można by płynąć znacznie szybciej.

**Opór wody byłby mniejszy.**

**–Istnieje stara legenda, mówiąca, że płynąc w dal, można dotrzeć do krańca świata i spaść.**

**–Spaść? – powtórzyłem zaintrygowany.**

**–To tylko taka legenda. – Wzruszył ramionami. Patrzył na mnie wyczekująco.**

**Zreflektowałem się po sekundzie.**

**–Oświadczam, że przybyliśmy tu z innej podmorskiej kolonii – powiedziałem uroczyście.**

**Uśmiechnął się z ulgą, wszedł na aquamobil i odkręcił blokadę wjazdu. Otworzył klapę i spojrzął na nas. – Chodźcie. Zanim zmienię zdanie.**

**Pospiesznie weszliśmy za nim na pokład, a potem do wnętrza szklanego bąbla kabiny. Było tu więcej przestrzeni niż w poprzednim pojeździe, a między fotelami a tylną ścianą z metalu było nieco miejsca na bagaż.**

**Athor zajął jeden fotel, a ja usiadłem na drugim. Dziewczyna usiadła mi na kolanach, objęła mnie ręką za szyję i podziwiała podwodną część doku, inne pojazdy i małe rybki, które tu się zapuściły.**

**–To jest koło sterowe – zaczął tłumaczyć Athor. – Gdy kręcisz w prawo pojazd skręca w prawo, gdy kręcisz w lewo, skręca w lewo. Popychając i pociągając, regulujesz głębokość. Pojazd sam wyrówna ciężar, wypuszczając lub wciągając wodę balastową. Balastem można też sterować ręcznie. Podczas dłuższej podróży najlepiej płynąć na stałej głębokości, blokując balast tą dźwignią, by oszczędzać energię. Bez potrzeby nie przekraczajcie... nie należy przekraczać połowy prędkości. To też marnowanie energii, a po dłuższym czasie zawory mogłyby zamarznąć.**

**Pokazał nam zastosowania kilkunastu dźwigni i pokręteł oraz wytłumaczył, co wskazują zegary. Było ich więcej, niż w poprzednich dwóch aquamobilach, które widziałem. Wyrastały przed nami na skomplikowanej plątaniu mosiężnych rur. Kilka mniejszych było umocowanych do nitowanego pierścienia, łączącego szklaną bańkę z metalowym kadłubem. Największy zegar, umieszczony poziomo, był kompasem. Grot, wykutej z cienkiej blachy wskazówki, pokazywał zawsze północ. Nad nią była jeszcze druga, mniejsza wskazówka, ale jej przeznaczenia Athor nie znał.**

**Nie wiedziałem, co z tego zdążyłem zapamiętać, a o czym tylko myślałem, że pamiętam. Wreszcie wyciągnąłem księgę, poprosiłem Athora, by wszystko powtórzył i poświęciłem całą stronę na szkic i opisy. Dopiero wtedy zyskałem pewność, że wiem co jest czym.**

**–Dziękujemy za wszystko. – Ścisnąłem mocno dłoń naszego opiekuna. Her pocałowała go w policzek. Mężczyzna wyraźnie się wzruszył i, chcąc to ukryć, pospiesznie wyszedł z kabiny. Po chwili jednak nachylił się i włożył do środka płócienną torbę.**

**–Oddacie zaraz, jak już skończycie oglądać pojazd – powiedział.**

**–Dziękujemy – powtórzyłem. – Oddam za chwilę...**

**–Powodzenia, gdziekolwiek dotrzecie – powiedział jeszcze i zamknął właz. Zapomniał się ze słowami, ale w zdenerwowaniu nie zwrócił na to uwagi.**

**Zaczekałem aż zakręci blokadę, zejdzie na nabrzeże i odwiąże cumy. To było więcej, niż pozostawienie nas bez opieki na chwilę. Delikatnie przesunąłem dźwignię sterowania balastem i aquamobil zaczął się zanurzać. Nie miałem żadnego wyczucia i, bojąc się przesadzić, robiłem wszystko bardzo powoli. Przesunąłem dźwignię prędkości i śruba zaczęła się obracać. Zgrzytając zębami z przejęcia, obróciłem koło sterowe i pchnąłem je nieco. W niewielkim zakresie można było zmieniać głębokość, nie ruszając balastu. Nie machałem Athorowi, zrobiła to za mnie Her. Ja skupiłem się na tym, by nie uderzyć w ścianę. Wątle światło bijące z czterech kulistych lamp, umieszczonych wokół kabiny z trudem rozpraszało mrok tunelu, jednak udało mi się bez otarcia wypłynąć na wolną przestrzeń.**

**Her westchnęła, chwytając mnie za dłoń. Nie bała się, była zachwycona widokiem. Mnie też fascynowało pagórkowate dno stanowiące nieznaną nam wcześniej granicę, za którą nie mieliśmy wstępu.**

**Z prawej strony mijaliśmy aquamobil, na którym powinniśmy się teraz znajdować. Płynął bardzo powoli, zapewne tak blisko kopuł celowo się nie rozpędzał. Wrzecionowaty kształt wyglądał dosyć ponuro, powoli sunąc nad dnem. Wzdłuż burty świecił mdło rząd wypukłych okien. Z niektórych machały do nas dzieci. Skręciłem w przeciwną stronę niż statek. Zobaczyłem jeszcze cztery duże śruby obracające się powoli.**

**Podpłynąłem do mocowania najbliższej liny. Wychodziła z dna i szła w górę idealnie pionowo. Obejrzelśmy z bliska to miejsce. Wchodziła po prostu w piaszczyste dno. Prąd wody wygrzebał wokół mały dołek.**

**Zapominając o kompasie, oceniłem pozycję słońca, na ile było to możliwe spod wody, i ustawiłem ster na zapamiętany kurs.**

**\* \* \***

***Jak na pierwszy raz, chłopak doskonale poradził sobie z maszyną. Stałem długo w doku numer siedem i patrzyłem w czarny wylot tunelu. Czułem, że będzie mi ich***



***brakować i... zazdrościłem im. Nawet jeśli mieli zginąć. Tak, zazdrościłem im.***

***Teraz przyda mi się trochę spokoju i czasu na przemyślenia. Będę myślał o dzieciach, które nie bały się nieznanego. Zazdrościłem im, oczywiście tylko nieoficjalnie. Oficjalnie miałem przecież popełnić samobójstwo.***

## 23. Jak wrócisz, głoś prawdę

Niebo było nad nim, Niebo było pod nim. Niebo otaczało go ze wszystkich stron. I nie istniało nic więcej.

Próbował na przemian rozluźniać palce prawej i lewej ręki, oplatać linę nogami na inny sposób, ale za kolejnym razem stwierdził, że każda zmiana jest na gorsze. Zamknął oczy i oparł się czołem o linę. Oto senny koszmar, który stał się rzeczywistością.

–Czego się spodziewałeś?! – krzyknął, po czym dodał ciszej. – Trzeba było wybrać spokojniejsze zajęcie. Stolarz to ma życie...

Zastanawiał się, jak długo wytrzyma. Rozglądał się po błękitnym Niebie bez jednej chmurki. Liny poruszały się niezwykle wolno, sunąc ledwo zauważalnie w różne strony. Jedyni aktorzy bezkresnego teatru. Widział zaledwie kilkanaście najbliższych lin, te bardziej odległe zlewały się z Niebem. Wszystkie znikwały w dole i w górze.

Lepiej było uciec, gdy jeszcze mógł. Ścigaliby go, ale może zdołałby się ukryć w Mar Numess, albo w którejś wiosce przy południowej skrajni. Żyłby jak pustelnik, ale zawsze byłoby to życie. Kto wiedział?... Ba! Jonathan musiał przyznać, że sam trochę chciał lecieć. Może więc trzeba się było targować o terminy, postawić sprawę na ostrzu noża: startuję, jak uznam, że wszystko jest gotowe, albo nie startuję wcale. Teraz łatwo tak sobie gdybać...

Powierzchnia liny nie była ani zimna, ani ciepła. Zdawała się nie mieć temperatury. Była doskonale przyczepna, pozwalała nie wkładać dużej siły w zaciskanie dłoni. Jednak te i tak się męczyły.

„Jak wrócisz, głoś prawdę”, przypomniał sobie zdanie wypowiedziane przez tajemniczą kobietę tamtej nocy.

Nie wrócę, odpowiedział w myślach. Chyba, że ona miała na myśli „jeśli wrócisz”. Jak się zastanowić, to nawet bardziej prawdopodobne. Zresztą, druga część zdania też się nie zgadzała. Chcą zrobić rewolucję, głosząc prawdę? To niedorzeczne. Rządzić i mówić prawdę... tak się zwyczajnie nie da, a rewolucja to tylko wymiana jednego systemu kłamstw na inny.

Tak więc, nieznajoma podwójnie życzyła mu niepowodzenia.

Czy to jeszcze logika, czy już panika?

Worek... Trzeba było go rzucić od razu! Zostałoby więcej siły, by trzymać się jeszcze kilka minut. Może więc rzucić go teraz? Ale to by oznaczało, że całe

dotychczasowe trzymanie było pozbawione sensu. Również te kilka utraconych awansem chwil życia, było stracone na marne. Jonathan zaczął się zastanawiać, czy nie dałoby się z tego worka zrobić jakiegoś wiszącego siedziska, które przywiązane do liny, dałoby odpoczynek mięśniom. Doszedł jednak do wniosku, że wcześniej musiałby puścić się liny, więc całe przedsięwzięcie traciło sens. I tak będzie ją musiał puścić, i to dosyć prędko. Może za pięć, może za dziesięć minut. Przydałby się teraz spadochron, którego zasadę działania naszkicował kilka lat temu: zbiornik ze sprężonym gazem i zwinięty balon.

Dobrze, że nie mam rodziny, bo z żalu nad samym sobą chyba bym się rozplakał. Tak przynajmniej zginę, nie czyniąc nikomu... kłopotu.

Chyba już pora... Odliczył do trzech, ale palce nie chciały się rozewrzeć – było w nich jednak jeszcze trochę siły. Więc może jeszcze ją wykorzystać i powiesić? Przełknął ślinę i uspokoił oddech. Przypomniała mu się Hotti i ich synek. Ją pamiętał dokładnie, tak mu się przynajmniej zdawało, jego już wcale. Jak zginęli? Zacisnął powieki. Odepchnął się od liny, ale znów nie zdołał jej puścić. Zjechał tylko kawałek niżej. Zacisnął zęby i wreszcie rozluźnił palce. Poczul wiatr we włosach. Ubranie zaczęło furkotać, a worek próbował uciec do góry. Spojrzał w dół. Pęd powietrza wepchnął mu oddech do gardła. Oczy zaczęły mu łzawić, więc odwrócił głowę.

Z zaskoczeniem stwierdził, że prawie przestał się bać. O ile mógł wyczuć prędkość z siły wiatru na twarzy, stwierdził że po kilku sekundach przestał przyspieszać. Podstawa, to nie wpaść na którąś linę... Właściwie to czuł w tym momencie raczej ulgę. Rozmasował dłonie, ale po chwili rozłożył je, odruchowo próbując złapać się powietrza. Z zaskoczeniem stwierdził, że może kierować swoim spadaniem. Wykonał kilka fikołków, potem łagodnym łukiem okrążył najbliższą linę. Wyobraził sobie, że nie spada, tylko unosi się swobodnie, co nie było szczególnie trudne przy braku punktów odniesienia. Wiedział, że całe to spadanie za jakiś czas stanie się nieznośne, ale na razie starał się o tym nie myśleć. Obrócił się na plecy i zgiął lekko nogi, jakby sadowił się w niewidzialnym leżaku. Może nawet da się tak spać?

Wleciał w chmurę, która przemoczyła go w kilka chwil. Poczul, że marznie, ale na to też nie mógł nic poradzić. Przypomniał sobie, że w plecaku miał zapas jedzenia i sporą butlę wina. Piknik w przestworzach, pomyślał, uśmiechając się smutno. Kompletnie irracjonalna sytuacja. Nic mi nie wychodzi, nawet umrzeć nie potrafię porządnie.

Przynajmniej, miał wolny czas na rozmyślenia. Oswajał się też powoli z myślą, że umrze. Śmierć... cóż to znaczy? Koniec kłopotów. Spokój. Wieczny spokój. Cisza, ciemność, niebyt. Czy tego chciał? Nie był tego do końca pewien. Chciał końca kłopotów, to pewne. Chciał też zobaczyć utraconą rodzinę, ale wiedział, że to niemożliwe.

**Coś się jednak zbliżało z dołu. Kolejne chmury śmignęły w górę, mocząc go ponownie. Wreszcie wszystkie zostały w górze. Wtedy Jonathan zobaczył coś, co z pewnością nie było Niebem. Granatowobłękitna, bezkresna powierzchnia falowała łagodnie.**

**–Woda – powiedział na głos. Nie ma więc żadnych Podziemian. Przynajmniej nie ma ich tu. Odwrócił się na plecy i spojrzał w szybko oddalające się chmury. – No to macie ten swój kontakt! – krzyknął. – Tę swoją wymianę handlową, wycieczki i import ziemniaków! Durnie! Nie będzie żadnej inwigilacji teleobiektywem! Niczego nie będzie! I nigdy nie dowiecie się, co się stało!**

**Zaczął się śmiać ze złości i odwrócił się ponownie. Zaklął pod nosem i spróbował sobie przypomnieć, jak się pływa. Potem jednak przypomniał sobie o czymś innym: woda przy tej prędkości będzie twarda jak beton.**

**Zamknął oczy.**

## 24. Światła w głębinach

Pod koniec dnia nie było już tak przyjemnie. Monotonne, pagórkowate dno, na przemian z bezdenną otchłanią ciągnęły się w nieskończoność. Skały uczezione lin jak koraliki gigantów, mniejsze i większe, pagórki wyższe i niższe, łagodniejsze i bardziej strome. Z rzadka ustępowały miejsca większym równinom. Ławice ryb i pojedyncze dziwadła, wciąż nowych kształtów, mijaly nas lub wyprzedzały.

Her spała skulona w swoim fotelu, a ja obserwowałem wodę przed nami, zerkając na zbliżającą się do ćwierci skali wskazówkę ciśnieniomierza.

Znów podążyłem za impulsem, za tym głosem, który był jednocześnie mój i nie mój. Czerwona linia... Przypadkowa aktywność uszkodzonych mechanizmów? Nie. Miasto było czymś więcej niż miejscem do mieszkania, a ten wewnętrzny głos już znałem.

Her poruszyła się i otworzyła oczy.

–Zastanawiam się, w jakim środowisku powinniśmy żyć – odezwałem się po raz pierwszy od kilku godzin. W ciasnym wnętrzu głos zabrzmiał obco. – Ludzie pod wodą poruszają się powolnie i niezdarnie, jeśli przyrównać ich do ryb. Nie potrafią też oddychać wodą. Widziałem pływających ludzi. Musieli co chwilę wracać po powietrze.

–Sądysz, że ludzie powinni żyć na granicy wody i Nieba?

–Her rozbudziła się do końca. – Na unoszących się na powierzchni miastach?

Też musiała nad tym myśleć.

–Na podwodnych skałach są pagórki – powiedziałem. – Któryś musi być tak wysoki, by sięgnął powierzchni. Nie wiem, czy to możliwe. Jeśli nie, to pozostawałyby pływające miasta, chociaż wydaje mi się, że cały czas by się bujały na tych falach.

–Wskazałem w górę na ciemniejszą powierzchnię wody. – Może udałoby się tak przerobić niebieskie miasta, by mogły pływać... Można by polować na ryby, a nie tylko czekać, co spadnie z góry.

Oni się nie wynurzali, my spróbujemy. Wypuściłem część balastu, pamiętając o oszczędzaniu sprężonego powietrza. Zatrzymałem śrubę i patrzyłem, jak powierzchnia wolno się przybliżyła. Robiło się coraz jaśniej. Mimo późnej pory musieliśmy zmrużyć oczy, od kilku dni przebywaliśmy przecież w półmroku. Po minucie zakołysało nami, a górny fragment kuli wynurzył się z wody. Otworzyłem włącznik i wyjrzałem na zewnątrz. Świeże powietrze. Dopiero teraz poczułem, że przez cały czas oddychaliśmy stęchlizną.

Usiadłem na brzegu wлізу i wciągnąłem Her, by usiadła obok. Morze falowało, ale z tak małej wysokości wyglądało to zupełnie inaczej. Woda, bliżej szarogranatowa, metaliczniała w oddali. Stąd wyglądała bardziej niepokojąco, niż spod powierzchni. Była zbyt ogromna, dzieliła świat na pół. Wrażenie było naprawdę przytłaczające. Czułem, jakbyśmy siedzieli na dnie wielkiego leja, a cała woda wokół, zatrzymana nieznaną siłą, czekała tylko, by na nas spłynąć. Wiedziałem, że to złudzenie, bo ocean wokół był płaski, jeśli nie liczyć łagodnych fal.

–Miałeś rację – powiedziała Her. – Nieustannie faluje. Bujamy się.

Spojrzeliliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać, choć przecież nie było nam do śmiechu. Słońce wisiało nisko. Zbliżała się pora gaśnięcia.

–Siedzą na dnie od czterystu lat – powiedziałem. – I nie wiedzą, jak tu jest.

–I będą siedzieć następne czterysta.

–Ale będą bezpieczni.

Bezpieczni. Tak, jak i my byliśmy bezpieczni w Niebie. Porzuciliśmy Niebo, zrezygnowaliśmy z bezpieczeństwa, potem odrzuciliśmy drugą szansę. Czyja sam zrobiłem pierwszy krok? Nie. Zaczęło się od zatrutego wina. A może zaczęło się od poznania Czarnowłosej? Dość, że bez tego pierwszego impulsu nadal latałbym sieci i dyskutował wieczorami z Siggim.

Czerwona kreska wskazała zachód. Nic więcej nie wiedziałem. Przypadkiem Her ukradła Ptasznikowi elektryczne oko, a ja przypadkiem włożyłem je w otwór w pulpicie. Może wielu przed nami próbowało tej drogi, tylko zatrzymywali się w połowie, albo ginęli na którymś etapie? Może to czekało i nas?

–Słońce tonie – zauważyła z zaskoczeniem Her. Odwróciłem głowę. Czerwona tarcza, rozplywając się w falowaniu, chowała się w ocean płynnego metalu.

–Słyszałam, jak podwodni ludzie nazywali porę gaśnięcia zachodzeniem. Może tam jest koniec oceanu i słońce zachodzi za ten koniec?... Tam spadały okręty powierzchniowych żeglarzy.

–Ale skoro ocean jest płaski, a słońce się za nim chowa, to znaczy że woda musi się wcześniej kończyć. To wyjaśnia, dlaczego słońce nie świeci od dołu na miasta niebieskie. Mam odpowiedź na jedno z moich pytań.

Tylko dlaczego przedtem, jak byliśmy jeszcze w Niebie, nocą widzieliśmy w dole gwiazdy. Jeśli tak, to ocean musi mieć swoje granice i to niezbyt odległe.

–Kiedyś musiało coś się stać – dodała Her. – Musiała nastąpić katastrofa, która

skłoniła wszystkich do tego, by zrobili świat takim, jakim jest i więcej nie próbowali niczego zmieniać.

Myślałem o tym, co powiedziała. Patrzyłem na słońce, aż zaboląły mnie oczy. Potem nie było już słońca, tylko jaśniejsza, różowawa luna i wąskie pasma chmur.

Strony świata: północ, południe, wschód, zachód. To tutaj powstały określenia stron świata od nazw pór dnia. Nie gaśniecie, tylko zachód! Byliśmy na dobrej drodze.

Liny wychodziły z wody i nikły w Niebie. Rzędy lin były oddalone od siebie o odległość równą średnicy naszego miasta z wysuniętymi napędami. W każdym z sześciu kierunków szła więc ażurowa aleja. Wokół nas, w oddali dawało się zobaczyć kilka szarawych słupów. Rozmyte imaginacje powstawały z nagromadzenia w jednym kierunku niemal idealnie pionowych lin. Wyżej efekt znikał. W miarę jak dryfowaliśmy z prądem, jedne słupy znikaly, by następne mogły się pojawić w innym miejscu.

Nagle coś wielkiego i czarnego wynurzyło się z wody wypuszczając w górę fontannę wody.

–Wskakuj! – krzyknąłem.

Her zwinnie wskoczyła do środka, a ja za nią. Zobaczyłem jeszcze grubą, błyszczącą łodygę zakończoną dwoma smukłymi liśćmi. Wyprężona, łagodnie zagłębiała się w wodzie. Zanim zamknąłem włącz, pierwsza fala chlapnęła mi w twarz. Aquamobil zabujał się mocniej.

Teraz zobaczyłem to coś w całej okazałości: to była ryba. Wielka ryba. Niemal tak wielka, jak statek, którym mieliśmy płynąć. Gapiliśmy się na powolnego olbrzyma, ciągnącego za sobą łańcuszki bąbelków powietrza.

Her wskazała za moje plecy. Odwróciłem się gwałtownie i zobaczyłem duże, czarne oko, przesuwające się za szkłem. Kolejna wielka ryba. Usiadłem w fotelu przygotowując się do ucieczki, ale olbrzymy nie były agresywne. Zobaczyliśmy jeszcze trzy sztuki leniwie oddalające się na północ. Wtedy usłyszeliśmy przeciągły dźwięk. Rozglądaliśmy się po ciemniejszej wodzie, próbując znaleźć jego źródło. Trwało chwilę nim zrozumieliśmy. Ryby śpiewały.

Nie potrafiłem określić, co mi przypomina ten śpiew. Brzmiał, jak echo bez pierwotnego źródła, jak wiatr wibrujący w otworze wielkiej rury. Nie, to nie tak – on był zupełnie inny. Był... piękny.

–Warto było tu dotrzeć, żeby to usłyszeć – szepnęła Her, kładąc głowę na moim ramieniu.

**Trwaliśmy w zasłuchaniu długo, aż cisza zastała nas w niemal całkowitej ciemności.**

**–Nie zanurzaj nas – powiedziała Czarnowłosa.**

**Nie zamierzałem. Nie chciałem też płynąć w nocy.**

**Nie było świateł miasta, nie było księżyca. Jak zdążyłem się zorientować, nasze oświetlenie działało tylko, gdy płynęliśmy. Podobnie jak sufity w salach podwodnego miasta, kule lamp reagowały na ruch. W tym wypadku – ruch wody.**

**Her jakimś cudem zasnęła, ale ja długo nie mogłem zmrużyć oczu. Rozglądałem się, ilekroć czułem kołysanie, które nie było spowodowane falami. Jakieś stwory, zainteresowane chyba nieznanym kształtem, krążyły wokół nas. Kilka razy w mroku zamajaczyły obłe kontury, ale większość tego co czułem, musiało pochodzić z mojej wyobraźni. Wreszcie zobaczyłem, wpatrujące się we mnie dwadzieścioro różnej wielkości czerwonych oczu, wystających z kostropatej głowy. Potem oczy zniknęły bezgłośnie z szybkim machnięciem macek. Wtedy zamknąłem oczy i nie otwierałem ich, nawet, kiedy słyszałem jak coś miękkiego ociera się o kadłub. Zasnąłem, słuchając dochodzącego z oddali śpiewu wielkich ryb.**

**\* \* \***

**Obudziło mnie świeże, morskie powietrze. Po nocnych koszmarach pozostało blade wspomnienie i niewyspanie. Czarnowłosa otworzyła już włącz i widziałem tylko jej nogi, majtające na tle Nieba.**

**Aby jej nie przestraszyć, ziewnąłem ostrzegawczo i wychyliłem głowę na zewnątrz. Schyliła się nade mną i pocałowała mnie w usta. Jej uśmiech znikł w białym blasku dnia – musiałem zmrużyć oczy. Poza kolorem Nieba, teraz doskonale błękitnym, nic nie zmieniło się w naszym położeniu.**

**Siedząc na pokładzie, zjedliśmy śniadanie – suszone... coś. Nie było złe, jeśli odrzucić myśli o jego pochodzeniu. Zawartość torby, pozostawionej przez Athora, sugerowała, że od razu wiedział, co zrobimy. Porządny człowiek...**

**Myśl, nad którą biedziłem się od wczoraj, wreszcie się wyklarowała, ale zamiast odpowiedzi pojawiło się następne pytanie. Dmuchałem we włosy Her, a włosy poruszyły się.**

**–Znów to robisz. – Spojrzała na mnie z rozbawieniem.**

**–Jednej rzeczy nie rozumiem – powiedziałem powoli.**

**–Jeśli zanurzymy się głęboko, to woda zgniecie kadłub. Woda ma ciężar, więc naciska na wszystko tak jak kamienie. Powietrze też może być cieżką, jeśli mocno je**



**ściskając. Powietrze też więc ma ciężar! – Her patrzyła na mnie, nic nie rozumiejąc.**

**–Powietrze ma swój ciężar, więc naciska na wszystko, tak jak woda. Słabiej, ale naciska. Kiedy spadaliśmy naszym miastem, zanurzaliśmy się w powietrzu, tak jak ten aquamobil zanurza się w wodzie. Ciśnienie powinno wzrastać i wreszcie nas zgnieść. Spadaliśmy przecież kilka miesięcy!**

**–Nie zgmiotło nas – stwierdziła po prostu Czarnowłosa.**

**–A powinno... – mruknąłem i pokręciłem głową. Kolejna zagadka. Westchnąłem i popatrzyłem w dal.**

**Nadszedł czas decyzji. Na zachód można płynąć długo i napotkać własną śmierć. Czerwona kreska nie obiecywała niczego poza kierunkiem. Pożywienia wystarczy nam na parę dni, ale sprężone powietrze wyczerpie się przed wieczorem. Zegar ciśnieniomierza stał na połowie skali. Ostatni moment, by wrócić. Nie zabiją nas przecież. Co najwyżej siłą wsadzą na statek.**

**–Cokolwiek zrobisz, będzie słuszne. – Czarnowłosa domyśliła się moich rozterek.**

**Przyjrzałem się jej. Nie wyglądała już zupełnie na tę dziewczynę, która przeskoczyła na nasz trap z lalką w ręku. Tylko jej wiara we mnie była wciąż równie silna. Chyba trochę jej zazdrościłem.**

**Zszedłem do kabiny i popatrzyłem na kompas. Wskazówka cały czas delikatnie wahała się, jakby nie była do końca pewna czy właściwie pokazuje północ. Potem opuściłem nieco wzrok i doznałem nagłego olśnienia. Miałem to cały czas przed nosem – otwór, zagłębienie w podstawie zegarów. Sięgnąłem do torby i wygrzebałem z niej elektryczne oko. Wetknąłem ostrożnie, pasowało.**

**Chwilę nie działo się nic, potem oko słabo rozjarzyło się czerwienią. Mniejsza wskazówka kompasu poruszyła się. Można to było przeoczyć; powoli skrzyła w lewo, minęła kierunek zachodni i zatrzymała się w połowie drogi do południa. Albo więc pomyliłem kierunki, albo miejsce, do którego dążyliśmy, było blisko. Oczywiście istniała jeszcze jedna możliwość: mała wskazówka nie wskazywała niczego szczególnego i cała nasza szalona wyprawa niewiele różniła się od śmierci po wypiciu zatrutego wina.**

**Nie czułem, żeby wtedy kierowała mną radosna chęć odkrywania. Było to raczej parcie jedyną linią losu, która nie odstręczała mnie ze względu na swoją doskonałą przewidywalność, łącznie z przewidywalnością końca. Wspinaczka za nieistniejącym Celem w Niebie zamieniona w stagnację pod wodą – nie chciałem tego. Ale, czy to co robiłem, było mądre?**

**Her zeskoczyła do środka. Pokazałem jej małą wskazówkę.**

**–Możemy wrócić – powiedziałem. – Zakończyć to i żyć jak inni.**

**Patrzyłem w Niebo, by nie narzucać jej swojej woli. Niech decyduje. Gdyby powiedziała, że chce żebyśmy wrócili, zrobiłbym to.**

**–Płynmy dalej – powiedziała.**

**Niech więc tak będzie. Zakręciłem blokadę wjazdu i uruchomiłem śrubę. Zmieniłem kurs, kierując się małą wskazówką. Poczułem ten specjalny rodzaj podniecenia, to wewnętrzne łaskotanie w kostkach palców, na plecach – niecierpliwe oczekiwanie każdej kolejnej chwili.**

**\* \* \***

**Coś się jednak zmieniło. Pagórki zanikały, pofałdowane dno stawało się z każdą minutą coraz bardziej gładkie. Schodziło też w dół; było tu prawie dwa razy głębiej niż w okolicy podwodnej kolonii. Wreszcie podwodne skały urwały się niemal jedną linią. Dalej była już tylko czarna otchłań. Coraz rzadziej widzieliśmy morskie stwory. Płynąłem z najbardziej ekonomiczną prędkością, kursem wyznaczonym przez cienką strzałkę kompasu. Ale z każdą godziną traciłem nadzieję, że ma to jakiś sens. Her nie podzielała chyba moich obaw. Siedziała na swoim fotelu ze skrzyżowanymi nogami i przeglądała księgę. Gdy dotarła do swoich zapisków zielarskich, wyciągnęła pióro i zaczęła poprawiać swoje pierwsze, nieudane notatki: dopisywała ogonki, wyrównywała przecinki i brzuski liter. Podziwiałem w niej to: uznała otaczającą nas zimną pustkę za rzecz naturalną i nieuniknioną, po czym zajęła się jedyną pożyteczną czynnością, która przyszła jej do głowy. Ja gapiałem się w czerń wody i co chwilę stwierdzałem, że mięśnie mam napięte do granic wytrzymałości. Rozluźniałem je wtedy, ale to nie pomagało na długo.**

**Przed wieczorem mała wskazówka zaczęła skręcać w lewo. Spojrzałem na stery, by stwierdzić, że płynę prosto. Skręciłem łagodnie, aż wskazówka ustawiła się prosto. Po chwili jednak skręciła znów, tyle że w prawo. Przez chwilę myślałem, że coś się zepsuło. Zmniejszyłem obroty śruby i znów skorygowałem kurs. Po minucie wskazówka obracała się to w prawo, to w lewo. Zrozumiałem – byliśmy u celu. Zatrzymałem silniki i zapadła cisza. Her odłożyła księgę i rozejrzała się. Otoczenie nie różniło się w żaden sposób od tego, co widzieliśmy od wielu godzin. Omiotłem wzrokiem zegary, przynajmniej te, których przeznaczenie znałem: temperatura, ciśnienie, zasolenie – wszystko tak samo jak wcześniej. Jedynie ciśnienie powietrza w zbiornikach napędowych wynosiło niemal zero.**

**–Antycel jest pod nami – powiedziałem po chwili. Poczułem się nieswojo, patrząc w czarną otchłań, nad którą powoli dryfowaliśmy rozpędem. Był to jedyny kierunek, w którym mogliśmy podążać.**

**–Stamtąd na pewno nie będziemy mogli wrócić – dodała Her. Bardziej było to stwierdzenie faktu, niż zachęta do przemyślenia sprawy.**

**–Stąd, gdzie teraz jesteśmy, też.**

**Mogliśmy tu tkwić długo, dryfować z prądem, ale nie po to dotarliśmy tak daleko, żeby teraz rozważać wątpliwości.**

**Pociągnięcie dźwigni sterującej balastem było trudniejsze, niż wyczepienie miasta. Nie było nade mną Ptasznika, nie było presji. Mogłem myśleć dowolnie długo. Kilka razy dotykałem dźwigni, gładziłem wyslizganą przez lata powierzchnię mosiądzu. Traciłem pewność sensu naszej podróży. Wreszcie Czarnowłosa położyła swoją dłoń na mojej i razem, powoli przesunęliśmy dźwignię. Patrzyliśmy sobie w oczy, a pojazd wolno zanurzył się w mętnej zieloności. Potem przenieśliśmy wzrok na niknące w falowaniu wody Niebo. Her ścisnęła mnie za rękę. Nie ze strachu, po prostu chciała, żebyśmy przeżywali to razem.**

**Robiło się coraz ciemniej. Głębokościomierz wskazał trzysta pięćdziesiąt stóp, poziom doków Mespaladii. Her nie pytała, ile wytrzyma kadłub. Byłem jej za to wdzięczny, sam też nie wiedziałem. Obszar poniżej ośmiuset stóp był oznaczony na żółto, a poniżej tysiąca dwustu – na czerwono. Skala kończyła się na tysiącu pięciuset. Nie miałem pojęcia, czy skala została przyjęta na wyrost, czy też pojazd wypróbowano do tej głębokości. Miałem nadzieję się o tym nie przekonać, choć z tego, co wyczytałem w księgach, wynikało, że aquamobil imploduje w ułamku sekundy. Za szybko na jakiegokolwiek doznania.**

**Śmierć... Ciekawe, jak wygląda? Jestem i nagle mnie nie ma? Tego chyba się nie czuje, to jak zasypianie. Chociaż we śnie istnieję jako drugi ja, podobny, ale inny. We śnie istnieję, a po śmierci? Kiedyś rozmawiałem o snach z Phorą. Nie wpadło mi do głowy, by zapytać ją o śmierć. Ale jak ktoś żywy może wiedzieć cokolwiek o umieraniu, skoro nawet o tym, czego doświadczamy co noc, wiemy tak mało? Starsi mówili, że po śmierci trafia się prosto do Celu, do samej góry Nieba. Pamiętam, że na samym początku samoświadomości wyobrażałem sobie, że umarłych wyrzuca się w górę jakąś katapultą. Wszyscy śmiali się, gdy to mówiłem. Potem zobaczyłem ciała, wrzucane do kompostownika. Nie rozumiałem tego, jak można wylądować w kompostowniku i jednocześnie być u Celu. Właściwie to teraz, obserwując przesuwającą się wskazówkę głębokościomierza, też tego nie rozumiałem. Niematerialna część umysłu opuszczająca ciało w momencie śmierci... Dziwna idea, ale nawet jeśli prawdziwa, to co właściwie się czuje, gdy się umiera? Może umieranie musi być powolne, żeby je czuć, jak powoli ogarniającą umysł senność? Myślę, że towarzyszyć temu musi ogromny smutek. Chyba wolałbym, jeśli miałbym wybór, umrzeć od razu, niczego nie czując. A potem, jeśli jednak ta niematerialna część mnie dotarłaby do Celu, odkryłbym za jednym zamachem dwie tajemnice.**

Pięćset stóp. Wokół zrobiło się niemal całkiem czarno, ale wciąż można było dostrzec ryby, śmigające w oddali. Światła aguamobilu dopiero się zapalały. Zajaśniały z pełną mocą sto stóp niżej, wyluskując z ciemności tysiące ruchomych pyłków i stworzeń, których nie było widać wyżej. Były półprzeźroczyste, sferyczne błony, falujące rytmicznie i ciągnące za sobą białe wici; były obręcze, wymachujące setkami malutkich paluszków; były włochate kulki, wewnątrz których coś szybko kurczyło się i rozkurczało; galaretowe stonogi, wywijające się na drugą stronę; a nawet kuliste, najeżone długimi kolcami ryby. Z początku chciałem otworzyć księgę i rysować je wszystkie, ale każde kolejne żyjątko było inne i nie nadażyłbym nawet z prostym szkicowaniem. Jednak im głębiej się zanurzaliśmy, tym bardziej pusto robiło się wokół. Wreszcie widzieliśmy już tylko niewyraźne cienie, usiłujące jak najszybciej oddalić się od pojazdu.

Dźwignia balastu kliknęła. Dotknąłem jej i spróbowałem poruszyć. Bez skutku – ciśnienie powietrza w zbiornikach napędowych było już niższe, niż otaczającej nas wody. Nie próbowałem się szarpać z dźwignią, to by i tak niczego nie zmieniło. Zresztą, nie chciałem niczego zmieniać.

Pierwszy trzask rozległ się, gdy mijaliśmy osiemset pięćdziesiąt stóp. Drgnęliśmy, ale nic więcej się nie wydarzyło przez następne dwieście stóp, kiedy to Her wskazała przepływające obok nas żółte światełko. W pierwszej chwili pomyślałem, że kadłub traci szczelność i jest to bąbelek powietrza oświetlony lampami. Po chwili jednak pojawiło się następne światełko i jeszcze jedno.

Spojrzeliliśmy w dół i zobaczyliśmy kilka kolejnych. Jedno zaczęło się przybliżać. Patrzyliśmy na nie z niecierpliwością. Nagle z mroku wychynęła potworna, brązowa twarz o czarnych, martwych oczach. Wielka, wysunięta szczęka pełna długich, cienkich zębów zaczęła się otwierać. Her rzuciła się do tyłu i złapała mnie za rękę. Twarz rozwarła szeroko szczęki i uderzyła o szklaną bańkę. Szpilkowate zęby zsunęły się po szkłe z przejmującym piskiem. Światełko bujało się nad czołem potwora, zmieniając jego kościstą twarz w teatr ruchomych cieni. Nie mogłem dostrzec ramion, ani korpusu. Po chwili kolejne światełka zaczęły się zbliżać z różnych stron. Czarnowłosa skuliła się na swoim fotelu i zasłoniła głowę.

–Nie dostaną się tu – zapewniłem ją szybko, ale nie byłem chyba dość przekonujący.

Każdy z atakujących nas potworów miał to światełko, trzymające się w niewyjaśniony sposób nad czołem i oświetlające jedynie twarz. Gdy już pięć szczęk próbowało na przemian gryźć szkło, oświetliły się nawzajem i udało mi się dojrzeć więcej szczegółów. Przerazenie minęło, bo zdałem sobie sprawę z tego, że nie zobaczę reszty ciał potworów.

–To ryby... – powiedziałem. – To tylko ryby. Machnąłem rękoma i ryby czmychnęły,

gasząc światełka. Zobaczyliśmy je ponownie, pół minuty później, wysoko nad nami.

–Straszne – powiedziała Her.

–Ale mimo wszystko lepsze niż oktopusy...

Usłyszeliśmy kolejny trzask i cichy jęk, jakby jakaś potężna siła zgniatała kadłub. Tak było w istocie, ale zgniatanie następowało bardzo powoli. Na razie chyba nic nam nie groziło.

Spojrzeliliśmy w dół, na trzy, świecące mglistym migotaniem kręgi, połączone cienkimi, wygiętymi osiami. Kolejne dziwo. Dopiero z bliska zobaczyliśmy setki, jeśli nie tysiące drobnych, świecących robaczków, płynących po gęstych zwojach niewidzialnej spirali, układającej się kilkunastoma okrążeniami w owe okręgi. Każdy robaczek krążył po jednej spirali, płynął do następnej i zapętleł się, razem z innymi, tworząc świetlistą rzeźbę. Dla nas była tylko złudzeniem, a dla nich samych niewidzialnym rygiorem ich świata, którego nie mogły poznać, będąc jednocześnie jego budulcem.

Szklana bańka otarła się o jeden z wirujących kręgow. Robaczki rozprysnęły się, wybite z rytmu. Niechcący zniszczyliśmy skomplikowany rytuał. Żyjątki próbowały podjąć uporządkowany taniec na nowo, ale nie wychodziło im. Konkurencyjne zaczątki kręgow powstawały obok i rozpadały się same. Dopiero, gdy już traciliśmy je z oczu, zdecydowały się stworzyć rzeźbę o czterech kręgach.

Popatrzyłem na twarz Czarnowłosej i drgnąłem. Wyglądała jakoś inaczej. Przypomniała mi się jej choroba, ale to nie było to. Dopiero po chwili zrozumiałem, co jest przyczyną tego efektu. Coś oświetlało ją od dołu. Spojrzałem pod nogi. Jakieś dwieście stóp niżej coś świeciło, przypominało światło słoneczne, przebijające się przez wodę. Było zielonkawe, ale w miarę zbliżania stawało się bardziej niebieskie.

–Większa ryba z latarnią? – zapytała Her.

Pokręciłem głową, ale nie miałem pojęcia, co to może być.

Właściwie, to mogło pojawić się cokolwiek, a my i tak musielibyśmy uznać to za podwodną naturalność.

Kadłub znów zatrzeszczał kilka razy. Zerknąłem na głębokościomierz i zdziwiłem się po raz kolejny. Zapukałem w szkiełko. Wskazówka drgnęła, ale zaczęła się przesuwać w kierunku zera.

–Unosimy się? – zapytała Her, również patrząc na zegar.

–Nie. – Pokręciłem wolno głową. – Spada ciśnienie. Głębokościomierz tak naprawdę

**nie pokazuje głębokości, tylko ciśnienie wody wokół nas. W księdze, którą czytałem, napisano że ciśnienie powinno rosnać wraz z głębokością. To w sumie logiczne...**

**–Może autor nigdy się tak głęboko nie zanurzał.**

**Zegar pokazywał pięćset stóp, choć byliśmy pewnie na tysiącu. I wtedy stało się coś... W zasięgu słabego światła lamp, kilkanaście stóp przed nami znajdowała się lina. Przez chwilę miałem wrażenie, że pochyła się w naszą stronę, potem zrozumiałem, że to pojazd pochyła się kabiną w dół. Sięgnąłem po stery, ale przypomniałem sobie, że zbiorniki napędowe są niemal puste i na tej głębokości nic nie działałem. Tajemnicze światło było już przed nami. Trzymaliśmy się kurczowo foteli, ale nie wypadliśmy z nich. Światło wraz z liną i unoszącymi się w wodzie drobinkami przemieszczało się do góry. Czułem, jak się obracamy, choć nasz dół wciąż był dołem. Jeśli miałbym ufać rozsądkowi, to musiałbym powiedzieć, że wisimy głową w dół, choć dziwnym sposobem siła ciężenia wciąż przyciskała nas do foteli. Her patrzyła to na mnie, to na światło, które mieliśmy już nad głową, ale milczała.**

**Dźwignia balastowa kliknęła, jak poprzednio. Według głębokościomierza byliśmy na dwustu stopach. Tknięty nagłym przecuciem, pchnąłem dźwignię, wykorzystując resztkę powietrza do wypchnięcia wody balastowej. Fizyka tego miejsca, choć odizolowana od reszty świata, zachowywała wewnętrzną spójność, bo aquamobil zaczął się unosić w stronę, która tutaj była górą – w stronę światła.**

**Z zadartymi głowami patrzyliśmy na źródło jasności. Była to kula zawieszona w wodzie między linami. Średnicą przewyższała kilkakrotnie aquamobil i zdawała się falować. Była błękitna jak Niebo. Na obrzeżach majaczyły jakieś ostre kształty, skierowane do wnętrza. W samym środku był jaśniejszy punkt.**

**–Bąbel – powiedziałem z zaskoczeniem. – Wielki bąbel powietrza.**

**Po powierzchni kuli przebiegały drobne falki, jakby wewnątrz wiał wiatr. Widzieliśmy to dokładnie. Bąbel powietrza powinien płynąć do góry, ale nie płynął; tkwił przecież tutaj nieruchomo, utrzymywany jakąś niewidzialną siłą. Ta sama siła sprawiała, że nieuchronnie zbliżaliśmy się do niego.**

**Chwyciłem dłoń Her i oboje wpatrywaliśmy się w rosnącą powierzchnię kuli. Zaciśnąłem zęby, nie wiedząc, czego oczekiwać. To, co nastąpiło chwilę później, w pierwszym momencie nie miało w sobie niczego niezwykłego. Aquamobil... wynurzył się. Przynajmniej to słowo najlepiej oddawało moment dotknięcia powierzchni bąbla. Zakołysało nami lekko i usłyszeliśmy plusk małych fal, uderzających o kadłub. Fale obmywały górną część szklanej bańki, ukazując... błękitne niebo. Spodziewałem się zobaczyć w górze przeciwną stronę bąbla, ale było tam niebo. Dostrzegłem nawet kilka chmur. Wstałem i poluzowałem śrubę uszczelniającą właz. Krótki syk powietrza oznajmił wyrównanie ciśnienia. Odkręciłem do końca i otworzyłem klapę.**

**Wysunęliśmy głowy na zewnątrz.**

**–Duży ten bąbel – mruknąłem.**

**Faktycznie, jakbyśmy wyglądali z pokładów niebieskiego miasta: niebo, chmury... Żadnych granic. Dziwne, niezrozumiałe. Obejrzałem się do tyłu i dopiero wtedy zaniemówiłem z wrażenia. Wspiąłem się wyżej i przysiadłem na brzegu włazu. Czarnowłosa, widząc moją minę, też wsunęła się na rant włazu i obejrzała się. Woda w niewytłumaczalny sposób zakręcała w dół, jakbyśmy znajdowali się na szczycie wodnego pagórka, a dalej... w odległości pięćdziesięciu stóp od nas znajdowała się pionowa skalna ściana nieskończonej wysokości i nieskończonej szerokości. Dzieliła świat na pół, ustanawiając horyzont w pionie. Gapiliśmy się na to z otwartymi ustami, wirowało nam w głowach. Miałem wrażenie, że lekko się zachwieję i runę w dół, w tę nieskończoność. Dopiero ból dłoni sprawił, że przestałem kurczowo ścisnąć właz.**

**Na skalnej ścianie leżały kamienie. Zauważyłem to po dobrej minucie. Leżały, zamiast spaść.**

**–Dół nie jest dołem – stwierdziłem w nagłym przeblysku i zsunąłem się na swój fotel. Spod wody, wciąż wyglądało to, jakby góra naszego pojazdu dotykała do bąbla powietrza. Pchnąłem minimalnie dźwignię głównej śruby. W zbiorniku musiało być jeszcze trochę powietrza, bo śruba z cichym sykiem zaczęła się obracać. Wstałem i wysunąłem głowę przez właz. Ogromna ściana pochyliła się, przyprawiając nas o zawroty głowy. Po niecałej minucie mieliśmy ją dokładnie nad sobą.**

**–Wolałabym mieć ją pod stopami – szepnęła Her, zaciskając dłonie na krawędzi włazu.**

**–To złudzenie. – Nogą zatrzymałem silnik i przysiadłem obok niej, na wierzchu aquamobila. – Nasz dół i dół tej skały to co innego. Nasz dół – pacnąłem ręką w wodę – leży w środku tej wielkiej kropli.**

**Spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc. Ja też niewiele rozumiałem, ale uznałem, że nie mogę w pełni ufać własnym zmysłom, które próbowały mi wmówić, że to świat obraca się wokół mnie, a nie odwrotnie. A jednak rozum analizował inne informacje: unosiliśmy się razem z pojazdem na powierzchni wielkiej kropli wody, wiszącej w powietrzu nad tą skałą. Jednocześnie dół aquamobila tkwił w oceanie. Wystarczyło wejść do kabiny, by stwierdzić, że dotykamy ledwie bąbla powietrznego – dziwnego, ale ograniczonego wymiarami miejsca w głębinach oceanu.**

**Znów zsunąłem się do wnętrza, tym razem starając się nie rozglądać. Z małej, przyśrubowanej do ścianki za fotelami skrzynki wyciągnąłem kilka zapasowych, miedzianych pierścieni uszczelniających. Wyniosłem je na górę. Rzuciłem pierwszy z nich. Wzleciał kawałek, po czym opadł i chlupnął do wody. Rzuciłem drugi, mocniej.**

**Przedmiot zawahał się jakby, po czym przyspieszył i upadł na powierzchnię skały, wzbijając kurz.**

**–Możemy tam przejść – powiedziałem.**

**Przyniosłem z dołu linę, na jej końcu uwiązałem wszystkie pierścienie, zamachnąłem się i rzuciłem. Lina opadła na wodę. Stałem na grzbiecie pojazdu i poprawiłem. Tym razem jej koniec dotknął ziemi. To, co widzieliśmy, w oczywisty sposób przeczyło zdrowemu rozsądkowi, ale postanowiłem to ignorować. Na ile to możliwe.**

**Pociągnąłem linę. Nie, to na nic. Przecież nie utrzyma mojego ciężaru. Ściągnąłem ją z powrotem. Przez chwilę miałem dziwne uczucie, jakby ktoś ją ciągnął z drugiej strony, potem jednak opadła swobodnie. Zrobiłem luźną pętlę i ponowiłem próbę. Za czwartym razem udało się. Szczęśliwie opadła na wierzch sporego głazu. Szarpiąc nią w lewo i prawo, udało mi się zsunąć fragment liny tak, by objęła brzeg głazu. Zajęło mi kilka minut zmuszenie pętli, by zsunęła się również z drugiej strony. Naciągnąłem linę i sprawdziłem, czy mocno trzyma. Na szczęście w porę dotarło do mnie coś oczywistego: lina musiała się trzymać również z tej strony. Przywiązałem ją więc do mosiężnej obręczy, służącej do wyciągania pojazdu z wody. Lina wisiała luźno, ale to w niczym nie przeszkadzało.**

**–Przejdę na drugą stronę. – Chwyciłem Czarnowłosą za ramiona. – Zobaczę, jak tam jest. Jeśli mam rację, tam góra jest dołem.**

**Spojrzała mi w oczy i przytaknęła. W takich momentach miałem wrażenie, że ona nie ufa mi, jako osobie, a jedynie wydarzeniom, które wokół mnie następują i tym moim przebłyskom intuicji, których sam nie rozumiałem. Teraz była niespokojna, bo pomysł był wynikiem racjonalnej analizy sytuacji. Pocałowałem ją i zarzuciłem na ramię torbę.**

**Pozorna lekkość, która ogarnęła mnie w trakcie przeprawy była złudna, wiedziałem o tym. Gdybym teraz puścił się liny, szybowałbym swobodnie przez kilka chwil, po czym któraś z sił zaczęłaby mnie ściągać w swoją stronę i wreszcie runąłbym z wysokości zapewniającej co najmniej połamanie nóg. Trzymałem więc linę z całych sił i przesuwałem się dalej. Po chwili poczułem, jak grawitacja powraca, ale odwrócona. Pod koniec, opuszczając się na ziemię, znów czułem pełen ciężar ciała.**

**Stałem na ziemi. Nie na powierzchni niebieskiego miasta, nie na posadzce miasta podwodnego, tylko na ziemi. Na Ziemi. To miejsce wydało mi się nagle naturalne i przyjazne.**

**Swoboda. Mogę iść w dowolną stronę i nic mnie nie zatrzyma. Nie było tu barier, nie było szklanej kopuły. Mogłem iść...**

**Spojrzałem w górę. Teraz, dla odmiany, miałem wrażenie, że ta wielka kula wodna**



razem z aquamobilem zwali mi się na głowę.

–Schodź! – krzyknąłem. – Tylko nie puszczaj liny ani na chwilę.

Zaczęła się wspinać. Ciężko jej szło, jednak dotarła do punktu, gdzie pojęcia dołu i góry zamieniają się miejscami, a potem było dosłownie z górki. Pomogłem jej pokonać ostatni fragment, aż do momentu, gdy jej stopy dotknęły ziemi.

Objęła mnie i oboje spojrzeliśmy w górę. Kula, widziana stąd, była czarna. Zdawała się pochłaniać padające na nią światło. Błyskały tylko ostre krawędzie fal. Sigg pokazywał mi kiedyś swoją kolekcję soczewek. Całe miasto, widziane przez jedną z nich, wydawało się być taką małą kulką, dookoła której nie było nic, tylko dwie kreski moich nóg.

Zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową. Her spojrzała na mnie zdziwiona.

–Nie wiem, co to jest – Uśmiechnąłem się z trudem.

Rozglądaliśmy się, zastanawiając się, co dalej robić. Wtedy uderzyła mnie oczywistość, tego co widziałem. A raczej tego, czego nie widziałem.

Nigdzie nie było lin.

## 25. Konstruktorzy

Przyglądałem się skałom, po których szliśmy. Pod warstwą pyłu były gładkie, szkliste, jakby poddano je działaniu wysokiej temperatury. Nie tak wyglądały skały podwodne. Te tutaj przypominały zastygłą materię, którą jakaś siła odrzuciła od miejsca, w którym zesliśmy na ląd. Szybkim krokiem opuszczaliśmy niewielkie, ale rozległe wgłębienie, którego brzegi były wykręcane, wyciśnięte na zewnątrz, jakby na wielkim mrozie niegrzeczne dziecko uderzyło łyżką w zupę. Zmrożone nagle fale i wielkie, gęste prawie-krople zdawały się uciekać od wodnej kuli, czy raczej czegoś niezwykle gorącego, co było w jej miejscu dawno temu.

Początkowo mieliśmy wrażenie, jakby cała ta ziemia obok i za nami przytłaczała nas, jakby przymierzała się, by nas zasypać. Wystarczyło spojrzeć w inną stronę, by wrażenie znikło. Mimo to, czułem się tu swobodnie, czego nie można było powiedzieć o Her. Starła się tego nie okazywać, ale widziałem, że nowe otoczenie ją niepokoi, niemal tak, jak przedtem Mespaladia.

Obejrzałem się. Wielka kropla za sprawą naszej liny cumowniczej wyglądała jak balon na sznurku.

Słońce stało w zenicie, więc mieliśmy kilka godzin, by podczas marszu zastanowić się, co robić dalej. Wybraliśmy najzupełniej przypadkowy kierunek. Początkowo trzymaliśmy się za ręce, ale już po kwadransie okazało się to niewygodne. Szliśmy więc obok siebie, cierpiąc niewygody marszu. Nigdy wcześniej nie pokonywaliśmy takich odległości pieszo.

Formacje skalne wokół nas wyglądały jak zaszuszone rzeźby błotne. Pochylone i powykręcane, jakby moment zastygnięcia zaskoczył je w ucieczce od wielkiej kropli. Chciały uciec, więc może i my powinniśmy? Ten świat na pewno nie był przyjazny. Między kamieniami nie widziałem nawet małej trawki. Wszystko było martwe, doskonale martwe. Jeśli tak będzie dalej, będziemy zdani wyłącznie na własne zapasy.

Zatrzymaliśmy się po kilku godzinach. Usiedliśmy w cieniu wielkiej skały. Kropla z aquamobilem dawno znikła nam z oczu.

–Nie czuję nóg – powiedziałem, zdejmując buty.

–Ja też – przyznała Her. Położyła się na wznak i odrzuciła ręce za głowę. – Czy tak wygląda świat stworzony dla ludzi?

–Brakuje tylko roślin i miękkiej ziemi.

–Na tak dużej przestrzeni wszyscy od razu by się pogubili.

**Sięgnąłem do torby, ale tak naprawdę to nie mieliśmy chęci jeść. Chcieliśmy spać i nie iść już nigdzie dalej. Położyłem się obok Czarnowłosej, ale wiedziałem, że nie powinniśmy teraz zasypiać. To miejsce wydawało mi się zbyt nieprzyjazne. Dziewczyna przekręciła się i przylgnęła do mnie, kładąc mi głowę na piersi.**

**Zaraz poczułem senność, więc wstałem i rozejrzałem się. Skały tutaj były ponadtapiane jedynie w górnych fragmentach. Niżej widać było ich pierwotną strukturę, spękaną i kanciastą.**

**–Musimy iść. – Niemal siłą podniosłem Czarnowłosą do pionu. Pocałowała mnie w usta, ale powieki miała półprzymknięte. Z trudem udało mi się zmusić ją do marszu. Szliśmy aż do zachodu słońca, choć za sprawą zmęczenia wolniej, mijając podobne formacje skalne. Gdy zaczęło się ściemniać, wybrałem w miarę miękkie podłoże załomu skalnego. Leżało tu sporo piasku, dającego złudną nadzieję na wygodne posłanie. Rozłożyłem koc, a obok położyłem drugi, byśmy mogli się nim przykryć.**

**Zjedliśmy kolację i popiliśmy wodą z butelki. Pomyślałem po raz kolejny, że zapasy od Athora skończą się zaraz, bo wędrując, będziemy musieli więcej jeść i pić.**

**Her wsunęła się pod koc, a ja odszedłem kawałek, na małe wzniesienie i zapatrzyłem się na lunę po zachodzącym słońcu. Tu też słońce nie gasło, tylko spadało za horyzont. W skalnej szczelinie dostrzegłem kilka ziarenek piasku i źdźbło trawy. Życie. Dotknąłem palcem młodego listka i uśmiechnąłem się. Jutro dotrzemy do obszarów pełnych roślin i zwierząt.**

**Wróciłem do naszego obozowiska i delikatnie wsunąłem się pod koc. Czarnowłosa nie spała, patrzyła w gwiazdy. Pocałowała mnie w szyję inaczej niż zwykle: mocniej i wolniej. Poczulem mrowienie na całym ciele. Miękkim ruchem ściągnęła ze mnie koszulę. Spodnie zdjąłem sam. Przytuliła się do mnie, objęła mnie ręką i nogą. Dotknąłem jej pleców i poczułem gładką skórę. Przejechałem dłonią po sprężystym pośladku i udzie, czując przyływ podniecenia. Ściągnęła ubranie, gdy mnie nie było. Czekala. Teraz sięgnęła dłonią w dół, zsunęła ją wzdłuż mojego brzucha, wreszcie delikatnie zamykając ją na sztywniejącym członku. Poprowadziła mnie właściwą drogą. Westchnęła cicho. Zapomniałem o całym, niezrozumiałym świecie wokół. Wtuliłem się w jej gorące ciało. Miękką wilgoć między jej udami była wystarczającą nagrodą za wszystkie trudy tego dnia.**

**I dni poprzednich.**

**\* \* \***

**A jednak wiedziałem, że dążymy do jakiegoś realnego Antycelu. Obudziłem się z tym przeświadczeniem. Dopóki sen nie opuścił umysłu do końca, znajdowałem się w stanie, w jakim Her była chyba permanentnie. Nie pamiętałem snu, ale musiał być**

niezwykle optymistyczny i przekonujący, bo w przebudzeniu towarzyszyła mi, przemieszana ze świeżymi erotycznymi wspomnieniami, euforia, której źródła nie byłem sobie w stanie przypomnieć. Wspomnienie zaginęło w meandrach mojego drugiego, sennego ja, ale wrażenie wciąż trwało, aż do różowego świtu. Rozbudziłem się do samego końca.

Niepomni położenia, śmialiśmy się do siebie. Zjedliśmy żelazne racje, które dał nam Athor, tym samym pozbawiając się dzisiejszego obiadu i kolacji, po czym ruszyliśmy dalej, w nierzeczywistym świetle wschodzącego, różowego słońca.

Skalna pustynia towarzyszyła nam do późnego popołudnia, kiedy to zauważyliśmy pierwsze rośliny, które nie kryły się w szczelinach skalnych. Wtedy zyskaliśmy pewność, że życie jednak gości w tych niedostępnych okolicach. Na horyzoncie widać już było jakieś wzniesienia. Dążyliśmy więc niezmiernie na północ, chociaż kierunek ten wybraliśmy przypadkiem. Nie, nie przypadkiem! Wybraliśmy go z jakiegoś powodu, którego nie znałem.

Kiedy wypiliśmy resztkę wody, poczułem się nieswojo. Dotychczas nie minęliśmy choćby jednej kałuży. Nie było bardzo gorąco, co dawało szansę na dotarcie do wzgórz.

Wieczorem musiałem przyznać, że nie potrafię oceniać odległości w takim terenie. Gdy szykowaliśmy się do noclegu, odległe wzgórza zdawały się być wciąż tak samo odległe. Nie mieliśmy nic do jedzenia, ale znaleźliśmy mały strumyk, ściekający wolno z jakiejś spękanej skały. Tę noc spędziliśmy przynajmniej w miarę wygodnie, bo koc rozłożyłem na trawie. Zasnęliśmy od razu.

Tym razem pamiętałem sen i mojego częstego, choć niechcianego towarzysza sennych podróży. Ptasznik zjeżdżał po linie, przepuszczając ją przez zaciśniętą rękawicę i przytrzymując podeszwą buta. Nawet we śnie wiedziałem, że tak się nie da, ale jemu to chyba nie przeszkadzało. Nie wiem, co działo się ze mną. Może spadałem, może byłem swobodnym obserwatorem. Ptasznik jechał w dół, w moją stronę. Zbliżył się nagle i sięgnął do mnie wolną ręką, czy raczej wystającymi z rękawa płaszcz wielkimi ptasimi szponami.

Zerwałem się, spojrzałem na niebo, wypatrując postaci w płaszczu. Po raz kolejny zdziwiłem się brakiem lin.

Her spała obok, oddychając równo. Księżyc oświetlał jej twarz kontrastowym światłem. Delikatna drapieżność rysów mogła być jedną z pozostałości choroby, ale równie dobrze mogło mi się zdawać. Nie wiedziałem, jak wyglądałaby bez jej piętna. Przypominałem sobie, że gdyby nie choroba, Ptasznik zabrałby ją wtedy... Pomyślałem też, że jednodniowe szaleństwo na takim terenie byłoby znacznie gorsze w skutkach. Nie wymarło by jedno miasto na linach, tylko wszyscy ludzie w zasięgu

**biegu zarażonego szaleńca. I kolejnych zarażonych szaleńców.**

**Nasunąłem koc na ramię Her i wstałem. Niebo było czarne, usiane migającymi gwiazdami, jaśniało już lekko nad horyzontem. Panowała idealna cisza. Wciągnąłem do płuc chłodne powietrze i spojrzałem w kierunku ledwo rysujących się konturów wzgórz. W tym momencie zobaczyłem odległy błysk, ledwo jaśniejszy od gwiazd. Żółte światelko błysnęło jeszcze dwa razy dokładnie z kierunku, w którym zmierzaliśmy. Wpatrywałem się długo w ciemność, ale niczego więcej już nie zobaczyłem.**

**Nie istnieje coś takiego jak przypadek.**

**\* \* \***

**–Może to był dalszy ciąg snu? – zapytała Czarnowłosa, gdy zwijaliśmy koce.**

**–Na pewno nie. – Pokręciłem głową. – Zresztą i tak idziemy w tę stronę. Zobaczymy źródło.**

**Po kilku godzinach wędrowaliśmy już między niskimi krzakami. Zatrzymałem się, niespodziewanie natrafiając na coś dużego, co nie było skałą. Drzewo, osmalone z wierzchu. Wdzieliśmy takie rośliny już kiedyś, ale nigdy tak duże. To, nim się przewróciło, musiało mieć wysokość dziesięciu mężczyzn.**

**–Drzewo – powiedziałem. Oparłem na nim nogę, ale stopa wpadła w wypalone próchno.**

**–Martwe.**

**–Ale kiedyś żyło.**

**Ruszyliśmy dalej. Mijaliśmy coraz więcej przewróconych i spróchniałych pni drzew. Wszystkie leżały czubkami w stronę, w którą zmierzaliśmy. Po godzinie w zasięgu wzroku mieliśmy las. Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy słowo „las”, ale wiedziałem, że jest właściwe.**

**Do pierwszych, stojących drzew dotarliśmy po południu. Zebraliśmy trochę niebieskich owoców, rosnących na miniaturowych krzaczkach. Smakowały cudownie. Pierwszy posiłek od wczorajszego śniadania spożyliśmy w cieniu wielkich drzew, których pni nie byłem w stanie objąć ramionami. Wdzieliśmy już, że dziwnym sposobem nasze trwanie przy życiu znów zostało przedłużone.**

**Her uśmiechnęła się do mnie. W jej czarnych oczach nie było wątplenia. Patrzyłem w nie długo, za każdym razem czując, że zaglądam coraz głębiej i odnajduję kolejne warstwy jej osoby. Bez końca. Jakby była ze mną tu i teraz, ale jednocześnie**

mieszkała gdzieś daleko, skąd mogłem tylko próbować wywoływać ją po kawałku. Nigdy nie poznam jej do końca. Zagadka będzie trwać.

\* \* \*

Zamek wyłonił się spomiędzy drzew zupełnie nieoczekiwanie. Szara, zarośnięta pnączami, a niżej nawet drzewami, budowla była tak duża, że z pewnością nie zmieściłaby się pod kloszem stolicy Mespaladii. Strzeliste wieżycy sięgały wysoko ponad wierzchołki drzew. Wysokie mury musiały być bardzo stare. Okna ziały ciemnością i szczyrzyły zęby z potłuczonego szkła. Nie wiedziałem, jak szybko rosną drzewa, ale te w bezpośredniej bliskości zamku były wyraźnie mniejsze. Kiedyś więc teren wokół niego musiał być pusty.

Czego się spodziewałem? Na pewno nie tego. Ogniska raczej, błyskającego spomiędzy drzew. Patrzyliśmy na zamek, zastanawiając się, co robić.

Her chciała iść dalej, ale zatrzymałem ją. Przypomniałem sobie o sztuce zadawania właściwych pytań.

–Po co ktoś zbudował coś takiego? – zapytałem na głos. Her pokręciła głową.

Do mnie musiała należeć ocena przeznaczenia zamku. Czy był niebezpieczny? Sprawiał wrażenie opuszczonego, ale najpewniej to stąd pochodził błysk zeszłej nocy. Widziałem podobne budynki w Mespaladii. Ten tutaj wyglądał jednak jakoś solidniej. Wykonano go z wielkich, w miarę równo ociosanych głazów. Na samym środku znajdowały się, ukryte w płytkiej wnęcie, nabijane nitami, stalowe wrota.

–Nie ma żadnych okien na najniższym poziomie – zauważyłem. – Albo wewnątrz trzymali coś, co nie lubiło światła, albo chodziło o to, żeby trudniej było wyjść.

–Albo dostać się do środka – dopowiedziała Her.

Zerknąłem wyżej: grube mury i wąskie okna; wysokie, kamienne balustrady, poprzecinane wąskimi szczelinami; wieże do obserwacji otoczenia. Musiałem przyznać jej rację. Zamek zbudowano tak, by do środka nie wszedł nikt niepowołany.

Wolno opuściliśmy strefę starych drzew. Teraz więcej było chwastów i krzaków, przez które musieliśmy się przedzierać. Szedłem przodem, a Her postępowała krok za mną, trzymając mnie za rękę. Wreszcie dotknęliśmy dłońmi kamiennych murów.

Kamienie nie były tylko poukładane na sobie, zlepiono je czymś równie jak one twardym. Ktoś włożył też dużo pracy w to, żeby upiększyć elewację, zamieniając powierzchnię wokół okien i portalu wejściowego w płaskorzeźbę, teraz już zatartą nie do rozpoznania.

Wtedy pomyślałem o pułapkach, jakie mogły czekać na zbliżających się do zamku. Obejrzałem się za siebie. Albo ich nie było, albo niszczały z wiekiem. Tylko na środku stała zmurszała rzeźba, przedstawiająca smukłego mężczyznę o czterech twarzach wokół głowy. Wcześniej wziąłem ją za pień uschniętego drzewa.

Zaczynało się ściemniać, więc ruszyliśmy w kierunku drzwi, by skorzystać z resztek światła i znaleźć wewnątrz schronienie na noc. Czarnowłosa nie próbowała mnie odwieść od tego pomysłu. Była pewna, że skoro tak postanowiłem, to tak jest lepiej. Ponownie żałowałem, że ja sam nie miałem tej pewności.

Drzwi były dwuskrzydłowe, dwa razy wyższe od nas, uchylone. Za mało uchylone, by się precyzyjnie, ale dość, by zajrzeć do środka. By próbować zajrzeć, bo wewnątrz już panowała noc.

Cofnąłem się o krok i spojrzałem w górę. Wieżycy zdawały się pochylać nad nami. W oknach nie błyskało żadne światełko.

–Lepiej przeczekać w środku – powiedziała Her. – Na zewnątrz mogą być niebezpieczne zwierzęta.

Zastanowiłem się nad tym. W powietrzu żyły drapieżniki, pod wodą też. Nie znałem żadnego drapieżnika lądowego, ale faktycznie było logiczne, że one istnieją. Instykt kazał mi znaleźć na noc osłonięte miejsce. Może więc kiedyś żyliśmy w lesie i napadały nas niebezpieczne zwierzęta? Jakiś rodzaj pamięci, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, przetrwał całą podróż miastami przez Niebo. Wiedziałem, co robić, choć nie potrafiłem nazwać zagrożenia. Her potrafiła...

Naparłem na drzwi. Ustąpiły opornie z koszmarnym piskiem, którego echo ucichło dopiero po dłuższej chwili. Niczego nie widziałem w ciemnościach, ale pomieszczenie musiało być duże. Zaczekaliśmy, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Hall wejściowy wypełniony był gratami, których w tym momencie nie chciałem badać. W mroku majaczyły schody. Ostrożnie zaczęliśmy się posuwać w ich kierunku. Zaraz coś brzęknęło; trąciłem chyba nogą jakąś tuleję, potem zwój drutów. Podróż przez hall przypominała pokonywanie śmietniska. Na schodach było nieco lepiej, ale i tak byłem ciekaw poranka, kiedy to wąskie okna wpuszczą więcej światła i odkryją przed nami tajemnice owego żelaznego złomowiska.

Schody wprowadziły nas na wysoką galerię. Dalej trafiliśmy do korytarza i łukowatego przejścia do kręconych schodów jednej z wież. Po kilku stopniach dalszą drogę zagrodziły nam stalowe drzwi, tym razem zamknięte na głucho. Rozejrzeliśmy się. Okrągła podstawa wieży, skąd zaczynały się schody, wydawała się dobrym miejscem na nocleg, dającym choćby złudzenie bezpieczeństwa. Wejście było wąskim, przesklepionym otworem w ścianie. Okrągłe pomieszczenie było suche i miało tylko jedno wejście. Z pewnego niepokoju, jaki pojawił się w mojej głowie,

wywnioskowałem, że nie tak nasi przodkowie wyobrażali sobie schronienie idealne, ale nie mieliśmy wyboru. Musiało nam wystarczyć.

Rozłożyłem posłanie i, nieco głodni, położyliśmy się spać.

\* \* \*

Obudziło mnie skrzypienie zawiasów u drzwi. Coś słyszałem, choć ciężko było powiedzieć co. Postukiwanie, poskrzypywanie, szuranie. Ostrożnie zsunąłem głowę Her z mojego ramienia. Westchnęła przez sen i skuliła się pod kocem. Wstałem, uważając by jej nie zbudzić. Wyszedłem na korytarz, który prowadził do schodów w hallu i po omacku ruszyłem przed siebie.

Oparłem się o solidną, kamienną balustradę galerii, obiegającej przynajmniej część hallu. Widziałem jej najbliższy fragment. Cała reszta mojego otoczenia była mrokiem, przeciętym w dole kreską światła księżycowego, przedostającego się przez szczelinę we wrotach. Były przymknięte, choć pamiętałem dokładnie, że zostawiłem je otwarte. Ktoś wszedł? Wyszedł? Może domykał je jakiś mechanizm? Smuga białego światła na podłodze kończyła się na jakiejś postrzępionej wiązce korzeni. Odniosłem wrażenie, jakby jeszcze przed chwilą trwał tam jakiś ruch, który zamarł w momencie, gdy tu dotarłem, ale było to pewnie tylko złudzenie, spowodowane obcością nieznannej budowli.

Poczułem ciarki na plecach i wróciłem do naszej tymczasowej sypialni.

W worku, pod księgą miałem jeszcze kilka przedmiotów, które dał nam Athor. Z samego dna wyjąłem zawiniątko. Rozwiązałem rzemień i wziąłem gładką kulę wielkości dziecięcej pięści. Zważyłem ją dłoni, zajaśniała słabo. Potrząsnąłem i światło przybrało nieco na sile. Wstałem i niemal krzyknąłem. Z korytarza coś na mnie patrzyło. Szydłonóż sam wskoczył mi w dłoń. Spojrzenie wielkich, nieruchomych oczu było obce. Martwe, jak stwierdziłem po chwili. Przełknąłem ślinę i wolno podszedłem bliżej. To nie były oczy, tylko szkliste elementy jakiejś nieruchomej, metalowej konstrukcji opartej o ścianę. Dziesiątki tulejek, jakiś zaśniedziałych przewodów, zbiorniczków, osłon. Złom leżał tu pewnie od wielu lat.

Minąłem go i ponownie dotarłem do galerii. Zerknąłem na białą smugę światła od drzwi. Padała na pustą podłogę, korzeni nie było... Może księżyc przesunął się już dostatecznie, by... Nie, wiedziałem, że to nieprawda.

Stałem na szczycie schodów ze świecącą kulą w dłoni i czekałem na cokolwiek, na poruszenie kogoś w dole, na coś, czym się zdradzi, czym potwierdzi swoje istnienie. Czułem dziwną, trudną do racjonalnego wyjaśnienia obawę przed zejściem na dół. Ciepłe światło kuli rozpraszało mrok w mojej najbliższej okolicy, w dole ledwo szkicuując zwały niezidentyfikowanego, błyskającego miejscowymi odblaskami



zapłatania. Teraz nie działa się nic, nie widziałem najmniejszego ruchu, słyszałem tylko poświstywanie wiatru w oknach wież.

Odwróciłem się gwałtownie, słysząc ciche szcęknięcie z korytarza za plecami. Znow cisza, tylko podłoga delikatnie zadrżała, jakby gdzieś w podziemiach przewróciło się coś ciężkiego.

Może nie miałem się czego obawiać? W tak dużym, opuszczonym budynku muszą mieszkać jakieś zwierzęta. Dźwięki mogą też pochodzić od stygnących w nocy elementów dachu, obluzowanych okien...

Ruszyłem z powrotem, ale po chwili znow zamarłem w miejscu, widząc wpatrzona w siebie oczy. To tylko ten sam porzucony pod ścianą złom na wprost naszego schronienia... Wtedy nagle dotarło do mnie coś oczywistego: martwe oczy były zwrócone w moją stronę, choć przedtem patrzyły na nasze posłanie. Przeszedłem na przeciwną stronę korytarza i przesunąłem się z plecami przy ścianie aż do naszego schronienia. Schronienie! Teraz wolałbym być w lesie, wśród tych nieznanach, istniejących tylko w teorii drapieźników. Z ulgą stwierdziłem, że metalowa konstrukcja pozostaje nieruchoma. Może idąc potrąciłem coś nogą i ta niby głowa się przesunęła?

Od strony hallu znow dobiegło mnie postukiwanie, ledwie dosłyszalne skrzywienie. Jakbym swoim odejściem przyzwolił na jakiś rodzaj aktywności.

Odwróciłem się, by wejść i niemal krzyknąłem. Szklane oczy znow wpatrywały się we mnie. Głowa obróciła się, gdy nie patrzyłem! Potrząsnąłem kulą, bo zaczęła przygasać i tyłem wszedłem do naszego schronienia z zamiarem obudzenia Her i jak najszybszego opuszczenia zamku. Cofając się krok za krokiem, patrzyłem na to coś w korytarzu. Nie ruszało się, ale byłem pewien, że uczyni to, gdy tylko spuszczę z niego wzrok.

W końcu musiałem się obrócić i tym razem krzyknąłem naprawdę. Her obudziła się, rozejrzała i wyskoczyła z krzykiem spod koca. Podbiegła i przylgnęła do mnie, a ja objąłem ją ramieniem. Patrzyliśmy w przerażeniu na coś, co pochylało się nad naszym posłaniem, z wyciągniętą dłonią unoszącą skrawek koca. Po chwili wyteżonej obserwacji zdołałem w gąszczu mechanizmów: osłon, prętów, rurek i kół zębatych wychwycić pewien porządek. Wyciągnięta ręka naprawdę była ręką, zakończoną chwytnikiem, teraz trzymającym koc. Na górze ażurowego korpusu, na obrotowym, pochylonym łożu siedziała głowa. Całość była niższa od nas, ale skomplikowana konstrukcja podstawy, służącej z pewnością do przemieszczania się, sugerowała, że maszyna może się wyprostować i przybrać na wysokości.

–To maszyna – wyjaśniłem zduszonym głosem. – Automat. Nie poruszy się, dopóki na niego patrzymy. Tam jest drugi. – Wskazałem na korytarz, skąd gapił się na nas

drugi stwór.

–Czy są niebezpieczne? – wyszeptała Her.

–Nie wiem.

Gdy wróciliśmy wzrokiem do bliższego mechanizmu, jego głowa była już obrócona w naszą stronę. Her drgnęła.

–Może jednak wchodzenie do zamku nie było dobrym pomysłem? – zastanowiłem się na głos.

–To był twój pomysł – odparła już spokojniej. – Musiał więc być dobry.

Westchnąłem.

–Dlaczego uważasz, że każdy mój pomysł musi być dobry?

–Do tej pory wszystkie okazywały się dobre.

–Skąd wiesz? Może wino w opuszczonym mieście wypilo tylko kilku ludzi? Może udałoby się ich wyleczyć jak ciebie? Może ono wcale nie było zatrute? Nadal żylibyśmy w znanym nam świecie. Żylibyśmy w Niebie!

–Chciałbyś tego?

Zastanowiłem się chwilę. Na schodach w hallu słyhać było postukiwanie kolejnych metalowych nóg, wchodzących na górę.

–Mimo wszystko... nie... – Jedyne co osiągnąłem, to że teraz nie umiałem zadać kolejnego, właściwego pytania. – Uważaj na tego przy posłaniu, ja nie będę spuszczał z oczu tamtego na korytarzu. Spróbuję otworzyć drzwi.

Dałem jej kulę. Tyłem doszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę. Ani drgnęła. Uwiesiłem się na niej, z konieczności przestając się przyglądać automatowi na korytarzu. Tamten wykorzystał to, przesuając się do przodu, co zauważyłem, gdy klamka wreszcie opadła. Pociągnąłem ciężkie drzwi. Wolno odsunęły się, ukazując kręcone schody, ginące w górę, za obłością centralnego filara.

–Chodź. – Odwróciłem się do Czarnowłosej.

Trzymała świecącą kulę w dłoni. Wyglądała z nią niesamowicie. Nie patrzyła na automat, tylko na mnie, a dwie maszyny pochylały się nad nią, wyciągając w jej kierunku stalowe szpony. Zamarły teraz w bezruchu, bo ja na nie patrzyłem. Ściany wokół pokrywały drapieżne wzory ułożone z drżących cieni i jasnych, ostrych łąt, przeświecającego przez sztuczne organizmy światła.

**–Zamknęłam oczy – wyjaśniła cicho Czarnowłosa.**

**Wyciągnąłem w jej kierunku rękę, pilnując, by mieć oba automaty w zasięgu wzroku. Schyliła się i wyszła spod stalowych konstrukcji, jak spomiędzy zaciskających się szczęk. Chwyciłem jej dłoń i pociągnąłem w górę. Nie było czasu na zamykanie drzwi, bo zamieszanie na korytarzu przybrało na sile.**

**Wbiegaliśmy długo na niekończące się schody, tracąc oddech. Wąskie i wysokie okna co kilka chwil oświetlały nas krótkim błyskiem. Z dołu słyszeliśmy, że automaty postanowiły podążyć za nami. Nie mogliśmy więc robić przerw na odpoczynek. Kula, potrząsana mimowolnie, jaśniała teraz tak, że doskonale widzieliśmy drogę przed nami. Schody kończyły się poziomą klapą wpasowaną w sufit. Koniec drogi? Naparłem barkiem na klapę, a ta uniosła się swobodnie, choć była dosyć ciężka. Przytrzymałem ją i przepuściłem Her. Potem zamknąłem klapę i zasunąłem rygiel. Wyglądało to solidnie, ale nie znałem możliwości automatów.**

**Rozejrzeliśmy się. Staliśmy na środku pomieszczenia, znajdującego się w rozszerzeniu na szczycie wieży. W górze widać było konstrukcję spadzistego dachu: stalowe belki, cienkie poprzeczki i jakieś równo ułożone gliniane płytki. Pomieszczenie było puste. Podłoga nie była kamienna. Przypominała zaschnięty mokry piasek albo spoiwo, którego użyto do łączenia kamiennych bloków.**

**Podeszliśmy do jednego z wąskich okien. Las w dole wyglądał jak czarny ocean falujący łagodnie w słabym świetle księżyca w pełni. W dole, przed samym zamkiem coś zobaczyłem. Potężne, futrzaste zwierzę zbliżało się do zamku, węsząc przy ziemi. Aż tu słyszałem trzask łamanych przez nie gałęzi. Drapieżnik lądowy, niewiele mniejszy od szarka, podążał naszym tropem. Pamiętałem, którądy szliśmy kilka godzin wcześniej.**

**Her zajrzała mi przez ramię.**

**–To jest odpowiedź na twoje pytanie – powiedziała.**

**Rozległo się walenie w klapę. Człowiek tak nie uderza. Te uderzenia przypominały rytmiczną, powtarzalną pracę upartego mechanizmu. Przyjrzałem się drgającemu ryglowi. Wiedziałem, kto, a raczej co, jest pod drugiej stronie. Patrzyliśmy na klapę przez prawie minutę. Uderzenia były miarowe, równe pod względem siły. Poczulem się, jakbyśmy nie weszli do zamku sami, ale zostali przez niego połknięci. Przez tę pułapkę na naiwnych. Nie chodziło jednak o wyłamanie klapy, raczej o dokuczenie nam.**

**Wreszcie Czarnowłosa podbiegła do klapy i, nim zdążyłem ją powstrzymać, odsunęła rygiel i uniosła z trudem klapę. Kolejne uderzenie zatrzymało się w pół ruchu, gdy pierwszy z automatów napotkał wzrok dziewczyny. Wszystko ucichło.**

**Hersis uniosła wyżej klapę i spojrzała na automaty. Było ich kilkanaście, a więcej pewnie czekało niżej. Wszystkie nieruchome.**

**–Cofnijcie się! – krzyknęła. – Odejdźcie i zostawcie nas w spokoju! Porozmawiamy rano.**

**To co nastąpiło chwilę potem zaskoczyło nas bardziej, niż przedtem sam fakt istnienia takich maszyn. Automaty cofnęły się i na naszych oczach zaczęły schodzić tyłem. Odprowadziliśmy je wzrokiem, aż zniknęły za obłością muru.**

**Były posłuszne. Wystarczyło więc powiedzieć, rozkazać, a podporządkowały się naszej woli. Chwilę słuchaliśmy kroków cichnących daleko w dole. Z ulgą zamknęliśmy klapę.**

**Podszedłem do okna i oparłem się o parapet. Mechanizmy słuchające poleceń... A kilka dni temu myślałem, że podwodne miasto to najdziwniejsza rzecz, jaką zobaczę w życiu.**

**Spojrzałem na księżyc i coś mnie zastanowiło.**

**–Jak spadaliśmy, w noc przed uderzeniem w wodę, księżyc był prawie w trzeciej kwadrze – powiedziałem. – W Mespaladii byliśmy tydzień. Tutaj jesteśmy trzeci dzień. Księżyc powinien być w nowiu.**

**A jednak jest w pełni, pomyślałem. Widzę, że jest w pełni, choć nie ma prawa.**

**Her patrzyła długo na księżyc, ale nic nie odpowiedziała. Wreszcie skuliliśmy się pod kamienną ścianą i zasnęliśmy z nadzieją, że następny dzień będzie lepszy.**

**\* \* \***

**Obudziło nas słońce. Poczuliśmy, że jesteśmy przemarznięci, a po chwili, że również bardzo głodni. Na to drugie nie było rady, za to by się ogrzać, wystarczyło podejść do okna i wystawić twarz do ciepłych promieni słońca. Las wyglądał z góry zupełnie inaczej. Mimo ostrych czubków drzew wydawał się być miejscem przyjaznym. Pomyślałem, że dałoby się tu zamieszkać, gdyby na początek włożyć trochę pracy w stworzenie jakiegoś schronienia przed drapieżnikami. Potem pomyślałem, że właśnie jesteśmy w takim schronieniu. Być może naprawdę takie było przeznaczenie zamku.**

**Bliżej, między młodymi drzewami zobaczyłem prostokątne zarysy resztek budowli, pochłonięte niemal całkowicie przez odradzający się las. Na samej granicy były pozostałości muru. Musiał kiedyś odgradzać cały teren od królestwa przodków tego wielkiego futrzaka. Potem spojrzałem całkiem w dół i znów poczułem osobliwe mrowienie w ramionach, mimo że ta wysokość była niczym wobec bezkresu Nieba.**

**Teraz jednak musieliśmy stawić czoła innemu problemowi. Spojrzałem na klapę, przez którą tu weszliśmy. Obok spora część podłogi była pokryta grubą warstwą szarej substancji. Poznałem ją: guano. Z niepokojem spojrzałem w górę i ujrzałem wpatrzone w nas dziesiątki par małych oczek. Ptaki, tyle że małe i czarne. Na pewno nie sokoły.**

**Pierwszy ptak zamachał skrzydłami, zaskrzeczał po swojemu. Pozostałe zaczęły robić tumult. Wreszcie któryś zerwał się do lotu, a reszta podążyła za nim. Wylatywały oknami, robiąc spory wiatr. Her pisnęła bardziej z rozbawienia, niż ze strachu. Z sąsiednich wież, pchnięte przykładem, wystartowały następne stada, pokrywając niebo ruchomą mozaiką czarnych ciał.**

**–Pora iść na dół i przedrzeć się do wyjścia – powiedziałem. – Może tym razem też posłuchają polecenia.**

**Automat, który czekał na nas u podnóża długich schodów, w ogólnym zarysie przypominał człowieka. Miał głowę, korpus, nogi i ręce, zakończone trójpalczastymi dłońmi. Powolnym, nadzwyczaj płynnym i uprzejmym gestem dał nam worek i zwinięte koce. Nieufnie wziąłem nasze rzeczy. Wtedy wskazał nam drogę. Wyszliśmy na korytarz i na galerię obiegającą hall. Przez okna wpadało teraz dość światła, byśmy mogli zobaczyć to, czego nocą nawet się nie domyślaliśmy. Przesklepiony żebrowaną kopułą hall był z grubsza okrągły, na galeryjkę prowadziły z drugiej strony jeszcze jedne, identyczne z naszymi schody. Pomiędzy nimi było szerokie przejście do dalszych części zamku. Niemal całą podłogę zasłaniały mechanizmy nieznanego przeznaczenia, wiązki przewodów (jedną z nich wziąłem nocą za korzenie), rury, prowadzące licznymi zakrętami w głąb zamku i rusztowania, utrzymujące to wszystko na swoich miejscach. Były poruszające się niemal bezgłośnie tłoki, czasem z sykiem z jakiegoś zaworu uchodziła para, czasem zaterkotały jakieś przekładnie. Spomiędzy tego wszystkiego wpatrywały się w nas dziesiątki, albo i setki mechanicznych oczu.**

**Trzymając się za ręce, wolno zeszliśmy po schodach. Naprawdę osobliwie i niepokojąco wyglądały te dziesiątki osobnych mechanizmów, poruszających się sprawnie i płynnie bez widocznego sterowania z zewnątrz. Jak ludzie. Różnego kształtu i wielkości, wszystkie wyglądały podobnie, bo składały się z podobnych elementów. Niektóre miały zamiast dłoni jakieś dysze, czasem kleszcze lub szpikulce. Były wysokie, z długimi kończynami, były i przysadziste z młotami zamiast rąk. Patrzyły na nas tymi złoto błyskającymi oczami i byłem bliski stwierdzenia, że wyglądają jak żywe. Nie udawały już, że ich nie ma, chociaż też nie narzucały się nam. Polecenie, wydane w nocy przez Czarnowłosą, musiało zmienić ich sposób traktowania nas. Usuwały się z drogi, gdy szliśmy przez hall w kierunku otwartych na oścież wrót.**

**–Wyglądają, jakby na coś czekały – zauważyła Hersis, ściskając moją rękę.**

–Obiecałaś im, że rano porozmawiamy – przypomniałem, choć wydało mi się to śmieszne. Po chwili zastanowienia uznałem jednak, że może to nie jest wcale tak nieprawdopodobne. – Maszyny rozumiejące słowa mogą również rozumieć znaczenie obietnicy.

–Rozumiemy znaczenie obietnicy – odezwał się niespodziewanie najbliższy z automatów. – I chcemy porozmawiać.

Drgnęliśmy zdziwieni i zatrzymaliśmy się w miejscu. Głos brzmiał nieco mechanicznie, ale słowa wypowiedane były poprawnie.

–Kim jesteście? – zapytałem.

–Jesteśmy robotami. Kontynuujemy dzieło według procedur cząstkowych.

Nie wiedzieliśmy, co robić. Wrota stały otworem, wpuszczając do środka promienie słońca. Spojrzeliśmy na świetlisty otwór, zapraszający do przejścia. Czułem, że gdybyśmy teraz zechcieli wyjść, nikt by nas nie zatrzymywał. Jeśli jednak wciąż mogłem ufać mojemu wewnętrznemu głosowi, to mówił on, że powinniśmy zostać.

–Porozmawiamy – odparłem po chwili. Miałem pewne opory przed personifikowaniem tych mechanizmów, ale rzeczywistość szybko zmusiła mnie do zmiany stosunku do nich.

Inny robot skłonił głowę i powiedział:

–Przejdźmy.

Kolejny ruszył i wtedy zrozumiałem, że mamy iść za nim. Her ścisnęła mocniej moją dłoń i pociągnęła mnie za robotem, kroczącym w kierunku szerokiego korytarza pod galerią. Otwarte wrota zostały z tyłu, a my szliśmy po potraskanej posadzce, klucząc między nieznanymi mechanizmami i próbując nadażyć za przewodnikiem. Pozostali odprowadzali nas wzrokiem, w którym, zdawało mi się, widziałem jakby nadzieję.

Minęliśmy wiele drzwi i odnóg korytarza. Sporo przejść było niemal całkowicie zatarasowanych nieznanymi instalacjami, niewątpliwie dodanymi już po wybudowaniu zamku. Szerokimi schodami zeszliśmy kilka kondygnacji w dół i przeszliśmy przez trzy pary stalowych grodzi. Wreszcie dotarliśmy do prostokątnego pomieszczenia, na środku którego stała stalowa skrzynia, połączona ze ścianami dziesiątkami wiązek splątanych przewodów. Światło sączyło się z kilku prostokątnych wgłębień w suficie.

Nasz przewodnik odsunął się w cień, a stojący pod ścianą wysoki robot wskazał skrzynię.

**–To tutaj – powiedział.**

**Spojrzeliliśmy na skrzynię. Była podłużna, pomalowana na zielono i sięgała nam do pasa. Wszystkie kandy miała zaokrąglone. Z jednej strony w jej boku ziała czarna dziura o osmalonych, stopionych krawędziach, jakby uderzyło tam coś ciężkiego i bardzo gorącego. Fragment powierzchni z jej wierzchu był wycięty i również zaokrąglony, dzięki czemu mogliśmy zajrzeć do środka, pełnego migających punktów.**

**Spojrzeliliśmy pytająco na wysokiego robota. Trwał w nieruchomym oczekiwaniu, chyba nie umiał odczytać ludzkiego wyrazu twarzy.**

**–Czego od nas oczekujecie? – zapytałem.**

**–Główna baza danych mózgu elektronowego jest uszkodzona – odparł niski robot o trzech ramionach. – Istnieją zapisy procedur, których musimy się trzymać, ale sam program nadrzędny stał się nieczytelny.**

**Spojrzałem na Her, a ona spojrzała na mnie.**

**–Nie mamy pojęcia o czym mówicie – powiedziałem.**

**–Stworzyli nas ludzie – ciągnął inny robot. – Ale ludzie odeszli. Nie potrafimy i nie możemy sami dotykać programu nadrzędnego.**

**–Cóż więc mamy zrobić?**

**–Przywróćcie sprawność programu nadrzędnego.**

**–Nie wiem, o czy mówisz – wzruszyłem ramionami.**

**–Jesteście ludźmi – powiedział kolejny robot. – Ludzie stworzyli to miejsce, mózg i nas. Ludzie mogą przywrócić nam cel.**

**–Cel?**

**–Umiemy wykonywać wiele rzeczy i wykonujemy je codziennie, najlepiej jak potrafimy. Nie wiemy tylko, po co to wszystko robimy. Zagubiliśmy nasz cel.**

**Inny robot wskazał palcem skrzynię. Kilka razy w nią zapukał tym palcem, a raczej prawie zapukał. Za każdym razem zatrzymywał koniec palca tuż nad zieloną obudową.**

**–To cała nasza mądrość – przyznał kolejny robot. – Choć jej nie rozumiemy.**

**–Tam jest ten mózg?**

**–Tak. Z nim rozmawiasz za naszym pośrednictwem.**

**–Więc mózg nie rozumie sam siebie?**

**–Mózg nie jest zdolny do interpretacji większej części zgromadzonych danych. Został uszkodzony.**

**Za każdym razem odpowiadał inny z kilku robotów stojących w pobliżu, co tylko potęgowało nasze zagubienie.**

**–Czy to rodzaj księgi, która sama się odczytuje, za waszym pośrednictwem? – zapytałem, kładąc dłoń na obudowie.**

**–To określenie jest bliskoznaczne. Obudowa drżała ledwo wyczuwalnie. Myślałem.**

**–Jaki jest najstarszy zapis? – zapytałem wreszcie.**

**–Rok piąty, licząc od początku ataku, choć czas przestał być prostym wyznacznikiem przemijania. Atak dotknął również czas. Jakoś trzeba było jednak określać przemijanie, więc Konstruktorzy postanowili przystać na sporą niedokładność, by zachować choć chronologię.**

**–Konstruktorzy... – powtórzyłem. – Jak brzmi ten zapis?**

**–,Widziałem liny, powstające z załączków przepowiedzianych studni grawitacyjnych. Darły nasz świat na strzępy, zniekształcając go, gniotąc i nicując. Mnożąc i dzieląc. Jakakolwiek obrona była niemożliwa, bo destrukcja odbywała się jednocześnie na wszystkich poziomach, nawet tych, których istnienia wcześniej nie podejrzewaliśmy. Ocalała tylko aktualna wiedza, bo jej nie mogli zniszczyć, nie zabijając przy tym nas samych. Tego nie chcieli czynić z przyczyn całkowicie dla mnie niezrozumiałych, chociaż w wyniku skutków ubocznych wielu zginęło.”**

**–Nie rozumiem ani słowa – odparłem po chwili. Wyprostowałem się. – Sądzę, że bierzecie nas za kogoś, kim nie jesteśmy. Nie mamy pojęcia, jak przywrócić sprawność programu nadrzędnego. Nie wiemy nawet, co to jest program nadrzędny.**

**Powiodłem wzrokiem po robotach. Teraz już traktowałem je, jak traktowałbym ludzi w podobnej sytuacji. Sam się sobie dziwiłem.**

**–To dla nas spore rozczarowanie – powiedział jeden z nich. – Nie było tu nikogo od bardzo dawna. Od czasów, gdy odeszli ostatni Konstruktorzy. Powoli gubimy się, gubimy sens.**

**Spuściłem głowę. Her przyłożyła policzek do mojego ramienia. Właściwie to szczerze pragnąłem im pomóc. Wiedziałem, że Her również tego pragnie i było to**



**takie samo pragnienie, jakbyśmy kierowali je do ludzi.**

**„Liny zaburzyły porządek naszego świata. Właściwie powinniśmy zacząć tworzyć od nowa fizykę, bo stara w bardzo wielu punktach się zdezaktualizowała. Każda z lin to przecież powierzchnia końca świata.”**

**„Trzeba wysłać wiadomość. Nawet jeśli istnieje mała szansa, że można się wyrwać z tej koszmarnej pętli, warto podjąć każdy wysiłek. Nawet, jeśli identyczny był już kiedyś podjęty nadaremnie.”**

**„Zamknęli nas w pętłach, z których nie potrafimy się wydostać, bo więzami jest nasza własna wyobraźnia. A raczej jej niedostatki, charakterystyczne dla całego naszego gatunku. Nie można przeskoczyć samego siebie, a to właśnie należałoby uczynić, by odwrócić porażkę. Nie jesteśmy bogami.”**

**–To czyjś pamiętnik – stwierdziła Her.**

**–Przemyślenia – dodałem. – Przemyślenia kogoś, kto nie żyje od prawie czterystu lat. Przemyślenia kogoś, kogo nie rozumiemy.**

**–Możemy przynajmniej próbować. Przytaknąłem.**

**–Jak korzystać z tej książki? – zapytałem głośniej.**

**–Bazy danych nie trzeba przeglądać po kolei – odparł robot. – Można ją przeszukiwać, zadając właściwe pytania.**

**Znów sztuka zadawania właściwych pytań... Zwinąłem koce w płaski walek i rozłożyłem na podłodze. Usiedliśmy na nim, ze skrzyżowanymi nogami i spojrzeliśmy po sobie.**

**–Chcemy wiedzieć, dlaczego tutaj na niebie nie ma lin.**

**–„Użyliśmy najsilniejszej broni, jaką posiadaliśmy, póki ta jeszcze działała. Jedyne, co osiągnęliśmy to zawiązanie supła z jednej z tworzących się lin. Potrafiliśmy tylko zakłócić ich dzieło, ale nie powstrzymać jego skutków. Schroniliśmy się potem wewnątrz supła, gdzie warunki bardziej przypominały to, co zwykliśmy nazywać normalnym światem i gdzie destrukcja nie postępowała już dalej. Tak samo postępowali żołnierze minionych wojen – kryli się w lejach po bombach, niecelnie wcześniej w nich wymierzonych.”**

**–Czy my jesteśmy teraz wewnątrz supła? – zapytałem w przestrzeń. – Czy ten świat jest tylko niewielkim bąblem powietrza w głębinach?... – Zastanowiłem się chwilę. – Jednocześnie nasz świat z naszym Niebem jest tylko kroplą w tym świecie.**

**–Oba zawierają się w sobie – uzupełniła Her.**

**Przytaknąłem, choć nie byłem w stanie pojąć tego, czego się właśnie dowiedzieliśmy. Jakże w wodnej kuli może się zawierać coś większego od niej samej?**

**Wybierałem kolejne fragmenty, słuchając odpowiedzi bez specjalnej nadziei na ich zrozumienie.**

**„Drobne zachwiania wartości stałych fizycznych nie zaszkodziły organizmom żywym, ale układy kwantowe, a nawet niektóre starsze, kwarcowe straciły prawne podstawy pracy. Zostaliśmy z prostymi tranzystorami i układami scalonymi najwyżej trzeciej generacji.”**

**.Widziałem własne dzieło, nim je stworzyłem. Zaczątek wybuchu, jeszcze przed oddaniem strzału, skutek wyprzedzający przyczynę. Więc my też jesteśmy uwięzieni... Byliśmy już, nim to się zaczęło. A skoro tak, musiało nastąpić.”**

**„Gdyby nie świadomość, że jesteśmy wewnątrz supła, a nie w świecie, gdzie dorastaliśmy, moglibyśmy tu komfortowo żyć. Ten oddzielny wszechświat ma prawie identyczny zestaw praw podstawowych, co nasz, więc jest mu niemal równorzędny. Gdyby było inaczej, zginęlibyśmy w kilka sekund. Jednak, choć to nie ma praktycznego znaczenia, wielu z nas źle się tu czuje przez sam fakt pamięci o stanie uprzednim. Jedyne pocieszenie w tym, że nasze dzieci nie będą już mogły zrozumieć tych dylematów. To będzie ich świat.”**

**Po głowie krążyły mi myśli, które rozumiałem jedynie w części, a najczęściej wcale. Potem doszedłem do wniosku, że tak naprawdę nie rozumiem nic, a jeśli momentami myślę, że rozumiem, dowodzi to tylko skali mojej ignorancji.**

**„Tworzenie nowych wszechświatów przychodzi im z łatwością, równą tej, z jaką my pstrykamy palcami. Nie jest to wcale wynik wybitnie rozwiniętej technologii, a jedynie wiedzy i mądrości, bo wszechświaty rodzą się z czystej myśli. Z tego punktu widzenia są niematerialne, bo suma każdego z nich osobno, pod każdym względem i tak równa się zero. Żyjemy więc wewnątrz idei. Jesteśmy niczym więcej, ponad wahnięcie rzeczywistości.”**

**„Może my też stale tworzymy wszechświaty, każdą naszą myślą, nie wiedząc o tym nawet? Jeśli tak, to z tego prosty wniosek, że atak wcale nie musiał być atakiem – mógł być ledwie złym snem niemowlaka i może nawet żadnych onych nie ma. Może komuś wyrwała się na wolność wysokoenergetyczna manipulacja? Przerosło nas własne dzieło, obróciło się przeciw swoim twórcom...”**

**„Tylko część energii naszej broni została zużyta do zachwiania procesu powstawania liny, wraz z chwilowym zachwianiem lokalnej strzałki czasu. Reszta**

uwieźla w niej na czas nieznan, który dla obserwatora wewnętrznego byłby może i milisekundą. Tym samym echo promieniste tej reakcji będzie ponownie widziane przez potomków pozostałych na zewnątrz, w postaci uwolnionego nagle jasnego błysku. Nie wiemy, kiedy to nastąpi.”

„Energję uwięzioną w osobliwości można teoretycznie wykorzystać do przekazania informacji, zdolnej cofnąć klęskę. To czysta teoria, ale niczego więcej nie mamy.”

„Nie wszystko jest takie piękne, jak wydawało się z początku. Nie rodzą się dzieci. Nie wiadomo dlaczego nasze kobiety nie zachodzą w ciążę. Może przyczyną jest ta sama cecha tego świata, która sprawia, że znane nam choroby tutaj wyglądają zupełnie inaczej? Śmiertelne niegdyś, tu zniknęły, a niektóre przedtem niegroźne, teraz zabijają. Nie mamy jak wykryć przyczyn. Może są związane z tym światem, z jego naturą, jednak niezgodną do końca na poziomie podstawowym z naszym, a może ze szkodliwością przejścia, w jakim wszyscy uczestniczyliśmy? To stawia naszą sytuację w zupełnie innym świetle.”

„A jednak ostateczną decyzję musi podjąć człowiek. Poprawności działania tego elementu obawiam się najbardziej. Nie da się inaczej. Maszyny nie można zaprogramować na to, co całkowicie niewiadome. Nie można jej nawet zaprogramować polecenia przeprogramowania się, bo skutek, wyprzedzający przyczynę, niweluje jakiegokolwiek działanie programu. To wyobrazić sobie potrafi tylko człowiek.”

–Więc ktoś kogoś zaatakował, używając lin jako broni?

–zastanowiłem się na głos. – Czy może był to jakiś wypadek przy pracy?

–Mam odpowiedzieć, czy wyszukać właściwy fragment?

–zapytał robot.

–Odpowiedz...

–Nie wiem. Nie możemy sami interpretować zawartości bazy danych. Może to robić tylko człowiek lub program nadrzędny – Więc znajdź fragment.

„Każda lina to granica między światami. To zabawne, że nikt na to wcześniej nie wpadł. Przez powierzchnię liny można zajrzeć do jej wnętrza, używając niezbyt skomplikowanego przyrządu optycznego. Z tamtej strony nasz stary świat sam wydaje się być jedną z lin. Zamienił się w coś w rodzaju hosta, magazynu, przystani dla innych światów-hostów. Tyle, że przejście do nich wykracza daleko poza nasze możliwości. Super stał się czymś w rodzaju stacji końcowej i w tym sensie teraz bardziej przypomina stary świat, niż on sam.”

**Westchnąłem, znów niewiele rozumiejąc.**

**–Co było celem Konstruktorów? – zapytałem.**

**„Nie chcemy się bronić przed rzeczywistością, ani się do niej dostosowywać. My chcemy ją zmienić. Niewidzialna siła, utrzymująca ten świat w obecnym stanie, otacza nas ze wszystkich stron, a jednak nie jesteśmy w stanie odkryć jej natury. Przyczyna jest elementarna: przeznaczenie nie może zostać odmienione w ramach danego świata. Potrzebny jest punkt zaczepienia poza nim. Inaczej wszelkie próby spowodują tylko wahnięcie i powrót do poprzedniego stanu rzeczywistości.”**

**–Nie wierzyli w sens własnych działań?**

**„Jak w ogóle można badać świat, samemu będąc jego częścią? Mały element może pojąć złożoność całego układu tylko w przynależnym mu stopniu.”**

**Spędziliśmy jeszcze kilka godzin na wsłuchiwanie się w zapiski jednego z dawnych Konstruktorów, zwiększając tym tylko zamęt w naszych głowach. Potem głód kazał nam się zająć bardziej przyziemnymi sprawami. Automaty pozwoliły nam udać się do lasu, celem zdobycia pożywienia. Pozwoliłyby nam odejść, nawet gdybyśmy chcieli opuścić to miejsce na zawsze. Czułem jednak, że nie powinniśmy tego robić, bo w zamku ukryta była wiedza, której nie moglibyśmy znaleźć nigdzie indziej.**

**Zębaty futrzak nie pojawił się. Może więc wyruszał na łowy dopiero po zmroku. Do metalowego kanistra nabraliśmy wody z leśnego strumienia. Zabraliśmy sporo małych, niebieskich owoców i oszukaliśmy nimi głód. Wiedziałem, że kolejnego posiłku z nich złożonego już nie przełknę. Obecność drapieżnika sugerowała, że są tutaj zwierzęta, na które i ja mógłbym zapolować. Stanowiło to pewną pociechę, gdybyśmy mieli zostać tu dłużej. Co ciekawe, nie rozważałem nawet możliwości pozostania tu na zawsze.**

**Wiedzy zawartej w mózgu elektronowym było znacznie więcej, ale nie istniał nikt, kto mógłby ją zinterpretować. Nie znałem też klucza, który pomógłby wyszukać najbardziej przydatne informacje lub chociaż to co jest, ułożyć w sensowny ciąg. Mógłby to zrobić ten ktoś, czy coś, zwany przez automaty programem nadrzędnym. Informacja o tym, kto lub co to jest i jak to naprawić zapewne również znajdowała się w tej skrzyni. Doskonale przed nami ukryta w nadmiarze informacji.**

**Do wieczora siedzieliśmy w podziemiach, słuchając niezrozumiałych cytatów. Niczego nie zapisywałem. Nie miało to sensu. Może kiedyś, zdobywszy nowe informacje, uda mi się rozwikłać część zagadek, zapamiętanych teraz zajawkowo.**

**Wraz z opadającym słońcem odczuliśmy znużenie rwaną litanią mechanicznych słów. Nie potrafiłem racjonalnie wyjaśnić powodu, dla którego na sypialnię zgodnie i bez rozważań wybraliśmy tę samą komnatę na szczycie wieży. Wspięliśmy się tam i**

ułożyliśmy na posłaniu w tym samym miejscu co wczoraj. Może był to wyraz tęsknoty za jakąś szczątkową choćby stabilizacją.

Czarnowłosa objęła mnie ręką i nogą. W tej pozycji zasnęliśmy niemal od razu.

\* \* \*

–Czym się zajmujecie?

–Budujemy obiekt według procedur cząstkowych.

–Cokolwiek to znaczy... Pokażecie nam?

Zeszliśmy jeszcze niżej, prowadzeni przez podrygującego nerwowo stalowego chuderlaka. Jeśli udało mi się zorientować, pomimo mylących, źle oświetlonych schodów i zakrętów, dotarliśmy do wielkiej na dziesięć pięter, sklepionej półkolisto piwnicy, leżącej bezpośrednio pod hallem wejściowym. Zatrzymaliśmy się na małym balkonie, w połowie wysokości piwnicy. To, co wypełniało sobą centralną część wielkiego pomieszczenia było niemal tak wielkie jak miasto niebieskie. Nie sposób było ocenić dokładnego kształtu obiektu, bo wypełniał sobą niemal całą dostępną przestrzeń. Był złożony ze znitowanych ze sobą miedzianych płyt, iluminatorów, skrzeli uchylnych oraz wielu elementów, których nie potrafiłem nazwać. U spodu, między podporami, przytwierdzono coś, czego dokładnie nie widziałem. Wydobywał się stamtąd dym i znikał, płóząc się po ziemi. Ze ścian piwnicy wychodziły elastyczne rury, przypięte do otworów w miedzianych blachach. W górze, na wysokości kilku pięter, do otworu w ścianie obiektu wchodził pomost, po którym, w tę i z powrotem, przechadzały się automaty. Niosły mniejsze i większe przedmioty, niekiedy z dyndającymi wiązkami przewodów. Wokół co i raz strzelały snopy iskier, odzywał się młot samopowtarzalny lub świszczwał wielki wkrętak.

–Czy wiecie, czym jest obiekt i czemu służy? – zapytał najbliższy automat.

–Nie – odparłem – ale z chęcią zobaczylibyśmy go od środka.

Poprowadził nas na górę i po pomocy do wnętrza. Przez kilka poziomów doszliśmy do sporego pomieszczenia, o ścianach wyłożonych miękkim materiałem. Dwa wielkie fotele wspierały się na systemach amortyzatorów. Przed nimi stały konsole pełne zegarów, lampek kontrolnych, dźwigni i przełączników. Dalej były zakurzone, okrągłe okna, wychodzące na ścianę piwnicy. Ramy okien były wykonane z grubego, nitowanego równo metalu, a samo szkło musiało mieć grubość równą długości mojego przedramienia.

Zeszliśmy kilka poziomów w dół. Pamiętałem zmagania Cesenu ze skomplikowanymi instalacjami naszego miasta. To, co teraz zobaczyliśmy, było zdecydowanie bardziej skomplikowane. Cała przestrzeń, wypełniona była rurami o różnej średnicy i kolorze,

splątany ze sobą na wiele sposobów. A jednak roboty zdawały się znać każdy fragment, zawór, rozgałęzienie. Podchodziły co chwilę i przekręcały, popychały, pociągały. Jednak, o ile zdążyłem się zorientować, cała ta praca miała nieco pozorowany charakter. Maty, garbaty robot wymontował ze ściany stalową osłonę i poniósł ją gdzieś, wraz z umocowanym do niej pudełkiem i kawałkiem rury. W czasie, gdy oglądaliśmy wnętrze, inny robot, w kształcie kulki, podjechał do ściany i palnikiem wyciął w niej okrągły otwór. Minutę później kolejny robot przyniósł część z rurą i przykręcił ją na starym miejscu.

–Pracujecie nad tym od... czterystu lat? – zapytałem.

–Gdy zobaczyliśmy, że się zbliżacie, rozpoczęliśmy przygotowania do kolejnego etapu – odparł robot-kulka i wyszedł.

–Jakiego etapu? – zapytałem w przestrzeń.

–Nie wiemy – odpowiedział robot-młot, przechodząc obok i nawet nie zwalniając. – Aktywowały się nieznane wcześniej subprogramy. – Zniknął na schodach.

Wysoki robot ponownie zdemontował osłonę z rurą. Robot-kulka wrócił, zaspawał okrągły otwór i przystąpił do wycinania obok następnego.

–Wycinałeś przed chwilą ten otwór – zauważyłem. – Teraz go załatałeś...

–To był inny subprogram. Sterował robotem, z którym teraz rozmawiasz.

–Nie znam się na tym – zastanowiłem się – ale wydaje mi się, że ta praca nie ma sensu.

–Dlatego liczyliśmy na waszą pomoc. Nie wiemy, jak ukończyć nasze dzieło.

–Może ono już jest ukończone – powiedziałem. – Przestańcie tylko wymontowywać stąd części.

W całej wielkiej piwnicy zapadła nagle cisza. Wszystkie automaty znieruchomiały.

–Co masz na myśli? – zapytał robot z kilkoma zestawami tarcz do cięcia.

–Zamontujcie wszystko i nie ruszajcie tego więcej. – Wzruszyłem ramionami.

–Kontynuować montaż, zaprzestać demontażu? – upewnił się automat, stojący najbliżej nas.

\* \* \*

Zamek był bardzo duży, obeszliliśmy zaledwie małą jego część, natrafiając na

kilkadziesiąt pustych pomieszczeń, w tym na kuchnię, w której zapasy jedzenia zamieniły się w proszek. To przypomniało nam o głodzie, ale wolałem na razie głód od tych małych niebieskich kulek. Teraz ze smakiem wspominałem owoce morza, które kilka dni temu z trudem przełykałem.

Znaleźliśmy gabinet z wielkim biurkiem, kominkiem i sporą biblioteką. Przeglądanie książek odłożyliśmy na później. Moje zainteresowanie wzbudziła za to wisząca na ścianie kusza. Widziałem podobne urządzenie w Mespaladii. To była broń myśliwska; naciągnięta sprężyna wyrzucała z dużą prędkością zaostrzony pręt. Zdjąłem ją ze ściany razem z kołczanem z amunicją i sprawdziłem stan techniczny. Wyglądało na to, że czas obszedł się z łaskawie z jej małymi mechanizmami.

–Zobaczę, czy potrafię się z tym obchodzić – uśmiechnąłem się do Her.

Wybrałem się do lasu, by przemyśleć parę spraw i może coś upolować, jeśli to w ogóle możliwe bez praktyki. Czarnowłosa zostawiłem przed zamkiem pod opieką trzech robotów, na wypadek gdyby powrócił zębaty futrzak. Z pomocą jednego z robotów rozpałała ognisko.

Szybko okazało się, że polowanie i przemyślenia nie idą w parze. Skupiłem się więc na tym pierwszym, co było o tyle trudne, że nie miałem pojęcia, jak należy polować. Chodziłem więc po okolicy, starając nie robić hałasu, a przy tym nie zgubić się.

Zobaczyłem je po kwadransie, w tak niewielkiej ode mnie odległości, jakby traktowało mnie na równi z drzewami. Małe zwierzątko przypominało króliki, jakie hodowaliśmy w Niebie. Było jednak większe i miało krótsze uszy. Wycelowałem i nacisnąłem spust. Widziałem lecący pocisk, małał na tle szarego futerka. Potem królik szarpnął się, odleciał kawałek i znieruchomiał. Nie tak źle jak na pierwszy raz. Poczułem nawet coś na kształt zawodu, że poszło tak łatwo.

Pierwsze co zrobiłem, to naciągnąłem kuszę i załadowałem ponownie, po czym podszedłem do królika. Wyciągnąłem z niego pręt. Dla pewności wziąłem zwierzę za tylne łapy i uderzyłem nim o drzewo. Chrupnęło. Chyba tutejsze zwierzęta zapomniały o strachu przed ludźmi, którzy kiedyś na nie polowali. Może upłynęło dość czasu, by nie warto było pamiętać?

Bez trudu znalazłem drogę powrotną do zamku. Rzuciłem królika na trawę, a Her zabrała się za uprawianie go. W kilka chwil później już skwierczał na ruszcie, a my siedzieliśmy obok. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale jeszcze nie robiło się chłodno. Odesłałem roboty do środka – ich monotonna obecność rozpraszała mnie.

–Budują jakiś pojazd – powiedziałem. – To na pewno jest pojazd.

–Jeśli tak, to jak zamierzają go wyciągnąć spod ziemi? – zapytała Her.

**–Chyba zaczną się nad tym zastanawiać na kolejnym etapie. – Pokręciłem głową. – A może to pojazd do podróży podziemnych? To wszystko jest trochę... dziwne.**

**–Czy nie dość dziwne jest samo to, że rozmawiamy z maszynami?**

**–Tego też nie rozumiem, ale na razie się z tym pogodziłem. Teraz chodzi mi o to, że do zbudowania takiego zamku i tej konstrukcji w podziemiach potrzebna jest ogromna wiedza. Jednocześnie sposób, w jaki zachowują się roboty, jest głupi.**

**–Nie ma już Konstruktorów. Oni musieli nad tym panować.**

**–Nie, Konstruktorzy stworzyli to wszystko, żeby działało samo. Myślę, że roboty razem z tym mózgiem elektronicznym tworzą jedną całość. To jakby jedna, skomplikowana maszyna, pełna ruchomych części. Mózg jest uszkodzony, więc całość zachowuje się jak człowiek niespełna rozumu.**

**Her zajęła się pieczeniem mięsa, miałem więc wreszcie czas na przemyślenia, ale nic z tego nie wychodziło. Aromat pieczeni nie pozwalał na niczym się skupić. Pozwoliłem więc porwać się przyjemnemu oczekiwaniu.**

**Królik, choć nie przyprawiony, smakował wyśmienicie. Z trudem mogłem uwierzyć w to, że był kiedyś moment, gdy z nadmiaru dobra miałem dość króliczego mięsa.**

**Gdy skończyliśmy Her spojrzała na mnie uważnie.**

**–Może to pojazd dla nas? – zapytała. Po tym spojrzeniu poznałem, że myślała o tym od jakiegoś czasu.**

**–Tak sądzisz?**

**–Ty przecież też to czujesz. Czujesz, że ten zamek to ważny etap naszej liny losu.**

**Musiałem przyznać jej rację. Znów potrafiła nazwać to, co ja czułem podświadomie.**

**Tę noc postanowiliśmy spędzić w gabinecie z biblioteką. Rozpaliliśmy w kominku i umożliwiliśmy sobie posłanie na wielkim futrze, leżącym przed nim. Była to pierwsza noc od opuszczenia Mespaladii, podczas której było nam naprawdę ciepło. Dotknąłem w ten specjalny sposób karku i ramienia Czarnowłosej, ale leniwym ruchem dała mi do zrozumienia, że nie pragnie niczego poza snem.**

**\* \* \***

**Zszedłem na dół, by zobaczyć postęp prac nad nieznanym pojazdem. Zwątpiłem szybko w słuszność własnego pomysłu o powstrzymaniu nieskładnego demontażu. Z boku pojazdu przybyła jakaś obrotowa wieżyczka i kilka wypustek, na dole kilka**



jakby pletw oraz kilka włączów umiejscowionych w najdziwniejszych miejscach. Wszedłem do środka, pełen najgorszych przeczuć, jak się okazało po chwili – w pełni uzasadnionych: w sterowni przybyło pięć kolejnych foteli, w tym dwa na ścianie i jeden wciśnięty w kąt, tak że nie dałoby się na nim usiąść. Konsola z dźwigniami sterowania odsunęła się od środkowego fotela na tyle, że nie sposób było jej dotrzeć bez wstawania. Nie znałem przeznaczenia pojazdu, ale wydało mi się to bardzo niewygodnym rozwiązaniem.

Zastanowiłem się chwilę i doszedłem do wniosku, że w głębi maszyny mogło dojść do bardzo wielu podobnych, niekorzystnych modyfikacji.

Wiedziałem już, że z bliżej nieznanego mi powodu roboty są nam posłuszne. Może chodziło o sam fakt, że jesteśmy jedynymi ludźmi od czasu odejścia Konstruktorów, może chodziło o coś więcej. Zatrzymałem najbliższego robota. Niósł podłużne czarne pudełko, z jednej strony zakończone kilkudziesięcioma metalowymi pręcikami.

–Dlaczego ciągle dodajecie tu nowe rzeczy? Znajdź jakiś cytat.

–„Istnieje wiele możliwości wykończenia projektu podstawowego. Badania i obliczenia wciąż trwają, więc decyzję w sprawie ostatecznego wyboru wyposażenia podejmiemy tuż przed startem. Do tego czasu budowa musi postępować w sposób umożliwiający pójście każdą z dróg.”

Zdawało mi się, że to akurat zrozumiałem. Przygotowywali się do czegoś, czego dobrze nie znali, więc chcieli móc zmienić właściwości pojazdu. Ale fotele na ścianach?

Robot uznał chyba, że konwersacja jest zakończona. Wsunął czarne pudełko w otwór u podnóża konsoli, aż kliknęły styki.

W tym momencie ożyły zegary. Robot skontrolował je wzrokiem, zamknął klapkę i odszedł.

–Wydaje mi się, że to, co robicie, nie ma sensu – powiedziałem do kolejnego robota.  
– Tamten fotel przynitowaliście wepchnięty w kąt. Nie da się na nim usiąść.

–Trzeba przesunąć ścianę i wstawić dodatkową konsolę, wtedy da się usiąść.

–Dlaczego tego nie zrobiliście?

–Zakazałeś nam demontażu.

–Cofam to – powiedziałem szybko. – Demontujcie, jeśli trzeba.

Na pół sekundy roboty znieruchomiały, po czym wróciły do swoich czynności.

**Rozpoczęło się wielkie wymontowywanie i wynoszenie części.**

**–Dlaczego umieściliście fotele na ścianach? – zapytałem znów.**

**–W pewnych sytuacjach ściana staje się podłogą.**

**–Czyli pojazd można położyć na boku? Czy ma się wkopać w ziemię?**

**–Tego nie wiemy.**

**–Dlaczego więc budujecie go w podziemiach?**

**–Tego też nie wiemy.**

**Wbiłem wzrok w sufit, myśląc intensywnie.**

**–Możecie zdecydować się na jedną wersję wyposażenia i wszystko dokończyć? – zapytałem znów.**

**–Nie ma zdefiniowanych konkretnych wersji. Są tylko procedury cząstkowe.**

**–A możecie po prostu przestać robić to wszystko? Będziemy mieć więcej czasu by słuchać tej... książki danych. Może coś wymyślimy.**

**–Wstrzymanie procedur na tym etapie jest niewskazane – odparł. – Obiekt ulegnie zniszczeniu, jeśli nie będziemy go doglądać. W południe rozpocznie się ostatni etap budowy – uruchomienie.**

**–A jak nie skończycie?**

**–Uruchomienie nastąpi niezależnie od stanu prac.**

**–Nie da się go już odwołać?! – krzyknąłem prawie...**

**–Wasze pojawienie się rozpoczęło cały szereg nieodwołalnych procesów. Przerwanie wielu z nich prowadziłoby do zniszczenia obiektu.**

**–Czy taka była wola Konstruktorów?**

**–Nie wiemy. Znamy tylko procedury cząstkowe.**

**–Ile ich jest?**

**–Ich liczba stale się zmienia. Aktywowane są nowe, stare przestają obowiązywać.**

**–Możesz je jakoś nazwać i odczytać mi listę?**

**–Mogę, ale zajęłoby to kilka miesięcy.**

**Zastanowiłem się chwilę, po czym wyszedłem z pojazdu i schodami wspiałem się nad poziom ziemi. W gabinecie zastałem Her, pochyloną nad rozłożonymi na wielkim biurku księgami.**

**–W południe uruchomię pojazd – oznajmiłem. Patrzyła na mnie zaskoczona – chyba zbyt gwałtownie otworzyłem drzwi.**

**–Nie znalazłam tu niczego dotyczącego pojazdu, ani robotów – powiedziała po chwili, odkładając księgę na stertę.**

**–Pewnie ten program nadrzędny miał nam to wytłumaczyć, albo chociaż nadzorować budowę... Teraz to wygląda, jakby ktoś nie mógł się zdecydować, czy chce robić krzesło, łóżko, czy szafę. Powstaje coś, co przypomina każdą z tych rzeczy po trochu. Modyfikacje nakładają się na siebie, dając jakieś absurdalne zestawienia.**

**–Jeśli mamy wyruszyć w podróż tym pojazdem, powinniśmy to uporządkować – dodała Her.**

**–Tylko, że się na tym nie znamy. Nie mamy też czasu na lektury. Zabierzemy książki ze sobą. Właścicielowi i tak się już nie przydadzą. Wybierz coś... co się może przydać.**

**Pobiegłem znów na dół. Jeden z robotów stał na szczycie schodów, jakby czekał na mnie, wgapiając się we mnie tymi złotymi, martwymi oczyma.**

**–Ile czasu zostało do uruchomienia? – zapytałem.**

**–Czterdzieści cztery minuty.**

**Wypuściłem głośno powietrze. Nie czułem się przygotowany na takie tempo zmian.**

**–Może wiecie do czego służą poszczególne elementy? – zapytałem.**

**–Znamy ich funkcje – powiedział, już szykując się do odejścia.**

**–Zaczekaj! – rozkazałem. – Zostań ze mną.**

**–Czy chcesz, żeby został ten konkretny robot? Każdy inny odpowie na twoje pytania tak samo dobrze.**

**–Chcę tego konkretnego. Rozprasza mnie taka rwana rozmowa. – Rozejrzałem się po sterowni. – Do czego służy ta dźwignia? – wskazałem pierwszy lepszy element otoczenia fotela.**

**–Reguluje ciśnienie w przewodzie hydraulicznym numer pięćdziesiąt cztery.**

**–A do czego służy tamten przewód?**

**–Popycha serwo numer pięć.**

**–Pomiń etapy pośrednie – poprosiłem. – Co jest na końcu tego ciągu?**

**–Zawór podający paliwo do trzeciego silnika.**

**–Zaprowadź mnie tam.**

**Mój przewodnik powiódł mnie schodami, w trzewia pojazdu, pomiędzy uwijające się, posłuszne niezrozumiałym algorytmom automaty. Zanurzyłem się w świat dymu, huk i sypiących się iskier. Wąskimi schodkami zeszliśmy chyba na samo dno.**

**–Żeby podejść bliżej, trzeba by rozkręcić kilka osłon i wymontować instalację chłodzenia – powiedział robot.**

**Znów patrzyłem na płataninę różnej grubości rur. Gdzieś w dole, gdzie nie dawało się dojść, znajdowała się potężna rura, opleciona gęsto siecią cieńszych, błyszczących szronem rurek. Patrzyłem na to i równie dobrze mógłbym nie patrzeć, bo wiedzy mi od tego nie przybywało.**

**–Zewnętrzną część można zobaczyć, stając pod obiektem – dodał robot z własnej inicjatywy.**

**Musieliśmy się wspiąć kilka pięter, przejść po trapie i znów zejść zamkowymi schodami, aż na sam poziom podłogi piwnicznej. Nie było tu zbyt jasno. Zimny, biały dym płynął w dół, zaścielając wszystko do wysokości kolan. Śmierdziało spalenizną, pod butami chrupały mi ścinki metalu, pogięte śruby i grudki żużlu. Dopiero stąd, gdy cofnąłem się we wnękę, mogłem pod ostrym kątem ogarnąć większą część pojazdu. Łby nitów, wielkości ludzkiej pięści, mocowały wielkie płyty blachy do szkieletu powłoki zewnętrznej. Okrągłe iluminatory oprawiono w grube ramy, również nitowane. Całość przypominała w ogólnym zarysie rozdęty stożek, wsparty na kilku krótkich, teleskopowych łapach. Pomiędzy nimi przytwierdzono cztery wielkie, karbowane poprzecznie dzwony z grafitowego metalu.**

**–Cztery silniki? – zapytałem. – Jaka jest zasada działania?**

**–Płynne paliwo jest spalane wybuchowo wewnątrz tych dysz. Powstałe gazy wylatują z dysz pod wysokim ciśnieniem.**

**–I co dalej? W jaki sposób pojazd się porusza?**

**–Tego nie wiemy.**

**–Może brakuje jakiejś części?**

**–Układ napędowy jest kompletny.**

**Zachręściło za nami. Odwróciłem się. Czarnowłosa stała tam po kolana w dymie, wśród spadających iskier. Przyciskała do piersi kilka ksiąg, przez ramię miała przewieszony nasz worek.**

**–Nie chcę zostawać sama – powiedziała.**

**–Nie powinniśmy się teraz rozdzielać – przyznałem, po czym zwróciłem się do robota. – Przenieście do pojazdu wszystkie księgi z gabinetu. Ułóżcie je tak, żeby podczas ruchu nie przewracały się.**

**–Nie wiemy, jaki charakter będzie miał ruch obiektu – odparł robot.**

**–Zamknijcie je w jakimś pomieszczeniu – sprecyzowałem. Robot nie ruszał się, więc zapytałem. – Na co czekasz?**

**–Kazałeś mi się nie oddalać.**

**–Potem kazałem przenieść księgi.**

**–Inne roboty już po nie idą.**

**–Jak wy się właściwie porozumiewacie?**

**–Nie potrafimy odpowiedzieć na pytania dotyczące naszej budowy.**

**–Zapewne nie wiecie też nic o czasie trwania podróży?**

**–Nie wiemy niczego o przeznaczeniu obiektu. Potrafimy go tylko budować.**

**Zastanowiłem się chwilę. Ruszyłem w kierunku schodów. Her i robot podążyli za mną.**

**–Czy to pomieszczenie służy do kierowania pojazdem? – zapytałem, gdy znaleźliśmy się w pokoju z siedmioma fotelami.**

**–Jest zdefiniowane jako „sterownia”.**

**–Więc tutaj będziemy przebywać przez większą część podróży – oceniłem. – Musimy dostosować sterownię... Usuńcie pięć foteli. Te dwa muszą być na tyle blisko konsoli, żeby dało się dosięgnąć wszystkich istotnych dźwigni.**

**–Nie wiemy, które są istotne – wtrącił robot.**

**–Po prostu przysuńcie fotele do konsoli. – Wyszedłem na korytarz i otworzyłem pierwsze z brzegu drzwi. – Tutaj zróbcie sypialnię.**

**–Nie wiemy, co to jest sypialnia.**

**–Miejsce do spania – wyjaśniłem. – Pomieszczenie z łóżkiem.**

**–Takie pomieszczenia są zdefiniowane jako koje. Znajdują się poziom niżej.**

**–Czy zakończyliście już przygotowania do uruchomienia?**

**–Do ich zakończenia potrzebna jest decyzja człowieka w sprawie wyboru konfiguracji. Nie wiemy, które opcje wybrać.**

**–Ja też nie wiem. Wybierzcie coś.**

**–Nie wiemy też, które opcje wchodzi w skład której konfiguracji.**

**–Przyjmijcie dowolną konfigurację, która będzie spójna.**

**–Przykro mi, ale to nic nam nie mówi. Konfiguracja jest rzeczą umowną.**

**Podłoga pod naszymi stopami drgnęła. Gdzieś na zewnątrz rozległ się syk i jeden z grubych węży, łączących nas ze ścianą piwnicy odleciał, odbił się od ściany i zawisł swobodnie. Po chwili odskoczył następny.**

**–Pojazd musi być szczelny – powiedziałem. – Musi być w nim zapas powietrza do oddychania i zapas wody. Czy możecie załadować tu jakieś pożywienie?**

**–Nie wiemy, co to jest pożywienie.**

**Znów westchnąłem. Zaczynałem czuć się podobnie jak podczas przygotowań do wyczepienia miasta. Wszystko mnie przerastało i zmierzało do katastrofy. Podszedłem do małego, bocznego okienka w okrągłej, nitowanej ramie. Sterownia znajdowała się blisko wierzchołka stożka, nie była tak obszerna jak pomieszczenia poniżej, choć zajmowała ponad połowę powierzchni poziomu. W dole roboty pracownicy wносиły do pojazdu księgi. Znikały z mojego pola widzenia za obłością kadłuba. Obok dźwig opuszczał jakiś kołpak z wystającymi drutami, a dwóch spawaczy czekało na niego na wysuniętych pomostach.**

**Odwróciłem się do Czarnowłosej. Wydawała się jakby zagubiona. Wciąż przyciskała do siebie te księgi. Podszedłem do niej, odłożyłem księgi na podłogę i przytuliłem ją. Wczepiła się dłonią w moją koszulę. Czyżby traciła swoją wiarę? Nieoczekiwanie do reszty zepsuło mi to nastrój. Wcześniej nie przejmowałem się tym, że sam nie**

wiedziałem, co dalej będzie, ale fakt, że Her potwierdziła moją niewiedzę, dobił mnie.

–Czy to może w ogóle działać? – zastanowiłem się. – Czy można się przemieszczać, dmuchając za siebie?

–Powietrze ma masę... – Spojrzała na mnie tymi czarnymi oczyma. – Sam mówiłeś.

Teraz chyba ja powinienem ją podtrzymać na duchu... Nie byłem w tym dobry.

–Bardzo małą masę – przyznałem. – Ptak odpycha się skrzydłami od powietrza... ale nie da się podmuchem podnieść takiego kolosa.

–Wiatr przenosi liście winorośli. Jak jest silniejszy, potrafi porwać całe pnącze.

–A huragan przewraca ludzi i szarpie całym miastem – dokończyłem. – Ale nawet jeżeli, to pojazd stoi w piwnicy! Jak mógłby polecieć?

Nie, nie potrafiłem podtrzymać na duchu... Nagle zdałem sobie sprawę z pewnej podstawowej rzeczy. Spojrzałem na robota, cierpliwie stojącego w tym samym miejscu. Wodził tylko za nami złotym spojrzeniem.

–Zapewne nie wiesz, jak się tym steruje? – zapytałem cicho. Znałem odpowiedź.

–Nie wiem.

Przeniosłem wzrok na lewy fotel, który trzy roboty odśrubowały i przesunęły dwie stopy do przodu. Na konsoli i obok niej było tak z dziesięć razy więcej dźwigni, pokręteł, korb i przycisków niż w aquamobilu.

Wtedy zobaczyłem coś, co sprawiło, że na nowo odzyskałem nadzieję. Wziąłem od Her worek i zacząłem w nim grzebać. Na samym dnie wyczułem znajomy kształt. Wyciągnąłem elektryczne oko – czerwony blask tlił się gdzieś w głębi czarnej soczewki. Wetknąłem je we wgłębienie na środku głównej konsoli.

Wskazówki zegarów drgnęły. Uderzenia, cięcia, szczęknięcia i piłowania w głębi pojazdu ucichły na pół sekundy, po czym ruszyły w nowym rytmie. W suficie zapaliły się małe okrągłe lampki, które znałem z naszego miasta. Dopiero wtedy, gdy światło wyciągnęło szczegóły otoczenia z półmroku, zdałem sobie sprawę z tego, że przedtem staliśmy niemal w ciemnościach.

–Dziękujemy – odezwał się robot. – To wiele wyjaśnia. Teraz instrukcje są kompletne.

–Czy księga danych zawiera jakieś wzmianki o elektrycznym oku? – zapytałem.

–Niestety nie.

**–Ta nazwa mogła powstać dopiero w Niebie – powiedziała Her. W jej oczach znów widziałem znajomy blask. Pocałowałem ją mocno.**

**–A coś dotyczącego tego pojazdu... obiektu? – zapytałem ponownie, odwracając się do robota.**

**–„Jasnym już jest, że nie ukończymy rakiety, nim odejdzie ostatni z nas. Jak na razie udało się zachować tajemnicę, żeby nie pozbawiać nadziei tych, którzy wciąż ją mają. Zostawimy więc kontynuowanie dzieła automatom, z nadzieją że kiedyś dotrą tu ludzie dość mądrzy, by doprowadzić naszą misję do końca i odwrócić los. Oby tylko nasza mądrość, uwieczniona w obwodach elektrycznych, przetrwała dostatecznie długo.”**

**–Rakieta... – powtórzyłem, wążąc to słowo. – Rakieta...**

**–Znasz skądś tę nazwę? – zapytała Her.**

**–Nie wiem... Zostało niecałe pół godziny, więc zrobmy co niezbędne. Nie mamy zapasów pożywienia.**

**–Zapolować już nie zdążysz.**

**–Ja nie... – Spojrzałem na robota.**



## 26. Przed początkiem

Otaczał nas huk, wibracje i jasność. Znów wszystko niszczy, pomyślałem. Patrzyłem na rozsypujące się wieże. Siła pierwszych wstrząsów była tak wielka, że skruszyła wiązania kamiennych bloków, a nawet przepołowiła niektóre z nich. Zawieszona przez chwilę w powietrzu wielkie klocki odleciały w dół, uderzając o burty rakiety albo kończąc dzieła zniszczenia zamku. Poszycie rakiety nie było wykonane z miedzi; miedź byłaby zbyt miękka. Ten metal tylko błyszczał czerwono na jej podobieństwo, ale był twardszy od hartowanej stali.

Huk i drgania uniemożliwiły dalsze obserwacje. Nie mogłem nic zrobić, więc zamknąłem oczy i poddałem się sile wciskającej mnie w głęboki fotel, w którym prawie leżałem. Ten euforyczny niemal stan totalnej bezsilności trwał prawie minutę. Potem stopniowo stawałem się coraz lżejszy, aż wreszcie otworzyłem oczy i spojrzałem w bok. Robot, mój przewodnik, jakimś cudem nie przewrócił się i wciąż stał tam, gdzie kazałem mu pozostać, ale jego martwe, żółte oczy były martwe podwójnie. Wstałem z fotela i stanąłem na wprost automatu. Bujał się bezwładnie na drgającej lekko podłodze. Silniki huczały, teraz znacznie ciszej, dziesięć poziomów pod nami. Dotknąłem zimnej piersi robota i lekko pchnąłem. Runął sztywno na ziemię. Stracił kontakt ze swoim mózgiem i był teraz tylko martwą kupą metalu. Sądząc z tego, co wydarzyło się przed minutą, mózg elektronowy zamku również przestał istnieć.

–Nie dotykałeś sterów? – zapytała Her.

–Nie. Elektryczne oko steruje rakieta, albo tylko uruchomiło jakiś automat pokładowy. Wydaje mi się, że lepiej im nie przeszkadzać.

–Wrócimy do miast niebieskich?

–Jesteśmy wewnątrz bąbla – przypomniałem. – Tu nie ma lin, nie ma miast.

–Ale dokądś przecież lecimy.

Elektryczne oko płonęło czerwienią w swoim otworze. Do tej pory lecieliśmy wprost do słońca. Teraz uciekło w bok, tor lotu wyraźnie się pochylił. Wróciłem na fotel i ogarnąłem wzrokiem zegary. Oczywiście nic z ich wskazań nie rozumiałem.

Naraz ziemia pojawiła się nad krawędzią okien, stopniowo wypełniając coraz większą ich część. Spadaliśmy. Czarnowłosa patrzyła na mnie, chyba szukając potwierdzenia, że wiem, co się dzieje. Nie wiedziałem.

W dole, daleko przed nami zobaczyliśmy przezroczystą, błyskającą kulę. Poznałem to miejsce, choć nie poznawałem samej kuli. Uniosła się wysoko względem

poprzedniej pozycji. Była teraz większa, większa niż dziesięć kopuł podwodnego miasta. Nie była już wypełniona wodą, wyglądała bardziej, jak obszar powietrza o innej gęstości, błyskający na granicy, jak bańka wypełniona falującym żelazem. Unosiła się nad skalnym pustkowiem. Zbliżaliśmy się do niej z ogromną prędkością, pod ostrym kątem.

Naraz w kuli zaczęła zachodzić przemiana. Coś rozciągało ją w pionie. Nie minęły dwie sekundy i z jej wierzchołka strzeliła pionowa kreska. Jej koniec poszybował w niebo, a drugi identyczny wniknął w skały poniżej.

To jest lina, pomyślałem. Supel się rozwiązuje... Widzimy powstającą linę.

Lina wyciągała substancję kuli, nadając jej kształt wydłużonego wrzeciona. Proces jednak zwalniał i wszystko wskazywało na to, że trafimy w supel, a nie w skałę za nim. Her zaciskała dłonie na poręczach wielkiego fotela i patrzyła szeroko otwartymi oczami przed siebie. Nie wiem, co myślała. Ja nic nie myślałem. Nie było czasu. Obserwowałem tylko i czułem, że to wszystko nie dzieje się przypadkiem.

Lina wyraźnie rozszerzała się w miejscu łączenia, tracąc czarną barwę. Nie mogła pochłonąć supła, dopóki przez niego nie przelecimy, zamieniła go tylko w soczewkę, ukazującą zniekształcone coś, czego nie było nigdzie w tym świecie.

Fotele niespodziewanie zawięły się, zamykając nas w miękkich kokonach. Zacisnąłem powieki na ułamek sekundy przed uderzeniem, ale nie wydarzyło się zupełnie nic. Nie uderzyliśmy w skałę, nawet nami nie wstrząsnęło.

Gdy otworzyłem oczy, w dole mignął ocean i wlecieliśmy w chmury. Silniki zawyły zwiększoną mocą. Rzuciło nami w fotelach-kokonach. Stalowe truchło robota zaszurało przez pół podłogi. Spomiędzy chmur niespodziewanie wyłoniła się powierzchnia ziemi. Kryształowe wieżycy błyszcząły słońcem w geometrycznych kształtach. Spomiędzy tysięcy pomniejszych, szarych klocków celowały w niebo na ogromną wysokość. Nad tym wszystkim ujrzeliśmy nagle matrycę czarnych punktów. Pokryła niespodzianie niebo powyżej pułapu lotu rakiety jak rozpierzchnięte stado czarnych ptaków. Nie byłem pewien skali, bo cała ta wizja szybko została w tyle, a wieżycy zastąpione oceanem. Czarne kropki zamieniły się w czarne elipsy, tak to przynajmniej wyglądało z naszego punktu widzenia, lecących tuż poniżej. Elipsy wydłużały się wertykalnie i nie minęło dziesięć sekund, gdy rakieta sunęła poziomo wzdłuż szpaleru czarnych lin, tnących białymi szramami fale oceanu. Przez moment zobaczyłem w dole ogromny, nawodny pojazd, przechylony, przebity w trzech miejscach czarnymi krechami. Z nieba spadały, płonąc, szczątki błyszczącego statku powietrznego. Rakieta jednak wymijała liny, rzucając nami w fotelach-kokonach. Nieznany automat, dzieło dawnych Konstruktorów, radził sobie, szukając dla nas najlepszej drogi.

Zaczęliśmy się wznosić w pętli, obróciło nami w powietrzu, zawróciliśmy, znów mijając przebity pojazd. Przed nami ponownie był ład i kruszące się, upadające, kryształowe wieżycy. Ziemia pękała, wielkie fragmenty porywane linami sunęły w górę, inne zapadały się. Ocean zdawał wrzeć, wlewać się gigantycznymi wodospadami w niewidzialne, podwodne szczeliny. Widok zasnuły chmury. Zaczęło nami rzucać. Wrzeczono na powrót przyjmowało kształt kuli, jakby proces został odwrócony. Lina zanikała, a od kuli zaczynała bić coraz intensywniejsza jasność. Jednocześnie z lewej strony z ogromną prędkością zbliżała się do niej biała igła, ciągnąc za sobą ogień i pióropusz dymu. Zrozumiałem, że ścigamy się z nią do supła.

Rękojeść największej dźwigni pomiędzy naszymi fotelami zaczęła migać czerwienią. Silniki cichły. Zwalniały. Wiedziałem, co zaraz nastąpi. Wiedziałem, w jakiś dziwny sposób pamiętałem to, co dopiero miało się wydarzyć. Wiedziałem, że nie dotknę dźwigni, a jednocześnie czułem, że powinienem podjąć decyzję i pchnąć ją. Ta decyzja miała zmienić wszystko. Wszystko. Uwolniłem rękę z objęć fotela, ale zatrzymałem ją tuż przed rękojeścią. Powinienem to zrobić, to było ważne, a jednak... To tak, jakby zmieniać przeszłość. Jakbym sunął palcem wzdłuż zapisanych linijek książki. Mogłem sunąć w prawo lub w lewo. Oba kierunki były dozwolone, ale oba też wypełnione niezmienną treścią. Żałowałem własnych czynów przyszłych. Przyszłych dokonanych.

Nie będę mógł tego zrobić. Dlaczego jej nie dotknę? Zastanowię się, że to nielogiczne. Konstruktorzy przewidzieli wszystko, całą tę podróż, a teraz... oddawali decyzję w ręce przypadkowego człowieka? Złe słowo – nie będę przypadkowy, przypadki nie istnieją. Będę – nieprzygotowany.

Nie mogę tego zrobić. Dlaczego jej nie dotykam? Zastanawiam się, że to nielogiczne. Cóż z tej wiary, wewnętrznej siły, która prowadzi mnie do tej pory? Blednie w konfrontacji z geniuszem Konstruktorów. Patrzę na dźwignię i czekam.

Nie mogłem tego zrobić. Dlaczego jej nie dotknąłem? Zastanawiałem się, że to nielogiczne. Na całe te rozważania miałem mniej niż sekundę i oto samospełniająca się przepowiednia spełniła się. Cofnąłem rękę, a przewidziana historia ruszyła dalej. Zwalnialiśmy. Wiedziałem już, że igła będzie pierwsza, choć nie miałem pojęcia, co to znaczy.

Dźwignia przestała migać, a rakietę wystrzeliła w górę, rezygnując z przegranego wyścigu. Jakby uciekała od miejsca spotkania igły z supłem. Na okna opadły ze szczękiem stalowe powieki. Silniki znów ciągnęły pełną mocą. Teraz wibracje targały nami w świetle słabych lamp sufitowych. Byliśmy zdani na łaskę automatycznego sterowania. Ufałem mu. Her wyciągnęła do mnie rękę, ale nie mogłem jej dotknąć. Jakaś niezwykła jasność przebiła się przez szczeliny powiek i ugodziła nas gorącem. Czas jakby zwolnił bieg, unieśliśmy się ponad otwarte nagle fotele, a wszystko wokół zamarło w kompletnej ciszy i śmiertelnej poświacie, bijącej teraz już nawet z

obramowań nitów i szczelin okładzin sterowni. Zdawało mi się, że świecą kontury wszystkich przedmiotów, każda kreska, rysa na ścianie.

–Oto koniec i początek historii – powiedział robot, aktywowany chyba na moment zagubionym sygnałem z dołu. Bezwładnie płynął przez sterownię w towarzystwie kilku książek, przyniesionych tu przez Czarnowłosą. Pełen dziwnego spokoju patrzyłem na szalejące wskazówki zegarów spod sufitu sterowni. Dosięgnąłem wreszcie dłoni Her i przyciągnąłem ją do siebie. Przez ściany przebiegło dziwne falowanie, jakby otaczająca nas konstrukcja naraz stała się płynna. Fale ciepła i zimna, przenikające nas na wskroś, poczęły kończyć ten dziwny ewenement naszej podróży. Dół na powrót stał się dołem, a silniki odzyskały moc. Upadliśmy, rozciągnęło nas na podłodze. Byłem tak ciężki, że nie dałem rady unieść głowy. Z trudem oddychałem. W dłoni czułem dłoń Her. Trwało mniej niż pół minuty, nim ciężar wrócił do znajomego poziomu.

Metalowe powieki wreszcie odemknęły się i zobaczyliśmy nocne niebo pełne gwiazd. Kosmos. Teraz dla odmiany staliśmy się lekcy. Mogliśmy doskoczyć do sufitu, odpychając się jedną nogą.

Zgrzytnęła blacha i rakieta drgnęła nieznacznie. Obły prekursor liny błysnął matowo w świetle słońca i wyprzedził nas w drodze do gwiazd. Kosmos za oknem pokrył się szpalerami lin.

–Tak powstawał nasz świat – powiedziałem, po czym się poprawiłem. – Tak powstaje nasz świat. Nasz nowy świat.

Mętlik w głowie stopniowo się uspokajał. Nawet jeżeli miałem jakieś podejrzenia, co do naszego obecnego stanu, nie wypowiedziałem ich głośno.

Spojrzałem na Her. Profil jej twarzy rysował się ostrą linią na tle czerni kosmosu. Czy moglibyśmy żyć razem normalnym, spokojnym i nudnym życiem mieszkańców niebieskich miast? Jak latawce na uwięzi... Czy też jedynym spoiwem naszego związku była ta ciągła gonitwa, te emocje i niepewność następnej godziny?

–Dlaczego zabrałaś Ptasznikowi elektryczne oko? – zapytałem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

–Wiedziałaś, że jest dla niego niezwykle cenne. Myślałam, że się wkupię w łaski nowego kapitana. Nie znosiłam Ptasznika, chciałam uciec.

–Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałaś? Że wiedziałaś, że spotkasz kogoś takiego jak ja.

Spuściła głowę. Chwilę milczała. Potem spojrzała mi w oczy, rzuciła mi się na szyję i

zaczęła płakać.

–Teraz już wiem. Marzyłam o tym i... spotkałam cię. Spełniło się. Wciąż się spełnia.

\*\*\*

Przez trzy dni zachowywaliśmy tę osobliwą lekkość. Widzieliśmy za oknami tylko gwiazdy i liny. Nie było dnia ani nocy, gaśnieć, ani zapaleń, wschodów ani zachodów. Stan ten był nawet dosyć miły, szczególnie w porównaniu do naszych poprzednich przeżyć. Zapasów żywności – królików złapanych przez roboty – mieliśmy pod dostatkiem. Apetyt zresztą znacznie nam osłabł. Przez cały ten czas zjedliśmy tylko jednego królika, upieczonego w pokładowej kuchni. Chyba zużywaliśmy po prostu bardzo mało energii. Do pokonania schodów wystarczył jeden leniwy skok.

Drugiego dnia bawiliśmy się jak dzieci. Nie mieliśmy żadnych innych zajęć, sterów bałem się dotykać. Na poziomie mieszkalnym, gdzie mieściły się kajuty i kuchnia, skakaliśmy od jednej ściany korytarza, starając się dolecieć do przeciwnej. Udawało się prawie zawsze.

Her podniosła mnie jedną ręką pod sam sufit i dostaliśmy nagle ataku dzikiego śmiechu. Wtedy silniki ucichły niemal zupełnie i znów ubyło nam ciężaru. Czarnowłosa pomogła mi wstać, obróciła mnie w powietrzu jak zabawkę. Złapałem się drzwi i przysunąłem bliżej do niej. Chciałem podrzucić ją w górę, ale ona dotknęła dłonią mojej szyi i wtedy nagle spoważniała. Spojrzała na mnie w zupełnie inny sposób, a w jej oczach dojrzałem znów tę głębię. Oddychała szybko, decydowała się na coś i pragnęła się zdecydować. To było już przesądzone, ale musiała sama do tego dojść. Odepchnęła mnie lekko i ściągnęła koszulę, potem resztę. Wstrzymałem oddech. Po raz pierwszy widziałem ją całkowicie nagą. Patrzyła na mnie, dygocąc w niecierpliwym, zwierzęcym prawie oczekiwaniu. Była wciąż zdyszana naszymi uprzednimi zabawami. Jej piersi unosiły się z każdym oddechem. Ciężenie znikło zupełnie. Jej czarne włosy rozłożyły się wokół jej głowy, chwilę potem blade stopy oderwały się od podłogi. Unosiła się w powietrzu, w zimnym świetle gwiazd. Czekala na mnie.

\* \* \*

Obudziliśmy się nadzy, wciąż spleceni w uścisku, niestarannie nakryci kocem. Może był ranek, może wieczór – za oknami niezmiennie trwały gwiazdy. Czarnowłosa całowała mój brzuch, wciąż niezaspokojona, żadna doznań. Wróciliśmy więc do naszych ceremonii miłosnych, aż zmęczenie pokonało nas po kilku godzinach. Długo leżeliśmy wtuleni w siebie. Potem zapragnąłem samotności. Ubrałem się, spłynąłem dwa poziomy niżej, gdzie goła konstrukcja rakiety świadczyła o ograniczeniach w kreatywności automatów.

**Miałem sporo czasu do przemyśleń. Siedziałem, czy też leżałem nad podłogą w nieistniejącym hamaku, gapiąc się w gwiazdy. Myślałem o Konstruktorach i o niezrozumiałym zadaniu, które mi pozostawili. Niewykonalnym, więc i niewykonanym. Jeśli zawiodłem – zawieść musiałem.**

**Nawet jeżeli coś wymyśliłem, nie chcę o tym mówić.**

**\* \* \***

**Lekkość rozleniwiła nas. „tym trudniejszy był powrót do normalnego ciężaru, a nastąpił on dosyć niespodziewanie. Zwaliliśmy się po prostu na podłogę, oblewając się wodą, którą akurat piliśmy po obiedzie. To było spore zaskoczenie, jakby ten stan gwiazdnej lekkości mógł trwać wiecznie. Z trudem i przykrością podnieśliśmy się do pionu. Nogi próbowały protestować, chwiejąc się, jakby zapomniały, jak to jest nosić ciężar ciała.**

**Za oknami błękit zdradzał powrót do znajomego świata. Wspięliśmy się po schodach do sterowni i opadliśmy ciężko na fotele. Powróciły wibracje, choć nie tak silne jak przedtem. Zobaczyliśmy wielką równinną skałę, otoczoną wieńcem chmur, wokół których było tylko Niebo. Lecieliśmy w jej kierunku długo, aż stała się całym światem – równiną z majaczącymi na horyzoncie wysokimi górami.**

**Rakieta odwróciła się wierzchołkiem do góry, a silniki zagrzmiały pełną mocą. Fotele znów objęły nas opiekuńczymi kokonami, a ciężenie pozbawiło nas tchu. Wolno opadaliśmy w dół, stojąc na słupie gazów wylotowych. Rakieta rzucała na boki, podskakując i jęcząc łączeniami konstrukcji. Kilka razy zaczęliśmy lekko o liny, ale automat korygował kurs, wciąż posłuszny poleceniom zadanym przez Konstruktorów kilkaset lat wcześniej. Wreszcie seria potężnych wstrząsów oznajmiła dotknięcie gruntu. Zatrzymaliśmy się. Raptownie ustały wibracje, huk cichł wolniej.**

**Trwało to minutę, może dwie, aż silniki zamilkły. Coś tylko toczyło się gdzieś pod nami, coś wytracało obroty, coś terkotało coraz wolniej. Z sykiem ulatniało się sprężone powietrze, kończyły buzować płyny w rurach. Kurz, który wzbiliśmy, teraz pchany zawirowaniami powietrza, okrążał raketę i osiadał na oknach. Z dołu dochodziły trzaski stygnących elementów. Z korytarza doleciał nas śwąd przegrzanych kabli i nadtopionego metalu.**

**Baliśmy się ruszyć, choć wiedzieliśmy już, że podróż się zakończyła. Wreszcie wstałem z fotela i nachyliłem się nad Her. Patrzyła na mnie wystraszona.**

**–Już po wszystkim. – Pomogłem jej wstać i założyłem sobie na ramię worek z księgą. Trzymając się za ręce, ruszyliśmy schodami w dół. Im niżej schodziliśmy, tym większe zniszczenia w konstrukcji rakiety widzieliśmy. Dwa poziomy niżej schody były zapadnięte, a słupy nośne przekoszone. Korytarz stał się wyraźnie niższy.**

Króliki, nasz żywy zapas jedzenia, uwolniły się z pomieszczenia, gdzie zamknęły je roboty. Nie miałem siły ich łapać. Pamiętałem, że niżej był duży wąż, otwierający się do dołu i rozkładający w trap. Szliśmy więc dalej. Ściany i podłogi były pocięte, okładziny miejscami poodpadały. W kilku miejscach przez szczeliny widać było rury wewnętrznych instalacji. Wreszcie dotarliśmy do szerokiego korytarza, którym podczas budowy wnoszono najcięższe i największe przedmioty. Niżej i tak nie dałoby się iść – było stamtąd potworne gorąco. Oparłem się o dźwignie blokady wjazdu i przesunąłem ją. Wielka, prostokątna klapa zaczęła powoli odjeżdżać na zewnątrz, w dół, ukazując nam trawiastą równinę z kępami krzewów, często wyrwanych z korzeniami. Otoczenie wyglądało, jakby przeszła tędy wielka fala, zmywająca wszystko na swej drodze. Dalej musiał być kiedyś las, ale teraz zostało poszarpane zwalisko połamanych pni i gałęzi. Widok zamykały odległe o dwa dni marszu góry i dymy ognisk. Byli tu więc ludzie.

W dziwny sposób to miejsce wydawało mi się znajome.

Trap dotknął ziemi. Zeszliśmy po nim i odeszliśmy spory kawałek od pojazdu. Ziemia była wyschnięta, ale w zagłębieniach terenu pozostały jeszcze resztki kałuż. Pożółkła trawa, przygnieciona do ziemi, wskazywała kierunek, w jakim płynęła woda. Króliki zbiegają oszołomione i uciekały w kierunku krzaków.

Obejrzałem się na raketę. Stała krzywo, pocięta i dymiąca. Liczne szarpane rysy dokumentowały spotkania z linami podczas lotu ze znaczną prędkością. Cztery dzwony silników wbiły się w ziemię, bowiem łapy załamały się podczas twardego lądowania.

Nie polecą już więcej.

Wygrzebałem z dna torby żołędź. Tu było dobre miejsce na nowe Drzewo. Wykopałem mały dołek i włożyłem żołędź w wilgotną głębiej ziemię. Objąłem ramieniem Czarnowłosą. Staliśmy, nie wiem jak długo, patrząc na wielki, dymiący stożek – dzieło dawnych Konstruktorów. Miałem dziwne wrażenie, że ich zawiodłem, że zawiodłem siebie, Her i... nie wiem kogo jeszcze. Nie potrafiłem tego nazwać. Wiele zobaczyłem, ale nie stałem się wcale mądrzejszy. W głowie miałem chaos. Wciąż nie widziałem w tych wszystkich wydarzeniach sensu. Sens był odleglejszy niż przed początkiem podróży.

–Tak wygląda kres naszej wędrówki – powiedziałem. Tego akurat byłem pewien.

Liny cięły Niebo znajomym wzorem. Jutro wezmę księgę i pióro. Spróbuję to uporządkować, opisać chronologicznie.

Jeśli chronologia miała tu jakiegokolwiek znaczenie.

# Epilog

Zadziwiająco, jak w ciągu kilkunastu lat ci wszyscy ludzie, ocalali rozbitkowie, zdołali zorganizować sobie życie. Nie byli zbyt zdyscyplinowani, ale, widząc wspólny cel, potrafili wspólnie działać. Chcieli, żeby było jak dawniej. Opowiadali o tym wiele razy. On jeden chyba nie opowiadał o swojej przeszłości, nie wspominał ni słowem, skąd się tu wziął. Słuchał tylko historii innych. Zbyt świeże były wtedy wspomnienia o tym, jak jego rodacy traktowali Niebian. Potem zrozumiał, że tutaj było inaczej, ale odkręcać wszystkiego już nie chciał. Zresztą nikogo to nie obchodziło. Wszyscy ci ludzie, a było ich kilkanaście tysięcy, z musu stopili się w nowy organizm, pracujący i żyjący według nowych potrzeb. Przyznanie, że nie będzie jak dawniej, przyszło samo, po cichu. Oni wszyscy już wiedzieli, że każda zmiana jest na gorsze. I że trzeba z tym żyć.

Mosty wiszące, korzystające z lin jak z filarów pośrednich, łączyły wielkie głazy ponad bezmiarem oceanu. Całymi dniami w tę i z powrotem przechodzili po nich ludzie, nosząc pakunki, ciągnąc je na wózkach. Cywilizacja w stanie zawieszenia.

Jonathan siedział w cieniu palmowych liści i obserwował całą tę krzątanicę znad szklaneczki zmrożonej wody z cytryną. Upał był nieznośny, ale noga, złamana przed laty, dokuczwała mu coraz bardziej. Będzie burza.

Woda podnosiła się o trzy stopy na miesiąc. Teraz błyskała łagodnymi falami daleko w dole, ale łatwo było policzyć, że nie miną trzy lata, jak dotrze tutaj. Co gorsza, tempo podnoszenia się wody było coraz większe. Albo to liny, a wraz z nimi archipelag, przesuwały się w dół.

Mądrość Konstruktorów sprzed lat dała ludziom gotowe rozwiązania – miasta unoszące się na linach. Niemal wszyscy zachwycili się tym pomysłem. Mądrość Konstruktorów... Zabrał ze sobą księgę, której poświęcił kiedyś wiele czasu. Były w niej szkice windowców, obserwowanych przez niego i innych badaczy podczas kolejnych wypraw, a także schematy znalezionych spadów – fragmentów mechanizmów. Było tam niemal wszystko, co potrzeba, by zrobić kopie windowców. Jonathan nigdy nie przyznał się do autorstwa tych prac. Poznał zbyt dobitnie znaczenie sławy i wolał trzymać się na uboczu. Poznał też dokładnie tych ludzi, rozbitków innej cywilizacji, której nie rozumiał i, szczerze mówiąc, nie zależało mu na tym. Nie ocalały bynajmniej same szlachetne jednostki. Byli też nawiedzeni fanatycy religijni, maniacy wszelkiej maści, jak i również zwykłe łotry. Lepiej więc nie rzucać się w oczy.

Wsparł się na lasce, wstał i powlókł w kierunku niskich wzgórz. Na swoje mieszkanie wybrał nikomu niepotrzebną część skały, skąd widać było głównie Niebo. Innym nie przeszkadzał fakt, że mieszka tam sam. Był przecież tylko starcem, który



dawno temu przyniósł niekompletny projekt miasta niebieskiego. Jak umrze, też nikomu nie będzie to przeszkadzać.

Wolno wspinał się krętą ścieżką. Była łatwa do pokonania; zadbał o to jeszcze w czasach lepszej sprawności.

Równina, aż po kres widoczności, pokryta była krzywymi dachami manufaktur i zakurzonymi liśćmi drzew owocowych. Wiszące na linach gigantyczne głązy miały stosunkowo płaskie wierzchy, co dawało możliwość łatwej zabudowy. Co jakiś czas tylko przepaść nad bezkresnym oceanem hamowała ekspansję tej tandetnej architektury. Gdzieś tam dawało się zauważyć wynaturzenie w tym świecie: ładny, kamienny dom, bibliotekę z dachem w kształcie kopuły, plac.

Jonathan próbował kiedyś analizować zasadę działania mechanizmu sterującego, który znajdował się w samym środku windowca, ale nic z tego nie wyszło. Jego współpracownicy poświęcili sporo czasu, by to wszystko rozrysować. Zdziwiałe było to, że tutaj, w skalnym mieście dla kilku inżynierów, jak sami siebie nazywali, odszyfrowanie tych schematów i stworzenie identycznego mechanizmu nie było żadnym problemem. Potrafili nawet uzupełnić luki w planach, niemal jakby znali je na pamięć.

Tempo prac zadziwiło Jonathana. Znalazł się tutaj wśród przypadkowych ludzi, rzuconych na zniszczony jakąś katastrofą napowietrzny archipelag, jakby zmultiplikowane miniatury Herlanu. Nie mieli narzędzi. Samą potęgą umysłu i organizacją doszli do obecnego etapu.

W kilku miejscach zaczynało już montować szkielety windowców, tej najpopularniejszej, półkolistej odmiany. Najpierw miały być wykonane cztery, potem co tydzień jeden, a docelowo...

To ciekawe, im trudniejsze czasy, tym więcej rodzi się dzieci, jakby rodzice nie mieli dość problemów. Kolejne pokolenie różniło się wyraźnie od swoich ojców i matek. Nie byli tu na wygnaniu, akceptowali surowe warunki, bo innych nie znali. Jeśli tempo przyrostu naturalnego utrzyma się na takim poziomie, to produkcja windowców, na samym tylko tym archipelagu, będzie musiała wynosić co najmniej dwa dziennie. Inżynierowie twierdzili, że to realne.

Podobnych archipelagów było więcej. Dzięki podnoszącej się wodzie mogli utrzymywać ze sobą łączność za pośrednictwem łodzi. Tam też dotarły kopie rysunków Jonathana i stamtąd też miały wystartować windowce. Inżynierowie z innych archipelagów udoskonalili projekty. Oglądając je, Jonathan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że już widział takie konstrukcje podczas swoich wypraw, ale nie poznał ich dość dobrze, by robić rysunki. Znaczyło to chyba tylko tyle, że tamci szli w dobrym kierunku.

Były i inne pomysły. Camirre, miły człowiek, robił kiedyś okna do batyskafów. Twierdził, że lepiej ochronić dorobek kilkunastu lat, przekrywając najcenniejsze fabryki, budowle i inne miejsca kopułami, zdolnymi wytrzymać przejściowy napór wody. Gdy woda ustąpi, kopuły da się zdemontować. Potop nie może trwać wiecznie, twierdził Camirre, woda wreszcie opadnie. Jonathan uważał ten pomysł za utopię, ale przez szacunek dla tego szlachetnego człowieka nie wyrażał swoich opinii głośno. Pomysłów było zresztą wiele. Postulowano budowę wież kratownicowych, pływających, przegubowych barek, nawet balonów. Wreszcie zdecydowano się na dwa rozwiązania: małe, samowystarczalne miasta, wznoszące się w górę dzięki różnicom w potencjałach elektrycznych poszczególnych lin oraz owe kopuły właśnie.

Jonathan uśmiechnął się pod nosem. Nie chciał tu czekać na wodę, która z pewnością zatopi i zgniecie tych, którzy zostaną. Chciał dożyć swoich dni, wpatrując się w bezkresny błękit.

Chciał jeszcze raz znaleźć się w Niebie. Zarezerwował sobie miejsce w pierwszym, prawie ukończonym windowcu, czy raczej mieście, jak mówili wszyscy. Nazwał to miasto imieniem swojego syna, którego już niemal całkiem zapomniał – Aristo.

Zatrzymał się na chwilę, by odsapnąć i spojrzeć na krzątanicę poniżej. Przestał już mieszkańców skał nazywać Podziemianami, nazywał ich swoimi przybratymi. Historie, które opowiadali, wydawały mu się zbyt fantastyczne i nie mógł w nie uwierzyć, choć uprzejmie przytakiwał. Jedno było pewne – nie wiedzieli, że nad ich głowami wisi wielka skała. Nie próbował im o tym mówić. Zresztą według jego obliczeń, byli teraz dobre sto jednostek na północ od skrajni Herlanu. Tak więc windowce powinny minąć płaskowyż w bezpiecznej odległości, z przyczyn swej wielkości niemal zawsze skryty w chmurach.

Jedno tylko mu się nie zgadzało. Jeśli byli poza krawędzią Herlanu, to powinny im regularnie lecieć na głowę spady z poprzednich windowców, a nie spadało nic, poza ptasim guano. Spojrzał w górę. Błękit Nieba przesunął się już lekko w stronę różu. Będzie burza. Stare oczy powiodły wzdłuż lin, aż do nieuchwytnego momentu, gdzie te rozmywały się ostatecznie w wysokości. Tak, tęsknił do starych czasów. Nie popędzi już w górę – będzie się wspinał po linach z prędkością ślimaka, lecz lepsze to niż nic.

Na razie wybrał samotność. Inni uznali go za dziwaka i zostawili w spokoju. Nie przeszkadzał przecież, a wiele pomógł. Sokoły były jego jedynymi towarzyszami w tym prywatnym zakątku. Nie prosił o to towarzystwo, same się tu zadomowiły, wśród nielicznych skał i wyschniętych drzew. Z początku mu przeszkadzały, z czasem je polubił. Inni planowali zabrać kilka z nich do Nieba.

Podlał dąb, który przez lata wyrósł z żołądzia znalezionej na Placu Zaufania. Drzewko w doniczce sam zamierzał zabrać ze sobą, miał do niego sentyment – było

najważniejszą pamiątką po Herlanie. Usiadł w swoim ulubionym fotelu, pod dachem uplecionym z wodorostów i zapatrzył się w dal. Wiele razy o tym myślał, ale i tak nie miał pojęcia, co się właściwie wtedy wydarzyło. Wiele razy śniło mu się to, co zobaczył, nim stracił przytomność. Zobaczył coś, wynurzającego się z głębin, coś gigantycznego i świetlistego. Kiedy ocknął się na tym kamiennym archipelagu, miał złamaną w kilku miejscach nogę, lukę w pamięci i siwe włosy. Nachylało się nad nim kilka twarzy.

Podniósł ze stolika miedzianą tulejkę, zakończoną z jednej strony soczewką, kryjącą czarne wnętrze. Nie znał zasady działania tego małego przedmiotu, ale Konstruktorzy znali. Nazywali je bioelektrycznym kluczem, ale wszyscy używali określenia elektryczne oko. Wewnątrz, w hermetycznej, szklanej kapsule żyły ponoć małe, niewidoczne gołym okiem organizmy. Reagowały na elektryczność, świecąc czerwono. Tę niezwykłą wrażliwość na zmiany pola elektrycznego wykorzystali Konstruktorzy, by, gdy woda opadnie, umożliwić miastom precyzyjne i zsynchronizowane odwrócenie działania napędów i uniknięcie kolizji. Powrót. To zabawne... Jonathan zapominał stale, że pozostali zamierzają tu wrócić. Sam najchętniej nie zawracałby z drogi do gwiazd. Ktoś ostrzegał, że wyżej, gdzie różnica potencjałów musi być większa, a miasta liczniejsze, synchroniczne zawrócenie może być trudne. Cóż, o tym wszyscy przekonają się dopiero w górze. Na razie testy wychodziły pozytywnie.

Jonathan używał elektrycznego oka jako przycisku do papieru. Wiedział, że szkło nie może się stłuc, bo te niewidzialne organizmy są równie zjadliwe, jak te, żyjące wewnątrz ekranów regulatorów miast.

Zaczął pisać nową księgę, poświęconą różnym rodzajom miast. Zamierzał je sklasyfikować według kształtów i poopisywać, choć sam podejrzewał, że odechce mu się tej roboty po kilkunastu stronach.

Marzyciele, awanturnicy, ludzie niespokojnego ducha zapisywali się na listy kolejnych załóg. Spokojni i stateczni przyglądali się temu z ostrożnym dystansem. Nie chcieli zmian i bardziej ufali koncepcji kopuł. Była jeszcze trzecia grupa. Była Wyspa Szaleńców. Tb ci, którzy twierdzili, że ocean nie ma dna. Że, jeśli by ktoś zanurkował bardzo głęboko, to wynurzyłby się z drugiej strony.

Jonathan zmrużył oczy i wbił wzrok w horyzont. Szaleńcy wybrali niedużą skałę na uboczu, za to wiszącą nisko nad wodą. Za kilka tygodni fale powinny zacząć obmywać jej spód. Wzrok mu się pogarszał, ale widział tamtych, jak stawiają żagle na małym okręcie Maroon. Testowali go, popłyną kawalek i wrócą. Jak co dzień, niemal.

Dlaczego Szaleńcy? Twierdzili, że chcą znaleźć supeł na linii. Brzmiało to nedorzecznie. Żartowano, że szukają supła na linii, a znajdą dziurę w oceanie, albo że odpłyną tak daleko, że spadną za krawędź świata. Śmiali się i mówili, że jest w tym

dużo prawdy, bo właśnie w tym suple szukają końca świata. Wielu z nich wierzyło, że ocean jest tylko jednym z obiektów, wiszących na linach wertykalnych; że można dopłynąć do końca wody i spojrzeć w dół, na dalszy ciąg świata. Mimo to darzono ich dziwnym szacunkiem. Byli niewątpliwie mądrzy i archipelag wiele tracił na ich odejściu. Szczęściem sporą część swej wiedzy przekazali już innym. Oni stworzyli elektryczne oczy. Stworzyli też najważniejsze części regulatorów, te czarne cegły z wystającymi bolcami złączy elektrycznych. Serca miast. Stworzyli o wiele więcej. Przed katastrofą musieli być naukowcami różnych dziedzin. Teraz doskonale się wzajemnie uzupełniali.

Wyglądało na to, że tym razem odpływali na dobre. Widok był naprawdę imponujący. Precyzyjnie wykonana maszyna cięła wodę, piana uciekała na boki i wzdłuż burt, a białe żagle wybrzuszony wiatrem... Jonathan oczami wyobraźni rysował wokół żaglowca trójwymiarowe wektory sił. Za pierwszym okrętem podążyły następne. Tak, odpływali.

Przypomniał sobie zarzucone projekty wertykalnego żaglowca i uśmiechnął się sam do siebie. Mrzonki. A supeł na linie?... To tylko legenda, taka sama jak ta o końcu świata za horyzontem.

Rozprostował nogę i jęknął. Będzie burza.

## Prolog

Lubiłem zmarszczki wokół jej czarnych oczu, kiedy tak na mnie patrzyła o zachodzie słońca. Czarne włosy nie kręciły się jak dawniej, ale kolor był wciąż ten sam.

Podszedłem do wielkich okien sali bibliotecznej, niemal czerwonych o tej porze. Salę zaprojektowałem osobiście. Wnętrze było niejednoznaczne, pozorna geometria była zaburzona oknami, wychodzącymi na wielki plac. Potężne regały, otaczające salę, zostały nieregularnie poprzedzielane przejściami i ślepyimi wnękami. Książ starczyło za ledwie na kilka półek, ale wolałem mieć zapas – wciąż powstawały nowe, pisane przez rozbitków z wielkiej katastrofy, której fragment widzieliśmy. Nie rozumiałem ich świata, ale on już przecież nie istniał. Budowaliśmy nowy, udając że nie wiemy co znajduje się głęboko pod naszymi stopami. W księgach próbowaliśmy ratować wiedzę, nie zdradzając jednocześnie jej pochodzenia.

Dłuższe przebywanie w tej sali powodowało nieokreślony niepokój. To od dawna doskonale współgrało z moimi nastrojami. Może nawet udało mi się je zakląć w celowo niepoprawnych proporcjach.

Okolica, po kres widoku, była placem budowy. Ci ludzie naprawdę znali się na tym – niczemu to nie służyło, ale wybudowali kilka budynków wysokich na czterdzieści pięter. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że coś tak wysokiego nie wali się pod własnym

**ciężarem. Dalej ciągnęły się przedmieścia i farmy. Gdy na to patrzyłem, na maszyny, które tworzyli, dochodziłem powoli do wniosku, że za kilkaset lat to my będziemy tajemniczymi, zapomnianymi Konstruktorami.**

**Pod stopami miałem grubą, betonową podłogę. Pod nią prawie od trzydziestu lat tkwiła rakietą, ukryta przed wzrokiem ciekawskich. To nie był mój pomysł, żeby ją tak maskować, ale uległem tym, co lepiej znali moich współobywateli. Uznali oni, że prawdę należy dawkować ostrożnie, a najlepiej poczekać jeszcze trochę, aż wszystko się uspokoi. Ten czas jeszcze nie nadszedł. Były teraz nowe wyzwania, nowe potrzeby. Nie należało psuć drogi, na którą właśnie wkroczyliśmy. Niech młodzi myślą, że wyniosło nas w górę potężne trzęsienie ziemi... Zbocza skrajni są zbyt strome, byśmy mogli dotrzeć do innych krain, a wiecznie gromadzące się poniżej chmury nie pozwalają ich nawet dostrzec.**

**Tak mówili.**

**Dobiegał końca ostatni dzień mojego życia. Wiedziałem o tym i nie było sposobu, by to zmienić. Żadne lekarstwo nie było już w stanie odmienić losu. Milczeliśmy. Nie chciałem, żeby wiedziała. Nie chciałem, żeby poznała przyczynę. Prawda... Prawda... Pokażcie mi tych, którzy szczerze wierzą, że najgorsza prawda jest lepsza od kłamstwa!**

**Nie wiedziałem, dlaczego wybrali mnie, bym nimi rządził. Może dlatego, że spośród siebie nie mogli wybrać nikogo. Może nikt nie miał wizji, jak budować tu życie od zera. Znałem to doskonale: nie wiedziałem, jak postępować, ale inni wierzyli, że wiem. Im mniej tej władzy pragnąłem, tym więcej mi jej dawali. I była to władza realna – podejmowałem decyzje, a oni się im podporządkowywali. Hierarchia wytworzyła się i utrwaliła automatycznie, skryzalizowała się i stwardniała. Nie zabiegałem o to. System opierał się na mojej uczciwości i sprawiedliwości. Starłem się nie zawieść obywateli, ale czy moi następcy też będą się starać? Ustanowiłem prawa, które mnie przeżyją. Tylko tyle mogłem zrobić.**

**–To tylko wielki kawał skały, wiszący na linach jak miasta niebieskie – powiedziała cicho Her.**

**–Dostaliśmy od kogoś, nie wiem od kogo, prawo do życia – odparłem. – Tylko to. Reszta to już nasze dzieło, nasze decyzje. Wszyscy starsi wiedzą, że mieszkamy na wielkim kamieniu. Ucieczki stąd też nie ma. Niech więc chociaż ich dzieci nie żyją w więzieniu.**

**–Będą żyć w więzieniu, tylko nie dostrzegą krat. Czy jest w tym sens?**

**–Sens... Po tylu latach wiem tylko, że wszelka celowość i wszelki sens to iluzje. Rządzi nami przypadek i chaos.**

**–Sens istnieje. Tylko jest ukryty przed nami.**

**–Ukryty zbyt dobrze. Cokolwiek byśmy nie zrobili, efekt i tak jest przesądzony.**

**Jeśli to coś, co kiedyś wyznawałem, było jakimś rodzajem wiary, to z pewnością ją utraciłem. Dotarłem do kresu swojej liny losu, to był ten mój Antycel. Nie zawierał żadnego wyjaśnienia, albo ja je przegapiłem. A może nie przegapiłem, może było na tyle banalne, że widziałem je, ale nie uznawałem za wyjaśnienie? A jednak ciągle powracało to uczucie, że to miało wyglądać inaczej, że chodziło o coś innego, że byłem blisko...**

**Poprowadziłem Her do sofy pod oknem. Usiedliśmy. Patrzyłem długo w jej czarne oczy, na jej spokojny uśmiech i chyba byłem w tym momencie szczęśliwym człowiekiem. Miała na sobie prostą, Inianą sukienkę i sandały. Nie chciała ubierać się elegancko. Nigdy zresztą na to nie nalegałem. Nie chciała też prowadzić wygodnego i gnuśnego życia jak żony tutejszych bogaczy. Przy takiej ilości ziemi wołała swobodnie zajmować się hodowlą ziół. Rośliny, których nasionka wiele lat temu otrzymała od Phory i zboże z Mespaladii, rosły teraz na polach w wielu zakątkach Herlanu. To dla niej tak nazwałem tę krainę. Za to, że wierzyła we mnie. Że była.**

**Patrzyłem w czarne oczy i wciąż nie mogłem odkryć wszystkich myśli ukrytych za nimi. Może poznam je, kiedy oboje będziemy u Celu.**

**Ptasznik, mój odwieczny senny towarzysz-prześladowca, miał rację. Pomylił się tylko co do czasu. Nie umarłem za młodu. Teraz jednak mój czas się kończył. Nieodwołalnie. Wczoraj wieczorem nasza krew, moja i Her, zmieszała się. To było nieuniknione od samego początku. Są rzeczy, które muszą się wydarzyć i wydarzają się, niezależnie od tego jak mocno będziemy się starać, by do tego nie dopuścić.**

**Zaraz odejdę, żeby nie widziała końca. Żeby się nie domyśliła przyczyny. Zaufani wiedzieli, co mają czynić. Czuję już sztywnienie mięśni, więc została mi może godzina świadomości. Dotknąłem dłoni Czarnowłosej.**

**–Chciałbym jeszcze przez chwilę na ciebie popatrzeć.**

**\* \* \***

***Dziś pochowałam Murka, mojego ukochanego, pierwszego gubernatora Herlanu, wielkiego człowieka. Dziś jest pierwszy dzień pierwszego roku bez niego. Początek nowych czasów.***

***Warszawa/Murzasichle 2003-2006***

2010-11-28

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*